

ZESZYT DWUDZIESTY PIERWSZY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1972

ZESZYT DWUDZIESTY PIERWSZY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1972

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 217

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Measil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

Z. S. SIEMASZKO

GRUPA SZAŃCA I NARODOWE SIŁY ZBROJNE¹

W jesieni 1969 roku, po ukazaniu się czwartego i ostatniego „Zeszytu do historii Narodowych Sił Zbrojnych”, na skutek sugestii Redaktora Giedroycia, przystąpiłem do zbierania materiałów na temat działalności Obozu Narodowo-Radykalnego w czasie wojny. Napotkałem jednak na poważne trudności, które w pierwszym rzędzie wynikają z charakteru organizacyjnego ONR i jego wojennej kontynuacji, tzn. Grupy Szańca.

Obóz Narodowo-Radykalny i Grupa Szańca posiadały podwójną organizację, zewnętrzną, która była jawna i wewnętrzną, tajną, która nazywana jest Organizacją Polską, lub też „zapleczem politycznym”. Z powodu tajności dokumenty na najwyższym szczeblu, tzn. w tajnej organizacji wewnętrznej, nie istniały i dlatego obecnie w pracach krajowych jako źródła informacji używa się często zeznań składanych w czasie badań Bezpieki po wojnie. Nie jest to najlepszy typ dokumentów.

Ze względu na tajność organizacji działacze najwyższego szczebla składali przysięgę, którą uważają za obowiązującą dotychczas i dlatego relacje świadków historii są powściągliwe o ile chodzi o zasadnicze sprawy. W tej sytuacji w niniejszym szkicu będę z konieczności często posługiwał się trybem warunkowym i będę rozważał możliwości i prawdopodobieństwa.

Szkic ten nie będzie dotyczył akcji wojskowej, raczej będzie to spojrzenie z góry. Będą rozważane plany, zamiary i ich wykonanie, jak również powody takiego, a nie innego postępowania.

1. Niniejszy zarys dziejów oparty jest na notatkach których używałem w czasie odczytu wygłoszonego 2 czerwca 1971 roku w Instytucie im. gen. Sikorskiego. Odczyt ten, dla zaproszonych uczestników, zorganizowała redakcja *Myśli Polskiej*.

Postaram się w wielkim skrócie pokryć okres 1939-1947, ale najpierw trzeba powiedzieć parę słów o wypadkach przedwojennych.

W ciągu pięciu lat istnienia w okresie przedwojennym ONR przeszedł następujące fazy. Działalność faktyczna i formalna, od kwietnia 1934 do czerwca 1934. Aresztowanie w czerwcu 1934 głównych przywódców i wywiezienie ich do obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej na okres przeważnie trzech miesięcy. Działalność faktyczna, ale nieformalna, czyli nielegalna od czerwca 1934 do września 1939, a jednocześnie w 1937 pertraktacje polityczne pomiędzy przywódcami nielegalnego formalnie ONR i przedstawicielami rządu². Później w 1938 roku przywódcy ONR (Jan Jodzewicz, Aleksander Heinrich i Jerzy Kurcjuś) zostali przyjęci na audiencji przez „drugą osobę w państwie” marsz. Rydza-Śmigłego.

Tego rodzaju przeskok i kontrasty, mające miejsce w tak krótkim czasie, musiały wywołać pewne uprzedzenia i spowodować podejrzliwość w stosunkach pomiędzy poszczególnymi ośrodkami politycznymi.

Związek Jaszczurczy

Po klęsce wrześniowej, w październiku 1939, jeden z przedwojennych działaczy ONR ppor. rez. inż. Władysław Marcinkowski powrócił do Warszawy po bitwie pod Kockiem i przystąpił do tworzenia organizacji wojskowej ONR, której nadał nazwę Związku Jaszczurczego. Kierował się on zasadą, iż „najcenniejszy element ideowej młodzieży można przechować tylko w walce”. Słuszność tej zasady, stosowanej zresztą i przez inne organizacje, wzbudza pewne zastrzeżenia, gdyż przyczyniła się ona w poważnej mierze do wyniszczenia najcenniejszej młodzieży, wobec czego obecnie ludzie w średnim wieku zarówno w kraju jak i na Zachodzie tworzą „pokolenie, któremu zostały wyrwane kły”.

Równoległe do zapoczątkowania przez Władysława Marcinkowskiego organizacji wojskowej, Tadeusz Salski przystąpił do odbudowania zaplecza politycznego, a Otmar Wawrzukowicz stanął na czele propagandy ONR. Wkrótce Jerzy Olgiere Iłakowicz

2. ONR reprezentowali dr Tadeusz Gluziński, mec. Jan Jodzewicz i Jerzy Kurcjuś, a obóz rządowy b. minister poczt i telegrafów płk Bogusław Miedziński (późniejszy marszałek senatu), minister komunikacji płk dypl. Juliusz Ulrych, który był jednocześnie prezesem Związku Legionistów i inspektor armii gen. dyw. Mieczysław Norwid-Neugebauer. Do rozmów doprowadził i brał w nich udział red. Stanisław Strzetelski. W ostatnim zebraniu uczestniczył szef Obozu Zjednoczenia Narodowego płk Adam Koc. (Na podstawie ustnej relacji mec. Jana Jodzewicza).

zorganizował wydział finansowy³. Byli to czterej czołowi działacze na zewnątrz. Kto należał w czasie wojny do zaplecza politycznego Grupy Szańca niesposób jest dokładnie ustalić.

Jaki był stosunek Grupy Szańca do rządu gen. Sikorskiego? W tej dziedzinie wydają się być miarodajne instrukcje jakie otrzymał inż. Mieczysław Harusewicz przed wyjazdem na początku 1940 roku do Paryża, jako oficjalny przedstawiciel ONR. Z rozmów z inż. Harusewiczem wnioskuję, iż instrukcje te były następujące: z rządem współpracować tylko w sprawach wysiłku zbrojnego, do rządu nie wchodzić, do Rady Narodowej ewentualnie wejść, pilnować żeby nikt nie fałszował głosu ONR na Zachodzie. Inż. Harusewicz polecenia te wykonał, ale, już po ewakuacji z Francji do Wielkiej Brytanii, został zawiadomiony listem gen. Sikorskiego z 23 sierpnia 1940 roku, że do Rady Narodowej powołany nie zostanie⁴. Od tego momentu aż do przybycia do Londynu w styczniu 1944 roku Tadeusza Salskiego nie było na Zachodzie kontaktów z czynnikami oficjalnymi, a reprezentant ONR por./kpt. Harusewicz przebywał w wojsku⁵.

Jaki był stosunek Grupy Szańca do Krajowej reprezentacji politycznej? W marcu 1940 roku jeden z działaczy Grupy Szańca dr Kazimierz Gluziński złożył oświadczenie na ręce Sławińskiego, który był członkiem Biura Politycznego reprezentującego w Warszawie gen. Sikorskiego w początkowym okresie wojny. Miało ono następującą treść:

„Podpisane środowisko polityczne, dysponujące podporządkowanymi mu organizacjami walki z okupantem, uznaje rząd polski gen. Sikorskiego za jedyny właściwy rząd polski, zapewniający państwu polskiemu ciągłość prawną. W związku z tym podpisane środowisko polityczne deklaruje pełne poparcie działalności rządu aż do chwili, w której w niepodległej Polsce zapana je ład i porządek prawny”.

W październiku 1940 roku dr Gluziński złożył to samo oświadczenie na ręce pierwszego Delegata Rządu na kraj Cyryla Ratajskiego i zadeklarował gotowość podporządkowania Komisariatowi

3. Prawdopodobnie poetka Kazimiera Iłakowiczówna była jego naturalną siostrą.

4. Gen. Sikorski motywował odmowę tym, iż Stanisław Józwiak był przedstawicielem ONR w Radzie Narodowej. Tymczasem inż. Harusewicz wymógł „publiczne oświadczenie Józwiaka, że nie reprezentuje on ONR i mandatu do tego nie posiada”. Przed wojną Józwiak nie był członkiem ONR, a jedynie sympatykiem na terenie Poznania. (Powyższe informacje pochodzą od inż. Harusewicza).

5. W wypadkach kiedy dwa stopnie wojskowe podane są przed nazwiskiem, pierwszy z nich odnosi się do okresu przedwojennego, a drugi nadany przez NSZ lub niekiedy (np. Harusewicz i Żochowski) przez Polskie Siły Zbrojne, odnosi się do okresu powojennego.

Cywilnego, którym kierował. Oferta ta nie została wówczas wykorzystana przez Delegata Rządu. W dwa lata później w grudniu 1942 roku następny Delegat Rządu, prof. Jan Piekalkiewicz, powołując się na rozmowę ze swoim poprzednikiem, zaproponował dr. Gluzińskiemu podporządkowanie Komisariatu Cywilnego Delegaturze Rządu. Tym razem dr Gluziński odmówił, sugerując jedynie współpracę na zasadzie równości. Tego rodzaju współpraca nie została przyjęta przez Delegata Rządu.

Jaki był stosunek Grupy Szańca do ZWZ? Grupa Szańca i Związek Jaszczurczy nie uznawały mandatu ZWZ do kierowania całością działań wojskowych w kraju. Jedynie gotowe były one współpracować z ZWZ jak równy z równym. Jednocześnie wywiad Związku Jaszczurczego przekazywał wiadomości do Komen dy Gł. ZWZ⁶. Również okręg Lwów Związku Jaszczurczego został podporządkowany taktycznie lokalnemu dowódcy ZWZ.

O ile chodzi o główne zainteresowania Grupy Szańca to w początkowym okresie wojny koncentrowały się one na zrealizowaniu granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Działacze Grupy Szańca nie zdawali sobie chyba sprawy z tego, że bez poparcia Zachodu i przy oporze Niemiec ziemie te można było utrzymać jedynie przy poparciu Związku Sowieckiego.

Plan Grupy Szańca był taki. Oddziały Związku Jaszczurczego miały zająć ziemie po Odrę i Nysę, a Komisariat Cywilny przygotowywał administrację, która miała opanować te tereny. Miała to być akcja uzupełniająca polską działalność państwową. Rząd polski i państwa zachodnie miały być postawione przed faktem dokonanym. Z czasem, z powodu terroru niemieckiego w zachodniej części kraju, jak również z powodu rozrostu organizacji Grupy Szańca w Generalnym Gubernatorstwie powstawało coraz większe zainteresowanie centrum kraju.

Wśród najważniejszych spraw organizacyjnych Związku Jaszczurczego należy poruszyć sprawy finansowe. W początkowym okresie, 1939-1941, środki pieniężne pochodziły z dotacji prywatnych i dochodów z własnych przedsiębiorstw Związku Jaszczurczego. Jednak z biegiem czasu, na skutek zbiednienia ludności pod okupacją, ciężar zaopatrzenia spadł na oddziały Akcji Specjalnej (odpowiednik Kedywu w AK).

Element ludzki wywodził się głównie spośród młodzieży, której imponowała prężność i dynamizm Związku Jaszczurczego. Młodzież ówczesna inna była od obecnej, indywidualizm nie był wśród niej popularny. Imponowało jej stanie w szeregu, dyscyplina i wódz.

6. W niektórych wypadkach za dostarczone wiadomości Związek Jaszczurczy otrzymywał od ZWZ niewielkie sumy pieniężne „na pokrycie kosztów”.

Wyżsi oficerowie sprawiali nieco kłopotu, gdyż niektórzy z nich zgłaszali się do Związku Jaszczurczego głównie z powodu zniechęcenia do oficjalnych władz na skutek zatargów osobistych albo przed wojną, albo już w okresie wojennym. Wśród tego rodzaju oficerów Związku Jaszczurczego, lub później Narodowych Sił Zbrojnych, można wymienić następujących: ppłk dypl. pilot Piotr Abakanowicz w swoim czasie dowódca piątego pułku lotniczego w Lidzie; mjr/ppłk Eugeniusz Kołodziejski uprzednio oficer ZWZ i przez jakiś czas dowódca mińskiego odcinka akcji Wachlarz; płk dypl. Tadeusz Kurcusz (stryj Jerzego Kurcusza) uprzednio szef wydziału w Komendzie Gł. ZWZ; mjr/ppłk Stanisław Nakoniecznikoff-Klukowski⁷ uprzednio oficer podokręgu ZWZ w północnym Mazowszu; płk Julian Skokowski późniejszy komendant główny Polskiej Armii Ludowej.

W latach 1939-1942 Grupa Szańca miała coraz więcej elementów państwa: wojsko — Związek Jaszczurczy, którym dowodził ppor./ppłk inż. Władysław Marcinkowski; propaganda — około 60 periodyków z *Szańcem* na czele; wydział administracyjny — Komisariat Cywilny pod kierownictwem dr. Kazimierza Gluźnińskiego; służba bezpieczeństwa — oddziały Akcji Specjalnej w poszczególnych okręgach, system wymierzania sprawiedliwości; organizację finansową, którą kierował Jerzy Olgierd Iłkowicz⁸. Brakło jednak przywódców na szerszą skalę. Luki tej nie mogło zapełnić anonimowe zaplecze polityczne, w którym prawdopodobnie jednym z czołowych działaczy był Tadeusz Salski.

Możliwe, że lukę tę mogliby wypełnić przywódcy przedwojenni Obozu Narodowo-Radykalnego, ale:

- dr Tadeusz Gluźniński (starszy brat Kazimierza) zmarł w drodze na Zachód w 1939 roku w czasie przechodzenia zielonej granicy;
- Aleksander Heinrich został aresztowany i zmarł w obozie koncentracyjnym;
- mec. Jan Jodzewicz przebywał u Niemców w niewoli jako oficer rezerwy;
- inż. Witold Kozłowski został zastrzelony przez Niemców w Warszawie;

7. Nie należy go utożsamiać ani z płk. Bronisławem Nakoniecznikoff-Klukowskim, który w latach 30-tych był przez pewien okres ministrem, a potem zajmował stanowisko wojewody warszawskiego, ani też z ppłk. Przemysławem Nakoniecznikoff-Klukowskim (Kruk II), który został zrzucony do kraju z Włoch w nocy z 21 na 22 września 1944 roku.

8. Poza tym Grupa Szańca kontynuowała przedwojenne wysiłki ONR w kierunku wychowania społecznego i politycznego młodzieży i poszczególnych grup zawodowych w duchu nacjonalistycznym.

- Jerzy Kurcjuś udał się na Zachód i przeszedł na współpracę ze Stronnictwem Ludowym;
- Wiktor Martini zginął w Katyniu;
- dr Jan Mosdorf przebywał w obozie koncentracyjnym, gdzie został zamordowany (zresztą od jesieni 1935 jego znaczenie w ONR zmalało na skutek zatargu o formę organizacyjną);
- mec. Henryk Rossmann zmarł jeszcze przed wojną nie tyle na skutek pobytu w Berezie Kartuskiej, jak się czasem podaje, co na skutek błędnej diagnozy lekarskiej⁹;
- dr Włodzimierz Sylwestrowicz został aresztowany w 1940 r. Spośród czołowych działaczy przedwojennych ONR jedynie inż. Tadeusz Todtleben przebywał w kraju przez cały okres wojenny, ale nie zdołałem ustalić jaką rolę w tym czasie spełniał. Z pewnością należał on do zaplecza politycznego, ale czy miał tam wielkie wpływy nie wiadomo¹⁰.

Na tym kończymy okres samodzielnego działania Grupy Szańca, 1939-1942, i przechodzimy do okresu współdziałania pomiędzy Grupą Szańca i tymi działaczami Stronnictwa Narodowego, którzy byli w opozycji w stosunku do oficjalnego kierownictwa Stronnictwa, tzn. do okresu od jesieni 1942 do kwietnia 1944.

Tymczasowa Narodowa Rada Polityczna i NSZ

W lipcu 1942 roku miał miejsce rozłam w wojskowej organizacji Stronnictwa Narodowego, która nosiła nazwę Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW). Do rozłamu tego przyczyniła się

9. Ze względu na dyskusję jaką to stwierdzenie wywołało po moim odczytaniu pragnę wyjaśnić, iż wiadomość ta pochodzi od mego przyjaciela, towarzysza pobytu w Berezie Kartuskiej i świadkiem śmierci Henryka Rossmanna. Zresztą zarówno Jodzewicz jak i Rossmann zostali zwolnieni z Berezki Kartuskiej, po bez mała trzymiesięcznym pobycie, 18 września 1934 roku, a śmierć Rossmanna miała miejsce dopiero w lutym 1937 roku. Z Berezki Rossmann wyszedł w dobrej formie, zaczął narzekać na zdrowie dopiero pod koniec 1936 roku. Diagnoza lekarska mówiła o chorobie serca, tymczasem śmierć nastąpiła na skutek ciężkiej uremii.

10. Według jednego z autorów krajowych (J. J. Terej) w początkowym okresie wojny przewodniczącym Komitetu Wykonawczego zaplecza politycznego był Tadeusz Salski, a członkami m.in. Jerzy Olgierd Hłakowicz, Władysław Marcinkowski, Lech Neyman, Stefan Nowicki, Tadeusz Todtleben, Otmar Wawrzkowicz i Jan Wyszynski. Skądinąd wiadomo, iż po wyjeździe Salskiego na Zachód w jesieni 1943 roku przewodn. Komitetu Wykonawczego został inż. Stefan Nowicki, a wśród członków byli m.in. kpt./ppłk Tadeusz Boguszewski, dr Kazimierz Gluziński, prof. Bolesław Sobociński i Antoni Saperlich. Natomiast kto należał do najwyższego stopnia wtajemniczenia, tzn. do Komitetu Politycznego, pozostaje dotychczas tajemnicą.

niespodziewana decyzja podporządkowania tej organizacji ZWZ pomimo tego, iż dotychczas prasa Stronnictwa Narodowego prowadziła kampanię przeciwko ZWZ jako organizacji sanacyjnej, chociaż jednocześnie Stronnictwo Narodowe wchodziło w skład Politycznego Komitetu Porozumiewawczego współpracującego z Komendą Gł. ZWZ. Powody decyzji podporządkowania NOW mogły być następujące:

- Przybycie kuriera gen. Sikorskiego z żądaniem podporządkowania NOW.
- Oddolna tendencja do scalenia, np. podporządkowanie się ZWZ na własną rękę okręgu NOW Warszawa-miasto.
- Udzielanie przez czynniki oficjalne zapomogi w wysokości 10 tysięcy dolarów miesięcznie na działalność polityczną stronnictw pod warunkiem podporządkowania ich organizacji wojskowych¹¹.

Decyzja scalenia wywołała sprzeciw w szeregach NOW. Po stronie frondy stanął bez mała cały sztab gł.¹² i następujące okręgi NOW: Kielce, Radom, Lublin, Rzeszów i Podlasie. Około 30 do 50 procent NOW wypowiedziało się przeciwko scaleniu.

Rozpoczęły się pertraktacje polityczno-wojskowe pomiędzy grupami secesyjnymi ze Stronnictwa Narodowego i Grupą Szańca. Pertraktacje te objęły następujące organizacje wojskowe: Związek Jaszczurczy, secesyjną część NOW, Wojskową Organizację Ludowo-Narodową i Organizację Wojskową „Wilki”. Celem tych pertraktacji było zgrupowanie wszystkich organizacji wojskowych obozu narodowego (w szerokim znaczeniu tego pojęcia) znajdujących się poza ZWZ. Połączonym siłom, na wniosek mec. Zbigniewa Stypułkowskiego, nadano nazwę Narodowe Siły Zbrojne (NSZ).

Jako ciało nadrzędne w stosunku do NSZ powstała Tymczasowa Narodowa Rada Polityczna (TNRP) składająca się początkowo z sześciu osób, trzy z Grupy Szańca — Jerzy Olgierd Hłakowicz, Władysław Marcinkowski i Tadeusz Salski i trzy ze Stronnictwa Narodowego — Jan Matłachowski, August Michałowski i Zbigniew Stypułkowski. Przewodniczącym Rady (początkowo pełniącym obowiązki przewodniczącego) został mec. Zbi-

11. Ponieważ to stwierdzenie wywołało dyskusję po moim odczycie pragnę wyjaśnić, iż informacja ta pochodzi od osoby która nie życzy sobie ujawnienia swego nazwiska. Skądinąd wiadomo, że pieniądze na działalność polityczną były przekazywane oficjalnymi kanałami jedynie tym ośrodkom politycznym, które się podporządkowały.

12. Między innymi: płk Ignacy Oziewicz, kpt./ppłk dypl. Stanisław Zochowski, ppłk dypl. Wacław Berka, mjr/ppłk Tadeusz Danilewicz, płk Thiel, mjr dypl. Ludwik Michalski, por. August Michałowski i por. Władysław Pacholczyk.

gniew Stypułkowski. Wkrótce dodano po jednym członku z każdej strony — Otmar Wawrzykowicz z Grupy Szańca i Karol Stojanowski ze Stronnictwa Narodowego¹³. Po wyjeździe Tadeusza Salskiego na Zachód w jesieni 1943 roku na jego miejsce z ramienia Grupy Szańca wszedł Stanisław Kasznica.

Tymczasowej Narodowej Radzie Politycznej podlegały trzy zasadnicze wydziały:

- wojsko — NSZ, na czele którego stanął płk Ignacy Oziewicz (w 1939 dowodził on 29 dywizją piechoty)¹⁴;
- administracja — Służba Cywilna Narodu (taką nazwę przybrał w jesieni 1942 roku dawny Komisariat Cywilny) pod kierownictwem dr. Kazimierza Gluzińskiego;
- propaganda — podlegała ona Janowi Matlachowskiemu.

Wydawało się, iż Grupa Szańca uzyskała, w osobie mec. Stypułkowskiego przywódcę o wyrobieniu i doświadczeniu, czego jej brakowało w początkowym okresie wojny. Ale jednocześnie zarysowywał się konflikt, gdyż Grupa Szańca była bezwzględna i trzymała się zasady „wszystko lub nic”, natomiast Stypułkowski musiał zdawać sobie sprawę z konieczności kompromisu we współżyciu z innymi ugrupowaniami politycznymi.

Zachodzi pytanie, jakie cele stawiała sobie Tymczasowa Narodowa Rada Polityczna? Z rozmów z mec. Stypułkowskim odniosłem wrażenie, iż główne cele w jego rozumieniu były następujące. Doprowadzić do scalenia z AK i wchodząc z poważnym i zorganizowanym wkładem wywrzeć wpływ polityczny na decydujący ośrodek krajowy Komendę Gł. AK w kierunku ograniczenia zapędów w pozytywnym nastawieniu do ZSSR. Można przypuszczać, że nie wszyscy członkowie TNRP rozumieli jej cele w ten sam sposób.

Krajowe czynniki oficjalne zareagowały na utworzenie TNRP i NSZ oświadczeniem Delegata Rządu na kraj prof. Piekalkiewicza, napisanym tuż przed jego aresztowaniem, które ukazało się pt. „Warcholstwo” w „Biuletynie Informacyjnym” (oficjalny

13. Ppłk Żochowski podaje, że płk Oziewicz był członkiem TNRP. Nigdzie indziej nie znalazłem potwierdzenia tej wiadomości.

14. W tym czasie płk dypl. Kurejusz odegrywał jakąś niewyjaśnioną rolę. Należał on do NSZ, ale nie wchodził w skład sztabu NSZ i nie był podwładnym płk. Oziewicza. Niektórzy oficerowie NSZ twierdzą, iż przed objęciem funkcji komendanta gł. NSZ płk Oziewicz składał przysięgę przed płk. Kurejuszem, a inni oficerowie sztabu NSZ, wywodzący się ze Związku Jaszczurczego, twierdzą iż mieli dwóch przełożonych jednocześnie płk. dypl. Kurejusza i płk. Oziewicza. Można się domyślać, że płk dypl. Kurejusz sprawował nadzór nad NSZ z ramienia Grupy Szańca, lub też stał na czele tajnej organizacji Grupy Szańca wewnątrz NSZ.

organ KG AK) 11 marca 1943 roku. Między innymi były tam takie stwierdzenia:

„Ostatnim wydarzeniem takim jest utworzenie samowzającej komendy NSZ, której rozkazy obliczone są na wywołanie wrażenia, że stosunki rozkazodawcze w dziedzinie wojskowej w kraju są jeszcze płynne. ... Z ramienia NW i MON (min. obrony narodowej) wszystkie sprawy wojskowe w kraju reguluje komendant S.Z. w kraju, a wszelkie przeciwstawianie się jest robotą szkodliwą i zasługuje na potępienie”.

W odpowiedzi na to oświadczenie *Szaniec* z 4 kwietnia 1943 roku zareagował atakiem na AK. Mimo to jednak rozpoczęły się pertraktacje wojskowe i w maju 1943 roku doszło do spotkania gen. Rowecki - płk Oziewicz. Niestety 30 czerwca 1943 roku gen. Rowecki został aresztowany, a wkrótce potem taki sam los spotkał płk. Oziewicza. Komendantem gł. NSZ został płk dypl. Tadeusz Kurcusz.

Nowy dowódca AK gen. Bór-Komorowski wyznaczył 15 października 1943 roku jako ostateczny termin podporządkowania się NSZ. Przed upływem terminu, 6 października 1943 roku *Szaniec* wydrukował artykuł „Drogi Rozwoju NSZ”, w którym nieznan autor pisał między innymi:

„NSZ powstał w końcu 1942 roku z kilku organizacji wojskowych, zbliżonych ideologicznie a stojących na gruncie najwyższych interesów Narodu Polskiego. Po doświadczeniach okresu niepodległości i klęsce 1939 roku zarówno wojskowi zawodowi jak powołani pod broń rezerwiści stronili nie tylko od grup posądzonych o przynależność do sanacji, ale także od tzw. „demokracji”. W jednych widzieli czynnik samowoli, w drugich niedołęstwo. Obarczano winą za klęskę, szukano nowych haseł i ludzi. Niechęć do grup politycznych przedmajowych i pomajowych była tak głęboko zakorzeniona, a wiara w Polskę odrodzoną tak wielka, że bez pomocy rządowej z Londynu, do której miały te same prawa co PZP., własnym wysiłkiem w krwawym znoju stworzono liczne i zdyscyplinowane szeregi działające pod nazwą Narodowe Siły Zbrojne. ... Ujawnienie dużej siły i spistości licznych szeregów walczących pod jednym sztandarem i wysunięta przez NSZ inicjatywa współpracy z PZP (dawniej ZWZ) wywołały burzę i żądanie podporządkowania się. ... Między tymi skłóconymi partnerami mają wybierać NSZ, które nie po to powstały by spełniać rolę kondotiera jednej z dwóch grup sięgających po władzę (tzn. sanacji i tzw. Czterech Stronnictw — SN, PSL, PPS i Pracy). ... W tych warunkach komendy wojskowe powinny znaleźć wyjście z sytuacji wytworzonej przez czynniki polityczne. Takim wyjściem może być tylko współpraca na warunkach oszczędzających *prestige* każdej z organizacji”.

Czyli w myśl tego artykułu nie miało być żadnej współpracy politycznej, a jedynie współpraca wojskowa na zasadzie równi z równymi. Było to potwierdzenie stanowiska z okresu Związku Jaszczurczego. Trudno sobie wyobrazić jak tego rodzaju współpraca wojskowa bez porozumienia politycznego miała wyglądać.

Tymczasem termin wyznaczony (15 października) minął i nic

się nie stało. Wobec tego 9 listopada 1943 roku gen. Bór-Komorowski wydał rozkaz, w którym stwierdził, iż „należenie do NSZ nie jest równoważne ze służbą w szeregach Sił Zbrojnych RP”.

Zagrożenie ze Wschodu

W 1943 roku zagrożenie ze Wschodu zaczęło występować coraz wyraźniej. Można by się spodziewać, iż grupa polityczna, która wysuwała hasło granicy na Odrze i Nysie i propagowała państwo nacjonalistyczne i z konieczności antyniemieckie, powinna być nastawiona do ZSSR raczej pozytywnie, gdyż jedynie ZSSR mógł udzielić poparcia tego rodzaju polskiej państwowości. Z drugiej strony piastowska wizja państwa polskiego była dla ZSSR łatwiejsza do przyjęcia niż jakaś inna. Tymczasem Grupa Szańca i NSZ wystąpiły w 1943 roku zdecydowanie przeciwko poszukiwaniu porozumienia z ZSSR. Wyjaśnienia tego rodzaju postawy należy raczej szukać w dziedzinie psychicznej niż politycznej. W owym czasie nacjonalizm polski był zdecydowanie antykomunistyczny. Dopiero w kilkadziesiąt lat później zaczął on stopniowo zatracać swój charakter antykomunistyczny, czego jesteśmy obecnie świadkami¹⁵.

W *Szańcu* z 4 sierpnia 1943 roku ukazał się artykuł pt. „Czego chcą?”, w którym między innymi czytamy:

„Wspólna praca szczerze polskich organizacji wojskowych i cywilnych z pewnością umożliwi nam wyrwanie chwastów bolszewickich i oczyszczenie terenu. PPR, Gwardia Ludowa i różni czerwoni partyzanci muszą zniknąć z powierzchni polskiej ziemi”.

Prawdopodobnie z tego okresu pochodzą „Wytyczne działania Akcji Specjalnej dowództwa NSZ”:

„Partyzantka od razu może i musi działać czynnie przez oczyszczenie terenu od band wyrotowych i przestępczych, z wrogich nam formacji mniejszościowych, oraz przez przeciwdziałanie — w ramach samoobrony — w stosunku do ekspedycji karnych w razie rażącej niesłuszności represji okupanta”.

Latem 1943 roku miało miejsce szereg akcji NSZ przeciwko oddziałom komunistycznym w kieleckim i lubelskim. Najbardziej znana jest akcja z 9 sierpnia 1943 roku w lasach koło wsi Borów w pow. krańickim przeciwko oddziałowi GL im. Jana Kilińskiego.

15. Ponieważ stwierdzenie to wywołało dyskusję po moim odczycie warto przypomnieć, że istnieje dość rozpowszechniona opinia, iż obecnie następuje coraz większe zbliżenie pomiędzy polskim nacjonalizmem i PRL, głównie w kraju i częściowo na emigracji.

go, w której zginęło 26 partyzantów i 4 mieszkańców wsi Borów. W akcji tej dowodził por./mjr Leonard Zub-Zdanowicz, dowódca Akcji Specjalnej okręgu Lublin (późniejszy szef sztabu Brygady Świętokrzyskiej), jedyny „cichociemny” zrzucony z Anglii, który znalazł się w szeregach NSZ.

Reakcja PPR i GL była następująca (*Gwardzista* z 15 września 1943 roku):

„Gwardia Ludowa i polski ruch wyzwoleniczy nie pozwoli się rzucić do bratobójczej walki. Tylko zaborca i pokumani z nim wrogowie mieliby z tego korzyść. Na prowokacyjne napaści hitlerowskich agentów i zdrajców odpowiemy zwiększeniem w oddziałach czujności, dyscypliny i karności. Odpowiemy jeszcze potężniejszą walką z zaborcą. Broń swą nadal tylko przeciw Niemcom kierować będziemy”.

Tego rodzaju reakcja była z pewnością oparta na chwilowym poczuciu własnej słabości. Widocznie władze komunistyczne wołały odłożyć rewanż do czasu kiedy przybędzie armia sowiecka i dawne oddziały AL (GL) zostaną trzonem Milicji Obywatelskiej, której jednym z głównych zadań będzie zwalczanie podziemnych organizacji zbrojnych, tak NSZ jak i AK.

W dniu 18 listopada 1943 roku ukazało się w *Biuletynie Informacyjnym* (oficjalny organ AK) oświadczenie, iż „z ohydny wymordowaniem” oddziału AL pod Borowem „Siły Zbrojne w kraju nie mają nic wspólnego”, a w tydzień później *Biuletyn Informacyjny* zamieścił rozkaz gen. Bora-Komorowskiego z 9 listopada, o którym już była mowa, dając mu tytuł „Narodowe Siły Zbrojne potępione”. *Szaniec* odpowiedział na to 4 grudnia 1943 roku artykułem zatytułowanym „NSZ potępione — AL uznana”, w którym między innymi czytamy:

„Z Niemcami walczy cały świat. Niemcy wojnę już przegrały. Z Rosją Sowiecką walczą tylko Niemcy. Dlatego też zlikwidowanie w Polsce agentur sowieckich, choćby stroiły się w najpiękniejsze patriotyczno-polskie piórka, to obowiązek, to konieczność. Tego wymaga polska racja stanu”.

Wątpliwe, żeby ofensywne zwalczanie partyzantki komunistycznej było wymogiem polskiej racji stanu, gdyż akcja tego rodzaju mogła przynieść jedynie chwilowe zwycięstwo, ale na dłuższą metę nie miała szans powodzenia ze względu na potęgę zaplecza Związku Sowieckiego. Jednocześnie prowadziła ona do jeszcze większych represji po zajęciu terytorium polskiego przez armię sowiecką. Jedynie akcja obronna miała uzasadnienie.

Zarówno AK jak i NSZ zdawały sobie sprawę z zagrożenia nadciągającego ze Wschodu, ale podejścia ich były różne. Kom. Gł. AK zdecydowała pod koniec 1943 roku przeprowadzić akcję „Bura” zakończoną ujawnieniem się przed wkraczającymi władzami

sowieckimi. Natomiast dowództwo NSZ opracowało na początku 1944 roku plan ewakuacji swych oddziałów na Zachód, na tereny zajęte przez aliantów i nie miało zamiaru wchodzić w jakiegokolwiek kontakty z władzami sowieckimi. Pod tym względem istniało pewne podobieństwo pomiędzy podejściem gen. Sosnkowskiego i NSZ. Gen. Sosnkowski również był przeciwnikiem poszukiwania przez polskie podziemie uznania przez władze sowieckie.

Służba Cywilna Narodu

Z chwilą powstania NSZ dawny Komisariat Cywilny zorganizowany przez Grupę Szańca został podporządkowany TNRP i przemianowany na Służbę Cywilną Narodu, która rozwinęła się bardzo poważnie. Posiadała ona 19 wydziałów i skupiała kilka tysięcy fachowców. W tym czasie miała ona budżet wynoszący około 150 tysięcy złotych miesięcznie. W ramach Służby Cywilnej Narodu zajmowano się krótko i długoterminowym planowaniem na szczeblu ogólnopaństwowym.

Na czele Służby Cywilnej Narodu stał dr Kazimierz Gluziński z Grupy Szańca, a jego zastępcą był Stanisław Froelich przedstawiciel secesji ze Stronnictwa Narodowego. Podobnie stanowiska kierowników wydziałów i ich zastępców były rozdzielone proporcjonalnie pomiędzy Grupą Szańca i secesjonistami ze Stronnictwa Narodowego.

Jednym z głównych wydziałów było Szefostwo Administracji pod kierownictwem Stanisława Kasznicy, jego zastępcą był Henryk Paprocki ze Stronnictwa Narodowego. Wydział ten przygotowywał administrację i policję zwaną Obroną Narodową na moment zakończenia okupacji. Około 10 tysięcy ludzi zostało przeszkolonych w ramach Obrony Narodowej. W początkowym okresie wojny Komisariat Cywilny koncentrował się głównie na przygotowaniu administracji na tereny zachodnie po Odrę i Nysę, natomiast w późniejszym okresie Służba Cywilna Narodu wykazywała największe zainteresowanie centrum kraju i w Generalnym Gubernatorstwie obsadziła około 70 % powiatów przez starostów i policję przeszkoloną i zorganizowaną w ramach Szefostwa Administracji.

Wynika z tego, że Służba Cywilna Narodu przygotowywała się do objęcia władzy administracyjnej w centrum kraju w chwili zakończenia wojny. Jednocześnie *Szaniec* propagował separację polityczną i współdziałanie wojskowe z AK na zasadzie równorzędności. Natomiast sztab NSZ przygotowywał ewakuację swych oddziałów na Zachód. A TNRP, a przynajmniej jej przewodni-

czący, dążył do scalenia z AK i jednocześnie wywarcia wpływu politycznego na Kom. Gł. AK. Widać, iż w ramach TNRP, Grupy Szańca, secesyjnych przedstawicieli Stronnictwa Narodowego i NSZ nie było zgranego działania.

Scalenie

Przez cały rok 1943 nie było żadnych poważnych pertraktacji pomiędzy TNRP i Kom. Gł. AK, chociaż miały miejsce kontakty między mec. Stypułkowskim i szefem Biura Wojskowego Kom. Gł. AK Ludwikiem Muzyczką, jednak nie posiadały one większego znaczenia. Dopiero w czasie przyjęcia sylwestrowego 1943-1944 wysłannik gen. Bora-Komorowskiego skontaktował się z mec. Stypułkowskim. Podobno gen. Bór-Komorowski dążył do porozumienia, więc pertraktacje posuwały się szybko.

W międzyczasie 20 stycznia 1944 roku Naczelnny Wódz gen. Sosnkowski wysłał do Warszawy „Wytyczne włączenia NSZ do AK”, które przewidywały zachowanie odrębności organizacyjnej NSZ aż do zakończenia wojny. Prawdopodobnie skłoniło Nacz. Wodza do tego rodzaju instrukcji przybycie do Londynu wysłannika Grupy Szańca Tadeusza Salskiego¹⁶, jak również wiadomość, iż wbrew tzw. „Instrukcji październikowej” Kom. Gł. AK zdecydowała ujawniać się przed armią sowiecką, którą Nacz. Wódz otrzymał 8 stycznia 1944 roku. Telegramem z 3 lutego 1944 roku gen. Bór-Komorowski zawiadomił Nacz. Wodza, iż Kom. Gł. AK odrzuciła wytyczne scaleniowe Nacz. Wodza, gdyż były one „dalej idące niż warunki stawiane przez NSZ”. Dnia 17 lutego 1944 roku gen. Bór-Komorowski w telegramie do Nacz. Wodza zapowiadał scalenie NSZ. Faktycznie decyzja TNRP w sprawie przyjęcia warunków gen. Bora-Komorowskiego i podporządkowania NSZ zapadła 8 lutego 1944 roku.

Dnia 7 marca 1944 roku odbyła się uroczystość scaleniowa, było obecnych około 20 osób (płk. dypl. Kurcusz, kom. gł. NSZ nie brał udziału)¹⁷. Z jednej strony występował gen. Bór-Komorowski ze swoją świtą, a z drugiej mec. Stypułkowski ze swoją. Uroczystość rozpoczęła się wypowiedzeniem gotowości podporządkowania się ze strony mec. Stypułkowskiego. W odpowiedzi gen. Bór-Komorowski odczytał uprzednio uzgodnione oświadczenie zawierające cztery zasadnicze punkty: uznanie pozycji i zasług

16. Jednocześnie w pierwszych dniach lutego 1944 roku przybył do Londynu przedstawiciel sztabu NSZ kpt./ppłk dypl. Stanisław Żochowski.

17. Opis uroczystości scaleniowej oparty jest na relacji ustnej mec. Stypułkowskiego.

NSZ, stwierdzenie, iż głównym niebezpieczeństwem jest okupacja sowiecka, zapowiedź, iż KG AK nie zarządzi powstania prowadzącego do katastrofy i stwierdzenie potrzeby przegrupowania KG AK przez wprowadzenie żywiołu narodowego.

Następnie miało miejsce obustronne podpisanie formalnej umowy scaleniowej¹⁸, która zawierała trzy zasadnicze punkty:

1. Podanie do wiadomości faktu podporządkowania NSZ.
2. Zaprzysiężenie kom. gł. NSZ i podpisanie rozkazów scaleniowych.
3. Wyznaczenie komisji technicznej, która miała przygotować przeprowadzenie scalenia według ustalonych zasad, wśród których należy wymienić następujące: kom. gł. NSZ zostanie mianowany pełnomocnikiem gen. Bora-Komorowskiego do spraw NSZ, nastąpi scalenie sztabów i dowództw okręgów, oddziały liniowe NSZ zostaną zachowane, uznanie starszeństwa, awansów i praw żołnierzy NSZ itd.

W czasie części towarzyskiej członkowie świty gen. Bora-Komorowskiego stwierdzili, iż jeżeli kom. gł. NSZ jest płk dypl. Kurejusz, to wynikną poważne trudności, gdyż jest on zaprzysiężonym żołnierzem AK¹⁹. Dziwne, iż w czasie pertraktacji scaleniowych nie wyszło na jaw nazwisko kom. gł. NSZ i że gen. Bór-Komorowski nie zasięgał na ten temat informacji w Oddz. II KG AK. Odnosi się wrażenie, iż gen. Bór-Komorowski prowadził pertraktacje z mec. Stypułkowskim na własną rękę. Niektórzy członkowie KG AK, jak na przykład płk dypl. Jan Rzepecki, szef Biura Informacji i Propagandy, dowiedział się o zawartej umowie scaleniowej dopiero następnego dnia. Wiadomo, że niektórzy członkowie KG AK byli przeciwni scaleniu NSZ. Płk Rzepecki

18. Z ramienia Grupy Szańca umowę scaleniową podpisał między innymi inż. Władysław Marcinkowski.

19. Trudno zrozumieć jak to się stało, iż starszy, poważny człowiek, oficer dyplomowany, inżynier płk Kurejusz, który w przeszłości zajmował wysokie stanowiska zarówno wojskowe jak i cywilne (przed przeniesieniem w stan spoczynku w 1931 roku był on szefem Oddziału Kwaternistrzowskiego Sztabu Głównego, a później delegatem na konferencje międzynarodowe z ramienia Polskich Kolei Państwowych) postawił siebie w tak dwuznacznej sytuacji. Bez uzyskania formalnego zwolnienia z ZWZ, gdzie był szefem wydziału w KG, wstąpił do konkurencyjnej organizacji wojskowej (najpierw Związek Jaszczurczy, a potem NSZ), a jednocześnie w dalszym ciągu pobierał od czynników oficjalnych pensję wynoszącą 1.500 złotych miesięcznie. To, iż KG ZWZ podobno odmówiła odpowiedniej sumy na wykupienie płk. Kurejusza po jego przypadkowym aresztowaniu w 1942 roku (został wykupiony za pieniądze zbierane wśród przyjaciół), jak również to, iż po wykupieniu, w celu zachowania ostrożności, został przeniesiony do tzw. rezerwy personalnej KG AK i mógł się kontaktować jedynie z szefem Biura Wojskowego KG AK Ludwikiem Muzyczką nie tłumaczy w pełni dziwnej sytuacji osobistej płk. Kurejusza w latach 1942-1944.

i płk Sanojca torpedowali porozumienie²⁰, gen. Tatar był zdecydowanym przeciwnikiem NSZ, zresztą w grudniu 1943 roku opuścił on już KG AK, podobno gen. Pełczyński też nie był zwolennikiem scalenia NSZ. Można przypuszczać, iż już po wydaniu rozkazów do Burzy mającej się zakończyć ujawnieniem AK wobec armii sowieckiej gen. Bór-Komorowski pragnął wprowadzić przeciwwagę w postaci NSZ w stosunku do zbyt pozytywnego nastawienia do ZSSR, które szczególnie wyraźnie występowało w Biurze Inf. i Propagandy.

Ppłk Marcinkowski podaje w swej relacji, iż w marcu odbyła się narada w której brali udział gen. Bór-Komorowski, mec. Stypułkowski i inż. Marcinkowski. Doprowadziła ona do tego, że gen. Bór-Komorowski zaprzysiął płk. dypl. Kurcjusza pod warunkiem, iż Grupa Szańca rozpatrzy sprawę obsadzenia funkcji kom. gł. NSZ. Ppłk Boguszewski podaje, że 22 marca gen. Bór-Komorowski wydał rozkaz scaleniuowy. Wiadomo, iż tego dnia gen. Bór-Komorowski wysłał telegram, w którym zawiadamiał Nacz. Wodza, iż NSZ podporządkowały się. Dnia 31 marca 1944 r. gen. Bór-Komorowski wydał rozkaz witający NSZ. Opublikowany on został w *Biuletynie Informacyjnym* z 13 kwietnia 1944 roku. Rozkaz ten ukazał się również w *Szańcu* z 15 kwietnia wraz z okolicznościowym rozkazem płk. dypl. Kurcjusza. Oba te rozkazy zostały poprzedzone następującym wprowadzeniem:

„Oczekiwane... scalenie akcji wojskowej wreszcie nastąpiło. NSZ jako całość stały się członem AK wnosząc w jej ramy cały swój dorobek organizacyjny, wysoką ideowość szeregów i dynamizm. Jedna Armia Polska w kraju pod jednolitym dowództwem — to najlepsza odpowiedź dla obu naszych wrogów.

Dnia 7 marca delegacja Tymczasowej Narodowej Rady Politycznej podpisała umowę o podporządkowaniu NSZ Komendantowi Armii Krajowej na zasadach, którymi kierowało się Dowództwo NSZ i TNRP od początku starań zmierzających do scalenia akcji wojskowej w kraju”.

Rozkaz gen. Bora-Komorowskiego miał treść następującą:

„Komendant Sił Zbrojnych w Kraju

31 marca 1944 r.

Żołnierze NSZ

Witam Was w szeregach AK. Mam głębokie przeświadczenie, że oddziały NSZ wnoszą do zjednoczonego wysiłku Kraju wartościowy wkład obywatelski i żołnierski.

Uzyskujecie obecnie pełne uprawnienia przysługujące wszystkim dobrym żołnierzom AK. Wnieście w jej szeregi swój entuzjazm i wiarę w wielkość

20. Płk. dypl. Rzepecki wysłał przez referenta BIP'u (który odlatywał do Londynu) Bohdana Sołacińskiego notatkę do gen. Kukiela „Nasz Kościuszko do chrzanu”. Bezpośrednią przyczyną wysłania tej notatki było scalenie przez gen. Bora-Komorowskiego NSZ.

Sprawy. Swą karnością, zdyscyplinowaniem, wyszkoleniem żołnierskim i obywatelskim, a przede wszystkim gotowością do ofiar sięgnijcie po najwyższą nagrodę — Wolność i Wielkość Ojczyzny!

Komendant Sił Zbrojnych w Kraju

(—) B ó r”.

Część rozkazu płk. dypl. Tadeusza Kurcjusza miała treść następującą:

„Rozkaz Ogólny Nr 9.

Żołnierze NSZ

... (powołując się na scalenie)... przez wyniesienie Ojczyzny ponad wszelkie interesy klasowe, grupowe, czy osobiste — przez braterstwo z każdym Polakiem w walce o Wielką Polskę — będziemy pielęgnować zaszczytne cnoty Żołnierza-Obywatela.

Dowódca NSZ

(—) Żegota”.

W ten sposób w ciągu zaledwie trzech tygodni (od 7 do 31 marca) zasadnicze punkty umowy scaleniowej zostały wykonane. Cel TNRP w ujęciu przewodniczącego wydawał się bliski realizacji, pozostawało wprowadzenie w życie wpływu politycznego na KG AK.

Rozłam

Tymczasem w połowie kwietnia 1944 roku zaczęła się sytuacja komplikować. Istnieją następujące interpretacje podłoża wynikłego zatargu.

Płk Boguszewski wyjaśnia, iż rozpoczęto nagonkę na płk. dypl. Kurcjusza z powodu pobieranej pensji od czynników oficjalnych. Ta nagonka doprowadziła do śmierci płk. Kurcjusza w dniu 22 kwietnia 1944 roku, a śmierć przyczyniła się do zerwania scalenia²¹.

Interpretacja ta trudna jest do przyjęcia, gdyż sprawa pobierania pensji musiała być załatwiona przed 31 marca, albo jeszcze przed 22 marca 1944 roku, tzn. przed zaprzysiężeniem płk. Kurcjusza.

Płk inż. Marcinkowski jest zdania, iż zerwanie scalenia nie miało nic wspólnego z pobieranymi przez płk. Kurcjusza pieniędzami.

²¹ Płk dypl. inż. Tadeusz Kurcjuś zmarł na wylew krwi do mózgu mając 63 lata. Pośmiertnie został mianowany generałem brygady przez Radę Polityczną NSZ.

dzmi. Natomiast twierdzi, iż została wywarta presja ze strony Stypułkowskiego i AK w celu usunięcia płk. Kurcjusza, gdyż uważano go za zaufanego Grupy Szańca.

Mec. Stypułkowski natomiast twierdzi, iż Iłakowicz, Marcinowski i Wawrzkowicz złożyli mu wizytę i oświadczyli, iż dotychczas brakowało Grupie Szańca i NSZ legalizmu, teraz skoro już legalizm mają należy przystąpić do opanowania podziemia. Stwierdzili oni, iż w tym celu jest im potrzebny mec. Stypułkowski i są przygotowani oddać mu najwyższe stanowiska w podziemiu pod warunkiem, iż będzie im uległy. Stypułkowski odrzucił tę ofertę²².

Należy przewidywać, iż tego rodzaju zamach stanu w podziemiu był niemożliwy do przeprowadzenia, gdyż sprzeciw AK byłby zbyt silny.

Można domyślać się, iż u podłoża rozłamu leżały wszelkiego rodzaju uwarunkowania psychiczne nagromadzone przez kilkanaście lat, a szczególnie brak zaufania Grupy Szańca do innych ugrupowań politycznych. Niektórzy są zdania, iż do zerwania scalenia przyczyniło się między innymi i to, że Grupa Szańca dostała w swe ręce kopię „Wytycznych włączenia NSZ do AK” Nacz. Wodza, które przewidywały autonomię NSZ aż do zakończenia wojny. Mogło to wzbudzić jeszcze większą podejrzliwość Grupy Szańca w stosunku do AK i przewodniczącego TNRP.

Na początku maja 1944 roku zerwanie procesu scaleniowego i rozłam zarówno NSZ jak i Służby Cywilnej Narodu był już dokonany. Podobno 10 do 15 tysięcy żołnierzy NSZ podporządkowało się scaleniu, a pozostałe 60 do 65 tysięcy wystąpiło przeciw scaleniu.

W ten sposób zakończyła się możliwość wywarcia wpływu przez Grupę Szańca na decyzje dotyczące całości narodu polskiego. Od tego momentu działalność Grupy Szańca mogła jedynie wpływać na losy niewielkiej części narodu, a nie całości. Z tego punktu widzenia dalsze dzieje w tym krótkim szkicu będą omówione jeszcze bardziej pobieżnie niż dzieje dotychczasowe.

Na własną rękę

W końcu kwietnia 1944 roku w miejsce TNRP Grupa Szańca utworzyła Radę Polityczną NSZ, której przewodniczącym został inż. Marcinkowski.

Rada ta mianowała ppłk. Stanisława Nakoniecznikoff-Klukowskiego p.o. kom. gł. NSZ. Natomiast 5 czerwca 1944 roku gen.

22. Relacja ustna mec. Stypułkowskiego.

Bór-Komorowski wyznaczył p.o. kom. gł. NSZ ppłk. Albina Raka i nakazał mu przeprowadzenie scalenia. Sąd wojenny NSZ skazał ppłk. Raka na śmierć, ale wyrok nie został wykonany²³.

W międzyczasie 22 maja 1944 roku gen. Bór-Komorowski meldował Nacz. Wodzowi, iż Grupa Szańca scalenie zerwała. Przed wyjazdem do Włoch, 6 lipca 1944 roku gen. Sosnkowski pisał do gen. Bora-Komorowskiego:

„Zjednoczenie wysiłku zbrojnego Polaków w imię całości i pełnej niepodległości Rzeczypospolitej było zawsze i jest elementarnym nakazem podyktowanym przez racje prawne, polityczne, wojskowe i moralne.

„W ostatnich czasach w trakcie definitywnego scalenia organizacji wojskowych w Kraju doszło ze strony skrajnych czynników Narodowych Sił Zbrojnych do niedopuszczalnych wystąpień, godzących w zasady jedności wojska, subordynacji wojskowej i posłuszeństwa wobec prawa.

Stwierdzam, że z mocy prawa Armia Krajowa jest jedynym Wojskiem Polskim na terenie Kraju. Wszystkie organizacje o charakterze wojskowym, które pozostają poza nią nie podlegają jej Komendantowi Głównemu a przez to samo — władzom legalnym Rzeczypospolitej Polskiej, nie stanowią w sensie prawnym części Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej.

Zabraniam wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej Polskiej w Kraju, obowiązanych do spełnienia powinności wojskowej — należenia do jakichkolwiek bądź organizacji wojskowych poza Armią Krajową i nakazuję, aby bez zwłoki podporządkowali się rozkazom Komendanta Głównego Sił Zbrojnych w Kraju (Armii Krajowej).

Naczelný Wódz, Sosnkowski, Generał Broni”.

Wkrótce po rozłamie NSZ rozpoczęły się zabójstwa i porwania wśród pracowników BIP'u:

— 13 czerwca 1944 roku został zamordowany szef wydziału informacji BIP'u, inż. Makowiecki wraz ze swą żoną, oraz pracownik tego wydziału docent Widerszal.

— 26 czerwca został zamordowany inż. Czarnomski.

— 14 lipca uprowadzony został i wydany Gestapo prof. Marcelli Handelsman. Podobny los spotkał Krystynę Krahelską.

Literatura zarówno krajowa jak i emigracyjna przypisuje te czyny NSZ'towi, natomiast „Zeszyty do historii NSZ” utrzymują (powołując się na rozmowę ks. Salamucha — gen. Rostworowski), iż Widerszala i Makowieckich zlikwidowała AK. Ostateczne rozstrzygnięcie tego problemu jest chyba niemożliwe.

W czerwcu 1944 roku na Kielecczyźnie ma miejsce koncentracja oddziałów partyzanckich NSZ z okręgu Kielce i częściowo

23. Według ppłk. Boguszewskiego Grupa Szańca poleciła zgładzić dr. Józefa H. Retingera, który przebywał w kraju od 4 kwietnia do 25 lipca 1944 r. Jednak „likwidacja nie udała się, gdyż w dzielnicy w której Retinger zamieszkał, dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności, bez przerwy kręciły się piesze i samochodowe patrole niemieckie”.

Lublin. Przebywa tam również ppłk Nakoniecznikoff-Klukowski, który w ostatnich dniach lipca udaje się do Warszawy.

W końcu lipca 1944 roku opuszczają Warszawę udając się do rejonu Kielce-Częstochowa czołowi działacze Grupy Szańca: Gluziński, Iłakowicz, Marcinkowski, Todtleben, Wawrzkowicz i inni. Jednocześnie Oddz. II sztabu NSZ przenosi się z Warszawy do Krakowa.

Wybuch powstania zaskoczył warszawskie NSZ, które nie były poinformowane o terminie wybuchu. Żołnierze NSZ spontanicznie dołączyli do powstania. 7 sierpnia na Śródmieściu odbyła się narada polityczno-wojskowa, na której, na wniosek kpt./ppłk. Boguszewskiego, powzięto decyzję podporządkowania warszawskich sił NSZ komendantowi okręgu warszawskiego (płk Spirydion Koiszewski) tego odłamu NSZ, który wiosną 1944 roku podporządkował się AK w ramach scalenia.

W powstaniu według „Polskich Sił Zbrojnych” tom III brało udział 800 żołnierzy NSZ, natomiast według „Zeszytów do historii NSZ” dwa tysiące żołnierzy. Różnica ta wynika chyba stąd, iż „PSZ” biorą pod uwagę tylko tych żołnierzy, którzy byli w oddziałach NSZ, natomiast „Zeszyty NSZ” liczą również tych żołnierzy, którzy byli rozproszeni w oddziałach AK.

Tymczasem przywódcy Grupy Szańca na zewnątrz Warszawy znaleźli się w wyjątkowej sytuacji. Mieli oni przy sobie wojsko, a jednocześnie cała reprezentacja krajowa została zamknięta w Warszawie i czekała ją albo niewola, albo też likwidacja. Zanosilo się na to, iż Grupa Szańca może się stać jedyną krajową reprezentacją polityczną. Podobno w tym czasie Grupa Szańca utworzyła w Częstochowie rząd RP²⁴.

Przeprowadzono również reorganizację oddziałów NSZ. Dnia 11 sierpnia 1944 roku komendant okręgu Kielce por./ppłk Olgierd Mirski wydał rozkaz organizacyjny Brygady Świętokrzyskiej. Dowódcą Brygady (początkowo pełniącym obowiązki) został kpt./płk Antoni Szacki, a wkrótce jego zastępcą mianowano ppor./ppłk. Władysława Marcinkowskiego. Do zakończenia powstania czekano na przybycie mjr./ppłk. Nakoniecznikoff-Klukowskiego i nikogo nie wyznaczano na stanowisko komendanta głównego NSZ (posługiwano się w tym czasie fikcyjną osobą gen. Powały). Skoro jednak po powstaniu przybył do Częstochowy ppłk. Nakoniecznikoff-Klukowski, sądzono go zaocznie za usiłowanie podporządkowania

24. Stwierdzenie to jest oparte na opinii niektórych świadków owych czasów. Nie udało się jednak dotychczas uzyskać niezaprzeczalnych dowodów istnienia rządu RP zorganizowanego przez Grupę Szańca w jesieni 1944 roku, pomimo że niektórzy świadkowie mówią o wydaniu przez takowy rząd serii dekretów.

NSZ komunistom i skazano na wyrok śmierci. Wykonanie wyroku powierzono Otmarowi Wawrzkowiczowi²⁵. Ppłk Nakoniecznikoff-Klukowski został zastrzelony 18 października 1944 roku w Częstochowie. Zapewne wyrok ten był oparty raczej na wyolbrzymionych pogłoskach, a nie na stwierdzonych faktach. Ppłk Nakoniecznikoff-Klukowski musiałby być nieobliczalnym człowiekiem gdyby sądził, iż podporządkowanie NSZ władzom komunistycznym było możliwe.

W dwa dni później (20 października) komendantem gł. NSZ został mianowany mjr/gen. Zygmunt Broniewski dotychczasowy komendant okręgu lubelskiego.

W tym samym czasie został zastrzelony działacz secesyjnej grupy Stronnictwa Narodowego Władysław Pacholczyk²⁶.

Stosunek do Niemców

Ze względu na ograniczoną ilość danych problem stosunku Grupy Szańca i NSZ do władz niemieckich zostanie przedstawiony jedynie w sposób schematyczny. W tej dziedzinie można rozróżnić cztery następujące fazy:

1. Kontakty wywiadowcze, które prawdopodobnie rozpoczęły się jeszcze za czasów Związku Jaszczurczego i trwały do końca wojny. Kontakty tego rodzaju mogły powstać pomiędzy każdą organizacją podziemną i władzami okupacyjnymi.

2. Kontakty taktyczne o charakterze lokalnym rozpoczęły się prawdopodobnie w 1943 roku. Podłożem tych kontaktów było zwalczanie oddziałów komunistycznych. Podobne wypadki miały miejsce na kresach północno-wschodnich, gdzie oddziały AK prowadziły akcję obronną przeciwko partyzantce sowieckiej.

Na tle tych kontaktów taktycznych płk dypl. Tadeusz Kurcjuś wydał 9 marca 1944 roku rozkaz Nr 6, który miał następującą treść:

„Stwierdziłem, że niemieckie władze bezpieczeństwa w GG, a szczególnie w dystrykcie radomskim i lubelskim, usiłują nawiązać kontakt z polskimi organizacjami powstańczymi celem zorganizowania wspólnej akcji antykomu-

25. Przed wojną Otmar Wawrzkowicz stopnia oficerskiego nie posiadał i prawdopodobnie do wojska nie był powołany, natomiast w Brygadzie Świętokrzyskiej miał on stopień kapitana, a w końcowym okresie chyba majora i był od września 1944 roku szefem Oddziału II Brygady.

26. Podczas dyskusji po moim odczycie zwrócono uwagę, iż Pacholczyk został zastrzelony przez NSZ skrycie, bez formalnego wyroku sądu wojennego NSZ.

nistycznej. Aczkolwiek usiłowania te nie doprowadziły i doprowadzić nie mogą do konkretnych wyników, zdarzyć się może, że poszczególni dowódcy niższych szczebli dadzą się nakłonić do podobnej 'współpracy'. Pod groźbą oddania pod sąd wojenny zabraniom żołnierzom NSZ nie tylko współpracy z Niemcami w akcji zwalczania komunistycznych band, lecz nawet godzenie się na pertraktacje będą uważał za zbrodnię przeciw Państwu".

3. Kontakty zaopatrzeniowe, które rozpoczęły się chyba w czerwcu lub lipcu 1944 roku w kieleckim. Pośrednikiem w tych kontaktach była tzw. „Organizacja Toma” kierowana przez por./kpt. Huberta Jurę (Jung) — pseudonim „Tom”²⁷. Podobne kontakty pomiędzy oddziałami AK i władzami niemieckimi miały miejsce na kresach północno-wschodnich, gdzie pośrednikiem była nieraz milicja białoruska. Tak w jednym, jak i w drugim wypadku podłożem tych kontaktów było zwalczanie lub obrona przed oddziałami komunistycznymi.

4. Kontakty polityczno-wojskowe na najwyższym szczeblu. Rozpoczęły się one chyba w sierpniu 1944 roku i były prowadzone ze strony Grupy Szańca i NSZ przez Otmarą Wawrzkowicza, a ze strony niemieckiej przez Hauptsturmführer'a Paul'a Fuchs'a, który stał na czele wydziału Sonderkommando IVA w dystrykcie radomskim. Podłożem do tych kontaktów był z jednej strony zamiar wycofania oddziałów NSZ na Zachód, a z drugiej grupowanie przez władze niemieckie w tym okresie potencjalnych sił antykomunistycznych. Jaki był przebieg tych rozmów, co obiecywała jedna strona, a co druga, kto udzielał instrukcji obu przedstawicielom — nie wiemy. Wiadomo jedynie, iż rozmowy te umożliwiły wycofanie Brygady Świętokrzyskiej przed nacierającą armią sowiecką, co bez zasadniczej zgody władz niemieckich wysokiego szczebla nie byłoby możliwe. Prawdopodobnie w tych pertraktacjach pośredniczył również kpt. Hubert Jura.

Podobnych wypadków w AK nie było z wyjątkiem wycofania się z Nowogródzczyzny do Puszczy Kampinoskiej oddziału por. Adolfa Pilcha przy pomocy policji niemieckiej z Rakowa i Iwieńca. W tym wypadku jednak sprawa została załatwiona z obu stron na o wiele niższym szczeblu.

Na tle kontaktów NSZ z władzami niemieckimi i pośrednic-

27. Ppłk Boguszewski przedstawia te wypadki w sposób następujący: „Latem 1944 roku powstaje 204 pułk NSZ (przeorganizowany w sierpniu w Brygadę Świętokrzyską). Konieczność posiadania środków transportowych nie tylko w lasach, lecz i do swobodnego poruszania się po okupowanych miastach i wsiach — staje się palącą. Bardzo na czasie kpt. Tom ofiarowuje swoje usługi i dostarcza szybko i pewnie *ausweis*'ów, przepustek, znaków rejestracyjnych, kuponów na benzynę i smary itp. Dostarcza również wiadomości o poruszeniach i zamiarach Niemców. W tym okresie pomoc bezinteresowna organizacji Toma była bezcenną”.

twą kpt. Jury doszło do zastrzelenia przez Niemców, w Krakowie w 1944 roku organizatora i szefa Oddz. II NSZ (a uprzednio Związku Jaszczurczego) ppor./mjr. Witolda Gostomskiego.

Zakończenie

Na skutek rozpoczęcia sowieckiej ofensywy, 13 stycznia 1945 roku zaczął się marsz Brygady Świętokrzyskiej (stan około 850 ludzi) na zachód przez Śląsk do Czechosłowacji. Stamtąd zostały wysłane do kraju dwa patrole spadochronowe. Oba wpadły w ręce Bezpieki. Przeszkolenie, sprzęt radiowy, spadochrony i samoloty użyte w celu przetrucenia tych patroli były niemieckie. Dnia 6 maja 1945 roku Brygada przeszła na stronę amerykańską.

W kraju po wojnie aktywność NSZ była stosunkowo niewielka na skutek odejścia Brygady Świętokrzyskiej i wyjazdu na Zachód głównych działaczy Grupy Szańca²⁸.

Po odejściu Brygady utworzono Komitet Pomocniczy NSZ, którego przewodniczącym do jesieni 1945 roku był prof. Bolesław Sobociński. Później stanowisko to zajął Stanisław Kasznica. Komendantem gł. NSZ do jesieni 1945 był mjr/gen. Broniewski, a po jego wyjeździe na Zachód Stanisław Kasznica.

Na początku 1945 roku odbudowano organizację terenową NSZ i w czerwcu wydano „Instrukcję Ogólną Pogotowia Akcji Specjalnej”, która przewidywała likwidację członków rządu tymczasowego, PKWN, Związku Patriotów i funkcjonariuszy bezpieczeństwa, jak również zdobywanie środków finansowych i technicznych. Ale już 5 lipca 1945 roku działalność NSZ została formalnie zawieszona rozkazem gen. Broniewskiego.

Jednocześnie w lipcu rozpoczęła się likwidacja przez UB komend okręgowych NSZ, a pod koniec 1945 roku centrala Grupy Szańca i NSZ została rozbita. (Uprzednio, w jesieni 1945 roku prof. Sobociński, inż. Todtleben, dr Gluziński i gen. Broniewski wyjechali na Zachód). Stanisław Kasznica uratował się i dołączył do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, które powstało w lis-

28. Jednym z większych wyczynów oddziałów NSZ w tym okresie było rozbicie więzienia w Radomiu w dniu 9 września 1945 roku, na skutek czego zostało uwolnionych 292 więźniów. Akcja ta została przeprowadzona pod kierownictwem Stefana Bebińskiego (pseudonim Harnaś). Brało w niej udział około 150 ludzi i 5 samochodów.

topadzie 1944 roku na skutek wycofania przez Stronnictwo Narodowe oddziałów Narodowej Organizacji Wojskowej z szeregów AK. Niektóre oddziały terenowe NSZ dołączyły do Nar. Zjedn. Woj., natomiast inne działały samorządnie na skutek zlikwidowania centrali NSZ.

W lutym 1947 roku Stanisław Kasznica i Lech Neyman zostali aresztowani, byli sądzeni i skazani na karę śmierci. Wyrok wykonano.



Tymczasem Brygada Świętokrzyska została przeniesiona do Niemiec zachodnich. W opinii tych, którzy ją odwiedzali, stanowiła ona zgrany i zdyscyplinowany oddział. Brygada utrzymywała kontakty z 2-gim Korpusem, łącznikiem 2-go Korpusu do Brygady został wyznaczony kpt./ppłk dypl. Stanisław Zochowski²⁹. Jednak podporządkowanie Brygady 2-mu Korpusowi nie doszło do skutku. Jednym z powodów było z pewnością to, iż przywódcy Grupy Szańca byli już zbyt przyzwyczajeni do działania samodzielnego. We wrześniu 1945 roku Brygada Świętokrzyska została przekształcona na kompanie wartownicze, nad którymi jednak NSZ straciły wpływ i głównym autorytetem kompanii wartowniczych w strefie amerykańskiej został płk Franciszek Sobolta, który w czasie wojny przebywał w niewoli niemieckiej.

Pomimo prób Narodowe Siły Zbrojne nigdy nie zostały zalegalizowane, tzn. uznane przez władze polskie w Londynie za część składową Polskich Sił Zbrojnych w czasie ostatniej wojny.



Ponieważ zbieranie materiałów nie zostało jeszcze zakończone, przedwczesne by było wyciąganie daleko idących wniosków na temat działalności Obozu Narodowo-Radykalnego w czasie ostatniej wojny. Można by jedynie zwrócić uwagę jak mało z tej działalności pozostało: nieliczne koło żołnierzy NSZ w Chicago, cztery „Zeszyty do historii NSZ”, kilka opracowań pamiątkarskich i to chyba wszystko. A z czterech czołowych działaczy z okresu wojennego jeden (Otmar Wawrzukowicz) popełnił w Kanadzie samobójstwo, a dwaj (Jerzy Olgierd Iłakowicz i Tadeusz Salski)

29. W tym czasie był on dowódcą 17 Lwowskiego Batalionu Strzelców, który stacjonował w Wenecji.

osiedlili się na kontynencie amerykańskim i odcięli całkowicie nawet od własnego środowiska.

Z. S. SIEMASZKO

Londyn, lipiec 1971 r.

PS. Tym wszystkim, którzy byli związani z wypadkami opisanymi powyżej i zechcieli udzielić mi informacji pragnę złożyć serdeczne podziękowania.

Za sprostowania nieścisłości, które mogły się wkręcić do tego krótkiego szkicu i uzupełniające informacje byłbym niezmiernie wdzięczny.

Nowość wydawnicza

Witold LEITGEBER

W KWATERZE PRASOWEJ

Dziennik z lat wojny 1939-45
Od Coëtquidan do "Rubensa"

Stron 368.

Oprawa płócienna z obwolutą.

Cena: £ 2.70; \$ 8,00; F. 40,00

Cena w przedpłacie do dnia 31 marca 1972
a dla Czytelników *Kultury* poza Europą do 1 czerwca 1972:

£ 2.00; £ 6,00; F. 30,00.

lub równowartość w innych walutach.

ZAMÓWIENIA NALEŻY KIEROWAĆ:

**Veritas Publications,
4 Praed Mews
London W2 — W. Brytania**

Lucjan DOBROSZYCKI

PRASA W POLSCE W OKRESIE KAMPANII WRZEŚNIOWEJ I NIEMIECKIEGO ZARZĄDU WOJSKOWEGO

(WRZESIEŃ-LISTOPAD 1939 ROKU)

1. Pierwsze kroki władz niemieckich

Prasa i radio jako środki szybkiej i masowej propagandy, odegrały znaczną rolę w niemieckich przygotowaniach do agresji na Polskę. Dla celów wojennych Niemcy hitlerowskie zdołały zmobilizować rozległy aparat propagandowy zarówno w pionie wojskowym, jak i ogólnopaństwowym. 1 kwietnia 1939 roku ostatecznie ukształtował się — po pracach wstępnych przeprowadzonych w latach 1937-1938 — Wydział Propagandy w Naczelnym Dowództwie Sił Zbrojnych (*Abteilung für Wehrmachtspropaganda im Oberkommando der Wehrmacht*). Przedtem jeszcze — na podstawie umowy między *Reichsministerium für Volksaufklärung und Propaganda* i OKW z 1938 roku — rozgraniczone zostały kompetencje w dziedzinie kierowania propagandą na wypadek wojny. Jeden z punktów tej umowy głosił: „*Der Propagandakrieg wird als wesentliches, dem Waffenkrieg gleichrangiges Kriegsmittel anerkannt. Der Waffenkrieg wird verantwortlich von der Wehrmacht, der Propagandakrieg vom RMVP geführt. Letzters führt ihn im Heimatgebiet völlig selbständig, im Operationsgebiet in Abstimmung mit OKW*”¹.

1. Cytuję według Erich Murawski, *Der deutsche Wehrmachtsbericht 1939-1945. Ein Beitrag zur Untersuchung der geistigen Kriegsführung*, Boppard am Rhein, str. 137.

Krótko przed wybuchem wojny zapadły również wstępne decyzje w sprawie struktury organizacyjnej obszarów, które Niemcy zamierzały podbić. W Polsce przewidywały one początkowo przekazanie pełni władzy (*volziehende Gewalt*) zarządowi wojskowemu i działającym z jego ramienia — przy poszczególnych dowódcach armii — szefom zarządu cywilnego. W praktyce jednak zarząd wojskowy stanowił „krótki przejściowy epizod przed ostatecznym podziałem ziem polskich na tzw. ziemie włączone do Rzeszy i Generalną Gubernię”².

Do zadań szefów zarządu cywilnego należało kierowanie całokształtem administracji cywilnej oraz życiem społeczno-politycznym na zajętych terenach. Z tego tytułu szefowie ci zajmowali się także likwidacją polskich instytucji prasowych i radiowych oraz organizacją własnej sieci informacyjnej. Czynności te, w myśl wspomnianej umowy RMVP-OKW, szefowie zarządu cywilnego realizowali w oparciu o wytyczne ministerstwa propagandy Rzeszy. Stopniowo jednak, w miarę posuwania się wojsk niemieckich w głąb kraju, sprawy radia i prasy przejmowane były przez aparat Goebbelsa. Na jego też zlecenie powstały przy szefach zarządu cywilnego samodzielne wydziały propagandowe w Poznaniu (*Reichspropagandaamt I*), Łodzi (*Reichspropagandaamt II*) i Krakowie (*Reichspropagandaamt III*) oraz placówki zamiejscowe (*Nebenstellen, Ausenstellen*) w Warszawie, Radomiu i Lublinie. Wszystkie te placówki obsadzone zostały przez funkcjonariuszy propagandy Rzeszy oraz Volksdeutsche, którzy od dawna pozostawali na służbie niemieckiej. Między innymi ujawnili się wtedy jako hitlerowcy: Heinz Strozyk — pełniący przed wojną służbę w krakowskim Batalionie Mostów Kolejowych w randze kaprała, późniejszy szef zakładów graficznych w Generalnej Guberni, Adolf Kargel — do 1933 roku wiceprzewodniczący Syndykatu Dziennikarzy w Łodzi, Eugeniusz Riedel — b. kierownik literacki „Domu Prasy” w Warszawie, a w czasie okupacji dyrektor administracyjno-personalny *Nowego Kuriera Warszawskiego*, Feliks Rufenach — przed wojną nauczyciel szkoły powszechnej w Łodzi, następnie organizator prasy gadzinowej w Radomiu, Częstochowie i Lwowie, dr Karol Grundmann — b. asystent przy katedrze germanistyki prof. Zygmunta Łempickiego na Uniwersytecie Warszawskim, później pracownik wydziału propagandy w dystrykcie warszawskim.

Kierownictwo prasy na ziemiach okupowanych (*Leitung der*

2. Karol Marian Pospieszalski, *Hitlerowskie „prawo” okupacyjne w Polsce*, cz. II: Generalna Gubernia (*Documenta Occupationis*), t. VI, Poznań 1958, str. 11.

Presse im besetzten Gebiet) objął Wilhelm Ohlenbusch, późniejszy szef wydziału propagandy w dystrykcie warszawskim, a od 1 lutego 1941 roku kierownik Głównego Wydziału Propagandy w rządzie Generalnej Guberni.

Specjalne jednostki propagandowe (*Propagandakompanien* — PK) utworzone zostały także przy dowództwach armii przewidzianych w planie natarcia. Były to PK 501 przy 3 armii, PK 689 przy 4, PK 670 przy 10, PK 621 przy 14 armii, ponadto dwie jednostki przy dowództwach wojsk lotniczych, tzw. Lw PK 1 i Lw PK 4. Jednostki te miały do pełnienia dwojakiego rodzaju zadania: obsługę informacyjno-propagandową własnych wojsk oraz rozbicie moralne przeciwnika przy pomocy środków masowego oddziaływania, a więc prasy, pism ulotnych i radia. W tym kierunku jednostki te były odpowiednio szkolone łącznie z nauką języka polskiego.

W końcu sierpnia 1939 roku we Wrocławiu, Morawskiej Ostrawie i Olsztynie, gdzie organizowały się dowództwa 8, 14, 3 i 4 armii, rozpoczęto druk gazet przeznaczonych dla jednostek mających wkroczyć do Polski. Były to pisma żołnierskie (*Soldatenzeitungen*) „Nachrichtenblatt für die Ostpreussische Armee”, „Die Schlesische Frontschau”, a następnie — już po przekroczeniu granicy Polski — „Soldatenzeitung der Schlesischen Armee”. Od połowy września 1939 roku gazety żołnierskie ukazywały się w Krakowie i Łodzi. Ministerstwo propagandy Rzeszy nie życzyło sobie, by PK wydawały pisma w języku polskim.

Soldatenzeitungen zapoczątkowały hitlerowską prasę w Polsce. Ze względów językowych miały one jednak bardzo ograniczony zasięg oddziaływania, pełniły raczej funkcję oficjalnych organów prasowych najeźdźcy i jako takie dostarczane były miejscowym władzom polskim, zwłaszcza powstałym *ad hoc* Komitetem Obywatelskim. Z chwilą zaś gdy zaczęły wychodzić gazety w języku polskim, pracownicy gazet żołnierskich objęli nad nimi patronat. *Soldatenzeitungen* były jednocześnie źródłem, z którego pisma w języku polskim nie tylko czerpały wiadomości, ale i przedrukowywały całe artykuły. W oparciu o kadry i zasoby techniczne gazet żołnierskich powstał następnie główny organ w języku niemieckim — *Krakauer und Warschauer Zeitung*.

Obok gazet żołnierskich propaganda hitlerowska dla celów dywersji wojennej szeroko wykorzystywała radio. Już w pierwszych dniach września 1939 roku radiostacje niemieckie, naruszając zasady prawa międzynarodowego, podstępnie wkradały się na fale rozgłośni polskich i nadawały dezinformujące wiadomości, mające na celu zdezorganizowanie obrony polskiej i sianie defe-

tyzmu wśród ludności cywilnej³. W szczególności dotyczyło to programu Krakowa i Warszawy. Dla osiągnięcia lepszego efektu Niemcy posługiwali się przy tym przechwyconym sygnałem hejnału z Wieży Mariackiej oraz motywem z pieśni legionowej „My, Pierwsza Brygada”, będącej hasłem zapowiadającym Warszawę I.

Po opanowaniu terenu przez wojska niemieckie zawczasu utworzone grupy techniczne przejmowały i uruchamiały polskie stacje nadawcze, a tam gdzie uległy one zniszczeniu w czasie działań wojennych lub zostały celowo uszkodzone, bądź też ewakuowane przez cofające się oddziały polskie, Niemcy „zakładali” fikcyjne. I tak np. po okupowaniu Katowic i Krakowa rozgłośnię niemieckie zaczęły zapowiadać w ich imieniu, co wywoływało wręcz odwrotne od zamierzonych skutki, gdyż powszechnie było wiadomo, że rozgłośnia katowicka została ewakuowana, a krakowska zniszczona. Zdawali sobie z tego sprawę także okupanci, czego wymownym dowodem było alarmujące pismo szefa placówki propagandowej w Krakowie, Dagoberta Durra, z 13 września 1939 roku do Ministerstwa Propagandy Rzeszy, w którym czytamy m.in. „Rozgłośnię w Gliwicach i Krakowie zapowiadają od kilku dni: 'wraz z rozgłośnią radiową Kraków'. Uważam tę zapowiedź za fałszywą, gdyż ludność Krakowa wie, że rozgłośnia nie jest czynna i może to w każdej chwili stwierdzić z pomocą własnych aparatów. Taka fałszywa zapowiedź powoduje wśród ludności mniemanie, że także inne niemieckie wiadomości są nieprawdziwe... Audycje z Krakowa muszą być nadawane w dobrym języku polskim i mieć na celu uspokojenie tutejszej ludności i kierowanie nią”⁴.

Dagobert Durr — wypadnie o nim jeszcze wspomnieć — był niewątpliwie jednym z najinteligentniejszych pracowników niemieckiej propagandy w Polsce. Poruszony jednak przez niego problem radia został w Berlinie zlekceważony. Centrala musiała już znać decyzję konfiskaty radioodbiorników u ludności polskiej, która zapadła w pierwszy dniach września. Początkowo traktowano ją jako sankcję doraźną, związaną z działaniami wojennymi. Zdarzały się nawet wypadki, że konfiskowane u Pola-

3. Uzyskane w kampanii wrześniowej doświadczenia były następnie wykorzystane przez Niemców i na innych teatrach wojennych, m.in. organizowane były specjalne audycje dla żołnierzy polskich walczących w formacjach angielskich i amerykańskich oraz dla Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

4. Wspomniana w tym piśmie rozgłośnia katowicka również była nieczynna, gdyż przed opuszczeniem miasta przez władze polskie została ona zdemontowana a jej urządzenia ewakuowane do Baranowicz. (Deutsches Zentralarchiv I, Potsdam, akta RMVP, Abteilung Rundfunk, t. 13).

ków radioodbiorniki były im w końcowych dniach kampanii wrześniowej zwracane, z tym jednak, że ustanowione zostały drakońskie represje (15 lat więzienia bądź kara śmierci) za słuchanie i rozpowszechnianie wiadomości pochodzących z radia zagranicznego⁵. Rychło zresztą sprawa radioaparatów została rozwiązana generalnie i to przez samego Hitlera. Dowiadujemy się o tym pośrednio ze specjalnego rozkazu *Armeekorpskommando 8* z 10 października 1939 roku. W dokumencie tym czytamy: „*Der Führer hat angeordnet: Im Bereich Ober-Ost, dh. im gesamten, von unsern Truppen besetzten Gebiet, ist der polnischen Bevölkerung, einschliesslich Juden, jeglichen Rundfunkempfangsgerät sofort abzunehmen. Nicht von dieser Massnahme betroffen werden Deutsche und Volksdeutsche. Der Führer fordert schnellsten Vollzug*”⁶.

Ustalony też został podział łupów: 75 % skonfiskowanych radioaparatów przyznano wojsku, 25 % przeznaczono dla niemieckiej administracji cywilnej⁷.

Wróćmy obecnie do sprawy prasy i zobaczmy, jak się one kształtowały w pierwszych tygodniach wojny i okupacji.

W Wielkopolsce, na Pomorzu i na Śląsku w dziedzinie polskiego słowa drukowanego okupant dokonał takiego spustoszenia, jakiego nie notowano od chwili pojawienia się prasy drukarskiej. Ziemię te bowiem od pierwszych dni okupacji — zanim jeszcze Hitler ogłosił akt ich aneksji — zostały potraktowane przez miejscowe władze wojskowe i cywilne jako trwała zdobycz i część składowa Wielkiej Rzeszy. Znamienny pod tym względem był komunikat podpisany przez komendanta okręgu Włocławek, kpt. Goedego, opublikowany w języku polskim i niemieckim w *Leslauer Bote* z 29 września 1939 roku. Po stwierdzeniu, iż Warszawa poddała się bez stawiania warunków, Goede pisał: „Los Polski jest wobec tego ostatecznie rozstrzygnięty. Zgodnie z wolą wodza ustalona z Rosją linia demarkacyjna stanowi od dziś granicę Rzeszy na Wschodzie — a zatem także okręg Włocławek — są i pozostaną zawsze i na przyszłość jako teren Rzeszy Niemieckiej”. W tym duchu utrzymywane były wszystkie znane nam rozporządzenia szefów zarządu cywilnego, a później gauleiterów Kraju Warty, Gdańska i Śląska.

5. *Archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich*, Warszawa, akta procesu Josepha Bühlera, Rozkaz H. Rüdigerera z 1. X. 1939 r.

6. *Centralne Archiwum Wojskowe*, Warszawa, II/17, k. 8; analogiczne zarządzenia dla ziem polskich wcielonych do Rzeszy zapadły nieco wcześniej.

7. *Wojewódzkie Archiwum Państwowe — Łódź*, akta szefa zarządu cywilnego 8 armii niemieckiej, 1015/9, k. 65, Rozkaz dzienny nr 15 z 23. X. 1939 roku.

Już 15 września 1939 roku szef zarządu cywilnego Górnego Śląska (*Grenzschutz — Abschnitts — Kdo 3*), O. Fitzner, ogłosił zarządzenie, wedle którego dalsze wydawanie dawniej ukazujących się gazet i czasopism oraz uruchomienie nowych tytułów nastąpić może jedynie po uzyskaniu specjalnego zezwolenia. Za nieprzestrzeganie tego nakazu przez wydawców, drukarzy, a nawet gońców przewidziano kary więzienia do lat 15. Zarządzenie Fitznera było tylko „prawnym” usankcjonowaniem faktycznie istniejącego już stanu rzeczy. Analogiczny charakter — jeśli idzie o działanie *ex post facto*⁸ — nosiło zarządzenie Greisera z 10 października 1939 roku o przejściu ruchomego i nieruchomego mienia poznańskich przedsiębiorstw wydawniczych, jak Drukarnia Polska (*Kurier Poznański*), drukarnia *Dziennika Poznańskiego*, Księgarnia S. Wojciecha. Rozporządzenie o konfiskacie tych zasłużonych dla kultury polskiej placówek wydawniczych wykorzystano zarazem dla celów pokazowo-propagandowych. Przy tej bowiem okazji zaznaczono, iż wydawnictwa te za udział w „podjudzaniu” przeciwko Niemcom zostają skonfiskowane i przekazane niemieckim drukarniom oraz staną się podstawą narodowo-socjalistycznego przedsiębiorstwa wydawniczego.

Z biegiem czasu na Pomorzu, w Wielkopolsce i na Śląsku okupant skonfiskował cały przemysł poligraficzny, będący własnością Polaków i Żydów. Konfiskacie bezpośredniej na rzecz państwa niemieckiego czy partii hitlerowskiej uległy przede wszystkim wielkie drukarnie akcyjne, mniejsze zaś warsztaty przekazywano Volksdeutschem i kolonistom niemieckim. W trakcie tej akcji wywłaszczeniowej znaczną część sprzętu i maszyn drukarskich świadomie dewastowano i przekazywano na złom, a co cenniejsze urządzenia wywożono do Rzeszy. Ogółem na ziemiach tych Niemcy przejęli ok. 300 zakładów drukarskich, co stanowiło prawie 50 % wszystkich przedsiębiorstw poligraficznych państwa polskiego.

W tych warunkach nie było już, rzecz jasna, miejsca dla prasy polskiej. Co więcej, wytyczne władz hitlerowskich w sprawie gazet i czasopism były jednomyślne w tym, by nie dopuścić nawet do wydawania prasy niemieckiej w języku polskim⁹.

8. Gdy po wkroczeniu wojsk niemieckich do Poznania do Greisera zgłosiła się grupa polskich wydawców celem uzyskania zgody na wydanie polskich czasopism, oświadczone im, że to w ogóle nie wchodzi w rachubę i wzięto ich jako zakładników (por. Stanisław Nawrocki, *Hitlerowska okupacja Wielkopolski w okresie zarządu wojskowego. Wrzesień-październik 1939 r.*, Poznań 1966, str. 228).

9. W programie narodowościowym Urzędu Polityki Rasowej przy NSDAP z 25. XI. 1939 roku czytamy: „Na ziemiach włączonych do Rzeszy polskich dzienników nie będzie, jak również nie będą wydawane książki polskie i cza-

Na obszarze przyszłej Generalnej Guberni oraz w Łodzi sprawy wydawnictw prasowych potraktowane zostały nieco odmiennie, choć i tu w wielu miejscowościach słowo polskie było zakazane. W sumie na powierzchni ponad 100 tys. km² zamieszkałej przez ok. 15 mln ludzi, okupant udzielił zezwolenia na druk lub sam uruchomił kilka zaledwie gazet. Ukazywały się one w Krakowie, Częstochowie, Radomiu, Chełmie, Kielcach, Radomsku, Lublinie, Łodzi¹⁰ i Warszawie. Geneza oraz warunki i klimat, w jakich gazety te zostały założone, były różne, dlatego też traktować je będziemy odrębnie, wedle miejsca wychodzenia.

2. Charakterystyka treści prasy

Co reprezentowały pod względem treści pisma wydawane w pierwszym okresie okupacji, w jakim kierunku i do jakich celów zmierzały? Czy była to prasa polska, czy też niemiecka? Odpowiedź na te pytania powinna być zróżnicowana, gdyż gazety ówczesne, mimo że ukazywały się pod okupacją i pod cenzurą niemiecką, nie były w swojej treści jednolite. Niektóre z nich założone zostały pośrednio lub bezpośrednio przez władze niemieckie (np. *Goniec Częstochowski*, *Gazeta Łódzka*, *Wiadomości Chełmskie*), inne znów powstały z inicjatywy wydawców i dziennikarzy polskich (np. *Dziennik Krakowski* i *Gazeta Wspólna*). W dużym też stopniu charakter poszczególnych gazet uzależniony był od miejsca wydania. I wreszcie, co jest szczególnie istotne, w ciągu bardzo krótkiego czasu ulegały one tak znacznym przeobrażeniom, że całkowicie traciły swoje pierwotne oblicze. Wyjątek pod tym względem stanowiła jedynie *Gazeta*

sopisma. Z tych samych powodów nie wolno mieć Polakom radioaparatów i gramofonów⁷.

W praktyce słowo polskie tolerowano jedynie w lokalnych dziennikach urzędowych i to głównie na terenie Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego. Teksty rozporządzeń w języku polskim, obok oficjalnego niemieckiego, ogłaszały m.in. „Verordnungsblatt der Oberburgemeister der Stadt Sosnowitz”, „Amtsblatt der Stadt Dombrowa Gornicza”, „Amtsblatt der Stadt Bendzin”. Ale rychło i one zarzuciły wersję polską. Na Pomorzu i Poznaniu było regułą, że rozporządzenia drukowano wyłącznie w języku niemieckim, choć i tu zdarzały się pewne odstępstwa od z góry przyjętych zasad. I tak na przykład rozporządzenia wojskowych i cywilnych władz hitlerowskich okręgu Włocławek ogłaszane były w miejscowym dzienniku „ABC dla Włocławka i Kujaw” (wychodziło przez czas krótki). Był to bodajże jedyny wypadek ponownego uruchomienia ukazującego się dawniej tytułu polskiego. Dodajmy jednak, że przed wojną była to mutacja warszawskiego ABC Obozu Narodo-Radykalnego!

10. Obecność Łodzi w tym wykazie nie powinna dziwić, gdyż decyzje w sprawie włączenia tego miasta do Rzeszy zapadły znacznie później.

Wspólna, która została — nie przypadkowo zresztą — najwcześniej przez okupanta zlikwidowana.

Gazeta Wspólna, będąca niejako kontynuacją walczącej prasy warszawskiej z września 1939 roku, była pismem bezspornie polskim. We wszystkich jej numerach — było ich po kapitulacji Warszawy jedenaście — nie stwierdzamy ani jednej informacji lub artykułu, który by tezę tę podważył. Było to pismo informujące przede wszystkim o stanie miasta, o bolączkach jego mieszkańców, o wysiłkach podejmowanych przez Zarząd Miejski i prezydenta Starzyńskiego w celu złagodzenia skutków wojny i oblężenia. Zamieszczała ona także nakazy i rozporządzenia władz niemieckich, a od czasu do czasu wiadomości ze świata, bardzo zresztą skąpe i bez własnego komentarza. W informacjach lokalnych *Gazeta Wspólna* zwracała uwagę na ogrom zniszczeń wojennych, dyskretnie podkreślając, iż celem nalotów nieprzyjacielskich bynajmniej nie były obiekty wojskowe, lecz zabytki sztuki i instytucji użyteczności publicznej (pałac Stanisława Augusta w Łazienkach, Belweder, Obserwatorium Astronomiczne, Ogród Botaniczny), oraz budynki mieszkalne, które — jak to podkreślono (choć przesadnie) w 75 % zostały bądź zniszczone, bądź też uszkodzone. W doniesieniach z zewnątrz *Gazeta Wspólna* dobierała informacje mogące świadczyć o tym, że wojna, mimo upadku Polski, trwa nadal.

Sposób redagowania, dobór materiałów i styl *Gazety Wspólnej* były niewątpliwie z góry zamierzone i świadczyły o wysokim poczuciu odpowiedzialności piszących. Każda publikacja była tam dobrze wyważona, ostrożna, podana w tonie spokojnym i rzeczowym, bez sensacji i krzyczących nagłówków.

Zgoła inną postawę zajął *Dziennik Krakowski*, później — po zmianie — ściślej po przywróceniu dawnej nazwy — *Ilustrowany Kurier Codzienny*.

Wedle zapowiedzi redakcji *Dziennik Krakowski* miał być jedynie pismem lokalno-informacyjnym, ściśle współpracującym z Obywatelskim Komitetem Pomocy, przynoszącym rozporządzenia Zarządu Miejskiego oraz — z konieczności — urzędowe komunikaty niemieckie. Ale już pierwsze numery dziennika wskazywały na to, że jego wydawcy dążą do czegoś więcej, że oprócz informacji pragną także przekazywać opinie i poglądy. Głównym motywem pisma stały się następnie obrachunki z przeszłością, krytyka rządu polskiego oraz próba znalezienia *modus vivendi* z władzami niemieckimi w nadziei, że tą drogą uda się uzyskać dla miasta i kraju bardziej dogodny status okupacyjny. Względnie liberalne zachowanie się wojskowej i cywilnej administracji niemieckiej w pierwszych dniach wojny i okupacji, jak też ogół-

na atmosfera panująca wówczas w Krakowie stwarzały dla tego rodzaju rozumowania bardzo podatny grunt¹¹. Kalkulacje te miały zresztą swój odpowiednik po stronie niemieckiej i tu przede wszystkim szukać należy źródeł postawy *Dziennika Krakowskiego*.

Ostatnio wśród historyków toczyła się interesująca dyskusja na temat celów wojennych Niemiec hitlerowskich wobec Polski w pierwszej fazie wojny (wrzesień-listopad 1939). Wysunięta przez prof. Czesława Madajczyka teza o niemieckich zamiarach utworzenia z części Polski tzw. państwa szczątkowego (*Resst-staat*) została zakwestionowana przez płk. Herzoga¹². Obaj badacze na potwierdzenie swoich przeciwstawnych tez przytaczali obszerny materiał dowodowy. Zagadnienie to jednak nie mieści się w ramach niniejszego szkicu. Bezsporny natomiast pozostaje fakt, że w pierwszych tygodniach wojny losy Polski nie były jeszcze ostatecznie rozstrzygnięte. Wiele dokumentów z września i października 1939 roku, przez nikogo nie kwestionowanych, wskazuje na to, iż na temat „państwa szczątkowego” prowadzo-

11. Dla ilustracji dodaję dwa teksty: obwieszczenie ówczesnego komisarza miasta Zörnera (późniejszego gubernatora dystryktu lubelskiego) z 25. X. 1939 roku oraz fragment z opracowania Haliny Krahelskiej pt. *Postawa społeczeństwa polskiego pod okupacją niemiecką* (pisanego w czasie wojny): Zörner: „Celem nawiązania możliwie ścisłego kontaktu z mieszkańcami miasta i celem zapewnienia ludności Krakowa udziału w spełnieniu zadań Zarządu Miasta w obecnym czasie, szczególnie trudnym, powołałem pewną ilość obywateli różnych kół zawodowych na członków Rady Przybocznej, która będzie zbierać się regularnie pod moim przewodnictwem i ma wspierać mnie doradczo w odpowiednim kierownictwie spraw miasta. Członkowie Rady Przybocznej pełnią swój urząd honorowo i niezależnie od jakiegokolwiek zawisłości politycznej — praca ich ma mieć na względzie wyłącznie dobro ogółu”. Na członków Rady Przybocznej Zörner powołał m.in. prof. Tadeusza Lehr-Splawińskiego, rektora Uniw. Jagiel., prof. Stanisława Kutrzebę, prezesa PAU, ks. dr. Zygmunta Kuligę, kanonika Kapituły Katedralnej, Henryka Maista, wicedyrektora Izby Przemysłowo-Handlowej, inż. Izzydora Sawickiego-Stellę, prof. Akademii Górniczej, Ludwika Lelito, przemysłowca. (por. też informacje o posiedzeniach Rady, ogłoszone w *Gonicu Krakowskim* z października i listopada 1939).

Krahelska: „W Krakowie można było od początku okupacji spotkać się z postawą bardzo ugodową... Trzeba stwierdzić, że postępowanie Niemców w Krakowie w pierwszym roku okupacji było tego rodzaju, że mogło nawet sprzyjać podobnym złudzeniom. (Maszynopis pracy w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk).

12. Czesław Madajczyk, „Generalna Gubernia w planach hitlerowskich”, Warszawa 1961, str. 9-34, rozdział pt. „Przywódcy hitlerowscy wobec sprawy polskiej w pierwszym roku wojny; Leon Herzog, „Czy Hitler chciał utworzyć buforowe państwo polskie, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, 1962, nr 4, str. 295-316; C. Madajczyk, „Cele wojenne Rzeszy po upadku Polski”, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, 1964, nr 4, str. 196-205.

ne były sondáže i rozmowy zarówno kanałami dyplomatycznymi, jak też z niektórymi przedstawicielami społeczeństwa polskiego.

Odgłosy tych rozmów przenikały na zewnątrz i nie były obce redakcji *Dziennika Krakowskiego*, zwłaszcza jeśli się uwzględni, że niemiecki kierownik krakowskiego wydziału propagandy, Dagobert Durr, odpowiedzialny za prasę, deklarował się jako rzecznik unormowania stosunków polsko-niemieckich i wystąpił jako pośrednik w rozmowach z Władysławem Studnickim, namawiając go do natychmiastowego wyjazdu do Berlina celem omówienia wszystkich spraw z Goebbelsem. On też oddał do dyspozycji Studnickiego swój samochód z szoferem dla odszukania i nawiązania kontaktów z Wincentym Witosem, którego najchętniej widziano by na czele polskiego rządu kolaboracyjnego, gdyby taki rząd miał powstać¹³.

Dziennik Krakowski sprawę tę potraktował całkiem poważnie i starał się wyjść jej naprzeciw. W numerze 3 z 11 września wystąpił z obszerną publikacją pt. „Międzynarodowe prawo wojny”. Był to — jak na warunki okupacji niemieckiej — artykuł rewelacyjny i trudno przypuszczać, by mógł się ukazać bez wiedzy krakowskiego wydziału propagandy. W każdym bądź razie cenzura hitlerowska nie miała do niego zastrzeżeń.

W artykule tym dość szczegółowo omówione zostały układy międzynarodowe oraz ustalone wiekową tradycją zwyczajnie prowadzenia wojny, wedle których — jak to zaznaczył *Dziennik Krakowski* — zajęcie kraju obcego przez wojska okupacyjne nie oznacza upadku niepodległości państwa. Przypominając następnie punkt po punkcie konwencje haskie w sprawach wojny i okupacji, autor artykułu zapytuje: Cóż te zasady teoretyczne mają za znaczenie dla Krakowa i Polski? I odpowiada: „O losach Polski — a więc i Krakowa — zadecyduje ostatecznie pokój. Obecnie mamy stan przejściowy, okupację, w czasie której — jak stwierdza to ogłoszenie Komendy Wojsk Niemieckich — zachowane będzie międzynarodowe prawo wojenne, takie, jak przytaczaliśmy powyżej... Wolno nam stwierdzić, iż w ogłoszeniu Komendy Niemieckiej widzimy chęć oddania samemu polskiemu społeczeństwu prawa i obowiązków zajmowania się wszystkimi swoimi sprawami... Byłoby źle, gdyby polskie społeczeństwo, zrezygnowane i rozbite, dojsć chciało do ogłoszenia zasady: przyszli do nas Niemcy, niech więc oni myślą o nas i za nas... Podział kompetencji na terenie Polski zajętej przez wojska niemieckie został zasadniczo rozstrzygnięty. Obowiązują tutaj w całej roz-

13. W. Studnicki, *Z tragicznych dni*, W Krakowie i Łodzi. *Wiadomości* nr 22/61 z 1947 roku.

ciągłości stare, znane i uznane zwyczaje i prawa międzynarodowe. Armia niemiecka zastrzega sobie te dziedziny, które są bezpośrednio związane z wojną, z bezpieczeństwem jej wojsk i transportem oraz z aprowizacją armii. Cała reszta, związana z normalnym, codziennym życiem obywateli i kraju, należy do dotychczasowych, miejscowych, polskich władz"¹⁴.

Pismo krakowskie, postulujące konieczność zawarcia pokoju, wypowiadało się — z początku ostrożnie, później śmielej i bardziej stanowczo — przeciwko kontynuowaniu wojny polsko-niemieckiej, wywołanej przez „błędną politykę rządu polskiego”. Tym samym *Dziennik Krakowski* odciął się zdecydowanie od stanowiska, którego do ostatnich dni przed wybuchem wojny jego pracownicy tak gorliwie bronili na łamach prorządowego IKC. Było to niejako poszukiwaniem dróg wiodących do ugody z władzami okupacyjnymi. Już w pierwszym numerze w artykule zatytułowanym „Praca i spokój” gazeta podjęła problem zbędnej ewakuacji miasta w pierwszych dniach września. Autor artykułu, a był nim redaktor naczelny pisma Ludwik Szczepański, pisał: „Nie pora dziś na obrachunki, ale w imię prawdy i na usprawiedliwienie biednej ludności stwierdzić należy, że znaczną część winy tych wypadków ponoszą władze, które opuściły miasto, pozostawiając ludność bez żadnych informacji i dyrektyw, zdając je na pastwę panikarskiej plotki”¹⁵.

W dwa dni później, również w imię prawdy i ze stanowiska biednego, szarego człowieka *Dziennik Krakowski* posunął się krok dalej. Uwagi krytyczne — utrzymane w stylu dawnego „Ikaca”, nie bez pikanterii — padły teraz pod adresem OPL, zarządu miejskiego i prezydenta miasta Czuchajowskiego, władz wojewódzkich, ponoszących odpowiedzialność za złe zabezpieczenie Krakowa przeciw nalotom, spóźnioną i nieudolną mobilizację, chaos ewakuacyjny i wywózkę „całego cenniejszego majątku ruchomego miasta”¹⁶. Po tygodniu zaś, już po zmianie nazwy, dziennik z całą siłą i ostrością począł atakować rząd polski, jego politykę wewnętrzną i zagraniczną, czyniąc go odpowiedzialnym za wywołanie wojny i nieszczęścia, jakie spadły na kraj. Od razu też znaleziono głównych winowajców — Anglików, Żydów i maso-

14. *Dziennik Krakowski* nr 3 z 11. IX. 1939 roku.

15. *Ibidem*, nr 1 z 8. IX. 1939 roku; o tym, że ogłoszenie tego artykułu nie było dziełem przypadku świadczy m.in. fakt, że w kilka dni później, 15. IX. 1939, a więc już po zmianie tytułu pisma, gazeta krakowska ponownie nawiązała do tej sprawy, streszczając fragmenty książki prof. Zygmunta Cybichowskiego pt. „System prawa międzynarodowego”, a w szczególności ustęp pt. „Władza nieprzyjacielska w kraju zajętym”.

16. L. Szczepański, *Zapiski dla użytku przyszłego kronikarza*, cz. I i II, *Dziennik Krakowski* nr 4 z 11/12. IX. 1939 roku.

nów. Odtąd *Ilustrowany Kurier Codzienny* już nie przebierał w środkach — każdy stał się godziwy.

Dla ilustracji podaję tylko fragmenty doniesień agencyjnych i artykułów za okres od 15 do 19 września 1939 roku, wskazujących, jak z każdym dniem zmieniał się charakter i ton *Ilustrowanego Kuriera Codziennego*, aż wreszcie stał się on pismem bardziej przypominającym późniejsze „gadzinówki” niż gazetę wydawaną przez dziennikarzy polskich.

IKC, 15 września 1939 roku, nr 247:

Komunikat — „Rząd polski na granicy rumuńskiej. Żona i córka ministra spraw zagranicznych już w Czerniowcach”.

Artykuł pt. „Położenie polityczne” — „Hitler zaproponował Polsce w kwietniu br. powrót Wolnego Gdańska do Rzeszy i eksterytorialną autostradę przez Pomorze. Za to gwarancja 25-letniego pokoju. Rząd nasz odrzucił tę propozycję, przeceniając siłę naszą i pomoc naszych przyjaciół, tak samo jak nie docenił mocy i stanowczości Rzeszy niemieckiej..., kontynuowanie polityki złudzeń i okłamywanie samego siebie może tylko pogorszyć naszą sytuację. Uważamy więc za obowiązek rządu o świadomej odpowiedzialności, trzeźwo i jasno zdać sobie sprawę z tego, co jest i według tego powziąć swe decyzje, które by z wolności i szczęścia narodu naszego uratowały, co się jeszcze uratować daje. O ile wierzy w możliwość osiągnięcia tego celu drogą wojny, niechże dalej tą drogą postępuje. Żadna ofiara nie jest za duża dla wolności narodu! O ile jednakowoż celu tego przez kontynuowanie wojny osiągnąć nie można, niechaj rząd odważnie wyciągnie z tego konsekwencje”.

IKC, 16 września 1939 roku, nr 248:

Komunikat — „Rząd polski już nie istnieje. Także prezydent Mościcki w Czerniowcach. Opuszczono i porzucono nas!”

Artykuł pt. „Ucieczka albo ratunek” — „Dla takich ludzi może być rzeczą łatwą spakować swe klejnoty i perły i porzucić ojczyznę, aby żyć w innym kraju w beztróskim dostatku... Jest to postępowanie godne takich ludzi, których ojczyzna zawsze tam bywa, gdzie najlepsze robią interesy, a gdzie najłatwiej oszukiwać mogą nas, gojów. I ci jegomoście w kaftanach pouciekali masowo — a jeżeli okupacja niemiecka ma swą dobrą stronę dla Polski, to chyba tą, że zatamuje przynajmniej chwiliwo ową plagę i może kiedyś — na razie nie śmiemy jeszcze żywić co do tego pewnej nadziei — oswobodzi nas od niej”.

IKC, 18 września 1939 roku, nr 249:

Komunikat — „Anglia zarabia na zgubie Polski. Wielka Brytania przewozi skarb państwa polskiego do Londynu. Żydzi

i wielcy panowie polscy przenoszą siebie i swoje pieniądze w bezpieczne miejsce”.

Artykuł pt. „Żydzi w Polsce”.

IKC, 19 września 1939 roku, nr 250:

Komunikat — „Niszczyciele Polski (Mościcki i Śmigły-Rydz) na przyjemnych wczasach”.

Artykuł pt. „Co to będzie?” — „Wojna niemiecko-polska praktycznie już jest skończona... Zdradzili nas więc tak nasi ministrowie, jako też te mocarstwa, które ich i co za tym idzie, i nas wpędziły w wir wojny. Nikt od nas wymagać nie może, żebyśmy z naszej strony poczuli się jeszcze do jakiegoś obowiązku wobec nich. Co jednak mamy czynić? Walczyć dalej wobec stanu rzeczy niepodobna. Utrzymywać ciągły stan walki i wojny wewnętrznej? W ten sposób na pewno nie przysłużymy się narodowi polskiemu... Ale mówimy o pokoju i nie ma po naszej stronie nikogo, kto by podjął się zawarcia pokoju. Rząd zbiegł. Nowego rządu nie ma na razie. To właśnie było powodem wkroczenia wojsk sowieckich do naszego kraju. Niemcy i Rosja Sowiecka oświadczyły swą gotowość pomocy w uregulowaniu nowych stosunków politycznych narodu polskiego. Niechaj ci mężowie naszego narodu, którzy uważają się za powołanych wziąć w swe ręce losy narodu, czują się wewnętrznie więcej przywiązani do twórczych warstw narodu od tych, którzy nas teraz tchórzliwie opuścili...”.

Pismo krakowskie ataki swe na rząd polski i jego politykę podjęło więc w momencie, gdy losy wojny, przynajmniej w świadomości społeczeństwa, nie były jeszcze przesądzone. Kampania wrześniowa, mimo przegranej bitwy granicznej i utraty znacznej części kraju, była w toku — dwie armie stały nad Bzurą, broniła się Warszawa, liczone wciąż na odsiecz Zachodu. Załamanie się frontu, ewakuacja władz miejscowych, opuszczenie kraju przez Naczelnego Dowódcę i rząd wywołały wielki wstrząs i rozczarowanie, które następnie stały się przedmiotem ostrej i gwałtownej krytyki zarówno w polskiej prasie konspiracyjnej, jak i na emigracji. Podejmowano ją jednak w zupełnie innych warunkach (swobody słowa głoszonego) i z zupełnie odmiennego stanowiska (dla mobilizacji do walki celem odzyskania utraconej niezawisłości). *Dziennik Krakowski* zaś i *Ilustrowany Kurier Codzienny* dla obrachunków z przeszłością obrały czas i miejsce najmniej ku temu odpowiednie.

Struktura treści pozostałych dzienników była znacznie prostsza. Były to bowiem — jak już zaznaczono — pisma pozostające pod bezpośrednim wpływem i nadzorem Niemców. Ale i one,

ze względu na specyfikę terenu i władz lokalnych, nie były identyczne. *Kurier Radomski* i *Wiadomości Chełmskie*, wyjątkowo ubogie pod względem treści, formy i języka, były w istocie rzeczy pismami typu *Verordnungsblattów*, z dodatkiem tanich artykułków propagandowych i skąpych informacji ze świata. Nieco wyższy poziom reprezentowały gazety wydane w Częstochowie i Łodzi. One też — przynajmniej w pierwszych dniach — starały się o zachowanie pewnych pozorów niezależności.

W pierwszym numerze redakcja *Gońca Częstochowskiego* wydawnictwo swoje nazwała „zwiadunem spokoju i bezpieczeństwa”, podkreślając jednocześnie, iż odtąd u stóp Jasnej Góry rozpoczyna się nowy okres, który w przyszłości wytworzy pomost łączący oba narody, a „intrygantom warszawskim i krakowskim nie uda się już stosowaniem złośliwej propagandy współzycie narodów uniemożliwić”. W numerze zaś drugim redakcja — po stwierdzeniu, iż *Goniec* został przez mieszkańców serdecznie przyjęty — zapewniała czytelników, że dołoży starań, by pismo stało się „wiernym odbiciem życia miasta we wszystkich jego przejawach” i „wyczerpującym źródłem obiektywnych i ścisłych informacji”.

W praktyce jednak były to słowa bez żadnego pokrycia, co więcej, *Goniec Częstochowski* faktycznie nigdy nie był pismem lokalnym. Informacje o mieście stanowiły w nim wąski margines, podczas gdy cały numer zapełniały krzykliwe artykuły na tematy wielkiej polityki¹⁷ i dziejowej misji Niemiec hitlerowskich¹⁸. Po pierwszych dwóch-trzech numerach zniknęły ze szpałt zapewnienia o współzyciu polsko-niemieckim, a zaczęły pojawiać się nakazy i groźby. Począwszy od numeru piątego *Goniec* wprowadził specjalny tygodniowy dodatek dla katolików pt. *Niedziela*¹⁹, który miał sprawić wrażenie redagowanego przez księży. Motywy z Pisma św. i katechizmu służyć i tu miały propagandzie hitlerowskiej²⁰.

17. Były to przeważnie przedruki z *Soldatenzeitung*.

18. Por. artykuł pt. „Niemcy — pionierzy kultury i cywilizacji”, w numerze z 5. X. 1939 roku.

19. Dodatek taki ukazywał się także w dawnym *Gońcu Częstochowskim*.

20. „Niedzielny dodatek dla katolików” był drukowany bez jakiegokolwiek porozumienia z władzami kościelnymi i wbrew ich intencjom. Władze kościelne, a mianowicie ordynariusz częstochowski zajął wyraźnie negatywne stanowisko wobec niejednokrotnych propozycji i nalegań ze strony niemieckiej redakcji *Kuriera Częstochowskiego* (późniejsza nazwa *Gońca*), by duchowni wzięli udział w redagowaniu tego pisma (z listu Kurii Diecezjalnej z 8. XI. 1948 roku do Prokuratury Sądu Okręgowego w Częstochowie, Archiwum Sądu Wojewódzkiego — Kielce, akta w sprawie karnej przeciwko współpracownikom *Gońca Częstochowskiego*).

Gazeta Łódzka, jeśli idzie o treść, zajmuje — w porównaniu z dziennikami krakowskimi i częstochowskim — miejsce pośrednie. O narodzie polskim pisano tu, przynajmniej w pierwszych numerach, z dużej litery, podnoszono także, iż przyjście Niemców w niczym nie narusza prawa do życia i pracy. Jednocześnie już od pierwszego numeru *Gazeta Łódzka* zajęła krytyczne stanowisko w stosunku do władz polskich, umiejętnie wykorzystując wszystkie słabe strony przedwojennej propagandy polskiej. I tak np. w artykule: „Iluzje a rzeczywistość”, gazeta pisała: „Na podstawie rozsiewanych wiadomości spodziewaliśmy się zobaczyć ich, Niemców, obdartych, brudnych, wygłodniałych, zmuszonych groźbą i bitem do walki. Zobaczyliśmy zaś wojsko nadzwyczaj wyposażone, młode, dziarskie, patrzące w przyszłość i ślepo oddane Führerowi. Zadziwia nas też olbrzymia ilość broni technicznej... Nic więc dziwnego, że Niemcy odnosiły same sukcesy, pomimo że natrafiały na zacięty opór żołnierza polskiego”²¹. Dla celów konfrontacji gazeta posługiwała się także przedrukami ze starych dzienników polskich, ogłaszając m.in. artykuł gen. Władysława Sikorskiego publikowany w *Kurierze Warszawskim* z 1 czerwca 1939 roku, mówiący o słabości Trzeciej Rzeszy. Artykuł ten *Gazeta Łódzka* zaopatrzyła w następujący tytuł: Co wypisywano przed konfliktem „Jak wygląda gotowość niemiecka”. W jaki sposób wprowadzono w błąd społeczeństwo polskie. Przypomnienie na czasie²².

Po krótkim jednak czasie *Gazeta Łódzka* upodobniła się do *Gońca Częstochowskiego* i *Ilustrowanego Kuriera Codziennego*. Argumenty zastąpiono epitetami, a miejsce informacji zajęły dezinformacje. Wszystkie bowiem trzy gazety wydawane w ostatnich dniach września i w październiku 1939 roku nosiły wszelkie znamiona wydawnictw późniejszych, firmowanych przez wydział propagandy okupanta.

Tragiczny był los dziennikarzy polskich, którzy łudzili się, że mimo okupacji uda im się wyrzec jakiś wpływ na charakter wydawanych wówczas gazet. Od pierwszej bowiem chwili cenzura niemiecka i nacisk hitlerowskich wydziałów propagandy wiązały im ręce, a gdy spostrzegli, jak daleko odeszli od pierwotnych zamiarów, było już za późno — redagowane przy ich współudziale gazety przestały być polskimi. Jest jednak rzeczą charakterystyczną, iż żaden z tych dziennikarzy nie wznowił pracy w „gadzinówkach” wydawanych następnie przez niemiecki

21. *Gazeta Łódzka* nr 2 z 23. IX. 1939 roku.

22. *Ibidem*, nr 16 z 10. X. 1939 roku, por. też *Kurier Warszawski* z 1. IV. 1939, nr 149.

wydział propagandy, natomiast wielu zginęło w hitlerowskich obozach koncentracyjnych i więzieniach, a wśród nich Michał Walter (przed wojną kierownik działu kulturalnego *Kuriera Łódzkiego*), redaktor *Gazety Łódzkiej* i Stanisław Mróz z *Dziennika Krakowskiego*. Krótco po wyzwoleniu zmarł i Włodzimierz Długoszewski (przed wojną redaktor tygodnika krakowskiego *Raz-Dwa-Trzy*), również więzień obozu koncentracyjnego. W 1944 roku w Krakowie zmarł Józef Flach (b. prezes Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich), uczestnik ruchu oporu.

Lucjan DOBROSZYCKI

DOBROSZYCKI Lucjan, ur. w 1925 r. w Łodzi. Lata 1940-1945: Getto-Łódź, następnie obozy koncentracyjne — Oświęcim, Buchenwald, Lutomerzyce. Po wojnie: matura w 1948 r. (Łódź); magisterium w 1954 r. (po studiach historycznych na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego, a następnie Leningradzkiego); 1954-1956 — Asystent na Wydziale Historycznym UW; 1954-1969 — Asystent, a następnie adiunkt w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk, kierowanym przez prof. Tadeusza Manteuffla. Uczeń i bliski współpracownik prof. Stanisława Płoskiego.

Autor i współwydawca książek, m.in. „Centralny Katalog Polskiej Prasy Konspiracyjnej” (W-wa 1962); „Cywilna Obrona Warszawy we wrześniu 1939” (W-wa 1964); „Kronika Getta Łódzkiego”, t. I-II, (Łódź 1965-1966); „Okupacja i Ruch Oporu w Dzienniku Hansa Franka” (W-wa 1970).

Od lipca 1970 (po opuszczeniu Polski) w USA.

Pracownik YIVO — Institut for Jewish Research — New York.

Stanisław KIRKOR

SPRAWY FINANSOWE POLSKI W PRZEDEDNIU OSTATNIEJ WOJNY¹

*Gospodarka przedwojenna i wpływ wojska na decyzje
gospodarcze*

Wiosną i latem 1939 roku w dziedzinie polityki gospodarczej Rządu Polskiego nie było zdecydowanych posunięć, jakich wymagała zbliżająca się szybkimi krokami wojna. Wicepremier i Minister Skarbu Eugeniusz Kwiatkowski w lipcu i sierpniu w rozmowach ze mną stale podkreślał, że może prowadzić tylko albo gospodarkę pokojową albo gospodarkę wojenną, a nic pośredniego. Mówił dalej, że gospodarkę wojenną będzie mógł prowadzić dopiero wtedy, gdy czynniki wojskowe mu powiedzą, że wojna nastąpi, a tego dotąd nie usłyszał. Dopiero w ostatnich dniach sierpnia minister Kwiatkowski mówił mi, że jego zdaniem wojny się już nie uniknie, aczkolwiek podobno czynniki wojskowe wciąż jeszcze liczyły na to, że do wojny nie dojdzie. Na ogólnej sytuacji w kraju mściło się to, że faktycznie decydujący czynnik w państwie, Marszałek Rydz-Śmigły, łączył w sobie decyzje nie tylko w sprawach politycznych i wojskowych ale także gospodarczych i że wskutek tego stosunkowo powolne tempo mobilizacji

1. Z dniem 20 lipca 1939 roku objąłem stanowisko dyrektora Departamentu Obrotu Pieniężnego w Ministerstwie Skarbu. W czerwcu 1941 roku przedłożyłem Komisji powołanej w związku z wynikiem kampanii wojennej 1939 roku raport o działalności tego Departamentu bezpośrednio przed wybuchem wojny. Raport ten, pisany za świeżej jeszcze pamięci, sprawdzony i uzupełniony, stał się główną podstawą niniejszego artykułu. Wśród powojennych publikacji z tej dziedziny najważniejsze są prace Zygmunta Karpińskiego: „Bank Polski. 1924-1939”, Warszawa 1959, i „Losy złota polskiego podczas drugiej wojny światowej”, Warszawa 1958.

było dyktowane nie tylko względami polityki zewnętrznej ale także względami gospodarczymi by nie narażać Państwa na zwiększone ciężary finansowe i tym samym nie przekreślać planu inwestycyjnego, zakreślonego na najbliższe lata przez Rząd w myśl projektu Kwiatkowskiego. Jeśli Kwiatkowski sprzeciwiał się realizowaniu bonów skarbowych w Banku Polskim na rzecz zwiększenia zapasów surowcowych to czynił tak dlatego że rezerwował je sobie dla finansowania planu inwestycyjnego w nadchodzącej jesieni i w zimie. Od zakreślonych poprzednio projektów finansowych nie chciał odstąpić i znajdował w tym aprobatę Marszałka Rydza-Śmigłego.

Oprócz normalnych wpłat z budżetu zwyczajnego wojsko otrzymywało w tym czasie na swe wydatki nadzwyczajne 60 do 80 milionów złotych miesięcznie, na co szły głównie sumy uzyskane z emisji Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej. Wbrew mniemaniu ogółu nazwa tej pożyczki faktycznie nie miała nic wspólnego ze sposobem jej zużycia. Na miesiąc sierpień Ministerstwo Spraw Wojskowych zażądało od Skarbu tytułem kredytów nadzwyczajnych zaledwie 85 milionów złotych (oprócz normalnego budżetu zwyczajnego). Minister Skarbu zamiast tej sumy przyznał wojsku 55 milionów złotych; na skutek dalszych rozmów przyznał jeszcze dodatkowo kilkanaście milionów złotych. W danym momencie Skarb nie mógł się zaślaniać brakiem środków finansowych gdyż miał możliwość podjęcia ich z Banku Polskiego w ramach swych uprawnień ustawowych. Natomiast nie tylko u Ministra Skarbu ale i w decyzjach Naczelnego Wodza obok momentów wojskowych grały swą rolę momenty gospodarcze, za które Naczelnny Wódz czuł się odpowiedzialny, aczkolwiek się na nich nie znał i postępował pod wpływem przesłanek gospodarczych nieraz błędnych.

Zresztą i inne czynniki w wojsku częstokroć więcej zajmowały się sprawami gospodarczymi niż wojskowymi. Wysocy dygnitarze wojskowi zasiadali w radach i zarządach banków i spółek rządowych lub pół-rządowych, poświęcając temu dużą część swego czasu i chlubiąc się tym, że w Centralnym Okręgu Przemysłowym budują Polskę przemysłową. Wpływ wojskowych na gospodarczą dziedzinę życia w Państwie był duży. Znany jest fakt eksportu broni wytwarzanej w polskich fabrykach, w czasie gdy broni tej w kraju było za mało. Powtarzano mi tezę wice-ministra Spraw Wojskowych Litwinowicza, że gdy np. fabryka dział ma zdolność produkcyjną 1000, a skarb daje pieniądze tylko na produkcję 500 dział, to on woli utrzymać fabrykę w pełnym ruchu i 500 dział sprzedać za granicę*. Dokładne dane o ilości sprzedanej broni za granicą nie są znane. Wiadomo tylko

że w latach 1936-39 Bank Polski otrzymał z tytułu eksportu broni prawie 200 milionów złotych w dewizach zagranicznych, a więc więcej niż uzyskano z części gotówkowej pożyczki francuskiej z 1936 roku. Broń sprzedawano także na kredyt, który nie zawsze był spłacany. Istniało tu jakieś tragiczne nieporozumienie, jakieś niedomówienie i pomieszanie kompetencji między czynnikami gospodarczymi i wojskowymi.

W Zarządzie Miejskim miasta st. Warszawy pod kierunkiem prezydenta Stefana Starzyńskiego było dużo więcej świadomości sytuacji i wynikłej stąd decyzji oraz konsekwencji w postępowaniu by w zakresie spraw należących do miasta przygotować się do nadchodzącej wojny. Mimo że w tych pracach Zarząd miejski nie tylko nie otrzymywał pomocy od rządu, ale raczej spotykał się z trudnościami, jak np. słynna sprawa płotów „przewiewnych”, prowadzona przez premiera Składkowskiego pod pozorem że są one potrzebne dla obrony przeciwgazowej, podczas gdy faktycznym powodem były upodobania estetyczne Składkowskiego, któremu pełne mury nie podobały się i kazał je burzyć. Instytucje miejskie latem 1939 roku dostały nakazów administracyjnych przebudowy murów na sumę około półtora miliona złotych, przy czym wszystkie te nakazy opierały się o przymus ustawy wojskowej i niewykonanie ich groziło aresztowaniem kierowników odnośnych instytucji. Nawet Starzyński był w tej sprawie bezsilny, choć go ta akcja oburzała. Podobne nakazy obejmowały także fabryki i ogrody prywatne, o ile były otoczone murami*.

Kredyt dyplomatyczny

Z końcem sierpnia wysłano instrukcje do ambasad w Paryżu i w Londynie o zawarcie umów na wypadek wojny o utrzymaniu placówek dyplomatycznych polskich w Anglii i Francji, a angielskich i francuskich w Polsce. Umowy te zostały zawarte i stały się podstawą tzw. kredytów dyplomatycznych francuskiego i angielskiego. Kredyt dyplomatyczny angielski wynosił 6 000 funtów miesięcznie i pokrywał prawie wszystkie wydatki polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych w Imperium Brytyjskim.

Sytuacja na wewnętrznym rynku pieniężnym latem 1939 r.

Pod wpływem nastrojów przedwojennych przez całe lato

* Postępowanie to wydaje się zupełnie słuszne (Red.).

1939 miało miejsce wycofywanie wkładów z kas oszczędnościowych i z banków i tezauryzacja banknotów i bilonu srebrnego. Fakt powyższy oraz emisja Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej, wywołały w ówczesnym czasie na rynku pieniężnym objawy deflacyjne. W tych warunkach życie gospodarcze kraju cierpiało z powodu wielkiej ciasnoty pieniądza, potęgowanej jeszcze przez to, że z jednej strony władze wojskowe zmuszały zakłady przemysłowe do zwiększenia zapasów surowców, a z drugiej strony nie płacone przez państwo w terminie należności za dostawy i roboty rosły do sum coraz poważniejszych. Narzucała się logicznie konieczność rozszerzenia emisji Banku Polskiego, co praktycznie dawało możliwość finansowania potrzeb związanych z pogotowiem militarnym i gospodarczym kraju w obliczu nadchodzącej wojny. Ministerstwo Skarbu początkowo ograniczało się jedynie do udzielania pomocy instytucjom oszczędnościowym w mobilizowaniu przez nie gotówki na wypłatę wycofywanych wkładów. Wycofanie wkładów mogło w sobie nosić na przyszłość niebezpieczeństwo inflacji, która by powstała gdyby te pieniądze zjawiły się na rynku w poszukiwaniu towaru. Tego jednak na razie nie było. Pogląd taki na sytuację rynkową znajdował podtrzymanie w stanowisku zajmowanym przez Bank Polski. Potem, z początkiem sierpnia, takie same poglądy wypowiedział prof. Adam Krzyżanowski w memoriale, przedstawionym w imieniu Krakowskiego Towarzystwa Ekonomistów. Memoriał ten rozesłany był do wszystkich kierujących osobistości w administracji państwowej.

Sfinansowanie powiększenia zapasów surowców na wypadek wojny

Sytuacja rynkowa stwarzała między innymi możliwości sfinansowania zapasu surowców i materiałów w fabrykach i instytucjach państwowych, komunalnych i prywatnych. Władze wojskowe domagały się powiększenia tych zapasów, co w dużej mierze było wykonywane, jednakże brak było zarządzeń ze strony rządowej, które by mogły umożliwić należyte sfinansowanie tej akcji. Zapasy tworzone były przede wszystkim kosztem uszczuplenia kapitałów obrotowych, co odbijało się ujemnie na sytuacji przemysłu. Zdaje się, że najgorzej pod względem tworzenia zapasów przedstawiała się sytuacja w przedsiębiorstwach państwowych. Takie np. Koleje Państwowe jeszcze z końcem lipca posiadały tylko swój normalny zapas węgla i materiałów żelaznych (szyn itp.) i władze wojskowe wysyłały alarmujące pisma żądające podwyższenia tych zapasów do norm wojennych. Minister-

stwo Komunikacji nie posiadało potrzebnych na ten cel funduszy. Fakt, że koleje w takim momencie posiadały tylko normalny pokojowy, to jest trzymiesięczny, zapas węgla aż nadto wyraźnie charakteryzuje zaniedbania jakie istniały w dziedzinie gospodarczego przygotowania Polski do wojny. Dla podniesienia zapasów węgla na kolejach do norm żądanych przez władze wojskowe potrzeba było 9 milionów złotych, zaś dla podniesienia zapasów materiałów żelaznych 12 milionów złotych. Ponieważ Ministerstwo Komunikacji przewidywało iż połowę ceny materiałów żelaznych będzie mogło zapłacić hutom skryptami dłużnymi, zatem potrzeba gotówkowa wyrażała się cyfrą 15 milionów złotych. Sprawę tę załatwiono w porozumieniu z Bankiem Polskim i Bankiem Gospodarstwa Krajowego dopiero z końcem lipca w ten sposób, że Bank Polski otwarł dla Kolei Państwowych specjalny kredyt redyskontowy na ten cel dla weksli wystawionych przez Koleje Państwowe i żyrowanych przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Kredyt otwarty w ten sposób dla Kolei Państwowych na powiększenie zapasów został tylko w bardzo drobnej mierze wykorzystany, po prostu z tego powodu że przyszedł on za późno i względy techniczne produkcji i przewozu nie pozwoliły go wykorzystać do chwili wybuchu wojny.

Jeśli chodzi o sfinansowanie zapasu surowców w innych przedsiębiorstwach państwowych oraz przedsiębiorstwach komunalnych i prywatnych, to potrzebne na ten cel środki wyrażały się cyfrą minimum 150 milionów złotych i to tylko na pierwszy okres, gdyż w ślad za tym miały iść dalsze potrzeby. W sprawie tej istniał projekt p. Hołyńskiego, z ramienia sfer przemysłowych, wprowadzenia ustawowego zastawu na towarach zmagazynowanych i otwarcia na tej podstawie kredytu w Banku Polskim na wzór zbożowego kredytu zastawowego. Projektowi temu sprzeciwiał się Bank Polski i obiekcje jego były podzielane przez Ministerstwo Skarbu. Bank Polski proponował dostarczenie odpowiednich środków drogą zakupu biletów skarbowych, na co nie zgadzał się Minister Skarbu rezerwując sobie to źródło na finansowanie planu inwestycyjnego. Wytworzył się impas i sprawa przez tydzień i miesiące czekała na załatwienie. W tej sytuacji dopiero z końcem lipca został opracowany i uzgodniony z Bankiem Polskim nowy projekt polegający na tym, że Bank Polski miał otworzyć na cel powyższy specjalny kredyt redyskontowy do wysokości 150 milionów złotych, gwarantowany przez Skarb Państwa, przy czym weksle przedsiębiorstw byłyby przedstawiane do redyskonta z żyrem Banku Gospodarstwa Krajowego, a tytułem regwarancji na rzecz Skarbu Państwa przedsiębiorstwa miały przenieść na Skarb Państwa tytuł własności za-

kupionych zapasów, tak zwany tytuł własności na zabezpieczenie, na wzór zabezpieczenia stosowanego w zachodnich dzielnicach przy zbożowym kredycie zastawowym. Administracja tym kredytem i sprawami związanymi z zabezpieczeniem Skarbu na towarach miała być powierzona Bankowi Gospodarstwa Krajowego. Ten sposób sfinansowania zapasów nie mieścił się w obowiązujących przepisach prawnych i dlatego był potrzebny w tym celu specjalny dekret Prezydenta R.P. Dekret ten został opracowany, uzgodniony z zainteresowanymi resortami, uchwalony przez Radę Ministrów i opublikowany w przeciągu dziesięciu dni. Jednocześnie zostały opracowane wzory umów i instrukcji. Dystrybucja tak uruchomionego kredytu została powierzona specjalnemu komitetowi przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu. W pierwszej kolejności Minister Skarbu zgodził się na uruchomienie tylko 100 milionów złotych na potrzeby przedsiębiorstw prywatnych i państwowych. Prace komisji dystrybucyjnej szły dość wolno i do 20 sierpnia żadne kredyty przyznane jeszcze nie zostały. Ministerstwo Przemysłu i Handlu żądało wówczas podwyższenia sumy tych kredytów, uważając że 100 milionów złotych nie może zaspokoić wszystkich potrzeb. Pod koniec sierpnia Minister Skarbu wyraził zgodę na uruchomienie pozostałych 50 milionów złotych, z czego 15 milionów złotych miało być przeznaczonych dla zakładów i instytucji komunalnych, a reszta dla zakładów przemysłowych prywatnych. Do uruchomienia tych sum, tak z pierwszej transzy 100 milionów jak i z drugiej 50 milionów, nigdy nie doszło, gdyż zaraz potem nastąpił wybuch wojny.

Sfinansowanie zamagazynowania zbóż miało być częściowo dokonane przy pomocy zbożowego kredytu zastawowego i w tym celu postanowienia ustawowe o tym kredycie zostały pod koniec lipca zmienione dekretem Prezydenta R.P. w kierunku umożliwienia udzielania kredytu zastawowego na zboże magazynowane nie tylko na terenie właściciela ale także i poza jego terenem. Chodziło w danym wypadku o możliwość przewiezienia zbiorów natychmiast po żniwach z dzielnic zachodnich na wschód.

W załatwianiu spraw powyższych spotkałem się z jak najlepszą współpracą ze strony dyrekcji Banku Polskiego. W ciągu pierwszych dni po przyjeździe do Departamentu Obrotu Pieniężnego zorientowałem się iż stosunki między Departamentem a Bankiem Polskim były bardzo niedobre. W odniesieniu do poprzedniego kierownictwa i funkcjonowania Departamentu Bank Polski odnosił się krytycznie i nieufnie. Wzajemnie w Departamencie w stosunku do Banku Polskiego zastałem również nastroj pewnej rezerwy i nieufności. Takie stosunki musiały być wysoce szkodliwe dla spraw, które z natury rzeczy wymagały zgodnej i

harmonijnej współpracy Departamentu i Banku Polskiego, uważałem więc za konieczne dołożyć wszelkich starań dla ich radykalnej poprawy.

Rokowania o pożyczkę angielsko-francuską

O ile zagadnienia wewnętrznego rynku pieniężnego i kredytowego były długi czas w zaniedbaniu, to sprawy kredytu zagranicznego angielsko-francuskiego były przedmiotem stałego zainteresowania i zajmowania się nimi ze strony najwyższych czynników do marszałka Rydza-Śmigłego włącznie, w którego gabinecie zapadały najważniejsze w tej sprawie decyzje. Po zaostrzeniu stosunków z Niemcami i udzieleniu Polsce gwarancji angielskiej wydawało się jasne, że Anglia i Francja udziela Polsce kredytów koniecznych na przygotowania do wojny. Minister Beck w czasie swego pobytu w Londynie nie wysunął jednak sprawy pomocy finansowej dla Polski wychodząc, zdaje się, z założenia że to stawiałoby Polskę w roli petenta i utrudniałoby mu rozmowy polityczne, które chciał prowadzić na stopie pełnej równości. Pogląd ten decydował o posunięciach Rządu Polskiego jeszcze długi czas po jego powrocie z Londynu, kiedy to w myśl powyższych założeń Beck wstrzymywał wyjazd polskiej delegacji finansowej do Londynu. To opóźnianie postawienia przez Polskę problemów finansowych wywoływało zdziwienie ze strony angielskiej, która nie mogła zrozumieć tego opóźniania. Możliwe, że w tej sprawie powodowały Beckiem nie tylko względy prestiżowe, ale i to że liczył jeszcze na możliwość porozumienia z Niemcami i dlatego nie chciał definitywnie wiązać się przez układ finansowy z Anglią. Również rozmowy o układ polityczny przeciągały się i układ ten został podpisany dopiero kilka dni przed wybuchem wojny. Ministerstwo Skarbu byłoby raczej chętnie widziało wcześniejsze rozpoczęcie pertraktacji kredytowych. Pierwszą konferencję w tej sprawie zwołał u siebie Minister Skarbu już w kwietniu i zaprosił na nią mnie jako przyszłego dyrektora Departamentu Obrotu Pieniężnego². W konferencji tej brał udział ze Sztabu gen. Malinowski, ze Skarbu wiceminister Kożuchowski, dyrektor Wiesław Domaniewski i naczelnik wydziału Wacław Mohl, poza tym był na nią zaproszony płk Adam Koc, będący wówczas wiceprezesem Banku Handlowego w Warszawie. Aczkolwiek minister Kwiatkowski odnosił się do osoby

2. Byłem wtedy dyrektorem finansowym Zarządu miasta stołecznego Warszawy.

płk. Koca raczej negatywnie, to jednak widziałem, że decyduje się na powierzenie jemu prowadzenia rozmów z Anglikami. Na wspomnianej konferencji płk Koc mówił bardzo ogólnie o konieczności kredytu na zbrojenia, żądając wysunięcia maksymalnych postulatów. Wiceminister Kożuchowski obliczał sumę koniecznego kredytu na 50-60 milionów funtów, wychodząc z założenia konieczności pokrycia nim nie tylko zbrojeń ale i zaopatrzenia kraju w zagraniczne surowce w skali zapotrzebowania rocznego. Konferencja ta miała charakter tylko wstępnego omówienia sprawy i dlatego żadne decyzje na niej nie zapadły. W późniejszych naradach i pracach nad tą sprawą udziału nie brałem, wiedziałem tylko, że wyjazd delegacji finansowej do Londynu zgodnie z żądaniem Becka, uległ znacznemu opóźnieniu i że w skład tej delegacji pod przewodnictwem płk. Koca weszli ze Skarbu dyrektor Domaniewski i naczelnik Mohl, oraz dyrektor Banku Gospodarstwa Krajowego — Włodzimierz Baczyński. Suma kredytu, jaki miał być Polsce przez Anglię i Francję udzielony, została przez te państwa ustalona na 16 milionów funtów, z czego połowa kredytu towarowego w materiale wojennym, połowa kredytu gotówkowego. Delegacja w Londynie prowadziła przede wszystkim rozmowy o kredyt gotówkowy, odsuwając sprawę kredytu towarowego na plan drugi. Nie było to szczęśliwe. Jak się okazało znegocjowanie kredytu towarowego było znacznie łatwiejsze niż kredytu gotówkowego, a przesunięcie rokowań o kredyt towarowy na punkt drugi spowodowało, że umowa o ten kredyt została zawarta dopiero w sierpniu i w efekcie żaden materiał wojenny z tytułu tej umowy do Polski nie doszedł. Wprawdzie bowiem przed samym wybuchem wojny dwa statki z samolotami wypłynęły z Anglii do Gdyni, lecz już do Gdyni nie dotarły, zostały przez admiralicję angielską z drogi cofnięte i skierowane do Konstancy na Morzu Czarnym, dokąd przybyły już po załamaniu się oporu zbrojnego Polski. Fakt, że od chwili udzielenia gwarancji Polsce przez Anglię, w marcu, do chwili wybuchu wojny w dniu 1-ym września, nie przyszedł do Polski z Anglii żaden materiał wojenny, jest wymowny, tym smutniejszy, że stało się tak z winy opóźnień, które należy przypisać polskim czynnikom.

Jeśli chodzi o kredyt gotówkowy to na pertraktacjach o ten kredyt zaciążył fakt, że wśród polskich postulatów znalazło się żądanie udzielenia tego kredytu w złocie³. Motywem tego żądania była chęć zasilenia tym złotem skarbcza emisyjnego Banku

3. W związku z francuskim kredytem gotówkowym z 1936 roku Bank Polski nabył złoto o wartości 156 milionów złotych.

Polskiego, by móc rozszerzyć zdolność emisyjną banku na potrzeby wewnętrznej produkcji wojennej. Dawny statut Banku Polskiego przewidywał, że na równi ze złotem w granicach ustalonych statutem służyć mogą jako pokrycie emisji dewizy zagraniczne, postanowienie to zostało jednak w lutym 1933 roku zmienione przez skreślenie dewiz zagranicznych jako dopuszczalnego pokrycia. Motywy domagania się złota dla umożliwienia rozszerzenia emisji wewnętrznej były trudne do obrony. Potrzeby rynku wewnętrznego mogły być zaspakajane w granicach gospodarczo uzasadnionych, niezależnie od sprawy złota. Jeśli chodziło o zgodność z postanowieniami formalnymi statutu Banku Polskiego to można było przywrócić dawne postanowienie o zaliczaniu dewiz jako pokrycia. Strona angielska zwracała na to naszej delegacji uwagę, na co jednak z naszej strony odpowiadano, że Rząd Polski nie uważa za możliwe dekretowanie nowych zmian w statucie Banku Polskiego. W ten sposób wytworzyło się błędne koło, z którego nie było wyjścia gdyż Anglicy odmawiali udzielenia złota. Próby porozumienia się na boku z Francuzami, którzy zdawali się być mniej nieprzejednani na punkcie pożyczki w złocie, oraz próby wpływania tą drogą na Anglików nie dały rezultatu wobec solidarności francusko-angielskiej. Z końcem lipca przyleciał samolotem z Londynu Mohl przywożąc ostateczne propozycje angielskie, w myśl których Polska miała mieć prawo użytkować pożyczkę angielsko-francuską na płatności poza Anglią i Francją, a więc praktycznie na płatności w złocie, na zamówienia wojenne, z tym jednak że w równej mierze na te zamówienia byłoby zużytkowane złoto polskie, to znaczy że za zamówienia wymagające płatności w złocie Polska płaciłaby w połowie złotem własnym, a w połowie złotem Anglii i Francji. Mohl był wydelegowany przez płk. Koca z Londynu celem przedstawienia sprawy rządowi wraz z opinią delegacji że warunki te stanowią maksimum możliwe do uzyskania. Jednocześnie płk. Koc osobiście telefonował z Londynu do marszałka Rydza-Śmigłego, zaręczając mu oficerskim słowem honoru — jak mi potem mówił — iż pożyczka jest dobra. W ciągu paru dni sprawa była przedmiotem ożywionych narad czynników rządowych w Warszawie. Ostatecznie w gabinecie marszałka Rydza-Śmigłego zapadła decyzja negatywna, tj. odrzucająca propozycje angielskie i podtrzymująca poprzednie żądania polskie w sprawie złota. W naradach tych osobiście udziału nie brałem. Z relacji które miałem, i z późniejszych moich rozmów z ministrem Kwiatkowskim, odniosłem wrażenie że Kwiatkowski zasadniczo pragnął przyjąć propozycje angielskie, nie miał jednak odwagi wobec opozycji Becka wystąpić z takim wnioskiem by się nie narazić

na zarzut słabości, jak przy okazji sprawy o Zaolzie. Beck uważał że rezygnacja z poprzednich żądań w sprawie złota nie odpowiada prestiżowi Polski i jego zdaniem osłabiałaby jej pozycję polityczną. To zdanie Becka przeważało i pożyczki nie przyjęto. Pertraktacje o pożyczkę gotówkową zostały przerwane i delegacja w Londynie sfinalizowała już tylko umowę o kredycie towarowym, po czym powróciła do Warszawy. W niedługim jednak czasie po tych wydarzeniach Kwiatkowski pragnął nawiązać z powrotem rozmowy z Anglikami na temat pożyczki gotówkowej. Próby zaproszenia do Warszawy przedstawiciela *Treasury*, Waley'a, nie dały jednak rezultatu, podobnie jak i próba nawiązania rozmów na temat pożyczki z ambasadorem angielskim w Warszawie, którą podejmowałem z polecenia Kwiatkowskiego. Trudność polegała na tym, że Kwiatkowski nie czuł się na siłach przeprowadzić zmianę zajętego przez rząd stanowiska i przyjęcie za podstawę rozmów propozycji angielskiej. Dopiero po wybuchu wojny zgodził się na wysłanie telegramu do naszego Radycy Finansowego w Londynie z poleceniem przyjęcia tych propozycji i podpisania umowy pożyczkowej. Telegram taki wyszedł 1 września a jednocześnie wyszedł list do Becka z prośbą o wysłanie analogicznych instrukcji do ambasadora w Londynie, który miał położyć podpis na umowie pożyczkowej. Beck wysłał taką instrukcję ambasadorowi Raczyńskiemu bezpośrednio przed ewakuacją Ministerstwa Spraw Zagranicznych z Warszawy, tj. dopiero dn. 5 września. W międzyczasie jednak ambasador Raczyński w Londynie umowę pożyczkową podpisał, opierając się na telegramie Ministerstwa Skarbu i nie czekając na instrukcje swojego ministra. Co faktycznie powodowało ministrem Beckiem w całym przebiegu sprawy pożyczkowej, od jej początku do końca, nie potrafię zrozumieć. W każdym razie ponosi on dużą część winy za to, że do wybuchu wojny Polska praktycznie żadnej pomocy finansowej od swych aliantów na przygotowania wojenne nie otrzymała.

Splata sald z tytułu umowy handlowej i umowa kredytowa z Niemcami

W pierwszych dniach sierpnia dowiedziałem się że Polska ma wypłacić Niemcom około 7 milionów złotych w dewizach zagranicznych tytułem wyrównania salda obrotów handlowych w poprzednim miesiącu. Umowa handlowa polsko-niemiecka przewidywała, że comiesięczne salda mają być wyrównywane w dewi-

zach zagranicznych. Przez szereg poprzednich miesięcy salda te były dla Polski korzystne i po raz pierwszy większe saldo dłużne wypadło dla Polski dopiero za lipiec 1939 roku. Oprócz umowy handlowej Polska miała jeszcze specjalną umowę towarową kredytową z Niemcami, zawartą rok przedtem. Umowa ta przewidywała że Niemcy udzielą Polsce kredytu do 100 milionów złotych w towarze. Warunki spłaty i oprocentowania tego kredytu były korzystne i przedstawiano je wówczas jako wielki sukces. Polska miała dostać w ramach tej umowy potrzebne dla jej przemysłu maszyny, itd. Jak jednak wyglądało jej wykonanie? Umowa przewidywała, że aby uruchomić kredyt niemiecki Polska ma wyeksportować do Niemiec, na rachunek przyszłych dostaw niemieckich, swoje zboże i drzewo do wysokości 20 milionów złotych. To zboże i drzewo zostało w całości wyeksportowane, natomiast z Niemiec nie wpłynęła na poczet umowy ani jedna maszyna, ani jeden towar. Zamiast kredytu 100 milionów dla Polski, Polska udzieliła Niemcom kredytu 20 milionów. Dlaczego tak się stało? Po pierwsze ze strony polskiej nie zbadano czy i jakie wytwory przemysł polski będzie mógł w ramach tej umowy z Niemiec sprowadzać. Dopiero gdy umowa już była zawarta zaczęto poszukiwać po Polsce chętnych na nabycie towarów w ramach tej umowy. Nigdy nie zdołano zebrać odpowiednich ofert w dostatecznej ilości. Równoległe z tą umową Polska zawarła jeszcze inną umowę finansową z Niemcami, w ramach której Polska za tranzyt niemiecki przez Pomorze zgodziła się przyjmować zapłatę w towarze. Już tutaj więc wyczerpywało się chwilowo *gros* ówczesnych zapotrzebowań polskich, przeważnie państwowych, na import z Niemiec nie związany z umową handlową. Nie należy tego rozumieć w tym sensie iż Polska w ogóle żadnych nowych urządzeń nie potrzebowała, natomiast należy to zjawisko oceniać z uwzględnieniem niemieckich możliwości rynkowych zaspokojenia potrzeb polskich. Na rynku niemieckim Polska mogła być nabyć z pożytkiem dla siebie przede wszystkim obrabiarki dla nowych fabryk. Zamówienia takie zostały wysłane na kilka milionów złotych, lecz tu nastąpiła niespodzianka, gdyż władze niemieckie oświadczyły iż zgody na eksport do Polski obrabiarek nie dadzą, aczkolwiek żadne postanowienie umowy kredytowej nie przewidywało iż władze niemieckie mają prawo wyłączenia z tej umowy tych czy innych wytworów. Praktyka wykazała że umowa była zawarta bez zwrócenia uwagi na możliwość stosowania jej *cum mala fide* przez Niemcy i bez poprzedniego przygotowania zamówień ze strony polskiej. Nieudolność i słabość okazana przez nasze czynniki w stosunkach handlowych i finansowych z Niemcami nabiera specjal-

nej wyrazistości na tle rzekomej polityki mocnej ręki, objawianej w stosunku do Anglików w pertraktacjach kredytowych.

Gdy zatem z początkiem sierpnia dowiedziałem się, że Polski Instytut Rozrachunkowy ma przekazać Niemcom w dewizach zagranicznych około 7 milionów złotych z tytułu umowy handlowej, wstrzymałem tę wypłatę. Uważałem bowiem że należy dążyć do kompensaty tej sumy z długiem niemieckim 20 milionów złotych za zboże i drzewo w związku z niewykonywaniem umowy kredytowej. Ministerstwo Przemysłu i Handlu sprzeciwiło się temu zarządzeniu wychodząc z założenia że jest ono sprzeczne z umową handlową i że może dać pretekst Niemcom do jej zerwania. Faktu że Polska stoi w przededniu wojny Ministerstwo Przemysłu i Handlu zdawało się nie doceniać. Sprawa oparła się o ministra Skarbu, który zgodził się podtrzymać moje zarządzenie wstrzymujące wypłatę o ile będzie to uzgodnione z Ministerstwami Spraw Zagranicznych oraz Przemysłu i Handlu. Do takiego uzgodnienia nie doszło gdyż Ministerstwo Spraw Zagranicznych poparło w pełni stanowisko Ministerstwa Przemysłu i Handlu i w tych warunkach wypłata ta została przez Polski Instytut Rozrachunkowy dokonana na parę tygodni przed wybuchem wojny.

Sprawa bilonu srebrnego

Latem 1939 roku wśród szerokich mas ludności, zwłaszcza w niektórych okolicach wiejskich, wystąpiło zjawisko dużej tezauryzacji monet srebrnych. Było ono wyrazem przekonania ogółu iż wojna się zbliża a wraz z nią obawy dewaluacji pieniądza papierowego. W związku z tym na rynku pieniężnym wystąpił duży brak bilonu, który w ciągu lipca przybrał rozmiary katastrofalne. Ministerstwo Skarbu poczyniło względnie wcześniej przygotowania w kierunku wybicia nowego bilonu srebrnego na sumę 50 milionów złotych i zamówiło odpowiednią ilość srebra w Anglii. Część tego srebra w lipcu była już w polskiej mennicy na Pradze i bicie nowych monet srebrnych było w toku. Nie mogło ono jednak na czas zaradzić brakowi bilonu, toteż pod koniec lipca Bank Polski wystąpił do Ministerstwa Skarbu o zgodę na wypuszczenie papierowych dwuzłotówek ze swego zapasu. Minister Skarbu kategorycznie sprzeciwił się temu uważając, że zastąpienie bilonu srebrnego pieniądzem papierowym może być przez ludność uważane za pogorszenie systemu pieniężnego, co w jego planach na dalszą metę było jego zdaniem szkodliwe. Z początkiem sierpnia sytuacja pod względem braku bilonu ule-

gła jeszcze dalszemu pogorszeniu i nacisk Banku Polskiego o wypuszczenie papierowych dwuzłotówek został ponowiony. Ostatecznie pod naporem nieodpartych konieczności rynku Minister Skarbu musiał się zgodzić na wypuszczenie papierowych dwuzłotówek i zrezygnować czasowo z wypuszczenia nowego bilonu srebrnego. Zamiarem jego było jednak po uspokojeniu się sytuacji wycofać bilon papierowy i zastąpić go srebrnym. W związku z tym zamówienia na dalsze partie srebra w Londynie nie zostały cofnięte. Dopiero pod koniec sierpnia Kwiatkowski zgodził się na cofnięcie tych zamówień. Srebro poprzednio już zakupione i złożone w mennicy na Pradze zostało tam następnie zajęte przez Niemców. Przy ewakuacji instytucji rządowych z Warszawy nie zostało ono wywiezione. Potem, 8 czy 9 września, z Łucka Ministerstwo Skarbu wydelegowało do Warszawy do mennicy dwóch oficerów którzy mieli za zadanie wywieźć srebro z mennicy, co jednakże już nastąpić nie mogło.

Wywóz złota z Warszawy

W chwili wybuchu wojny Bank Polski miał ulokowane za granicą złoto wartości 100,3 milionów złotych (z czego 21,9 było związane z kredytem w Banku Francji), zaś złoto wartości 362,5 milionów złotych znajdowało się w kraju, z czego 192,2 milionów złotych w Warszawie a reszta była już przedtem, w ciągu czerwca i lipca, wywieziona przez Bank Polski do Brześcia, Lublina, Siedlec i Zamościa. Plany rozmieszczenia złota na wypadek wojny przewidywały, że złoto w połowie ma się znajdować w Warszawie, a w połowie ma być wywiezione do miejscowości na wschód od linii Wisły (Rzeszów, Lublin, Siedlce, Zamość, Brześć) i poczynając od czerwca Bank Polski wywoził złoto z Warszawy zgodnie z tym planem. Po zajęciu Słowaczyny przez Niemców w planie tym musiały zajść zmiany i Bank Polski nie wywoził złota do Rzeszowa. W połowie sierpnia sytuacja była taka, że władze wojskowe przygotowały na złoto z Warszawy pomieszczenia w twierdzy w Brześciu, natomiast była dopiero w trakcie uzgadniania sprawa straży nad złotem które byłoby tam umieszczone. Władze wojskowe odmawiały bowiem dania straży wojskowej, zaś Bank Polski uważał że dawanie straży własnej Banku Polskiego lub nawet policji państwowej na terenie twierdzy będzie zbyt wyraźnie wskazywało na naturę przechowywanego towaru co by nie było pożądane. Po zaznajomieniu się z tą sprawą wystąpiłem natychmiast do Ministra Skarbu z wnioskiem o wywóz całego zapasu złota będącego w kraju,

a w pierwszym rządzie znajdującego się w Warszawie, zagranicę. Argumentowałem przy tym nie kwestią jego bezpieczeństwa, a kwestią takiego jego umieszczenia by w razie wojny mogło być użyteczne. Kwiatkowski sprzeciwiał się wywózowi złota za granicę, przy czym motywem jego był brak zaufania do zagranicy. Bał się on że to złoto gdy się znajdzie poza Polską będzie nam z takiego czy innego powodu zabrane. W ostatnim okresie przed wybuchem wojny powracałem do tej sprawy codziennie pragnąc uzyskać zgodę Ministra Skarbu na wywóz złota. Kwiatkowski przysłał do mnie wtedy Naczelnika Wydziału Wojskowego, który okazał mi akt tajny sprzed kilku miesięcy, podpisany przez Ministra Spraw Wojskowych, gen. Kasprzyckiego, zawiadamiający Ministra Skarbu, iż w myśl decyzji Komitetu Obrony Rzeczypospolitej złoto wartości co najmniej 300 milionów złotych ma być przechowywane w kraju. Na akcie tym musiałem się podpisać że go czytałem, po czym wystąpiłem do min. Kwiatkowskiego z wnioskiem by natychmiast spowodował zmianę tej decyzji Komitetu Obrony Rzeczypospolitej. Wiedziałem że komitet ten pozostawał pod przewodnictwem Prezydenta R.P. i że oprócz premiera i Naczelnego Wodza wchodził doń Minister Skarbu, Minister Spraw Zagranicznych i Minister Spraw Wojskowych. Po zaznajomieniu się z moim wnioskiem Kwiatkowski powiedział mi, że porozumie się w tej sprawie z Marszałkiem Rydzem Śmigłym. Nie wiem czy taka rozmowa miała miejsce, natomiast w parę dni potem Kwiatkowski udzielił swej zgody na wywóz za granicę złota wartości 100 milionów złotych. Uważałem to za duży sukces, gdyż byłem przekonany że w ślad za tym wywiezie się i resztę. Były to już jednak ostatnie dni sierpnia. Jeszcze zanim dostałem zgodę ministra na wywóz części złota porozumiewałem się z Dyrekcją Banku Polskiego co do technicznej strony wywozu. Ustaliliśmy zgodnie że jedynie wskazaną w warunkach ówczesnych drogą był wywóz samolotami przez Sztokholm do Londynu. Bank Polski nawiązał kontakt w tej sprawie z polską linią lotniczą „LOT”. Natychmiast po uzyskaniu zgody ministra na wywóz części złota poszły odpowiednie telegramy do Sztokholmu i do Londynu. Ponieważ stała komunikacja lotnicza Warszawa-Londyn szła przez Kopenhagę a nie przez Sztokholm, potrzebna była zgoda władz szwedzkich na lądowanie w Sztokholmie. Po dwóch czy trzech dniach przyszła ze Sztokholmu odpowiedź odmowna. Decyzja szwedzka była niewątpliwie podyktowana względami politycznymi i niechęcią narażania się Niemcom. Wysłaliśmy natychmiast depeszę do Londynu by za pośrednictwem rządu angielskiego uzyskać zmianę decyzji Szwecji. Czynniki angielskie w Londynie zajmowały się tą sprawą bardzo poważnie

i w przeddzień wybuchu wojny przysłała zgoda szwedzka na lądowanie w Sztokholmie. Gdy wojna wybuchła nie rezygnowałem nadal z planu wywozu złota drogą powietrzną do Londynu, uważając jedynie za konieczne ustalić marszrutę via Wilno-Ryga-Sztokholm-Londyn. Sprawa ta była przedmiotem obrad dyrekcji Banku Polskiego z moim udziałem w pierwszym dniu wojny. Ze strony dyrekcji Banku Polskiego wysunięta była wówczas kwestia niebezpieczeństwa związanego z takim przewozem i ewentualnej gwarancji rządu dla Banku Polskiego za stratę złota w drodze. Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa takiej straty, tym niemniej nalegałem nadal na wywóz samolotami. Kwiatkowski w tym dniu podtrzymywał w całości moje stanowisko. Jednakże wypadki toczyły się tak szybko że już następnego dnia wywóz złota tą drogą nie był możliwy. Pozostawało zatem na razie jedynie wykonanie poprzedniego planu wywozu złota do Brześcia. Bank Polski podjął się tego zadania i pierwszą partię wywiózł do Brześcia własnym staraniem. Pozostawało jeszcze w Warszawie złoto wartości 112,2 milionów złotych. W poniedziałek dn. 4 września rano Kwiatkowski wezwał mnie i wicedyrektora Sadkowskiego i polecił nam skomunikować się natychmiast ze Sztabem w sprawie uzyskania samochodów dla wywozu reszty złota, a następnie zlecił mnie nawiązać kontakt z płk. Adamem Kocem, który w międzyczasie miał objąć jakieś stanowisko w Sztabie dotyczące spraw finansowych. Sztab urzędował wtedy w lokalu jednej ze szkół na ul. Klonowej i tam mnie i Sadkowskiego przyjął gen. Malinowski i obiecał wszelką pomoc po czym osobiście wraz z Sadkowskim udał się do innego oddziału Sztabu dla ustalenia szczegółów przydziału samochodów. Ponieważ wszystkie samochody ciężarowe były wówczas w Warszawie zajęte przez wojsko, zatem bez zgody i pomocy wojska nie można było transportu dokonać. Dużo później miałem się dowiedzieć, że samochody obiecane przez wojsko dla transportu złota nie przysły i że płk Koc na własną rękę „zarekwirował” jakąś kolumnę samochodową którą znalazł w Parku Łazienkowskim, co umożliwiło wywóz złota z Warszawy.

Z biura gen. Malinowskiego telefonowałem do płk. Koca, który zapowiedział swoją wizytę u mnie w ministerstwie. Zjawił się u mnie tegoż dnia w południe, w mundurze, i oświadczył mi że objął w Sztabie kierownictwo komórki finansowej i że oprócz niego do tej komórki wchodzi kpt. Baczyński oraz szeregowiec Repeczko. (Włodzimierz Baczyński, b. dyrektor Departamentu Obrotu Pieniężnego, a potem Dyrektor Banku Gospodarstwa Krajowego, Antoni Repeczko, b. Naczelnik Wydziału Bankowego, a potem Dyrektor Banku Handlowego). Następnie płk Koc

wystąpił z żądaniem wysłania natychmiast instrukcji do Londynu podpisania pożyczki angielskiej. Poinformowałem go, że to już zostało zrobione i pokazałem odpowiednią depeszę. Po krótkiej rozmowie płk Koc powiedział mi że uda się do Banku Polskiego, by dopilnować sprawy wywozu reszty złota z Warszawy. Złoto to zostało wywiezione 5 września i skierowane do Lublina, następnie do Łucka. Pułkownika Koca spotkałem w nocy z dn. 5 na 6-y września w Rykach, na drodze do Lublina. Jechał w trzy auta z Baczyńskim i Repeczką, również w mundurach.

Niedomagania polityki budżetowej

W przedwojennej gospodarce skarbowej względy budżetowe miały duży wpływ na podejmowane decyzje. Budżet zwyczajny Państwa był formalnie zrównoważony i wykazywał nawet drobne nadwyżki dochodów w poszczególnych miesiącach. Równowaga ta była jednak tylko formalna, tj. rachunkowa. O istotnej równowadze budżetowej można mówić tylko wtedy gdy nie tylko rachunkowe zamknięcia na nią wskazują, ale gdy jednocześnie Państwo reguluje punktualnie wszystkie swoje bieżące zobowiązania. W gospodarce państwowej w ostatnich latach przed wojną daleko było do tego ideału. Gminom tytułem spłaty należności za leczenie pracowników państwowych w szpitalach gminnych proponowano i wpłacano obligacje Państwowej Pożyczki Konsolidacyjnej *al pari* lub po kursie 90 za 100, co nie tylko nie było zgodne z przepisami o emisji pożyczek konwersyjnych ale równało się faktycznie regulacji 50 za 100 bo taki był kurs tej pożyczki na rynku. W polityce budżetowej Ministerstwa Skarbu decydującą rolę miały momenty formalistyczne, natomiast istota zagadnienia równowagi budżetowej oraz polityki budżetowej jako jednego z najważniejszych czynników w życiu gospodarczym kraju nie znajdowały należytego zrozumienia. W przydzielaniu miesięcznym kredytów budżetowych poszczególnym resortom, zwłaszcza na wydatki nadzwyczajne, powodowano się dużą nieufnością do innych resortów i operowano ryczałtami, wychodząc z założenia że każda suma utargowana z ryczałtów jest sukcesem. Jednym z najbardziej ujemnych objawów takiego stanu rzeczy było gromadzenie się wielkich zaległości w nieopłaconych na czas przez Państwo rachunkach oraz inflacja wszelkiego rodzaju krótkoterminowych skryptów dłużnych, jak bony kolejowe i drogowe, weksle Funduszu Pracy itp. W lipcu 1939 roku suma nieopłaconych przez Państwo rachunków przekraczała znacznie 100 milionów złotych. Wpływało to wysoce ujemnie na stan rynku

kredytowego w Państwie i wywoływało stałe protesty ze strony czynników gospodarczych, a poza tym utrudniało uzyskanie istotnej równowagi budżetowej, gdyż gotówkowa wypłata i terminowość w regulowaniu zobowiązań jest podstawowym warunkiem taniości dostaw i robót publicznych. Anormalny stan, jaki istniał, najlepiej uzewnętrznił się w sprawie weksli Funduszu Pracy. Weksli tych było w obiegu na sumę około 7 milionów złotych, a wydane one były przez Fundusz Pracy dostawcom rur itp. z zastrzeżeniem, że mają być prolongowane i będą spłacone dopiero po upływie lat dwu lub więcej. Bank Polski odmawiał dyskonta tych weksli ponieważ nie były objęte umową między Rządem a Bankiem Polskim co do kredytowania Państwa i jego instytucji. Ze strony dostawców, którzy przyjęli te weksle tytułem zapłaty i nie mogli ich następnie upłynnić i przez to znaleźli się w trudnościach finansowych, zgłaszane były reklamacje oparte na różnych ustnych przyrzeczeniach ze strony władz państwowych, których nikt nie był w stanie zrealizować. Podobna sytuacja wynikała także w związku z wydawaniem różnych skryptów dłużnych. Podrywało to nie tylko zaufanie do Skarbu ale łącznie z nieterminowym płaceniem rachunków przez instytucje rządowe odbijało się ujemnie na stanie gospodarczym kraju a w konsekwencji i na finansach publicznych. Uregulowanie tych spraw uważałem za jedną z pierwszych konieczności i odpowiednie projekty przedłożyłem Ministrowi Skarbu, który je w zasadzie aprobował lecz wybuch wojny pozbawił je wszelkiej aktualności.

Rozszerzenie emisji Banku Polskiego

Ograniczeń w przyznawaniu miesięcznych kredytów budżetowych poszczególnym resortom nie można było tłumaczyć brakiem pieniędzy. W tym samym bowiem czasie Skarb Państwa posiadał niewykorzystany kredyt bezprocentowy w Banku Polskim oraz ustawowe możliwości dyskonta biletów skarbowych. Możliwości te jednak Minister Skarbu rezerwował na wykonywanie planu inwestycyjnego w późniejszych miesiącach i nie pozwalał ich na razie naruszyć. Zakres tych możliwości był, oczywiście, ograniczony przepisami Statutu Banku Polskiego. Rozszerzenie tego zakresu drogą odpowiedniej zmiany statutu było możliwe i nawet wskazane, a to z uwagi na sytuację na rynku pieniężnym, na którym występowały silne objawy deflacyjne. W poglądach mych na tę sprawę byłem zgodny z dyrekcją Banku Polskiego. Minister Skarbu godząc się zasadniczo z myślą zmiany statutu Banku Polskiego w kierunku wyżej wskazanym

pragnął odłożyć termin tych zmian do początku roku następnego. Przeświadczenie o konieczności przyspieszenia tych zmian tak z uwagi na sytuację gospodarczą w kraju jak i z uwagi na ewentualność zbliżającej się wojny stawało się jednak coraz większe. Wynikiem tego były, między innymi, narady szeregu osobistości z życia gospodarczego w połowie sierpnia u Żychlińskiego w Gorazdowie, w Wielkopolsce, co płk Koc ochrzcił nazwą „spisku gorazdowskiego”. Minister Skarbu 25 sierpnia polecił mi porozumieć się z Bankiem Polskim co do szybkiego przeprowadzenia zmian w statucie Banku Polskiego tak w kierunku rozszerzenia możliwości dyskonta biletów skarbowych dla potrzeb gospodarki pokojowej, jak i w kierunku przystosowania statutu do ewentualnych potrzeb gospodarki wojennej. Wykonanie powziętych decyzji nastąpiło szybko, tekst zmian uzgodniono z Bankiem Polskim i już 29 sierpnia zostały one przyjęte przez Radę Banku Polskiego, przy czym na dzień 1 września zostało zwołane Walne Zebranie Banku Polskiego celem uchwalenia tych zmian. Walne Zebranie, mimo wybuchu wojny, odbyło się w wyznaczonym terminie i zmiany statutu uchwaliło, po czym następnego dnia zostały one potwierdzone dekretem Prezydenta R.P. opublikowanym w Dzienniku Ustaw. Już na zasadzie nowych postanowień Statutu dn. 2 września odbyło się posiedzenie Rady Banku Polskiego (z moim udziałem jako Komisarza Banku) dla powzięcia uchwał związanych z wybuchem wojny. Uchwały te dotyczyły przede wszystkim kredytów dla Rządu na wydatki wojenne.

Plan finansowania wojny

Plan finansowania wojny opracowany był przez Ministerstwo Skarbu i Bank Polski, nie miał on jednak właściwych sankcji Rządu Polskiego, który nim się nie zajmował, a praca nad planem powierzona była przeważnie niższemu urzędnikom. Plan ten wychodził z dążności do utrzymania w czasie wojny możliwie najdłużej normalnych, pokojowych warunków życia gospodarczego w kraju, co opierało się na założeniu, że wojna będzie mieć charakter pozycyjny i toczyć się będzie na granicach państwa. Dodatkowa siła nabywcza pochodząca ze zwiększonej emisji pieniądza wypuszczonego na rynek przez Skarb na pokrycie wydatków wojennych miała być z tego rynku ściągana drogą zwiększonych podatków i pożyczek wojennych, co łącznie z reglamentacją spożycia miało zapobiec ruchowi cen w górę. Plan nie przewidywał wprowadzenia moratorium. Oprócz planu ogólnego opracowany był szereg zarządzeń konkretnych w formie dekretów Prezydenta

R.P. lub rozporządzeń rządowych, które miały być wydane z chwilą wybuchu wojny. Jeden z nich dotyczący zakazu wwozu banknotów złotych do Polski został wydany jeszcze przed wybuchem wojny. Inne zostały wydane w pierwszym lub drugim dniu wojny, zgodnie z planem. Plan powyższy opierał się zasadniczo na założeniach słusznych, stosowanych następnie i przez inne państwa prowadzące wojnę.

Niewprowadzenie moratorium

Jeśli chodzi o pewne szczegóły planu finansowania wojny to jeden wydawał mi się być błędnie ujęty i wymagający uzupełnienia, a mianowicie sprawa moratorium. Moratorium takie miałyby dotyczyć przede wszystkim płatności z weksli na terenach objętych działaniami wojennymi. W tej sprawie w porozumieniu ze mną Ministerstwo Sprawiedliwości opracowało z końcem sierpnia odpowiedni projekt dekretu i znalazł się on na tym posiedzeniu Rady Ministrów na którym były uchwalane inne dekrety związane z wybuchem wojny. Dekret ten nie został jednak uchwalony gdyż przeważała opinia że nie jest on pilny. Niewprowadzenie przez władze polskie moratorium odbiło się bardzo boleśnie na ludności polskiej po zajęciu kraju przez Niemców, jak o tym świadczyły raporty z kraju. Według tych raportów przypuszczano że rząd zapomniał czy zaniedbał wprowadzić moratorium. Nie było to jednak żadne zapomnienie lecz świadoma decyzja niewprowadzania w owym jeszcze czasie moratorium. Gdyby wojna toczyła się dłuższy czas na granicach państwa, byłaby to decyzja słuszną, gdyż utrzymywałaby normalny bieg życia gospodarczego. Ponieważ jednak było inaczej decyzja ta okazała się szkodliwą dla ludności polskiej.

Zapłata za rekwizycje żywności i koni

Plan finansowania wojny obejmował również problem rekwizycji żywności dla wyżywienia wojska i aprowizacji miast, oraz problem rekwizycji koni. Zgodnie z podstawowym założeniem planu należności za rekwizycje żywności i koni na wsi miały być płacone w przeważnej mierze bonami skarbowymi. Część płatna gotówką miała być tak duża, by mogła odpowiadać istotnym potrzebom gotówkowym wsi w danym momencie. Ze strony Ministerstwa Rolnictwa były naciski na zwiększenie płatności gotówkowych oraz ustalenie możliwie krótkich terminów dla płatności bonów. Sprawę komplikowało to że władze wojskowe oświadczyły że rekwizycje na potrzeby wojska należy płacić go-

tówką i że stawiają to jako swój kategoriyczny postulat. Było w tym jeszcze jedno pomieszanie pojęć i kompetencji. Władze wojskowe wychodziły z założenia że na rekwizycje wojenne muszą otrzymać od Skarbu gotówkę i płacić będą gotówką, bo tak wymaga prestiż wojska. Technicznie sprawa komplikowała się przez to, że te same organa Ministerstwa Rolnictwa miały rekwirować zboże dla wojska i dla miast, a więc trudno było powiedzieć że za jeden worek zboża (dla wojska) płaci się gotówką a za inny (dla miast) bonami. W sprawie tej odbyłem kilkugodzinną konferencję w niedzielę 27 sierpnia z wiceministrem Rolnictwa Wierusz-Kowalskim. W trakcie konferencji Wierusz-Kowalski telefonował do Marszałka Rydza-Śmigłego, by mu przedstawić tę sprawę i uzyskać jego decyzję. Decyzja zapadła wbrew memu stanowisku i polecała płacić za rekwizycje zboża dla wojska gotówką. Niezależnie od tego, że była ona sprzeczna z podstawowymi zasadami planu finansowania wojny wydawało mi się dziwne że w owym czasie Naczelny Wódz zajmował się taką sprawą.

Uwagi końcowe

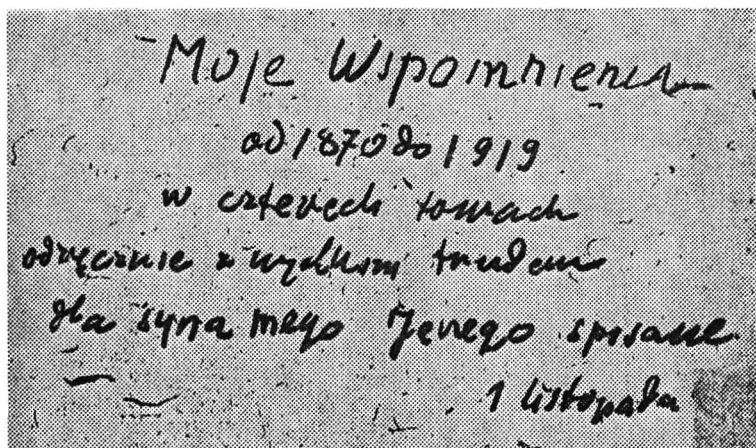
Niewątpliwie istniały warunki po temu, by Polska była lepiej gospodarczo przygotowana do wojny niż to faktycznie miało miejsce. Przebieg kampanii wrześniowej był jednak taki, że lepsze przygotowanie gospodarcze nic by nie pomogło. Inaczej przedstawiała się sprawa przygotowania materiałowego wojska, które z punktu widzenia możliwości finansowych mogło być dużo lepsze. Na przygotowaniu materiałowym wojska tak jak i gospodarczym kraju zaciążył fakt, że czynniki kierownicze zachowywały się do ostatnie chwili w ten sposób jakby nie wierzyły w wybuch wojny. Wicepremier i Minister Skarbu Eugeniusz Kwiatkowski miał wielkie walory osobiste charakteru i umysłu i przez cały czas swego urzędowania na ul. Rymarskiej cieszył się zaufaniem kraju. Z podjęciem gospodarki wojennej czekał za dłużej na głos Naczelnego Wodza. Z chwilą gdy wojna wybuchła zachowywał się z wielkim spokojem i opanowaniem aczkolwiek w wytworzonej sytuacji nie miał już wiele możliwości działania*.

Stanisław KIRKOR

* W zeszycie dwudziestym *Zeszytów Historycznych* ukazał się mój artykuł pt. „Ewakuacja Ministerstwa Skarbu w 1939 roku”. Był on pomyślany jako uzupełnienie niniejszej rozprawy, jednakże ze względów redakcyjnych nie mógł być razem z nią umieszczony.

WBREW CENZURZE

„Każdy zapis czy dokument został zniszczony lub sfalszowany, każda książka przepisana, każdy obraz przemalowany, każdy pomnik czy ulica mają dziś inną nazwę, każda data została zmieniona. I ten proces trwa ustawicznie, z minuty na minutę, z dnia na dzień. Historia zatrzymała się. Nie istnieje nic poza teraźniejszością, która nie zna granic. W tej bezgranicznej teraźniejszości Partia ma zawsze rację”. Są to słowa bohatera *Roku 1984*. Powieść Orwella jest wizją doskonałego państwa totalitarnego. Na szczęście coraz dalsze od doskonałości są rzeczywiste państwa totalitarne. Nie potrafią zniszczyć ani nawet zablokować wszystkich zapisów czy dokumentów historycznych. Z radością stwierdzamy że oprócz materiałów na temat teraźniejszości, które stale napływają z kraju do *Kultury*, zaczęliśmy również ostatnio otrzymywać materiały dotyczące bliższej i dalszej przeszłości. Na pierwszy ogień drukujemy nieskończony rozdział pamiętników Stanisława Stempowskiego i I-szą część szkicu profesora Adama Krzyżanowskiego.



Z noty St. Stempowskiego na opakowaniu paczki ze wspomnieniami przesłanej synowi.

UKRAINA (1919-1920)

PRZEDMOWA

Życie ma się ku końcowi. Korci jeszcze raz je rozgarnąć przed oczami i zobaczyć, jak się spieszyło od niewiadomego początku do niewiadomego końca. Po co się żyło — nigdy się nie dowiem. Ale może z odtworzonej panoramy mego życia dowiem się przynajmniej, dlaczego potoczyło się ono tak, a nie inaczej, dlaczego było takie. Dobrze i to. Nie dlatego, żeby to pytanie było dla mnie tak ważne albo nawet ciekawe, ale głowienie się nad nim wypełni mi, jak gra w samotnika, moje starcze, jałowe zadumy.

Zauważyłem, że ostatnimi czasy zaczęły mnie napastować wspomnienia. Zrazu opanowywały mnie podczas przymusowego leżenia w łóżku, gdy choroba wyrzucała mnie z rwącego potoku życia. Napływały znienacka jak sen, równie jak on od woli niezależne, olśniewające, pełne uczuciowego znaczenia, zwiewne. Potem jak gdyby się ośmieliły — napływały śród gwaru dnia powszedniego, wywołane z nicości jakimś dźwiękiem, słowem, zapachem, czy ja wiem czym. (Wtedy M. mówiła: — „Jak do ciebie gadać, kiedy ty nic nie słyszysz”). Wreszcie rozpanoszyły się tak, że jakby czyhały na każde zawieszenie mojej uwagi. Sen z otwartymi oczami. Cisną się zupełnie zapomniane twarze, słowa, gesty, drzewa, psy, miedze, szmery, zapachy — wszystkie nic nieznaczące i niedostrzeżone w swoim czasie *n i c e*. Mam wrażenie, że życie moje toczyło się na jakimś podglebiu z tych właśnie „niców” złożonym, które wypierały na powierzchnię świadomości i żywiły rozmaite przejawy tego życia, same pozostając na zawsze w ukryciu — milczące i pracowite gnomy. Dziś, gdy życie zagłuszające ich podziemną skatotoczną robotę przycichło i zwiędło, wyłażą z ciemności i dochodzą do głosu. Niech więc mówią. Ulegam, chociaż zawsze miałem wstręt nieprzezwyrodnym do zapisywania. Kiedyś miałem męczący okres snów jaskrawych i zapisałem ich cały kajet, żeby się od nich obronić. Tak i teraz — łowić będę zwiewne mary, tak jak się będą nasuwały. Dobrze zajęcie dla leżącego w łóżku i na bezsenne noce, i na bezpłodne dni starości... A może wytrwam, znajdę odpowiedź na pytanie: dlaczego?

Wciąż słyszę ostatnimi czasy od przyjaciół i przygodnych znajomych, którzy usłyszą jakieś moje opowiadanie, żebym pisał swoje wspomnienia. Oczywiście mają ci namawiacze na myśli opisanie tych faktów i zdarzeń w ich mniemaniu ważnych, ba,

nawet historycznych, których byłem świadkiem, uczestnikiem, aktorem. Takie są wszystkie prawie wspomnienia, które służą jako źródło do snucia tzw. historii, jako dokumenty, z których czerpie się potem to, co komu potrzeba. Do spisywania takich wspomnień nie mam ani zamiłowania, ani talentu. Dat nigdy nie pamiętałem, kalendarz dla mnie nie istniał. Kolejność zdarzeń również nie utrzymała się w mojej pamięci. Nazwisk i nazw dziś czasem trudno mi przypomnieć. Do pisania takich wspomnień należałoby się przygotowywać całe życie, prowadzić dziennik, notować obszerniej ważniejsze zdarzenia, jak się je w swoim czasie odczuło i zrozumiało. A mnie samo życie, jego porywający nurt, tak całkowicie pochłonęło, że na obserwowanie go nie starczało czasu ani chęci. Nigdy nie prowadziłem rachunków — wydałem, więc było potrzeba wydać. Tak i z życiem: przeżyło się, więc cóż tu jeszcze zapisywać! Tak tedy zaginął bezcenny, zdaniem niektórych, materiał historyczny, bo wciąż mi wypadało o jakąś „historię” się ocierać.

◆

Przyjechałem do Warszawy w pierwszych dniach stycznia. Na Lipowej zostałem powitany z otwartymi ramionami przez całą rodzinę Leona Niemyskiego i dostałem pokoik jednej z panien. Odżyły dawne wspomnienia, poczułem się jak w bliskiej rodzinie, odetchnąłem i stopniowo opuszczało mnie uczucie ściganego zwierza. Nie mogłem się jednak otrząsnąć z przykrego wrażenia, jakie wywarło na mnie to dawniej tak ruchliwe, życiem pulsujące, kochane miasto. Wśród obdrapanych domów, w których każdym załomie tkwiły nieruchome postacie żebraków, zaśmieconymi ulicami toczyło się kalekie, zbiedzone, zatroskane, szare życie. Wprawdzie gdzieś tam u góry kwitło już tzw. życie polityczne, zasiadali i radzili ministrowie, dokonywały się zamachy stanu, żarły się partie i od czasu do czasu witana była owacyjnie na jakimś balkonie szara maciejówka Komendanta, ale wszystko to tak się miało do frasunków życia codziennego jak wizerunki królów polskich na kartach chlebowych do obrzydliwego trującego chleba, od którego boleśnie skręcały się kiszki. Ogólnemu zbiedzeniu uległo i kiedyś tak dostatnie bujne życie moich gościnnych gospodarzy. Fabryka przy Wiślanej wraz z zapisami skór sprzedanymi po cenach normalnych została zlikwidowana, gdyż p. Leon nie chciał być paskarzem. Kamienica niegdyś tak schludna, teraz obdarta przez Niemców z klamek i metali, zaśmiecona i brudna, wyglądała jak rudera. Na stole obok chleba kartkowego stały sacharyna, smalec i — pożałuj Boże — marmolada. Spotkała mnie wszakże i miła niespodzianka: przyniesiono mi z zamkniętej fabryki spory kosz, który tam przetrwał 14 lat na prze-

chowaniu a w którym znalazłem mnóstwo szpargałów, które jako śmiecie zostawione zostały w naszym mieszkaniu, kiedy w 1906 roku wyprowadzaliśmy się na Podole. Ja, co straciłem wszystko do ostatniej nitki, odzyskałem z pietyzmem przechowane moje śmiecie. Ironia losu!

Nie szukałem i nie odnawiałem dawnych znajomości z czasów *Ogniwa*. Nie było w czym do ludzi chodzić, miałem na sobie tylko tę maskaradową odzież, w której przyjechałem. Chciałem zresztą odpocząć, nacieszyć się wolnością i rozejrzeć w stosunkach. Nie dano mi jednak długo pozostać na uboczu. Na ulicy co krok spotykało się coraz to nowe, przybywające postacie z Ukrainy, Litwy i Białorusi. Ci przybysze nie mając kontaktu z rdzenną ludnością polską i jej kołami politycznymi łączyli się z sobą w różne związki Polaków kresowych, związki obrony mienia, komitety rewindykacyjne itp. Zaczęli wydawać nawet pismo *Głos Kresowy*, redagowane przez dawnego redaktora *Dziennika Kijowskiego*, Edwarda Paszkowskiego. Przybył i to w pełnym składzie (prócz Stanisława Jezierskiego, który zmarł) kijowski Komitet Wykonawczy na Rusi, który miał nawet swój lokal na Chmielnej nr 5. Składał się on z 12 osób, po 3-ch z czterech ugrupowań politycznych: ze Stronnictwa Pracy Narodowej (konserwa), z Narodowej Demokracji (endecy), z bezpartyjnych (kryptoendecy) i z Centrali Demokratycznej — z niej byłem desygnowany wraz z Eugeniuszem Starczewskim i Mieczysławem Mickiewiczem. Musiałem tedy chyba za stare grzechy, chodzić na te zebrania z wielką przykrością. Nie będę tu odtwarzał tych beznadziejnych walk z bezczelną w swej zapewnionej większości endecją, stale wspieraną idącymi za nią przy głosowaniach konserwą i bezpartyjnymi. Zważywszy jednak, że te pouczające protokoły naszych posiedzeń, najczęściej poświęcone sprawie ukraińskiej i Kresom, musiały zapewne zagać, przytoczę tu dla pamięci parę dokumentów, które przypadkiem u mnie ocalały a które są przyczynkiem do poznania ówczesnych poglądów na sprawę ukraińską w Polsce.

Dnia 12 marca 1919 roku delegacja Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi złożyła Prezesowi Rady Ministrów Paderewskiemu, następujący memoriał: „Ekscelencjo! Stan rzeczy jaki wytworzył się na Rusi (Wołyń, Podole, Ukraina) oraz stanowisko jakie zajął na konferencji pokojowej Komitet Narodowy i Delegat Polski, zniewalają Rząd Rzplitej Polskiej do ustalenia wyraźnego programu w sprawie Ukrainy. Program ten jest tym niezbędniejszy, iż wojska nasze, operujące przeciwko Ukraińcom na froncie wołyńskim zwycięsko posuwają się naprzód i, da Bóg, niedługo w rękach polskich znajdzie się znaczna część ziem Rus-

kich, wymagających przede wszystkim organizacji. Z tego powodu Delegacja (Sejmowa) P.K.W. na Rusi, która jest legalną reprezentacją tamecznych Polaków — jako organ wykonawczy ich dzielnicowego sejmku, mający swój administracyjny aparat wśród ludności polskiej w każdej gminie, parafii i powiecie — zwraca się do Pana, Panie Prezydencie, by jako znający najlepiej i z bliska sprawę ukraińską oświadczyć Ci nasze zasadnicze w tej sprawie stanowisko i przedłożyć praktyczny wniosek. Stwierdzamy: 1) Rozbiory Polski jako akty przemocy i bezprawia zostały uznane przez państwa Ententy za zbrodnie i powstająca Polska miałaby prawo do granic przedrozbiorowych sprzed 1772 roku na słusznej zasadzie dezaneksji. 2) Bieg wypadków wykazał zupełną nieudolność narodu ukraińskiego w jego dążeniach do praworządneho ustroju państwowego, proklamowane zaś państwo ukraińskie stało się ogniskiem anarchii, bezprawia i terroru, prowadząc swych współziomków do zupełnego zdziczenia i bratobójczej walki. 3) Pod wpływem intryg i agitacji państw centralnych naród polski na terenie Wołynia, Podola i Ukrainy zamieszkały, stał się przedmiotem wyjątkowego prześladowania i wyniszczenia, co zagraża poważnie interesom narodu polskiego. 4) Stan anarchii, w jakiej te dawne nasze kresy południowo-wschodnie od dłuższego czasu są pogrążone, zagraża kulturze i ekonomicznej pomysłowości nie tylko tego kraju, ale i ościennych państw i narodów. 5) Znaczne przestrzenie leżące na Wołyniu, Podolu i Ukrainie stanowią obszar z ludnością mieszaną polską i ukraińską z bezwzględną przewagą kulturalną, ekonomiczną i państwowotwórczą po stronie ludności polskiej a wyraźną niemocą pod tym względem po stronie ludności ukraińskiej. 6) Ludność tych krajów w swej większości składa się z potomków osadników polskich, którzy podlegali długoletniemu wynaradawianiu w drodze stosowania praw wyjątkowych. 7) Połączenie owych obszarów mieszanych z Polską jest koniecznością bezwzględną dyktowaną nie tylko sprawiedliwością dziejową, ale też i względami kulturalnymi i ekonomicznymi, kraje te bowiem ciążyły i ciążą ku Polsce. 8) Granice południowo-wschodnie wskazane w projekcie Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu, nie objęły wszystkich powyższych obszarów mieszanych, które mają również ze względów strategicznych doniosłe znaczenie dla Państwa Polskiego. Wobec powyższego Delegacja P.K.W. zgodnie z niezłomnym życzeniem społeczeństwa polskiego na Rusi oświadcza: a) Granice Państwa Polskiego powinny być posunięte dalej na wschód od granicy wskazanej w projekcie Polskiego Komitetu Narodowego przynajmniej na linię rzek Dniestru, Murafy i Teterewu do jego ujścia. b) W pozostałej części Wołynia, Podola

i Ukrainy Polska ma żywotne interesy narodowe wobec znacznej tam ilości Polaków w miejscowym gospodarstwie rolnym i w przemyśle. Z tego też względu przy decydowaniu ustroju wskazanego terytorium przez konferencję pokojową powyższe interesy polskie powinny znaleźć wszechstronne uwzględnienie a przede wszystkim konieczne jest zaprowadzenie stosunków prawdziwie praworządnych pod opieką Ligi Narodów przy udziale Polski, bez czego o zwalczaniu tam anarchii i bolszewizmu nie może być mowy. Przechodząc do praktycznego wniosku podkreślić musimy, iż cała Ruś objęta od dwu lat bolszewizmem, demoralizowana najskrajniejszą demagogią, ze zniszczonymi warsztatami pracy i placówkami cywilizacji, pełna krwi ofiar społecznej, partyjnej i narodowej nienawiści potrzebuje przede wszystkim silnej, mądrej i wszechbronnej organizacji. Wszystkie dotychczasowe próby owładnięcia i rządzenia tym krajem robione czy to przez niepodległościowe partie ukraińskie, czy to przez umiarkowane i konserwatywne żywioły rosyjskie z hetmanem Skoropadskim na czele zbankrutowały przede wszystkim dlatego, że nie miały realnego, obliczonego na miarę chwili programu tej organizacji. Program taki musi mieć Rzplita Polska. Jest dziś rzeczą oczywistą, iż Polska nie zdoła uchylić się od rozwiązania jednego z najtrudniejszych zagadnień swojej polityki wschodniej, mianowicie zagadnienia ruskiego. Sprowadza się ono bowiem przede wszystkim do obrony i zjednoczenia narodu polskiego zamieszkałego w sile półtora miliona dusz w zachodniej połaci ziem ruskich, do rozszerzenia terytorialnego Państwa Polskiego, dającego możliwość prowadzenia między potęgą Niemiec i Rosji niezależnej polityki oraz uwzględnienia pierwszorzędnych interesów gospodarczych polskich. Wreszcie jesteśmy w wojnie z Ukrainą i to pociąga za sobą logiczne konsekwencje. Względy powyższe są tak wielkiej doniosłości, że zniewalają Rząd do kategorycznego rozwiązania problemu ukraińskiego i wprowadzenia sił zbrojnych polskich na front ruski... Ale powrót Polski na Ruś nie może opierać się wyłącznie na bagnietach, Polska musi przynieść organizację w myśl głęboko obmyślanego programu. Bez programu administracyjnego i politycznego, bez społecznych i ekonomicznych reform wrócić na Ruś nie podobna. Upraszamy przeto Rząd Rzplitej Polskiej by do opracowania tego programu przystąpił. Nikt tak dokładnie nie rozumie trudności związanych z tworzeniem tego programu oraz doborem ludzi, którzy będą zakładać administrację polską na Rusi jak my. Wyjątkowe okoliczności w jakich kraj się znajduje oraz specjalne jego właściwości, wreszcie konieczność stosowania wręcz odmiennych metod rządzenia w etnograficznej Polsce — trudności te znakomicie zwiększają.

Toteż jeśli Rzplita Polska chce mieć kresy silne i mocno z krajem spojone, musi niezwłocznie powołać do życia organy, które zajęłyby się obmyśleniem sposobów praktycznego rozwiązania tej bodaj najtrudniejszej sprawy Rzplitej — sprawy ruskiej. W myśl tego Rząd R.P. raczy zamienić istniejący przy M.S.Z. Departament Litewsko-Białoruski na Departament Kresów Wschodnich i utworzyć w nim specjalny urząd do spraw ruskich, który by opracował program zarządu polskiego na Rusi, program reform społecznych i ekonomicznych oraz skonstruował aparat administracyjny w miarę posuwania się wojsk w głąb ziem ruskich. P.K.W. na Rusi w osobie swojej delegacji sejmowej oddaje się w tym względzie całkowicie do dyspozycji Rządu oddając mu cały swój aparat administracyjny, wszystkie swoje komisariaty gminne, parafialne i powiatowe oraz całą swoją znajomość stosunków i ludzi”.

Do powyższego memoriału złożyłem następujące *votum separatum*:

„Do Prezydium Delegacji Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi w Warszawie. — Z powodu choroby a następnie wyjazdu z Warszawy nie mogłem brać udziału w naradach Delegacji. Po powrocie swym dowiedziałem się z przemówienia p. Berzowskiego na zebraniu Koła Ziemiaków 30 marca, że złożona została przez Delegację Rządowi Polskiemu deklaracja czy memoriał w sprawie ukraińskiej. Zaznajomiwszy się obecnie z treścią tego dokumentu poczytuję za obowiązek sumienia złożyć Delegacji swoje *votum separatum*, które proszę odczytać na najbliższym zebraniu Delegacji następnie dołączyć do protokołu zebrania, na którym przyjęty został tekst owego memoriału. Warszawa 4 kwietnia 1919 roku. (Podpis).

„Do memoriału złożonego 12 marca 1919 P. Prezydentowi Rady Ministrów przez Delegację P.K.W. na Rusi członka tejże Delegacji St. St. *VOTUM SEPARATUM*: Zawarte w punkcie 7 memoriału życzenie „połączenia z Polską” znacznej części obszarów Prawobrzeżnej Ukrainy jest skłanianiem Rządu Rzplitej Polskiej do wojny aneksyjnej w kraju, gdzie Polacy stanowią tylko nieznaczną odsetek. Wojna taka utrwali w ludzie ukraińskim na wieki niechęć do Polaków i Polski hodowaną dotąd sztucznie przez Moskwę, Niemców i nacjonalistów ukraińskich, popchnie nadto ten lud, zmierzający dziś do zrzucenia jarzma bolszewików rosyjskich w objęcia tychże bolszewików, zgnębioną zaś dziś ludność polską wyda ostatecznie na łup rozpasanego żywiołu. Taki „powrót Polski na Ruś” pod hasłem przyłączenia prowadzony,

będzie ostateczną utratą Rusi na zawsze, uniemożliwi bowiem w przyszłości jedyne, z tradycją historyczną Polski zgodne, rozwiązanie — powrót Rusi do Polski. Nie będę rozwodzić się nad tym, że próba wchłonięcia tylu obcych i — po aneksji — wrogich żywiołów na obszarach ukraińskich, które już tak tragiczną odegrały rolę w dziejach upadku Rzplitej, nie może leżeć w interesie Państwa Polskiego. Zwrócę uwagę tylko, że przy obecnym nastroju umysłów w Europie i w kraju wojna aneksyjna nie będzie popularna i zachwiać może powagę rządu w warstwach ludowych i w wojsku, bo dziś żołnierz o ile chętnie idzie na obronę granic — na podbój ziem ludności obcej nie pójdzie... Motywowanie aneksji „pełną nieudolnością narodu ukraińskiego” (punkt 2) jest uciekaniem się do argumentów, którymi uzasadniali w wieku XVIII nasi zaborcy konieczność rozbioru Polski. Wbrew owej nieudolności widzimy jednak w ciągu dziejów niesłychaną żywotność ludu ukraińskiego, który — zawsze pod obcym panowaniem — przetrwał hordy tatarskie, książąt litewskich, możnowładców polskich, wreszcie carów i czynowników moskiewskich i nawet pod eksterminacyjnymi rządami ostatnich nie zatracił oblicza swego, owszem, cichym cierpliwym podbojem ludowym rozszerzył swój obszar etnograficzny na Besarabię, Czarnomorze, Krym, Kubań, urósł do 30-milionowej potęgi a rabowany systematycznie i od wieków z inteligencji — zdołał jednak w najnieprzyjaźniejszych warunkach stworzyć własną literaturę. Wobec tego należy przypuszczać, że nie dziś to jutro lud ten obudzi się narodem do życia niepodległego i nie w interesie ani Rzplitej Polskiej, ani ludności polskiej w Ukrainie kłaść się tamą w poprzek drogi temu żywiołowemu procesowi. Bieg wypadków ostatnich dwu lat wykazał nie „nieudolność”, jeno niesłychanie trudne warunki w jakich wypadło dźwigać się z niebytu narodowi ukraińskiemu — bez inteligencji, pod nogami maszerujących z frontu hord bolszewickich, wśród wrogich odrodzeniu narodowemu hasła rewolucji socjalnej, wreszcie pod obłudną opieką Niemca, który złupiwszy Ukrainę miał ją wydać w ręce nacjonalistów moskiewskich. Owa „nieudolność” ukraińska, tak bezsilna wobec pokus Wschodu, zawsze okazywała się jednak udolna w stosunku do Polaków i to od czasów Chmielnickiego aż do naszych dni. O tym należy pamiętać, gdy się szykuje militarną aneksję i „zakładanie administracji polskiej na Rusi”.

Nie mogę się wreszcie zgodzić i na wniosek praktyczny memoriału — „w miarę rozszerzania terytorium Państwa Polskiego zakładanie administracji polskiej na Rusi”, przy czym P.K.W. skromnie oddaje do dyspozycji Rządu Polskiego „cały swój apa-

rat administracyjny, wszystkie swe komisariaty gminne, parafialne i powiatowe". Obawiam się, że takie terminy jak „sejm dzielnicowy”, „aparatus administracyjny” o ile przez Rząd Polski rozumiane będą w znaczeniu dosłownym, mogą wprowadzić go w błąd i że gdyby na tym zaofiarowaniu Delegacji zechciał Rząd oprzeć swą ofensywę w głąb Ukrainy, ów aparat administracyjny okazałby się darem Danaów. Dla znającego bowiem stan organizacji ludności polskiej w Ukrainie nie jest tajemnicą, że owe „sejmy”, „komisariaty” i „aparatus” nic wspólnego z rzeczywistą administracją polityczną, ekonomiczną i społeczną nie mają. Powyższe uwagi nad memoriałem podyktowała mi nie jakaś z góry powzięta doktryna, ani prywatna lub pospolite warcholstwo, lecz jedynie troska o istotny, na dalszą metę widziany interes Państwa Polskiego, który na szczęście w stosunku do Ukrainy nie jest sprzeczny z interesem ludności polskiej w Ukrainie. W zupełności i całkowicie podzielałam wyrażone w punkcie b) memoriału twierdzenie, ale w zastosowaniu nie do części, lecz do całości prawobrzeżnej Ukrainy i sądzę, że w tym punkcie zawiera się wszystko co Delegacja ma Rządowi Polskiemu do oświadczenia. Punkt ten brzmi: „W pozostałej części Wołynia, Podola i Ukrainy (należałoby powiedzieć: w prawobrzeżnej Ukrainie) Polska ma żywotne interesy narodowe wobec znacznej tam ilości Polaków, jakoteż interesy ekonomiczne wobec dominującego udziału Polaków w miejscowym gospodarstwie rolnym i w przemyśle. Z tego też względu przy decydowaniu ustroju wskazanego terytorium przez Konferencję Pokojową powyższe interesy polskie powinny znaleźć wszechstronne uwzględnienie a przede wszystkim konieczne jest zaprowadzenie stosunków prawdziwie praworządnych pod opieką Ligi Narodów przy udziale Polski, bez czego o zwalczaniu tam anarchii i bolszewizmu nie może być mowy”.

Poza tym P.K.W. na Rusi złożył był szeroko umotywowany wniosek do Sejmu Ustawodawczego o przyjęcie do swego grona 26 posłów z Rusi czyli o aneksję, formalną ziem, o które dopiero toczyła się walka. Chodziło tu przede wszystkim o zasilenie sejmowego stronnictwa narodowo-demokratycznego z przybudówkami o jeszcze co najmniej 19 posłów, którzy by karnie z endecją głosowali (Druk zawierający ten wniosek ze względu na ciekawe i kłamliwe jego umotywowanie załączam w jednym egzemplarzu tylko do rękopisu).

Wreszcie, żeby nie wracać już do tego smutnego i bezpłodnego epizodu mojej działalności wśród zbałamuczonej kresowej kołtunerii polskiej przytaczam mój list zawierający krytykę Komitetu jak i naszej Centrali:

„Do Zarządu Centrali Demokratycznej. Udział Centrali Dem. w Delegacji Sejmowej na gruncie warszawskim w ciągu całego roku sprowadzał się do biernego oporu, do obracania w niwecz lub rzekomego psucia wszelkich poczynań gnieźdzącej się w Delegacji endeckiej intrygi. Stosunek taki nie tylko demoralizował samą Centralę zmuszając ją do przeżuwania cudzych pomysłów i jałowej, przeważnie milczącej, opozycji, ale umacniał stopniowo stanowisko ND w Delegacji dając jej szereg niewątpliwych tryumfów. Do takich zaliczam: 1) Milczące przyzwolenie nasze na zabiegi endeckiego prezydium o dopuszczenie Delegacji do Sejmu wbrew stanowisku w tej sprawie demokracji sejmowej i naszemu własnemu. 2) Zabawianie nas przez pół roku jałowymi i zgoła niedemokratycznymi roztrząsaniem na temat granic, które doprowadziło wreszcie do podpisania memoriału do Komitetu Narodowego w Paryżu, w którym to memoriale przeliczyliśmy p. Dmowskiego „linią Murafy” na życzenie tegoż Komitetu. 3) Udział nasz w przyjęciu kompromisowego wniosku w kwestii cywilnego zarządu kresów wschodnich, wbrew wyraźnej uchwale Centrali Demokratycznej i pomimo tego, że zabiegi ND godziły wyraźnie w politykę kresową Komendanta i chciały z Delegacji uczynić organ doradczy klubu sejmowej endencji. Powodzenie rozzuchwala. Dziś stoimy wobec zamachu na przywiezioną z Kijowa konstytucję Delegacji. Nie ulega wątpliwości, że zniesienie w pojęciu *quorum* i w głosowaniu klucza partyjnego zadałoby ostateczny cios możliwości okazywania nawet tak biernej i niedołej jak dotąd opozycji i wprzęgłoby nas ostatecznie do rydwanu tryumfującej endencji... I to właśnie w chwili, gdy na polu wielkiej polityki polskiej gotuje się ostateczny bój pomiędzy dwoma zasadniczo sprzecznymi kierunkami — demokracją a nacjonalizmem, linią Komendanta a linią księdza Lutosławskiego. A w nas tymczasem usiłują wmówić, że to co gdzie indziej nie da się nigdy godzić jak ogień z wodą, w błotku kresowym — w Delegacji — powinno się godzić i współpracować. Na jesieni r.z. po udaremnieniu memoriału p. Berezowskiego o popieraniu katolicyzmu i wywołaniu powstania ludności polskiej w Ukrainie oraz po gwałtownej dyskusji nad memorandumem Delegacji dla ambasadorów angielskiego i francuskiego o tęsknocie ludności na Ukrainie do Denikina — postawiony był w Centrali Demokratycznej wniosek „stłuczenia naczynia”. Wniosek ten upadł, gdyż łądzono się nadzieją, że przyjść może chwila gdy placówka taka jak Delegacja Sejmowa może się nam przydać. Jakoż chwila taka nadeszła, ale tylko dla endencji — pragnie ona przy pomocy wspólnych narad z posłami „od większości” i drogą zakneblowania nowym statutem wszelkiej opozycji wewnątrz

Delegacji uczynić z Delegacji jeszcze jedną placówkę (niby kompetentną bo posiadającą *couleur locale*) do zwalczania w Sejmie i w opinii publicznej drogich dla nas zasad oraz polityki Komentanta. Wobec oczywistego niebezpieczeństwa i stwierdzonego już roczną praktyką niedołęstwa naszego stawiam wniosek nagły, który powinien być rozpatrzony na zebraniu Centrali przed naradami nad nowym statutem w delegacji: **UZNAĆ DALSZY UDZIAŁ CD W PRACACH DELEGACJI SEJMOWEJ ZA BEZCELOWY** i skorzystać z zamachu statutowego oraz z chwilowej zgodności z nami Stronnictwa Pracy Narodowej, by wyjściem naszym rozbić delegację (zostawiając p. Berezowskiego z mentorskim paluszkim i p. Sawickiego ze skorpionowymi rzutami w towarzystwie zjawiających się na zawołanie nawet o północy zawodowych hien wyborczych pp. Kaweckiego, Wierczaka, Chacińskiego itp. w ich właściwej roli agentów ND, wydelegowanych czasowo do pasienia „germanofilów” i „żubrów”. Gdyby wniosek taki został przyjęty, taktyka wystąpienia z Delegacji, umotywowanie go oraz porozumienie się z SPN będą oczywiście szeroko omówione. Wyjeżdżając na czas nieokreślony z Warszawy uciekam się do postawienia wniosku na piśmie, przesyłając list ten na ręce p. Juliana Poczętowskiego. Warszawa 5. II. 1920”.

Wracam do przerwanej toki wspomnień. Pierwszą moją troską po przyjeździe do Warszawy było skomunikować się z Hubertem, który, jak wspomniałem, po niefortunnej próbie gospodarowania w Winikowcach przekradł się do Krakowa, by kończyć przerwana naukę w Czernichowie. Wkrótce jednak, na wieść o zamachu Ukraińców na Lwów, cały jego kurs poszedł na ochotnika do wojska stawiając warunek, żeby ich nie rozdzielano, wcielono do jednej kompanii jako że wtedy będą mogli dać z siebie maksimum entuzjazmu. W grupie tej był przyjaciel Huby, syn Włodzimierza Tetmajera, który poległ w bitwie pod Brodami. W Niepołomicach musztrował ich jakiś austriacki feldfelbel nie znoszący inteligentów i stosował do nich wszystkie szykany austriackie do bicia włącznie¹. W dodatku wbrew ich zastrzeżeniu,

1. Z tą złośliwością władz wojskowych względem żołnierzy inteligentów spotkałem się w kilka lat później w Warszawie. Znajomy mój Ukrainiec, który ukończył był medycynę w Poznaniu i powołany został do wojska jako lekarz, odbywał półroczne przeszkolenie żołnierskie w szpitalu Ujazdowskim. Odwiedzał on mnie co niedzielę i skarżył się na swojego feldfelbla, uczącego ich maszerować, zamiatać i słać łożka, że specjalnie znęca się nad nim za to, iż każdą wolną chwilę poświęca przygotowywaniu się do egzaminów w Szkole Nauk Politycznych. Kiedyś poprosił mnie, czy bym przez swe stosunki nie wystarał się o zwolnienie go na dwa dni w celu zdania egzami-

przeznaczono ich do różnych formacji, wobec tego oburzeni i rozgoryczeni postanowili wiać. Ratując się potem od odpowiedzialności za dezercję wstąpili do nieregularnego oddziału głośnego partyzanta Jaworskiego, który operował przeciwko Ukraińcom w okolicy Włodzimierza na Wołyniu... Pierwszą o Hubercie wiadomość powziąłem przez Kraków od jego ciotki Felicji Morawskiej, że leży chory w Lublinie. Nie wiedział o moim przyjeździe do Polski i prosił kolegów o zawiadomienie ciotki. Pojechałem natychmiast i zastałem go leżącego pod kożuchem na podłodze w jakimś nieopalanym składzie mebli, przy nim stał dzbanek z zamarznąłą wodą i kawałek chleba.

Ponieważ oddział Jaworskiego nie miał żadnej pomocy sanitarnej, szpitala również nie było w pobliżu, koledzy przywieźli Huba do Lublina w koszu przymocowanym do dwu koni, jak za czasów Pana Wołodyjowskiego. A że partyzanta bez legitymacji żaden szpital nie chciał przyjąć, koledzy złożyli go w składzie mebli. Z wielkim trudem uprosiłem dr. Gromadzkiego, że go przyjął do swego mieszkania, gdzie Hub przeleżał kilka tygodni na zapalenie płuc. Doglądałem go i karmiłem na przemian z Tadeuszem. Poznałem wtedy bliżej tę bandę oczajduszów Jaworskiego, którzy otrzymywali żołąd żydowskimi zegarkami. Po wyzdrowieniu przewoźcę Huba do Warszawy i tu udało mi się wkręcić go do szwoleżerów. Stał dłuższy czas w koszarach na Ułańskiej, skąd poszedł na front litewski. Tymczasem przybywali coraz to nowsi moi pupile z Ukrainy. Pierwszy przekradł się przez front Januszek i przywiózł mi w podszwie 16 tysięcy rubli (Dumek). Wsadziłem go również do wojska i poszedł wkrótce na front białoruski, gdzie pomimo swego młodocianego wieku (miał 18 lat) wykazał nadzwyczajne uzdolnienie do partyzackiej wojny, jaka się prowadziła wśród błot pińskich w ciągłych utarczkach z bandami dywersyjnymi. Zużytkował on niektóre pomysły powstańców ukraińskich w walkach z bolszewikami a mianowicie użycie lekkich dwukołowych wózków (tzw. taczanek), na których woził kulomiot, miotacz min oraz pustą beczkę, w którą wkładało się obciążoną krótko lufę karabinu i wystrzelał przez taką beczkę wydawał huk podobny do strzału lekkiej ar-

nów. Zatelefonowałem do znajomego mi komendanta szpitala motywując swą prośbę tym, że chodzi tu o utalentowanego pisarza ukraińskiego, który kiedyś może będzie sławny, i że dobrze byłoby gdyby wyniósł z polskiej służby wojskowej dobre wspomnienie. Komendant (gen. Kołontaj-Srednicki) obiecał spełnić moją prośbę. Długi czas nie przychodził do mnie mój Ukraińiec aż po kilku tygodniach zjawił się i opowiedział, że zgodnie z poleceniem komendanta stanął do raportu i zamiast dwudniowego urlopu dostał tydzień paki. Takie były owe sławne polskie imponderabilia puszczone w obieg przez Piłsudskiego — gorycz zamiast entuzjazmu i niechęć zamiast sympatii.

maty. Przy wyprawach posyłano zwykle Januszka z jego taczanką pod osłoną kilku jeźdźców na tyły nieprzyjaciela dla udawania podczas walki swymi hucznymi strzałami nadciągającej odsieczy. Dowiedziałem się o tym wszystkim z ust rannego żołnierza z jego szwadronu. Ze szpitala Ujazdowskiego otrzymałem zawiadomienie, że przybył tam ciężko ranny i ma dla mnie wiadomości od mego bratanka. Zastałem leżący na łóżku kloc cały owinięty białymi bandażami z otworem na usta tylko i jedno oko. Przywiózł mi pozdrowienie i opowiedział swoją przygodę jak został ranny i po nieudanej potyczce dostał się do niewoli. Wzięto go zaraz pod brzozę na indagację w celu dowiedzenia się o liczebności polskiego oddziału itp. Za każdym razem kiedy ociągał się z odpowiedzią rąbano go po rękach, ramionach i głowie szablą, ociekał krwią i omdlewał. Kiedy miał się za zgubionego, naraz usłyszał niedaleko piekielny huk i strzały, zrozumiał że to Janusz i serce mu radośnie zabiło. Dręczyciele rozpierzchli się i został ocalony². Po Januszku przybył do mnie starszy brat jego Wacio, ten co wrócił był z niewoli tureckiej i chłopci po rozgromieniu folwarku jego ojca dali mu jako żołnierzowi zebrać plon z kilku morgów oziminy i jarzyny. Po spieniężeniu urodzaju przesiadział jakiś czas u matki w Zmierzynie (ojciec siedział w Czrezwyczajce) a gdy przyszedł Denikin, wyruszył do Polski. Kiedy szedł na pociąg, przed stacją w biały dzień opadli go Denikinowscy żołnierze, beniaminki i nadzieja Ententy, zdjęli zeń burkę, długie buty, ograbili z pieniędzy i dokumentów (w tej liczbie świadectwo tureckie Wehib-Paszy). Wacio poszedł wkrótce do wojska polskiego³.

2. W sierpniu 1920 Januszek poległ pod Płońskiem. Był ranny a zabity pod nim koń przygniół mu nogę i złamał w biodrze. Przeleżał tak do zmroku a gdy pole bitwy odzyskali Polacy, wydobyto go już dogorywającego i wraz z innymi rannymi złożono przy kościele, gdzie został pogrzebany we wspólnej mogile.

3. Ten wysoki silny chłop łagodny był jak wszyscy siłacze i milczący. Trudno było słowo od niego wydobyć, odpowiadał urywanymi zdaniami. Miał minę surową, mówił basem, był mało inteligentny, ale posłuszny i dobry. W dzieciństwie przezwano go „piastunem”, gdyż opiekował się młodszymi braćmi, oboje bowiem rodzice domu się nie trzymali. Kiedyś w Winikowcach poszedł Wacio z moimi chłopcami na spacer i daleko ode wsi spotkali samotnie idącego chłopaka wiejskiego. Wacio zdziwiony zapytał go tylko basem: — *De mama twojà?* (Gdzie twoja matka?) — i dziecko z rykiem pobiegło do wsi i jak mi potem mówiono dostało „perelaku” (przestrachu). W 1920 przydzielono Wacia do ochotniczego pułku jazdy operującego na północ od Warszawy. Mówił że jego szwadron składa się z fryzjerów, cukierników i zegarmistrzów, którzy słabo siedzą na koniu i w kłusie trzymają się siodła. Kiedy go zapytałem czy był w szarży, odrzekł: — Byłem dwa razy. — I cóż — pytam — straszno było? — „Oj straszno!” — No więc jakże? — „A koń sam niesie”. Już po odparciu bolszewików spod Warsza-

Po Waciu zjawiali się i byli czasowymi lokatorami mojego ma-
lutkiego pokoju młodzieńcy, przeważnie koledzy Pawełka, wszyst-
ko zbiedzone, obdarte, bezdomne. W końcu przyjechał bratanek
mój Jeremi, syn Stefana. Musiał uciekać z Lityna, gdzie mieszkał
z trzema moimi ciotkami, gdyż ostrzeżono go, że jest na spisie
bolszewickim. Zrazu uciekł na Hutę do naszej drobnej szlachty,
gdzie przechowywał się już mój brat stryjeczny Marian. Dobre to
było schowanie, gdyż w razie zjawienia się we wsi bolszewików
można było ukryć się w moich gęstych zapustach leśnych, które
ciągnęły się tuż za szlacheckimi ogrodami... Ale i stamtąd mu-
siał Jeremi wiać już nie od bolszewików, lecz od własnego ojca,
który go tam odkrył i począł dręczyć a straszyć — ale to już do
rzeczy nie należy i może kiedyś sam Jarema tę rzecz o wyrodnym
ojcu światu opowie. W Warszawie dzięki prof. Sujkowskiemu
dostał się Jarema na ostatni rok wydziału konsularnego Wyższej
Szkoły Handlowej — był 3 lata w takiejże szkole w Kijowie —
a że był obowiązkowy i pracowity, po skończeniu został asynten-
tem przy katedrze geografii ekonomicznej. O nim zresztą bę-
dzie jeszcze mowa.

Trudy odbytej podróży w okropnych warunkach z Winnicy
do Warszawy liche odżywienie się na okropnym chlebie kartko-
wym bez cukru i tłuszczów, choroba Huby i tułanie się w ostre
mrozy po Lublinie, wreszcie pleuryt nabyty w nieopalanym po-
koju podcięły moje siły i dlatego jak tylko pocieplało w pierw-
szych dniach kwietnia skorzystałem z zaproszenia Niemyskich i
wyjechałem z Leonem do Piorunowa. Od dwu i pół lat, tj. od
opuszczenia Winikowiec, nie byłem na wsi i dziwnie kojącego
doznałem uczucia znalazłszy się na wiejskiej drodze, na miedzy
polnej, w lesie, nad wiosennym błękitem stawów. Stopniowo,
powoli opuszczała mnie nabyta tam w Ukrainie świadomość za-
szczonego zwierza, który musi zginąć z ręki uzbrojonego w karabin
lub widły, upojonego bezkarnością barbarzyńcy. Z przyjemnością
widziałem jak moi gospodarze dysponują roboty na dzień jutrzej-
szy, jak zarybiają stawy, jak sadzą szczepy i żywopłoty. Pomaga-
jąc w tym sadzeniu dostałem dawno zapomnianego ataku serco-
wego, który mnie unieruchomił w łóżku na 3 tygodnie, i dał
poznać typowego prowincjonalnego lekarza, dr. Lipińskiego, ma-
jącego młyn w Szadku i pogrążonego w sprawach nie mających
nic wspólnego z jego zawodem. Na początku maja powrócił z

wy zjawił się Waciu u mnie szerniały od słońca i kurzu z obandażowaną no-
gą bez buta i opierając się zamiast laski na rosyjskiej dużej kawalerskiej
szabli w skórzanej pochwie. Był ranny w nogę. Pytam skąd szabla. —
„A zdobyta”. — Jakże to było? — „A zapędziłem go w rzekę”. — No i co?
— „I oddał mi szablę”.

Winnicy Kozak i przywiózł mi wiadomość, że Pawełek otrzymał już maturę, że oboje z Marią są wciąż u pp. Ostromeckich, ale że coraz większe trudności stoją na przeszkodzie ich wydostania się z Ukrainy. Z Kozakiem powróciłem do Warszawy i wkrótce wyprawilem go znów do Winnicy, żeby ułatwić Marii podróż do Warszawy. Dałem mu list, w którym donoszę o chorobie w lutym Huby i że jest już w wojsku z Markiem i Januszem, o tym że Jurek dotąd za granicą i „ma samych przyjaciół”, że w maju miałem atak sercowy w Piorunowie, gdzie dotąd przebywam, że nie wprzęgłem się do żadnej stałej pracy zarobkowej, gdyż boję się swej choroby, chcę się wprzódki podleczyć „i wciąż czekam na Wasz powrót”. Koniec listu brzmiał: „... To co było — skończone raz na zawsze i nigdy nie wróci. Chcąc odzyskać moc i chęć do życia trzeba mieć odwagę pluć na wszystko i od początku zacząć nie oglądając się wstecz poza siebie, bo to tylko roztkliwia i rozżala niepotrzebnie. A przede wszystkim musimy odtworzyć „stadko”, wyźłobić dlań jakąś tradycję nową, jakąś orientację wewnętrzną „naszą”, słowem stworzyć nasz dom jeśli nie fizyczny, to duchowy. Inaczej rozpierzchniemy się po świecie jak liście jesienne, nigdy się już nie skupimy jako swoi i jak po tamtym domu zostały jeno gruzy, tak po nas zostanie — milczenie. Ja tego domu już nie zbuduję, do tego potrzebna Musia i Ty Pawlusiu. Dlatego wyrzucie wszelki balast i bodaj nadzy starajcie się wydostać. Żaden przedmiot bodaj najcenniejszy nie jest wart jednej sekundy waszego i naszego niepokoju. A cóż dopiero jeśli się pomyśli o zmarnowaniu młodości a może i o niebezpieczeństwie życia dla Pawełka. Jakoś przedostają się tu ludziska końmi, tak niedawno z dziećmi przybyła tu p. Łychowska”.

Powrót moich ataków sercowych zaniepokoił mnie i z porady nie pamiętam już jakiego lekarza do zakładu dla nerwowo chorych w Grodzisku. Zakład ten prowadził znany działacz endecki dr Malewski (zginął na ulicy zabity przez samochód). Zajęty polityką rzadkim bywał w swoim zakładzie gościem, wyręczał się młodymi lekarzami⁴. Moim opiekunem był dr Czesław Teliga, chirurg z Moskwy, który w swoim wagonie sanitarnym wykradł był od bolszewików poszukiwanego ks. Kazimierza Lutosławskiego przebranego za sanitariusza. Za tę snąc przysługę oddaną endencji (bo nie Polsce) dostał to liche zajęcie w Grodzisku. Wysocki był, z bródką, miał wygląd kacapski, urodzony w głębi Rosji był porządnie zruszczony i czuł się bardzo osamotniony, tak

4. 22 lipca 1919 gen. Józef Haller spożył u nas podwieczorek w gronie biednych melancholików, w których imieniu i na ich prośbę powitałem go żartobliwą mową.

samo jak i ja, wśród zakładowej, przeważnie endeckiej publiczności. Przyłgnał więc do mnie, każdą wolną chwilę spędzał w moim pokoju. Opowiadał mi m.in. o tym jak poczuł się Polakiem. Był to jakiś pospieszny odwrót wojsk rosyjskich w Mińszczyźnie. Jechał konno przy swym lazarecie i na moście zepchnięty przez tłoczące się tabory zleciał z koniem do rzeki i dopłynął do wyspy. Był ciepły wrzesień, na wysepce stała kopica siana, postanowił tedy rozebrać się i wysuszyć odzież a konia puścić paść się. Leżąc nagi pod kopicą na słońcu zasnął i kiedy się obudził, cisza już panowała na moście i ślad po wojsku zaginał. Zwinął tedy podsuszoną odzież, siadł nago na konia i dopłynął do drugiego brzegu. Dopędzając samotnie przez lasy w ciągu kilku godzin swój oddział znalazł się o zachodzie słońca na rozległej polanie pokrytej zwartym liliowym kobiercem kwitnących wrzosów. Widok ten, po raz pierwszy oglądany, przypomniał mu naraz opowiadanie babki, jedynej podtrzymującej w ich domu tradycję polską, o kwitnącej w Polsce na leśnych polanach liliowej roślinie, która nazywa się wrzosem i od niej miesiąc jej kwitnienia otrzymał nazwę września. — „Od tej chwili — mówił doktor — obudził się we mnie sentyment do tej nieznaney mi ziemi, na której we wrześniu kwitną wrzosy”. Opowiadań moich o Polsce słuchał chciwie i kiedy go po roku odwiedziłem we Lwowie, był już dobrze mówiącym po polsku Polakiem.

Powróciłem do Warszawy 20 sierpnia, 24-go przyjechał Jurk z Paryża, powitałem go z wielką radością po 5-letnim niewiedzeniu się. Wrócił teraz do kraju z wielką niechęcią. O Polakach których spotykał za granicą i o ich zabiegach dyplomatycznych mówił z przekąsem, zwłaszcza miał jakiś niepojęty dla mnie uraz na punkcie Augusta Zaleskiego, którego uważał za swego prześladowcę. Mówił że wrócił, żeby tylko nas zobaczyć, ale nie widzi dla siebie żadnego pola pracy w ojczyźnie. W kilka dni po nim przyjechała Maria z Pawełkiem, ich pierwsze zetknięcie się z Polką, która przejęła i utrzymała biurokratyczne porządki austro-niemieckie, nie było zbyt przyjemne — przetrzymano ich znużonych uciążliwą drogą nie wiadomo po co dwie doby zamkniętych w jakimś baraku z cementową podłogą w Tarnopolu zanim wydano niepotrzebne nikomu zaświadczenia i przepustki. Po wybuchach radości, że nareszcie uniknęliśmy niebezpieczeństw i znów jesteśmy razem przyszła troska jak dalej żyć. Cisnęliśmy się w jednym pokoju śpiąc na podłodze, bo było tylko jedno łóżko, obiady jadaliliśmy w garkuchni na Kredytowej, czuliśmy się skępowani w cudzym mieszkaniu. Matura Pawełka okazała się niedostateczną do wstąpienia na uniwersytet, musiał zdawać uzupełniający egzamin i wreszcie przy pomocy b. uczynnego prof.

Handelsmana zapisał się na wydział prawny. Z balkonu na Lipowej widać było wieczorem oświetlone trzy okna jego audytorium — przyjemnie mi było wiedzieć, że tam przebywa Pawełek. Jurek na próżno szukał gdzieby się czegoś czeplić i wciąż odgrażał się, że pojedzie do Stambułu, podczas wojny bowiem pracował w Bernie w poselstwie tureckim i zaprzyjaźnił się był z posłem, z którym wspólnie studiowali sinologię. Maria wciąż nie mogła rozstać się z myślą, że musi wrócić sama do Winnicy, żeby ocalić jeszcze niektóre rzeczy i wydobyć należności. Hub po trzyletniej ciężkiej żołnierce dostał się wreszcie z trudem do podchorążówki i miał widoki na bardziej ludzkie bytowanie w wojsku. Tylko ja, podobnie jak Jurek, nie mogłem znaleźć „swojego” miejsca w miłej ojczyźnie. Przez te kilkanaście lat spędzonych na Podolu „odzwycałem się” od Polski, wyszedłem ze stosunków z ludźmi. Wprawdzie spotykałem dawnych znajomych, o wielu z nich głośno było w kraju, ale jakże byli odmienieni, pijani niepodległością, przejęci państwowotwórczością (nowoukute słowo), pochłonięci robieniem kariery politycznej i wojskowej. Wszystkie placówki państwowe były już obsadzone ludźmi „zasłużonymi” i tzw. niepodległościowcami. (Któż się nim nie okazał, nawet ten z powieści Nałkowskiej, co kiedyś pijąc ranną kawę dowiedział się, że był uczestnikiem powstania!). Był już sejm ustawodawczy, do którego wejść można było, tak jak i wszędzie, jedynie należąc do któregoś ze stronnictw. Czułem się obcy w tym rozgardiaszu politycznym a do partyjnych chomąt nie byłem przyzwyczajony.

Razu pewnego, wkrótce po moim przybyciu do Polski, zawiadomił mnie ktoś telefonicznie, że minister spraw wewnętrznych Stanisław Wojciechowski, mój znajomy z czasów studenckich i pepeesowskich, pragnie mnie zobaczyć. Poszedłem do b. domu Zamoyskich na Nowym Świecie, gdzie się mieściło ministerium, oglądać dygnitarza. Uściskał mnie serdecznie, posadził w wygodnym fotelu skórzanym i zapytał, co zamierzam robić w Polsce. (Pamiętał nasze spotkanie ostatnie, zimą 1914 w Warszawie, kiedy proponował mi jazdę autem w odwiedziny do tworzącego się pod Warszawą legionu Górczyńskiego i kiedy prowadził mnie do Władysława Grabskiego na naradę, jak się zachować na wyjazd do Warszawy cara, który był wówczas w Dęblinie — i liczył na to, że uda mu się mnie jako niezaangażowanego w żadne orientacje polityczne wciągnąć do swej „konstrukcyjnej i państwowotwórczej” pracy). Odpowiedziałem, że przede wszystkim chcę wypocząć po ciężkich przejściach i rozejrzeć się w zupełnie nowych dla mnie stosunkach. — „To dziwne —

zauważył minister — że porządni ludzie nic nie chcą robić a dranie usiłują wcisnąć się do każdej roboty wszystkimi szczelinami”. Na moje zapytanie jak on się czuje na stanowisku ministra odrzekł, że jedyną jego ambicją jest stworzyć w Polsce taką policję, która — dobrze wynagradzana i niezależna — posiadałaby autorytet taki sam jak w Anglii, że nikomu nie przyszłoby nawet na myśl oprzeć się jej rozkazom lub próbować ją przekupić. (Może z tych naiwnych i sprzecznych z dziejami wszystkich policji świata marzeń powstał ustęp „panie posterunkowy” w „Przedwiośniu” Żeromskiego. Wiemy teraz dobrze jaka była nasza policja od chwili zabójstwa Narutowicza aż do ostatnich dni dzisiejszych). Zrozumiałem, że z człowiekiem żywiącym takie niepoprawne ambicje nie jest mi po drodze, nawet pomijając jego podpis z endecją i ugodą na adresie do cara. To była jedyna próba wciągnięcia mnie do „twórczości państwowej”. — Nie biorąc udziału w polskim życiu politycznym nie pociągającym mnie wcale i dziwnie płytkim, pełnym jakichś niezrozumiałych dla mnie animozji, wciąż natykałem się jednak na bliskie mi i znane zagadnienie ukraińskie czy to na posiedzeniach Komitetu Wykonawczego na Rusi (o czym wspominałem już wyżej), czy na zebraniach Centrali Demokratycznej w mieszkaniu Eugeniusza Starczewskiego i przez niego wciąż zwoływanych, wreszcie na inicjowanych przez tegoż Starczewskiego konferencjach z Ukraińcami z poselstwa, posłem Michajłowem, radcami Poniatenką i Rzepeckim. Nawet na zebraniach Związku Ziemi Kresowych (Pasaż Simonsa pokój 414, ul. Długa 50) wciąż tłukła się ta sprawa zarówno jak na fantastycznych odczytach różnych osób przybywających z Ukrainy. Podleczywszy się tedy i odpocząwszy postanowiłem udać się przy pierwszej sposobności na Podole — toczyła się wciąż jeszcze pozał się boże „wojna” polsko-ukraińska — i samemu zobaczyć jak tam jest rzeczywiście. Zdarzyło się właśnie, że 16 września 1919 wyjeżdżała do Kamieńca polska misja handlowa pod kierunkiem Józefa Lipkowskiego z kilku urzędnikami różnych ministeriów (skarbu, rolnictwa, przemysłu i handlu), do której postanowiłem przyłączyć się w charakterze dziennikarza. Komisji towarzyszyli Barniecki i Poczetowski z żoną. Maria, która przed paroma zaledwie tygodniami przybyła z Winnicy, naparła się jechać ze mną, żeby samej dotrzeć do Winnicy, zlikwidować tam różne należności pieniężne i zabrać trochę niezbędnych rzeczy. Ponieważ miała się od nas odłączyć w Płoskirowie, dla zabezpieczenia jej od możliwych przykrości ze strony wrogich Polakom władz ukraińskich, udałem się za poradą innych jadących na Ukrainę do tzw. konsulatu ukraińskiego, mieszczącego się w dwu pokojach na 3-m piętrze Hotelu Europejskiego.

(Jak się później dowiedziałem od Ukraińców była to zupełnie prywatna impreza niejakiego Jakały Pawluka, doskonale mówiącego po polsku, który zrobił sobie pieczętkę z tryzubem ukraińskim sprawił drukowane blankiety przepustek i pobierał za wydawanie ich zapłatę. Musiał robić w tych czasach zamętu kokosy, gdyż na korytarzu hotelowym zastałem długą kolejkę ludzi różnej kondycji). Na odwrocie naszych polskich paszportów „pan konsul” raczył napisać po ukraińsku, że poleca nas szczególnej opiece władz i przyłożył swą śliczną pieczętkę. — Podróż była bardzo męcząca, do Płoskirowa przybyliśmy dopiero na piąty dzień (21. IX.) ponieważ się po podłogach w wagonach i na dworcach, misja handlowa odłączyła się od nas w Tarnopolu i odjechała swoimi autami wprost do Kamieńca. Kordon graniczny przechodził przed Płoskirowem przez małą stację Wojtowie, na której nas wysadzono z Baranieckim i Poczętowskimi. Trzeba było iść dość daleko od stacji do komendanta ukraińskiego, który po obiedzie wypoczywał w sadku wiśniowym i przyjął nas także w neglizju ziewając i nie spiesząc się. Miałem wrażenie, że mam przed sobą jedną z postaci Gogola, żałuję, że nie zapisałem naszej z nim rozmowy o polityce światowej i wielkości Ukrainy. Pieczętka konsula nie zrobiła żadnego wrażenia, dopomogła nam raczej wrodzona dobroduszość i ociężałe lenistwo komendanta oraz dyplomacja Poczętowskiego i jowialny humor Baranieckiego. Zaopatrzeni w pozwolenie przekroczenia kordonu ruszyliśmy do Płoskirowa, gdzie rozstaliśmy się z Marią. Jechał tym samym pociągiem do Winnicy dyrektor tamtejszego Syndykatu Rolniczego p. Wąsowicz, którego prosiłem o zaopiekowanie się Marią — na jej nieszczęście. Po kilku dniach dowiedziałem się w Kamieńcu, dokąd specjalnie w celu zawiadomienia mnie przybył winnicki adwokat Tomicki, że Maria w Zmierzynie została przez galicyjskich siczowych strzelców (USS) aresztowana za rozmowę na dworcu w języku polskim z Wąsowiczem i siedzi internowana za drutem w tejże Zmierzynie⁵. Baraniecki, który wracał wcześniej do Warszawy poruszył sprawę aresztowania Marii w prasie i alarmował władze polskie, ale mnie udało się dostać do ukraińskiego ministra wojny Petriwa, który posłał swego adiutanta do Zmierzynki i ten zwolnił Marię. Piątego października

5. Opowiadała mi potem Maria jak przeżyła w nędzy 11 dni w lichym żydowskim domostwie otoczonym drutem kolczastym, jak ją zaraz oblażył wszy pod kolanami i pod pachami, jak myła podłogę i zamiatała podwórze, jak pocieszała siedzącą tam od dawna hrabinę Komorowską z Galicji, którą siczowcy wywieźli z majątku i ciągnęli wszędzie za sobą — pokryta była ranami wygryzionymi przez wszy; jak siedzący z nią Zaremba, obywatel podolski, któremu grożono rozstrzelaniem, powierzył jej tajemnicę zakopanego w jego majątku złota itp.

otrzymałem depezę od Piotra, że jest już w Winnicy, skąd wyjeżdża z powrotem do Warszawy już 8. X.

W Kamieńcu zamieszkałem u dr. Tadeusza Załęskiego, którego znałem jeszcze z czasów gimnazjalnych, był o parę klas niżej ode mnie i wraz z Bronisławem Sadowskim i Wacławem Kochańskim uważał siebie za kontynuatora mojego w budzeniu ducha wśród młodzieży gimnazjalnej. Ów senny Kamieniec z czasów mojego dzieciństwa rozbrzmiewał teraz gwarem snujących się, rozprawiających głośno po ukraińsku tłumów, wśród których spotykało się sporo żołnierzy i oficerów w najrozmaitszych uniformach. Cywile chętnie nosili na piersi emblematy narodowe. Dzięki zapewne znacznej domieszce galicyjskich Rusinów wyczuwać się dawał nastrój tych tłumów tak nacjonalistycznie podniecony, że na ulicy rozmawialiśmy z Poczetowskim po francusku „*człoby gusiej nie razdrażnił*” — jak pisał bajkopisarz Kryłow — i nie natknąć się na ordynarną burdę, wszak przyjechaliliśmy badać. Miejscowa ludność polska i sporo wygnanego z majątków ziemiaństwa siedziała jak mysz pod miotłą, nie było jej wcale widać, tylko sygnaturki jak dawniej żałośnie jęczały na kościołach. — Nie pamiętam jak się to stało, że zaproszono mnie z Poczetowskim na konferencję z dziennikarzami i działaczami ukraińskimi: rozmowy w języku ukraińskim toczyły się dokoła potrzeby i możliwości jakiegoś porozumienia polsko-ukraińskiego wobec nasuwającej się na oba państwa grozy Denikinowskiej i boszewickiej. Zważywszy, że większość obecnych składała się z galicjan, rozmowy te były bardzo akademickie i nieszczerze, nie mogły więc doprowadzić do jakichś praktycznych wyników. Zapamiętałem z galicjan nazwiska Starosolskiego i Osipa Nazaruka. Ten ostatni był czymś w rodzaju komisarza politycznego przy pułkach siczowych strzelców, zaprosił był mnie do siebie dla celów informacyjnych, pokazał mi składy swoich wydawnictw propagandowych i przyznał się, że przygotowuje przekład „Konrada Wallenroda” za pomocą którego chce w strzelcach niecić nienawiść (do Polski?)... — powiedział z uśmiechem — do wroga. Wśród obradujących był z prawdziwej Ukrainy eser Lubieniecki, z którym najprzyjemniej było mi rozmawiać, odczuwałem w nim bowiem szczerą sympatię a nie obłudną grzeczność galicjan — ten zaprowadził mnie był do szpitala dla poznania jednego z głośniejszych powstańców (zapomniałem nazwiska), który leżał po przebyciu tyfusu plamistego, dziesiątkującego wojsko ukraińskie i ludność. Spisałem był bardzo ciekawe rozmowy z owym atamanem powstańczym i informacje Lubienieckiego — bloczek ten z notatkami skradziono mi potem w Warszawie. Na konferencji był jeszcze Polak uważający się za Ukraińca i przezywający się Sawa Kry-

łącz, a był rodzonym bratem pepesowca Stanisława Siedleckiego, późniejszego senatora Rzplitej. Ten oprowadzał nas po Kamieńcu z przypasanym u boku ogromnym mauzerem i opowiadał po ukraińsku niemądre rzeczy, tchnące niechęcią i pretensjami do Polski. Zaprowadził nas na przegląd wojska dokonany przez samego atamana Petlurę na placu tak dobrze mi znanym przed gmachem gimnazjalnym. Ongi plac ten w dzieciennych moich oczach był przestronny i imponujący, teraz wydał mi się zaściankowy, porośnięty zielskiem i śmiesznie mały, za wielki jednak dla liczby wojska na nim defilującego. Cała rewia sprawiła na mnie żałosne wrażenie. Przed zbitą na prędcę z desek trybuną, na której stał salutując Petlura w otoczeniu kilku wojskowych, przechodziły w milczeniu grupki żołnierzy różnego autoramentu, rozmaicie odziane i uzbrojone. Była nawet grupka w świtkach i słomianych kapeluszach przypominająca czasy sankiulotów i naszych kosynierów. Rozumiałem, że mam przed sobą improwizowaną prawdziwą armię ludową, borykającą się z brakiem broni, amunicji, odzieży. Uderzał brak artylerii i jazdy oraz nieobecność galicyjskich siczowych strzelców jedynie przypominających regularne wojsko. Świadczyło to o śmiertelnym rozdwojeniu w tym porywie ruchu ukraińskiego, które doprowadziło z czasem do haniebnej zdrady tych strzelców — przejścia ich na stronę Denikina a potem bolszewików. — Konferencje misji handlowej nie dały, bo dać nie mogły wobec ówczesnego stanu Polski i Ukrainy, żadnego praktycznego wyniku i po kilku dniach misja znów własnym autem opuściła Kamieniec. Zabrali i mnie łaskawie, widziałem po drodze ruiny Husiatyna, zdziczałe pola i w gruzach wsie i miasteczka Wschodniej Małopolski, po których przetaczał się tylokrotnie magiel wielkiej wojny. — Nie miałem czasu na odszukanie śladów dawnych znajomych w Kamieńcu, dla pamięci jednak muszę zanotować parę przypadkowych spotkań. Na ulicy natknąłem się na popa z sąsiedniej z Winnikowcami wsi Dubowej — przyjeżdżał był kiedyś do mnie w jakiejś sprawie gospodarczej. Stał teraz zdumiony i rozkrzyżował ręce, miał mnie za zamordowanego, bo taka krążyła o mnie legenda. Ucieszyliśmy się nawzajem, przyjemnie mi było zobaczyć kogoś z tamtych stron, poprosiłem go, żeby zawiadomił o tym że żyję winnikowieckiego parocha i poprosił go ode mnie, by na niedzielnym kazaniu ogłosił, iż jestem w Polsce że jest mi dobrze w ojczyźnie, że wspominam życzliwie wszystkich znajomych chłopów, pozdrawiam ich i życzę im wszystkiego najlepszego. — Tego samego dnia przechodząc Nowym Bulwarem zobaczyłem siedzącego na ławce i wygrzewającego się na jesiennym słońcu mojego nauczyciela geografii Woszczyzna, który mi postawił pierwszą pałkę

w 1-ej klasie (zob. *Lata szkolne*). Usiadłem na chwilę przy nim, żeby mu się przyjrzeć z bliska: groźne wodniste oczy, którymi nas straszyl, zmętniały jak u starych psów, głowa starczo się trzęsła, ta ruina człowieka nie budziła już we mnie żadnych uczuć — odszedłem nie rzekłszy doń słowa.

W Warszawie zjechaliśmy się z Marią prawie jednocześnie. Nic nie wskórała z odbiorem różnych należności i trzeba było pomyśleć o jakimś zarobkowaniu, gdyż sumy przekazane przez Baranieckiego uwięzione były w kamienicy (na rogu Śniadeckich i 6-go Sierpnia, co dzień koło niej teraz przechodzę) nabytej do spółki z wywiezionym do Moskwy wice-konsulem holenderskim Janem Ostromęckim, z moimi braćmi i jeszcze z kimś. Za pośrednictwem kogoś z Centrali Demokratycznej dostałem się na kierownika wydziału prasowego w centrali Zarządu Cywilnego Wołynia i Frontu Podolskiego, którego naczelnym komisarzem był b. minister Antoni Minkiewicz. Co dzień na 8-ą rano szedłem na Świętokrzyską nr 5 i przy pomocy panny Barbary Beaupré i jeszcze kogoś wysmażaliśmy na godz. 12 przegląd prasy, który odbity na maszynie rozsyłany był ministrowi i wydziałom. Ten niemądry i niepotrzebny a nawet wręcz szkodliwy zwyczaj uprawiany był we wszystkich ministeriach i urzędach brało się na serio i rozmnażało nie wiadomo po co głupie i najczęściej w złej woli pisane bzdurne elukubracje analfabetów dziennikarskich z prasy codziennej, stojącej zaiste na bardzo niskim poziomie intelektualnym i moralnym. Wkrótce oddano mi referat spraw politycznych, które musiałem codziennie referować osobiście Naczelnemu Komisarzowi natychmiast po jego przybyciu do biura. Te codzienne rozmowy zbliżyły nas, nabrałem sentymentu do tego szlachetnego i rycerskiego zwierzchnika a on darzył mnie coraz większym zaufaniem. Obaj byliśmy „młodymi” urzędnikami a raczej nigdy nimi nie byliśmy, nie mieliśmy rutyny galicyjskiej i każdą sprawę traktowaliśmy po ludzku, a nie mogło być przy tym żadnych nieporozumień, gdyż zasadnicze nasze przekonania i wierzenia były bardzo zbliżone. Ta świadomość nadawała urok mojej pracy i czyniła ze mnie człowieka oddanego całą duszą przyjętym na siebie obowiązkom. Z tej mojej półrocznej działalności zanotuję tylko kilka epizodów spośród mnóstwa ciszących się mi w pamięci. Minister co pewien czas objeżdżał ziemie powierzone jego urzędowi i zawsze brał mnie z sobą, z tych objazdów zachował się szereg fotografii i urywek mojego listu do Marii pisany z drogi⁶. Te ziemie obejmowały Wołyn w granicach

6. List z Tarnopola do Warszawy z 8. II. 1920: „...Dotąd jadę pomyślnie, z Warszawy mieściliśmy się w jednym wagonie i w nocy większość

mniej więcej obecnego województwa Wołyńskiego ze stolicą w Łucku oraz powiaty Staro-Konstantynowski, Płoskirowski, Kamieniecki i Uszycki Podola stanowiące zawiązek województwa Podolskiego, które nawet posiadało już swojego wojewodę p. T. Krzyżanowskiego. W tych objazdach mieliśmy do czynienia z administracją naszą oraz z wojskiem, które pod wodzą generałów Listowskiego, Romera, Krajowskiego i Iwaszkiewicza stało wzdłuż ruchomych, jeszcze granic. Na konferencjach z wojskowymi musieliśmy im tłumaczyć że są nie w kraju zdobytym lecz na ziemi polskiej, że ludność aczkolwiek innej narodowości i wyznania jest obywatelami Rzplitej Polskiej i musi być odpowiednio traktowana. Muszę wyznać, że generałowie jak Listowski i Iwaszkiewicz o tradycjach rosyjskich nie bardzo tę zawiądą dla nich politykę rozumieli, endecko zaś nastrojone oficerstwo trzymało się mocno nacjonalistycznej koncepcji, że można i powinno się po żołniersku uzbrojoną pięścią rozstrzygnąć wszystkie zawiłe sprawy narodowościowe i wyznaniowe, które już ongi przywiodły Polskę do upadku. Ale to byli żołnierze, którym wiele można wybaczyć. Gorzej było z administracją cywilną, gdzie od góry, od wojewodów i starostów w rodzaju pp. Aleksandra Dębskiego wściekłego endecka i Smolskiego krypto-endecka, do ostatniego ciemnego sfanatyzowanego urzędniczym mocno zasiadło ziejące i syczące tłumioną nienawiścią endectwo⁷. Nie mogąc jawnie sabotować zarządzeń i posunięć Naczelnego Komisarza, usiłowało kąsać go w napaściach prasowych bezimiennych, inspirowanych. Tak wychodząca w Kamieńcu *Ziemia Podolska* powitała przyjazd Naczelnego Komisarza, przedstawiciela Państwa Polskiego, do miasta tylko co wyzwolonego z odmetu bolszewickiego i chaosu ukraińskiego wstępny artykułem — „Pomniejszyciele ojczyzny”. Inny późniejszy artykuł *Gazety Warszawskiej* pt. „P. Minkiewicz tworzy Ukrainę” zachował się przypadkiem

spała siedząc, tylko mnie jako starego minister zaprosił na noc do swego przedziału i spałem nawet rozebrany. W drodze karmił nas dobrze, bo jedzie z nami kucharz... We Lwowie, gdzie zatrzymaliśmy się 8 godzin, widziałem dra Teligę — przyjął mnie jak ojca. Byłem i u Stawińskich. Dla mnie minister jest z wielką atencją, sadza mnie jak św. Jana po swej prawicy, bierze do auta i nawet pozwala na żarty, które tylko mnie uchodzą... Śliczny dzień spędziliśmy na zwiedzaniu Tarnopola a starszyzna na rozmowach z gen. Iwaszkiewiczem. Jutro staniemy w Kamieńcu, zabawimy tam 3-4 dni, dzień w Płoskirowie, dwa w Łucku, jeden w Równem, za dni 10-12 wrócę do Warszawy”.

7. Im dłużej żyję wśród Polaków najróżnorodniejszych kondycji i stanowisk społecznych, tym bardziej skłonny jestem mniemać, że najistotniejszą emanacją „ducha” polskiego jest obłęd endecki, nieący dokoła nas niechęć i nawet nienawiść.

u mnie i przytaczam ten stek insynuacji i bredni na pamięć (druk):

„Naczelnny Komisarz Wołynia i Podola p. Minkiewicz tworzy Ukrainę. Został upatrzony na tego, który koncepcję federacyjną ze sfery teoretycznych zamierzeń ma w realne przyoblec kształty. Poruczono ten mandat człowiekowi, który w kole osobistych swych uczuć tracąc niedawno matkę i brata zamordowanych przez Ukraińców chyba dość dużo doświadczył na sobie, by zrazić się zupełnie do wszelkich w tej mierze eksperymentów. A przecież podjął się tej akcji. W lutym przybył p. Minkiewicz do Kamieńca Podolskiego w chwili gdy w pełnym toku powstawała na tym obszarze organizacja polskiej administracji cywilnej. Pomimo znacznych tarć jakie powstały z 'rządem ukraińskim' Komisarz dla Wołynia i Podola nie zszedł z zakreślonej drogi i energicznie dążył do wytkniętego celu, choćby przyszło opornych ministrów prowadzić pod konwojem na konferencje polityczne. Zaraz na wstępie gdy maszynki do robienia pieniędzy tłocząc olbrzymie sumy, narażające w wysokim stopniu ludność Podola na ogromne straty, przez przedstawiciela władzy polskiej zostały opieczetowane, za przybyciem p. Minkiewicza rozpoczęły znowu swoją wydatną działalność. Zainicjowana dalej została w dalszym ciągu inspirowana robota w kierunku zbliżenia polsko-ukraińskiego, wszelkie jednakowoż w tej mierze zapędy ignorują koła ukraińskie. Po niezbyt fortunnym pobycie w Kamieńcu przybył p. Minkiewicz w dniu 15 lutego do Płoskirowa i zjawił się w tym mieście w samą rocznicę rzezi żydowskiej urządzonej przez 'brygadę zaporoską im. naczelnego atamana Petlury' (?) pod wodzą Semesenki. Na przyjęcie reprezentacyjne obok Polaków przybyli Werchoła b. powiatowy komisarz ukraiński i Mudryj, ukraiński kierownik oświatowy, znany w przeszłości jako zacięty wróg oświaty polskiej — dalej przedstawiciele ludności rosyjskiej i żydowskiej. Kiedy płk Oświecimski w krótkich słowach, prostych, żołnierskich, zaznaczył, że gdzie tylko stanie stopa żołnierza polskiego — tam Polska, poderwał się p. Komisarz i zaznaczył mniej więcej, że przyszliśmy tu nie w roli okupantów, lecz jako przedstawiciele zaprzyjaźnionego mocarstwa dla ustanowienia ładu i zapewnienia porządku. Przed chwilą tu zaznaczono, że gdzie stanie stopa żołnierza polskiego tam Polska, otóż to nieprawda! W ten sposób p. Minkiewicz rozwinął wytyczne polsko-ukraińskiego zbliżenia i wniósł toast na cześć wielkiej, niezależnej i samodzielnej Ukrainy. Zabrał głos następnie p. Werchoła i wniósł toast na cześć armii polskiej a kierownik oświaty Mudryj na cześć wielkiej Polski i wielkiej Ukrainy. Padały dalej

słowa p. Skibniewskiego i p. Kownackiego pełne radości, że stworzona została zgoda i harmonia i 'możemy podać sobie dłoń by pracować dla przyszłości'. Piramidalny był nastrój na sali, gdy po każdym toaście miejscowa muzyka żydowska grała obok polskich pieśni „Szचे ne wmerła Ukraina”. Czy te występy p. Minkiewicza na gruncie kamienieckim i płoskirowskim doprowadziły do takiego zwrotu w kołach ukraińskich — wątpić bardzo należy. Targnęły w każdym razie administracją budząc wśród niej niebywałe zdziwienie a wśród społeczeństwa polskiego żywe zaniepokojenie. Tkwi bowiem w tej grze wielkie niebezpieczeństwo, które wśród takich warunków może stać się zjawiskiem bliższym aniżeli się tego spodziewają twórcy federacyjnej koncepcji”.

Z wizytacji naszych pamiętam jedną scenę. W Płoskirowie po bytności na nabożeństwie w kościele katolickim odwiedziliśmy synagogę witaną mowami i w końcu zaszliśmy do prawosławnej cerkwi, której wieża i strop zburzone były armatnimi pociskami i nabożeństwo się nie odbywało. Pop uprzedzony o naszym oficjalnym przybyciu spotkał nas w przedsionku cerkwi w ornaście i w asyście duchowieństwa i odprawił skrócone nabożeństwo, w którym modlił się za „chrystolubiwe wojsko polskie i za Naczelnika Państwa”. Minkiewicz popatrzył przy tym na mnie i szepnął: — „To za Dziadka”.

Z Minkiewiczem przeżyłem jedno zdarzenie, które mnie nauczyło jakie są najważniejsze cechy urzędującego zwierzchnika, a mianowicie: szybkość decyzji, bo życie nie czeka, oraz umiejętność dobierania sobie ludzi nie tylko oddanych, ale którzy w razie mylnej decyzji będą mieli odwagę ją naprawić lub uchylić. (Tej drugiej cechy był pozbawiony Piłsudski, nie znosił przy sobie nikogo, kto by mu miał odwagę powiedzieć, że „tylko do tej mety, panie marszałku”). Owóż nadeszło z Kamieńca zawiadomienie naszego kontrwywiadu, że u miejscowego archijereja (biskupa prawosławnego) ukrywa się osławiony redaktor polakożerczego dziennika *Kijewlanin* Szulgin, który uciekł był spod bolszewików a czując swe grzechy krył się przed Polakami. Zawiadomienie nadeszło w sobotę, przyniesiono mi je już popołudniu z napisem Naczelnego Komisarza: „Natychmiast aresztować Szulgina i przywieźć do Warszawy”. Pobiegiłem do Minkiewicza, ale on, korzystając z soboty, wyjechał już był do rodziny. Miałem duże wątpliwości, postanowiłem rozkazu nie wykonywać i czekać powrotu ministra. W poniedziałek od rana stawiłem się u ministra i zacząłem od tego, że nie wykonałem rozkazu. Zachnął się krewki minister: — „Dlaczego?”. Wytłumaczyłem, że

dopóki ukrywa się, nie jest dla nas niebezpieczny, aresztowany zaś i przywieziony do Warszawy musiałby być wkrótce wypuszczony na wolność, żaden bowiem prokurator nie mógłby go prawnie oskarżyć o artykuły drukowane za cara przeciwko Polakom na gruncie rosyjskim. A wypuszczony na wolność stałby się Szulgin dopiero dla nas niebezpieczny i mógłby nawet zacząć wydawać w Warszawie gazetę! Był już zresztą precedens ze słynnym na Ukrainie Machną, którego sąd polski uwolnił od odpowiedzialności za czyny i grabieże popełnione na niepolskim terytorium. (Machno wyjechał potem do Paryża i tam przystał do anarchistów). Minkiewicz wysłuchał mnie, wstał, ucałował i rzekł: „Dziękuję ojcie”.

Nie pamiętam już jak przeszły do mnie sprawy wyznaniowe i dzięki temu miałem możność przyjrzeć się z bliska zachłanności kleru katolickiego względem nowopowstającego z takim wysiłkiem państwa polskiego. Był dawniej zwyczaj, że szlachta polska wychowana w szkołach prowadzonych przez zakony (Pijarów, Bazylianów, Jezuitów) zapisywała swoje dobra na rzecz kościołów i klasztorów. Dobra te wraz ze skasowaniem zakonów i zamknięciem klasztorów a także przemianowaniem kościołów na cerkwie zostały skonfiskowane i od dawna stały się własnością państwową, którą państwo polskie odziedziczyło po zaborcy. Dopóki istniał carat, sprawca tego bezprawia, nie tylko milczał kler i papież, ale nawet ten ostatni miał czelność zalecać Polakom posłuszeństwo carskiej władzy. Dopiero gdy nastąpiła ojczyzna Polska, jeszcze nie okrzepła, biedna, zniszczona wojną i bezbronna, duchowieństwo katolickie rzuciło się na nią jak plugawe robactwo roszcząc sobie pretensje do każdej piędzi ziemi, do każdego budynku przed laty przez moskali zagrabionego. Miałem w ręku od p. arcybiskupa Teodorowicza żądanie zwrotu niedużego pustego placu w samym środku Łucka po ongi ormiańskim kościele! Miałem również olbrzymi elaborat zawierający dzieje wszystkich klasztorów na ziemiach polskich i przynależnych im dóbr i zapisów — gdyby tak chciał zaspokoić te wszystkie pretensje, połowa chyba Polski stałaby się własnością Kościoła a Polska w wieku XX odtworzyłaby mroki wieku XVIII. Trzeba przyznać, że pierwsi rozpoczęli ten atak na Polskę ku wiecznej swej hańbie pp. Zamovscy wytoczywszy proces o zwrot skonfiskowanej im kamienicy na Nowym Świecie, z której rzucona była bomba na Berga. Na szczęście proces przegrali dzięki

Na tym rękopis się urywa. Instytut Literacki nosi się z zamiarem wydania całości *Wspomnień* Stanisława Stempowskiego, ponieważ w tomie który ukazał się w Polsce w 1953 r. (Zakł. im. Ossolińskich, Wrocław) jest dużo luk spowodowanych skreśleniami cenzury.

Adam KRZYŻANOWSKI

DZIEJE NAJNOWSZE POLSKI W OCZACH ZACHODU

I

Mnogie wydawnictwa źródeł, pamiętników, monografii, przyczynków do polskich dziejów najnowszych pojawiły się w kraju i na zachodzie, zachodnie częściowo są dostępne w kraju. Ani pisarze krajowi, ani zachodni nie porwali się na opracowanie całości. Ostatnio zachód ubiegł kraj. P. Władysław Pobóg-Malinowski, przed wojną dyrektor biura historycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie, współwydawca pism Piłsudskiego i Becka, obecnie przemawiający do rodaków z kart swych publikacji zagranicznych i z rozgłośni radiowej paryskiej, poczuł w sobie ambicję podołania szczytnemu, trudnemu zadaniu. Obyczajem coraz powszechniejszym wśród Polonii emigracyjnej *magnum opus* działalności wieloletniej Malinowskiego ukazało się nakładem ofiarnych subskrybentów, rozsianych na obszarze trzydziestu państw obcych, rodaków, dbających o niecenie po najdłuższe wieki znicza świadomości, pamięci i tradycji narodowej. „Przedpłaciele” — Malinowski upowszechnia ten neologizm — zakupili je za gotówkę zanim znalazło się w ich rękach. Ogłosił pracę: *Najnowsza historia polityczna Polski 1864-1945*. (Tom pierwszy: Paryż 1953, str. 400. Tom drugi: Cześć pierwsza. Londyn 1956, str. 667). Przedstawił w 21 rozdziałach dzieje polityki wewnętrznej i zagranicznej.

Panowie Tytus Komarnicki w języku angielskim, Hans Roos w niemieckim publikowali w roku 1957 pracę z tego zakresu o tematyce bardziej ograniczonej. W tytułach zaznaczyli, że piszą o polityce zagranicznej. Komarnicki, podobnie jak Malinowski, był przed wojną urzędnikiem polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Malinowski pracował w centrali, Komarnicki pełnił

w Genewie obowiązki przedstawiciela Polski w Lidze Narodów i w Międzynarodowym Biurze Pracy. Napisał i ogłosił obszerne dzieło: *Rebirth of the Polish Republic. A study in the Diplomatic History of Europe 1914-1920* (Londyn 1957, str. 776). Dedykował pracę pamięci Brata — Wacława (1891-1954), profesora prawa państwowego w Uniwersytecie Wileńskim, później wykładowcy na Wydziale Polskim Uniwersytetu w Oxfordzie. W przedmowie dziękuje za pomoc w wydaniu książki organizacjom emigracyjnym w New Yorku i Londynie. Roos, czynny naukowo w Tybindze (NRF), wydał książkę: *Polen und Europa. Studien zur polnischen Aussenpolitik 1931-1939* (Tübingen 1957, str. 421). Profesorowie historii uniwersytetów amerykańskich ogłosili zbiorowe dzieło *The Diplomats 1919-1939*, ed. by A. Graig and F. Gilbert (Princeton 1953, str. XI i 700 dużej ósemki). H. L. Roberts jest autorem rozdz. 19: „The Diplomacy of Colonel Beck” (str. 579-615) i rozdz. 11: „Maxime Litvinov” (str. 344-378). Inne rozdziały także zawierają znaczące przyczynki do dziejów polskiej polityki zagranicznej.

W roku 1955 ukazało się w Londynie dzieło zbiorowe: *The Realignment of Europe*, ed. by Arnold Toynbee and V. M. Toynbee (str. XVI i 619 dużej ósemki). Stanowi część kilkutomowego *Survey of International Affairs 1939-1946*. Zawiera artykuł Ashton Gwatkina: „The United Nations Relief and Rehabilitation Administration” (UNRRA, str. 36-125) oraz artykuł Sidneya Lowery: „Poland” (str. 126-245).

Samuel I. Sharp, przed wojną dziennikarz warszawski, piszący pod innym nazwiskiem w żydowskiej prasie żargonowej, obecnie Associate Professor of International Relations „Amerykańskiego Uniwersytetu” w Waszyngtonie zatytułował prowokacyjnie swą książkę: *Poland — White Eagle on a Red Field* (Cambridge, Mass. 1953, str. IX i 338).

II

Historycy zachodni są reakcjonistami. Heroizm ich wyznaniem wiary. Spisują czyny wielkich ludzi. Nie przypada im do gustu historia anonimowa, wprowadzanie na scenę abstrakcji, których nigdy i nigdzie nikt ani widział ani słyszał, mas, proletariatu, burżuazji, dyktatury tych dwóch klas.

Pisanie historii na zamówienie społeczne albo burżuazyjne, albo proletariackie, przekracza ich zdolność pojmowania. *Power politics* światłem orientującym historyków zachodnich w labiryncie zjawisk. Ludzie stawiają sobie cele działania, określają środki

ich osiągnięcia. Łatwiej ziszczyć środki bliskie, teraźniejsze niż przyszłe, odległe cele. Walka o władzę, o środek ziszczenia celów, spycha cele na plan drugi. Polityk — to niewolnik walki o władzę. Dzierżący władzę chce realizować cele poprzez starania o jej zachowanie, pozbawiony wiedzy poprzez jej zdobywanie. Włoscy pisarze XVI wieku wynaleźli i rozpowszechnili termin „racja stanu” na oznaczenie treści i motoru działań politycznych. Rację stanu uważali za właściwy drogowskaz w odgadywaniu dziejów. Dziś na Zachodzie upowszechnił się zwyczaj zastępowania terminem *power politics* zjawiska, określanego dawniej mianem racji stanu, utożsamianej często z makiawelizmem, potępianym obłudnie, rzadko szczerze. W oczach wielu historyków zachodnich walka o władzę stanowi kwintesencję dziejów. Wedle nich podniesienie racji stanu do rangi głównego wątku dziejów wyjaśnia ich przebieg pełniej, zrozumialej; umożliwia nanizanie na tę nić więcej zjawisk, niż jakakolwiek inna hipoteza, ponieważ politycy wszędzie i zawsze postępują zgodnie z racją stanu.

Teraźniejszość przeżywają jej uczestnicy jako możliwość oddziaływania przez nich na tok wydarzeń. Czują się ich rzeźbiarzami, a nie bezwładnymi pionkami minionych. Z czasem teraźniejszość, przeobrażona w przeszłość, pada łupem historyków. Świadomi spośród nich ograniczoności ludzkiego poznania, pełnią swe zadanie w przekonaniu, że nie podobna orzec, w jakim stopniu wola ludzka wpływa na bieg wypadków. Zadowolają się opisem faktów, wyróżnianiem pewnych i wątpliwych, głównych i ubocznych, ustalaniem chronologii i współzależności zjawisk. Rezygnują z ich ściśle przyczynowego pojmowania i przedstawienia. Bronią się przed pokusą ferowania nagan i pochwał, ich zdaniem irracjonalnego natchnionego uczuciem, chęcią uprawiania propagandy, a nie poszukiwania prawdy. Tęsknią do chłodnych wyżyn przedmiotowości. Wyłanianie się zjawisk późniejszych z poprzednich stroją w patynę „konieczności historycznych”, eufemizmem osładzając gorycz wyrzeczenia się pełni prawdy. Uważają tok wydarzeń za wynik geograficznego położenia i tradycji historycznej, w znacznej mierze z geografii wywiedzionej. Wola jednostek jest ważkim współczynnikiem procesów historycznych, o ile działa w kręgu zakreślonym przez geografę i historię. Jak na Francuza przystało pięknie, zwięźle, jasno, dobitnie wyraził tę myśl przed sześćdziesięciu kilku laty vicomte de Voguë w tytule swej opowieści, osnutej na kanwie owoczesnych debat parlamentarnych: „Głosem zmarłych przemawiają żywi” (*Les Morts qui parlent*). Wyjaśnienie bieżącej rzeczywistości wolną wolą jednostek, czynnych w jej wirze, pouczające w perspektywie krótkofalowej, okazuje się mniej płodne w dojrzałe owoce poznania, gdy porywamy

się na oglądanie rzeczywistości, w rozpatrywanej pod kątem widzenia długich czasokresów.

To założenie badań staje się coraz bardziej *communis opinio* historiografów zachodnich, mozołających się spisywaniem polskich dziejów najnowszych. Nie stało się jeszcze opinią całkowicie dominującą. Zabierają głos historycy, łączący mniej lub więcej świadomie przypadkowość właściwą ich pojmowaniu dziejów w zwierciadle możnej, mało uwarunkowanej okolicznościami, działalności jednostek, kształtującej bieg wypadków, z bardziej deterministycznym poglądem. Ta metoda eklektyczna w ręku mistrza rodzi owoc najlepszy. Mistrzów mało. Są wśród historyków polskich dziejów najnowszych wędrujący obu drogami, formułujący mętne, sprzeczne sądy i oceny ku utraپieniu sprawozdawców, usiłujących udostępnić ich treść.

Malinowski i Roos wzbogacili wydatnie historiografię wyzyskaniem nowych źródeł. Obaj przekazali nam wiadomości, przedtem nieznanne, które uzyskali w toku rozmów i korespondencji z mężami stanu i politykami, współdziałającymi ongi w kształtowaniu wypadków oraz rozczytując się w ich rękopiśmiennych pamiętnikach. Zaznajamiają nas z dokumentami archiwalnymi, przez nich po raz pierwszy wyzyskanymi. Roos miał dostęp do aktów polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przechowywanych w Niemczech w tłumaczeniach lub streszczeniach w języku niemieckim. Obaj budzą szacunek, Malinowski przestrzeganiem nadal poleceń Marszałka, Roos chęcią przedmiotowego zrozumienia dziejów polskich i przyczynienia się do poprawy stosunków polsko-niemieckich.

Historycy wykazują zaistnienie i powiązanie zjawisk albo na zasadzie ich prawdopodobieństwa wewnętrznego, wywiedzionego z nacisku sytuacji, rodzącej działania przez historyków stwierdzone, albo na zasadzie prawdopodobieństwa zewnętrznego, uzasadnianego treścią dokumentów wypowiedziami aktorów dramatu, zeznaniami świadków. Pierwsza z tych dwóch dróg wydaje się pewniejszym sposobem odtwarzania prawdziwego oblicza rzeczywistości. Wielu historyków, nie wyłączając tych, o których piszę, nie dość dokładnie streszcza dokumenty, zbyt łatwowiernie ocenia wypowiedzi mężów stanu, wygłaszających programy, zdających sprawę ze swych czynności, zeznania świadków. Historycy, wyrzekający się konkurowania z politykami, uprawiania propagandy, żyją ambicją wykrywania i upowszechniania prawdy niezależnie od jej użyteczności. Politycy nie są fanatycznie prawdomówni. Mówią prawdę o tyle, o ile są przekonani, że tędy wiedzie droga do wytkniętych celów. Upowszechniają „prawdę” użyteczną. Ujawnianie przedmiotowej utrudniłoby, ich zdaniem, dotar-

cie do celu. Gdy polityk stwierdza zajście pewnych zjawisk, gdy oświadcza, że w danej chwili żywił takie a nie inne przewidywania lub poglądy, wynika z tego na pewno tylko jedno: chce usprawiedliwić swe postępowanie, wzmóc samopoczucie własne, czytelników i słuchaczy orzeczeniem tej treści. Dociekanie jego zgodności z prawdziwym stanem rzeczy, oczywiście z góry nie wykluczonej, jest zadaniem historyka, które najsprawniej rozwiąże, rozumując na zasadzie prawdopodobieństwa wewnętrznego.

Historycy zachodni przeważnie są przeświadczeni, że władcy Polski skutkiem sytuacji geograficznej i tradycji historycznej, w ramach której działać im wypadło, siłą rzeczy skłaniali się ku zawarciu układów wzajemnej pomocy zbrojnej z Francją, Rumunią, Anglią, odrzucali wiązanie się Polski podobnymi układami z Niemcami i Rosją Radziecką. Ich zdaniem Marszałek, gdyby żył dłużej, nie zmieniłby tej swojej dotychczasowej polityki mimo narastania niebezpieczeństw, nieodłącznych od trwania na dotychczasowym posterunku.

Malinowski i Roos rozważają możliwość odroczenia, kto wie, czy nie zmniejszenia katastrofy. Malinowski mniema, że należało po śmierci Piłsudskiego utworzyć pod przewodnictwem Sosnkowskiego rząd koalicyjny, złożony z przedstawicieli głównych stronnictw politycznych, celem wzmożenia jedności, a tym sposobem odporności narodu. Możliwość urzeczywistnienia tego projektu, horoskop jego skutków, jedno i drugie obraca się w sferze prawdopodobieństw, mało przekonujących, bo dowolnych, w wysokim stopniu spekulatywnych. Kto wie, czy wyzyskanie talentów Sosnkowskiego, tak dodatnio ocenianych przez Malinowskiego, nie zmieniłoby toku wydarzeń na gorszy. W tym wypadku szanse porozumienia się z Rosją Radziecką chyba nie doznałyby zmiany. Zapewne tempo narastania konfliktu z Niemcami uległoby przyspieszeniu. Roos stanowczo, bez cienia wątpliwości tłumaczy niemożliwość sprzymierzenia się z Hitlerem przeciw Rosji nielojalnością jego postępowania wobec Polski. Tym bardziej wykluczone wydaje mu się wystąpienie Polski razem z Rosją przeciw Niemcom. Uważa za prawdopodobne odroczenie, nie uniknięcie katastrofy w razie przestrzegania przez Polskę bardziej pojednawczej polityki wobec Francji i Czech. Ta teza także wisi w powietrzu. Nie znajduje poparcia w charakterystyce, na ogół trafnie przez Roosa ujętej, stosunków polsko-francuskich. Wbrew życzeniom Polski Francja tylko słownie przeciwstawiała się rozbudowie niemieckich sił zbrojnych, choć miała w traktacie wersalskim podstawy prawne zbrojnego wystąpienia na wypadek, gdyby dyplomatyczne remonstracje okazały się bezskuteczne, choć do roku 1936 włącznie rozporządzała druzgocącą przewagą militarną. Fran-

cja w roku 1938 nie chciała zbrojnie poprzeć czeskiego sprzymierzeńca, aczkolwiek naciskała na rząd polski o udzielenie mu poparcia dyplomatycznego przeciw Niemcom.

Zarzut Roosa zaniedbania przez Polskę współdziałania z Francją jest mało zgodny z tym, co pisze o przeciwstawności taktyki dyplomatycznej Piłsudskiego i Becka. Twierdzi, jakoby Marszałek kierował się w wyższej mierze realną oceną polskich możliwości działania, przecenianych przez Becka, nie popierając tego ogólnika szczegółowymi, konkretnymi faktami. Natomiast pewne jest, że właśnie po śmierci Marszałka nastąpiła poprawa stosunków polsko-francuskich, której zaniedbywanie Roos Polsce zarzuca. Piłsudski miał za złe Francji jej przejście do defensywy politycznej i wojskowej wobec Niemiec, wycofanie wojska z Nadrenii, jego chowanie za linią Maginota, papierowe sprzeciwianie się rozrostowi zbrojeń niemieckich, próby szukania pomocy radzieckiej przeciw Niemcom. Był do Francji ujemnie nastawiony. Po jego śmierci Beck, Smigły, Sosnkowski, pod wpływem obaw, wywołanych zbrojeniami niemieckimi ziścili zgodnie zbliżenie się do Francji, uwieńczone w roku 1936 uzyskaniem pożyczki na dozbrojenie, której Niemcy nigdy nie ofiarowali Polsce, o którą Polska nigdy w Niemczech nie zabiegała.

Argumentowanie za i przeciw tezie zarówno Roosa jak Malinowskiego jest przedsięwzięciem chybionym, ponieważ brak jako tako konkretnych faktów, uchwytnych, przedmiotowo stwierdzonych, przemawiających za którąkolwiek z nasuwających się opinii. Wybór między nimi może być tylko sądem podmiotowym, aleatorycznym.

Adam KRZYŻANOWSKI

(c.d.n.)

Esej ten, już złożony w jednym z miesięczników krakowskich, został w całości skonfiskowany.

DOKUMENTY

Kazimierz IRANEK-OSMECKI

SPRAWOZDANIE I DZIENNIK PODRÓŻY EMISARIUSZA ANTONIEGO

(ważniejsze rozdziały)

W październiku 1940 Kierownik Pracy Wojskowej na Kraj gen. Sosnkowski powierzył mi misję emisariusza do Komendanta Głównego Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) w Polsce, gen. Stefana Roweckiego, ps. „Rakoń”. W tym czasie nie było uruchomionej łączności samolotowej Londynu z krajem i drogę trzeba było odbywać częściowo środkami komunikacji morskiej lub powietrznej i częściowo lądowej.

Po powrocie z tej podróży, w kwietniu 1941, złożyłem gen. Sosnkowskiemu sprawozdanie z wykonania powierzonego mi zadania. Pod tytułem „Sprawozdanie emisariusza Antoniego”¹ (pseudonim używany przeze mnie podczas tej misji) zostało ono — w odpisach — przedstawione Prezydentowi RP Władysławowi Raczkiewiczowi, premierowi i Naczelnemu Wodzowi gen. Sikorskiemu oraz członkom Komitetu dla Spraw Kraju.

Sprawozdanie to zawiera 25 rozdziałów. Poprzedza je moja relacja o zleceniach dla kraju wydanych przez gen. Sikorskiego przed moim wyjazdem z Londynu. W sprawozdaniu zamieszczone są oryginalne raporty gen. Roweckiego, Delegata Rządu na Kraj Cyryła Ratajskiego, ps. „Wartski”, b. Tymczasowego Delegata Rządu na Kraj płk. Jana Skorobohatego-Jakubowskiego, ps. „Kaczmarek” lub „Vogel”, oświadczenia przedstawicieli czterech stronnictw, wchodzących w skład Zjednoczenia Narodowego,

1. Studium Polski Podziemnej, Londyn, O. VI. Sztabu N.W. L. dz. 1820/tjn. 41.

moje relacje z rozmów przeprowadzonych z tymi osobami oraz opis sytuacji w kraju.

Oryginał sprawozdania jest przechowywany w archiwum Studium Polski Podziemnej w Londynie. Niektóre rozdziały tego sprawozdania zostały ogłoszone drukiem w wydawnictwie Studium Polski Podziemnej, pt. „Armia Krajowa w Dokumentach, 1939-1945, Tom I, Wrzesień 1939 - Czerwiec 1941, Londyn, 1970”.

W niniejszej publikacji zamieszczone są inne ważniejsze części sprawozdania dotąd nigdzie nie ogłoszone drukiem.



W dniu wyjazdu z Londynu wezwał mnie gen. Sikorski dla wydania zleceń dla kraju. Zlecenia te spisałem w relacji zaraz „na gorąco” 10 listopada 1940 w Lagos w drodze przez Afrykę. Dołączono ją do mego sprawozdania z wykonanej misji emisariusza².

ODTWORZENIE ODPRAWY

przeprowadzonej przed odjazdem z Londynu, w dniu 6. XI. 1940 pomiędzy godz. 12.45 a 13.30, w gabinecie służbowym w hotelu Rubens przez Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego z emisariuszem Antonim³.

Po przybyciu do hotelu Rubens gen. Sikorski przyjął mnie natychmiast. Wyraz twarzy i ton, jakim mnie przywitał, wskazywały, że był zagniewany. Generał rozpoczął od pretensji pod adresem gen. Sosnkowskiego, że nie uzgodnił z nim mojej kandydatury na emisariusza. Wspomniał, że przyjmuje mnie na interwencję prof. Kota; dodając: co by pomyślano w kraju, gdy przyjedzie tam oficer sztabu nie znający intencji Naczelnego Wodza. Lepiej żeby tam nie wiedzieli, że robi mu się tutaj takie kawały.

Przypomniałem, że płk Smoleński⁴ meldował o zamierzonym wysłaniu mnie do kraju i że nie spotkało się to ze sprzeciwem generała. Wyjaśnienie moje zostało pominięte milczeniem.

Generał zlecił oświadczyć gen. Rakoniowi, że darzy go pełnym zaufaniem, że nie ma zastrzeżeń do jego lojalności i że kierunek, jaki gen. Rakoń nadaje pracy ZWZ jest zgodny z wytycznymi rządu. Niestety z otrzymanych 5 listów z kraju — w

2. Studium Polski Podziemnej, Londyn, O. VI. Sztabu N.W. L. dz. 2/41.

3. Wszystkie osoby znajdujące się podówczas w kraju są w sprawozdaniu nazywane pseudonimami.

4. Szef Wydziału Krajowego Sztabu Naczelnego Wodza.

tym jeden od p. Dębskiego — wiadomo, że w ZWZ znajduje się wielu sanatorów. Skompromitowani dawną działalnością podrywają oni zaufanie kraju do ZWZ. Budzi się ponadto wątpliwość czy taki dobór personalny nie jest wymierzony przeciwko gen. Sikorskiemu, gdyż jest on przez tych ludzi przedstawiany w niekorzystnym świetle. W szczególności w Komendzie Głównej ZWZ pełni funkcję kierownika działu politycznego mjr Kruk-Strzelecki⁵. Był on swego czasu usunięty z wojska przez gen. Sikorskiego! w listach nadesłanych z kraju są dowody, że prowadzi on robotę przeciwko Sikorskiemu.

Kraj musi zrozumieć, że czasy i ludzie sprzed września 1939 już w Polsce do głosu nie powrócą. Działalność ich przyniosła krajowi takie szkody, iż muszą być zniszczeni i wymieceni z życia publicznego, co gen. Sikorski przeprowadzi z całkowitą konsekwencją. Generał poleca oczyścić ZWZ z tych ludzi i stawia to jako warunek swego zaufania do organizacji. W przeciwnym wypadku musiałby postawić znak zapytania odnośnie lojalności zarówno ZWZ jako całości, jak też i gen. Rakonia, a wówczas musiałby wyciągnąć odpowiednie konsekwencje.

Generał polecił przedstawić gen. Rakoniowi harmonijną współpracę w łonie rządu wszystkich stronnictw w imię haseł „Jedności Narodowej”, która pogłębia się z każdym dniem. W imię tych haseł winna pójść współpraca stronnictw w kraju i to stawia im jako przykład do naśladowania. Powtórzył decyzję zakomunikowaną mi poprzedniego dnia przez prof. Kota, że rząd nie mógł się doczekać wyłonienia przez stronnictwa w kraju kandydatów na delegatów rządu i dlatego nominacje zostaną zakomunikowane krajowi. Mianowani delegaci będą ludźmi o dużym autorytecie, stojący zupełnie poza stronnictwami i poza dotychczasowym życiem politycznym.

Współpraca z „przyjaciółmi” układa się coraz lepiej, szczególnie z premierem Churchillem. Wzbudzamy coraz to większe zaufanie i zaczynamy być prawdziwie cenieni. Podczas pobytu Churchilla w Szkocji u naszych wojsk przyznał się on gen. Sikorskiemu, że przybycie Sikorskiego do Anglii po załamaniu się Francji, jego chęć kontynuowania wojny, pomimo utraty pomocy Francji, pomimo martyrologii, jaką kraj przeżywa — była dla Churchilla podniętą oraz okazała mu znaczną pomoc w łonie gabinetu. Mógł on tego użyć jako argumentu dla przekonania swych ministrów wątpiących w pomyślny wynik wojny. Przykład odporności Polski, postawa społeczeństwa, jego zaciętość

5. W rzeczywistości był on szefem Biura Informacji i Propagandy w Komendzie Głównej ZWZ.

i opieranie się naciskowi Niemców; wytrwała, pełna poświęcenia obrona Warszawy, Modlina, Westerplatte i Helu — jest stałym przedmiotem podziwu dla Anglików, co stawia nas na pierwszym miejscu wśród sprzymierzeńców.

Prasa angielska wskazuje na postawę społeczeństwa polskiego i jego wytrwałość, a na tle obecnych ciężkich chwil bombardowania Londynu przytacza jako przykład — postawę Warszawy podczas oblężenia. Podnosi to nasze znaczenie w oczach Anglików w połączeniu ze wspaniałymi wyczynami naszych lotników, floty oraz doskonałą postawą armii.

Pomimo niesłychanie trudnych warunków ewakuacyjnych po załamaniu Francji udało się przewieźć do Anglii gros armii. Gen. Sikorski polecił przedstawić gen. Rakoniowi znany mi stan organizacyjny wojska formowanego w Anglii i w Egipcie. Możliwości powiększenia armii są bardzo nikłe z uwagi na napotykaną trudność rekrutacyjną w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych. Rząd czyni wszelkie wysiłki, aby to zagadnienie odpowiednio rozwiązać. Rozmowy z rządem kanadyjskim są daleko zaawansowane, napotyka się jednak na trudności przy sfinansowaniu zamiarów. Gen. Sikorski jest zdecydowany poświęcić część złota jako zastaw na kosztą sfinansowania formowania armii. To, co można by na ten cel przeznaczyć, wystarczy na utrzymanie i umundurowanie około 10.000 ludzi, jednak bez sprzętu.

Na terenie Stanów Zjednoczonych rekrutacja jak dotąd nie ma wielkich widoków powodzenia. Stany Zjednoczone zajęte w poprzednim okresie wyborami prezydenta wszystkie inne sprawy odkładały na bok, tak że nawet nie chciano udzielić wizy wjazdowej płk. Arciszewskiemu, udającemu się z Kanady do Stanów Zjednoczonych w celu rekrutacji. Trudności te powiększa jeszcze zły dobór ludzi, jaki gen. Sikorski zastał na placówkach zagranicznych w spuściznie po dawnych przedwrześniowych rządach⁶.

Wobec takich warunków gen. Sikorski, nie widząc innego wyjścia, nie zamierza tworzyć w Kanadzie zwartych, organizacyjnych jednostek bojowych. Uzyskane efekty na terenie Ameryki służyć będą tylko jako uzupełnienia dla jednostek formowanych w Anglii. Trzeba się liczyć z tym, że formowana w ten sposób armia, będzie tylko armią kadrową. Będzie troską rządu by armię jak najdłużej trzymać w maksymalnym stanie i by nie narazić jej na niepotrzebne straty.

Jest już prawie powszechne zrozumienie w świecie, w szcze-

6. Część wypowiedzi gen. Sikorskiego, zawarta w sprawozdaniu, została w tym miejscu opuszczona, gdyż zawiera klasyfikację uwłaczającą jednemu z ambasadorów R.P. piastującemu podówczas tę godność.

gólności silne w Anglii, a Stany Zjednoczone również szybko dochodzą do tego samego przekonania, że Polska silna i wzmocniona — jest nieodzownym warunkiem trwałego pokoju i porządku na wschodzie Europy. Prawie 80 % miarodajnej opinii angielskiej jest za włączeniem do Polski Prus Wschodnich; przyznanie Polsce tych terenów nie znajduje już dzisiaj przeciwników. Co do granic nad Odrą sprawa nie jest stawiana tak zgodnie i wyraźnie. Są pewne sugestie, zmierzające do mocniejszego oparcia granic Polski w tym obszarze oraz wyrównania i uzgodnienia ich przebiegu z Czechosłowacją. Prowadzone są rozmowy i rząd pilnuje naszych interesów na tym odcinku.

Zagadnienie granic wschodnich — z uwagi na stosunki Anglii z Rosją, drażliwe — nie jest stawiane na porządku dziennym. Znanе jest stanowisko rządu w tej sprawie, ujęte w załączniku do Instrukcji Nr 6 w brzmieniu uchwały Rady Ministrów⁷.

Rozmowy z Czechami dla przyszłego współdziałania są poważnie zaawansowane. Rozpatrywane projekty zmierzają do federacji przy wspólnym dowództwie wojskowym — przy czym z uwagi na większy potencjał Polski, pozostałoby ono w naszych rękach — oraz wspólnym kierownictwie spraw zagranicznych. Delikatność tego rodzaju ułożenia stosunków pomiędzy obu państwami i pewną groźbę dla nas stanowi silniejszy potencjał gospodarczy Czechosłowacji. Odpowiednie obwarowanie tej dziedziny współżycia pozwoli uniknąć supremacji Czechów i uchroni przed szkodami, jakie mogłyby stąd wyniknąć dla nas. Jedyną przeszkodą dla sfinalizowania zaawansowanych rozmów jest ciągle jeszcze pokutująca sympatia Czechów do Rosji i chęć kokietowania jej. Można się spodziewać, że trudności te zostaną pokonane.

W Anglii już dzisiaj zastanawiają się nad tym, że obecny układ stosunków społecznych oraz współpracy gospodarczej — nie da się zachować po wojnie. Chcąc, ażeby zobowiązania zaciągnięte pomiędzy sprzymierzeńcami na czas wojny były harmonijne kontynuowane w czasie zawierania pokoju oraz później — już dzisiaj chcą Anglicy wiedzieć, jakie są zamiary rządu co do ułożenia w Polsce w przyszłości tych dziedzin życia. Z okazji prowadzenia wspólnych rozmów były stawiane przez Anglików zapytania na ten temat. Gen. Sikorski zastrzegł się, że definitywnej odpowiedzi nie udziela, gdyż kraj sam zdecyduje o tym. Niemniej jego zdaniem ustrój zbliżony do panującego w Danii o silnie rozwiniętym indywidualnym gospodarstwie rolno-hodowla-

7. Pozycja Nr 81 w wydawnictwie „Armia Krajowa w Dokumentach”. Instrukcję tę przewoziłem w swej poczcie dla zreferowania w Warszawie.

nym byłby najbardziej odpowiedni dla charakteru gospodarki polskiej. Wymagać to będzie dużych kredytów oraz odpowiedniej polityki parcelacyjnej, ma się rozumieć nie takiej, jaką prowadził minister Poniatowski. Jest to jednak zagadnienie wymagające gruntownego przepracowania.

Zostały zapoczątkowane w łonie Naczelnego Dowództwa prace przygotowawcze nad wsparciem — w odpowiednim momencie — powstania w kraju. Organizacja armii została tak pomyślana, że można ją będzie łatwo przerzucić drogą powietrzną do kraju. ZWZ musi wykonać prace, jakie przypadną mu w udziale. Po przepracowaniu szczegółów odpowiednie zagadnienia będą uzgodnione z gen. Rakoniem.

Z okazji przejazdu przez Egipt mam udać się do Brygady Karpackiej i złożyć jej dowódcy żołnierskie pozdrowienia od gen. Sikorskiego. Gen. Sikorski otrzymał dopiero co raport szczegółowy o przejściu brygady z Syrii do Palestyny; nie przypuszczał nigdy, aby było to połączone z tak dużymi trudnościami. Wyraża swój podziw i uznanie dla brygady.

Gen. Sikorski nosił się z zamiarem odwiedzenia brygady, co łączyło się z pewnymi poważniejszymi planami w związku z przeniesieniem się wojny na Bałkany. Pomimo, że minister Eden skradł mu jego pomysł i uprzedził go w tym zamiarze, i chociaż plany stały się mniej aktualne, nie mniej możliwe, że zamiar swój zrealizuje o ile będzie możliwy szybki przelot samolotem wprost z Anglii do Egiptu.

Życząc mi szczęśliwej drogi gen. Sikorski polecił serdecznie pozdrowić gen. Rakonia.



Podczas odprawiania mnie w Londynie prosiłem gen. Sosnkowskiego bym mógł po spełnieniu misji pozostać w kraju w szeregach ZWZ. Podróż zaś powrotną do Londynu mógłby odbyć jeden z oficerów ze sztabu ZWZ. Decyzję uzależnił gen. Sosnkowski od porozumienia z Warszawą. Po przybyciu do kraju (18 grudnia 1940) nastąpiła na ten temat wymiana depeesz, z której wynikało, że mam pozostać w kraju 2-3 miesiące i wtedy zapadnie decyzja.

Już jednak 8 stycznia gen. Rakoń zaproponował mi bym zgodziłem się na podjęcie powrotnej misji do Londynu, i to jak najszybciej. Motywował, że Delegat Rządu Wartoski otrzymał z Londynu korespondencję ze znacznie ostrzejszymi zarzutami przeciwko ZWZ aniżeli te, które gen. Sikorski i prof. Kot przekazali przeze mnie. Gen. Rakoń wraz z Delegatem Rządu doszli do wniosku, że trzeba przedstawić w Londynie opinie o ZWZ osób bezstronnych i przedstawicieli życia politycznego. Depeszami nie

da się tego załatwić. Musi to być zreferowane osobiście. Mnie uznali za najbardziej odpowiedniego kandydata, bo znam tam stosunki i mam paszport — zdeponowany w Budapeszcie — z wszystkimi powrotnymi wizami.

Po wyrażeniu przeze mnie zgody gen. Rakoń, nawiązując do mej prośby pozostania w kraju w szeregach ZWZ, uznał że obecnie jestem jego emisariuszem i wobec tego oczekuje mego powrotu do Warszawy; co oczywiście generałowi przyrzekłem.

Po spotkaniach z oficerami sztabu ZWZ i zebraniu od nich informacji oraz po przeprowadzeniu rozmów, zaaranżowanych przez Delegata Rządu, z wielu przedstawicielami życia politycznego, gen. Rakoń 20 stycznia udzielił mi ostatecznych zleceń do Londynu i wyjaśnień. Był niezwykle podniecony, gdyż poprzedniego dnia otrzymał od gen. Sosnkowskiego depeszę z następującymi zarzutami prof. Kota pod adresem ZWZ:

- ZWZ pragnie podporządkować sobie całokształt życia polskiego z tendencją „utrzymania systemu rządów pomajowych w Polsce po wojnie”;
- ZWZ fałszywie informuje rząd i stronnictwa; stwarza rozdzwięki pomiędzy rządem a stronnictwami w kraju;
- ZWZ lansował fałszywe wiadomości o utworzeniu w kraju tajnego rządu, a nawet „przypuszczalnie” dopuścił się sfałszowania depesz, rzekomo wysyłanych do rządu przez b. Tymczasowego Delegata Rządu Kaczmarka, podszywając się pod jego nazwisko;
- ZWZ popiera akcję sanacyjną; działacze ZWZ trudnią się rehabilitacją Becków i Rydzów; budzą niechęć do rządu i do poszczególnych jego członków;
- ZWZ nie cieszy się zaufaniem społeczeństwa;
- Szerzy się opinia w kraju, że ZWZ jest raczej fikcją; że robi niecelowe wydatki finansowe; że istnienie ZWZ przynosi więcej szkody niż pożytku.

Depesza zawierała również wnioski prof. Kota dla uzdrowienia stosunków. Mianowicie: praca wojskowa winna być podporządkowana „pracy ogólnopolitycznej”; wyrazem tego musi być zapewnienie Delegatowi Rządu kontroli pod każdym względem nad całokształtem działalności ZWZ oraz prawa usuwania osób uznanych za szkodliwe⁸.

ODTWORZENIE ODPRAWY GEN. RAKONIA Z EMISARIUSZEM ANTONIM

Raport mój pisemny, który zabieracie do Londynu zawiera wprawdzie odpowiedzi na wszystkie zasadnicze pytania i zarzuty przywiezione przez was, jest jednak jeszcze wiele innych okolicz-

8. „Armia Krajowa w Dokumentach”, poz. 119.

ności nie ujętych w raporcie, które będziecie musieli zameldować ustnie. W szczególności nie zdążyłem odpowiedzieć na depesze gen. Sosnkowskiego, którą dopiero wczoraj otrzymałem.

Będziecie musieli jasno i wyraźnie naświetlić stan rzeczy i odtworzyć nastrój i atmosferę, w jakiej zmuszeni jesteśmy pracować, nastrój do którego podniesienia tego rodzaju pociągnięcia emigracji bynajmniej się nie przyczyniają, z czego jednak — jak widzę — nie wielu ludzi w Londynie zdaje sobie sprawę.

Chodzi głównie o to, że my tutaj, żyjąc i pracując w tak trudnych warunkach konspiracyjnych, trapieni i prześladowani coraz to straszniejszym terrorem okupanta, znaczącym każdy etap naszej pracy śladami codziennych niemal bolesnych i krwawych strat, zamiast mieć wolną głowę i swobodne ręce dla wykonania właściwego zadania, do dążenia do głównego celu — zwalczania wroga zewnętrznego — musimy tracić wiele wysiłków, marnować wiele drogiego czasu na odparowywanie ciosów zadawanych nam przez wewnętrznych mącicieli.

Na tle czystej atmosfery i pełnej poświęcenia pracy członków ZWZ, ludzi owianych jedną tylko myślą i jedną tylko ideą — walki z okupantem, ludzi narażanych na każdym kroku, a jednak nie cofających się przed żadnym ryzykownym zadaniem, gdy go otrzymają — co stwierdzacie we wszystkich naszych komórkach — te bezpodstawne, małe i złośliwe zarzuty, to szkalowanie nas i zgola oszczerstwa — są tak potworne, są jakimś koszmarem, że nie można na prosty rozum wytłumaczyć sobie powodów tych nieprawdopodobnych, urojonych i fantastycznych zgola pomyśłów, godzących w nasz honor i cześć, w poczucie naszej żołnierskiej godności.

Mając pełnię zadowolenia z przekazanego mi przez was ustnego oświadczenia gen. Sikorskiego i gen. Sosnkowskiego, że darzą mnie pełnym zaufaniem, zapewnijcie ich, że zaufania tego nigdy nie zawiodę. Ponieważ zaś wieziecie dowody, że i całe wojsko w konspiracji, tj. ZWZ, jest również godne zaufania, za co ja odpowiadam, gen. Sikorski może być spokojny o jego lojalność i ufać mu tak, jak ufa mnie.

Wierzę głęboko, że zarówno gen. Sikorski jak i gen. Sosnkowski są naszymi rzecznikami i że starają się oszczędzić nam ciosów, jakie tak niezastuzenie spotykają zarówno mnie jak i ZWZ. Wierzę, że w zrozumieniu naszej trudnej sytuacji zdołali oni może niejedyn cios odparować jeszcze na tamtejszym terenie — zanim zdołał nas dotknąć. Wyobrażam sobie jak trudne jednak musi być ich położenie, jeżeli pomimo to wiele przykrości dociera aż do nas i godzi w nasz honor żołnierski tak boleśnie jak

ostatni zarzut o fałszowaniu depesz b. Tymczasowego Delegata Rządu.

Pomimo wiary, że obaj ci nasi najwyżsi przełożeni stają w obronie honoru i godności zarówno mojej jak i wojska w konspiracji, którym dowodzę, jednak będąc dotknięty do żywego, nie mogę przejść do porządku dziennego nad niektórymi zarzutami i rezerwuję sobie wyciągnięcie odpowiednich konsekwencji w stosunku do wszystkich oszczerców, gdy nadejdzie chwila, że stanę z nimi oko w oko w kraju.

Z zarzutem, który nazywam straszakiem sanacyjnym, rozprawię się w moim raporcie pisemnym, wieziecie ponadto zarówno ustne jak i pisemne opinie od możliwie najbardziej wszechstronnie zorientowanych, a przy tym bezstronnych osób o bezpodstawności zarzutu, który mógł mieć pozory słuszności w zaraniu powstawania ZWZ, a obecnie pomimo jego sztuczności używany jest do szermowania przeciwko nam jedynie przez te odłamy społeczeństwa, które chcą znaleźć usprawiedliwienie dla formowania swych bojówek partyjnych.

Jak niesłuszny jest zarzut o naszym zabarwieniu sanacyjnym, jak fałszywa jest lansowana bezskutecznie o nas opinia, iż nie mamy w społeczeństwie oparcia i że odnosi się ono do nas nieufnie, świadczą takie fakty jak np.: zarówno PPS, Ludowcy jak i Stronnictwo Pracy, a więc gros zorganizowanego politycznie społeczeństwa, ustosunkowuje się do nas pozytywnie. Dowodem tego jest włączenie w nasze szeregi wszystkich organizacji bojowych stojących pod wpływami lub wyrosłych na gruncie tych stronnictw. Poza nimi stoją organizacje właśnie o zabarwieniu sanacyjnym, od których się odżegnujemy oraz bojówki partyjne, o których wspomniałem poprzednio.

Zaryzykuję twierdzenia, że zarzuty, jakie nas spotykały, wyrosły właśnie na tle naszego apolitycznego stanowiska. Jest to zemsta, że nie daliśmy się wplątać w rozgrywki partyjne, że stojąc twardo na stanowisku praworządności reprezentujemy — po skonsolidowaniu prawie całego konspiracyjnego wysiłku niepodległościowego — siłę sprawnie zorganizowaną i aż nadto wystarczającą by przeciwstawić się wszelkim warcholskim zakusom, by unicestwić wichrzycielskie poczynania. O naszej gotowości i o przygotowaniach do głównego zadania — walki z okupantem — mówiliśmy już z wami poprzednio przy okazji omawiania planu powstania.

Drugim dowodem zaufania do nas oraz naszej czystej i apolitycznej pracy jest fakt, że Stronnictwo Ludowe we własnych drukarniach odbija, i przy pomocy własnego aparatu kolportuje, przez nas redagowane nasze pisma konspiracyjne. Jest nie do

pomyślenia by tego rodzaju współpraca Ludowców mogła się odbywać w wypadku najmniejszego nawet pozoru naszego nastawienia politycznego w jakimkolwiek bądź kierunku, niezgodnego z intencjami rządu, a przecież prasa jest najlepszym odbiciem ducha, jaki panuje w naszych szeregach.

Inne zarzuty o naszych zakusach dyktatorskich, o mieszaniu się wojska do polityki — są tak śmieszne, tak fantastyczne, że zakrawają na wybitną złośliwość. Szczęściem osoba moja, przebieg mej kilkudziesięcioletniej służby wojskowej, moja awersja do polityki są dostateczne znane zarówno gen. Sikorskiemu jak i gen. Sosnkowskiemu, więc nie potrzebuję się obawiać o ich osąd.

Dla ścisłości jednak muszę zaznaczyć, że wszystkie moje pociągnięcia w dziedzinie politycznej były wynikiem wyraźnych dla mnie poleceń rządu, były powodowane zrozumiałą dla każdego wojskowego koniecznością unormowania tego ważnego odcinka życia, który uważam za nieodzowne zaplecze dla naszego przyszłego starcia zbrojnego. Muszę się przyznać, że podejmowałem się wykonania tych poleceń rządu z dużą niechęcią, ale zdając sobie sprawę jak odcinek ten jest ważny dla naszego przyszłego zadania, widząc, że przez przeciąg 15 miesięcy nie tylko, że nie umiano go skonsolidować ale dążono do podziału i dezorganizacji społeczeństwa — czyniłem wszelkie wysiłki dla wyrównania różnic. A czy wysiłki moje dały dodatnie rezultaty to zarówno kraj jak i obaj Delegaci Rządu, poprzedni i obecny, oceniają je o wiele obiektywniej i pozytywniej aniżeli opinie, jakie wydaje o nich z oddali emigracja, lub te czynniki w kraju, którym konsolidacja wewnętrzna nie jest na rękę.

Objęcie przez nowego Delegata Rządu jego agend stało się dla mnie najszcześniejszą chwilą w mej dotychczasowej pracy. Wreszcie zostaną uwolniony od mieszania się w tę dziedzinę, której nie znosiłem, która przyniosła mi tyle przykrości i może w ten sposób legenda dyktatury, ten urojony straszak będzie mogła przerzucić się na inny, bardziej wdzięczny grunt.

Dochodzące mnie słuchy o legendach powstałych za granicą, że organizacja wojskowa drogą inspirowanych wysp likwiduje niewygodnych sobie polityków — są tak potworne, że mogły one wyrosnąć w umysłach ludzi i w atmosferze gdzie tego rodzaju metody w walce z przeciwnikiem politycznym są uznane i stosowane bez skrupułów. U nas, jak mogliście zaobserwować, współpraca układa się pozytywnie na wszystkich odcinkach. W kraju mamy tylko jednego przeciwnika, którym jest okupant; poza tym my nikogo nie zwalczaliśmy i nie zwalczamy, przeciwnie jesteśmy na każdym kroku czynnikiem konsolidującym. A je-

żeli dzisiaj w obronie własnej używam nieco mocniejszych argumentów jak to mam we zwyczaju, argumentów istotnych i prawdziwych, to czynię to z konieczności zmuszony okolicznościami. Muszę przy tym z dużym zaparciem się hamować cisnące się na usta wyrazy potępienia, odrazy i pogardy dla metod stosowanych w walce z nami, metod operujących szkalowaniem lub zgoła oszczerstwem i to w walce prowadzonej przeciwko nam przez rodaków.

Punktem szczytowym tych metod jest zakomunikowany mi ostatnio zarzut fałszowania przez ZWZ depeesz b. Tymczasowego Delegata Rządu, kierowanych do rządu.

Gdy poprzednie zarzuty dotyczyły zabarwienia politycznego i były mniej lub więcej przykre, lecz nie dotyczyły honoru i godności żołnierskiej, mogłem to znosić spokojniej. Ostatni jednak zarzut dotknął mnie tak boleśnie, że nie mogę przejść nad nim do porządku dziennego, nie zaznam spokoju dopokąd nie zostanie mi udzielone zadośćuczynienie. Toteż proszę zwrócić uwagę gen. Sikorskiego i gen. Sosnkowskiego na końcowy ustęp mego raportu, proszę zameldować jaką wagę przywiązuję do sposobu załatwienia próby tam zawartej⁹.

Ponadto zameldujcie, że konieczność wyjaśnienia tego potwornego i bezpodstawnego zarzutu — kosztowała nas tak wiele trudu i niebezpieczeństw, że zdecydowałem się na wykonanie polecenia tylko dlatego, iż odmowa mogłaby być poczytana za potwierdzenie postawionego oskarżenia. Pragnę jednak by ci, którzy wysunęli ten potworny zarzut wiedzieli jak tragiczne skutki mogło to dla nas pociągnąć, jak fatalnie odbijają się tego rodzaju metody postępowania na naszych pracach, jak odciągają nas od właściwego naszego zadania, jak deprymująco oddziałują na nasze samopoczucie, wreszcie jakie wzbudzają nastawienie do emigracji, która nie tylko nie potrafi znaleźć zrozumienia dla ciężkich warunków naszej pracy, ale podrywa ją w tak tragicznej dla nas chwili w sposób godny największego napiętnowania.

Nie mogę znaleźć słów dla określenia uczuć, jakie budzą się we mnie, nie godzę się z myślą by przyszłość nasza miała wyrosnąć na tego rodzaju metodach, ale trudno oprzeć się czasem zwątpieniu, gdy patrzę na smutne położenie kraju, gdy stoję wobec ogromu czekających nas zadań i na tym tle spotykam taką potworność, do której — pomimo jej nicości — przywiązuję się

9. „Wierzę, że pan generał, Naczelny Wódz, po poznaniu istotnego stanu rzeczy w kraju, da należyłą odprawę winnym tych zarzutów, a nam walczącym w nieprawdopodobnie ciężkich warunkach da pełne żołnierskie zadośćuczynienie”.

pierwszorzędną wagę, a która w zestawieniu z tragiczną rzeczywistością wydaje się koszmarem.

Ja osobiście mam już zdecydowanie ustalony sąd o tego rodzaju metodach, nie sprowadzą mnie one z jasno wytkniętej drogi postępowania. O czystość własnej pracy i postawy ZWZ jestem spokojny i nie obawiam się o wyrok historii. Mam jednocześnie najgłębsze przekonanie, że ci, którzy podjęli z nami tę zaciętą i nieprzebierającą w środkach kampanię — spotkają się z właściwą oceną na kartach naszych dziejów bojowo-niepodległościowych, znaczonych tutaj krwią bojowników, a nie oszczerstwem i potwarzą.

Zameldujcie, że konieczność wyjaśnienia tego bezpodstawnego i potwornego zarzutu pociągnęła za sobą następujące skutki: — Depesze, które należało sprawdzić, sięgają okresu czerwca 1940; były one już od jesieni ubiegłego roku zdeponowane w archiwach przez zakopanie w ziemi w kilku miejscach. Chcąc je więc przedstawić Delegatowi do sprawdzenia trzeba było wykopać je po nocach kilofami z ziemi zmarzniętej na dużej głębokości, spod grubej warstwy śniegu, co pozostawiało ślady i dekonspirowało wykonaną pracę.

— Kilkakrotne przewożenie depesz przez miasto, sprawdzenie na kwaterach konspiracyjnych, konieczność powtórnego ich ukrycia odbywało się w czasie masowych aresztowań i rewizji, co powodowało masę komplikacji i blokowało nam najistotniejszą pracę, bo przygotowanie materiału dla was do Londynu.

Ten stan rzeczy zmusił mnie do poważnego zastanowienia się i postawienia sobie pytania oraz zbadania, w jaki sposób moja uległość i poddawanie się narzuconym mi metodom odbijają się na pracy organizacji i czy można nadal stan ten utrzymać, toteż poleciłem skontrolować:

- zakres pracy mego najbliższego sztabu,
- rodzaj korespondencji z Centralą w Londynie,
- depesz tam wysyłanych,
- pracy oddziału szyfrów,
- radiostacji,
- sekcji łączniczek wewnętrznych,
- przebiegu kurierów do baz,

i stwierdziłem z przerażeniem, że od lata 1940 75 % wysiłku zostało zużyte na opracowywanie bądź przesyłanie meldunków spowodowanych zarzutami przeciwko nam lub koniecznością usprawiedliwiania i tłumaczenia nieporozumień wynikłych na tym tle. Zaledwie 25 % czasu i wysiłku można było poświęcić na zagadnienia istotne, na pracę wojskową.

Czyż nie jest to jakimś tragicznym nieporozumieniem, czy jest możliwe, aby jakiś urojony straszak potrafił rzucić bielmo na oczy do tego stopnia, by chęć obalenia tej ułudy zasłoniła całkowicie główny cel — właściwego wroga tak potężnego, że nawet skupienie całego wysiłku przy najbardziej sprzyjających warunkach będzie zadaniem olbrzymim, a ja mogę poświęcić na przygotowanie walki z nim zaledwie 25 % wysiłku, gdy 75 % pochłania mi odparowywanie ataków kierowanych z odcinka wewnętrznego.

Dążenie do zdyskredytowania nas, do podważenia zaufania naszych przełożonych do naszej lojalności — nie jest dla mnie zaskoczeniem, jeno zastosowane metody przybierają coraz to inne, nowe formy. Historia organizacji zna już kilka nawał podobnych ataków. Mieliliśmy jedną rundę bezpośrednio po objęciu przeze mnie Komendy ZWZ, następna runda rozpoczęła się na wiosnę ubiegłego roku i została przerwana z chwilą przeniesienia się władz naczelnych do Anglii. Ostatnio rozpoczęła się trzecia runda, wy będziecie tym, który ma ją zakończyć na arenie londyńskiej. Będąc czysty zarówno w swym obywatelskim jak i żołnierskim sumieniu, odpowiadając w jednakowym stopniu za siebie jak i za wojsko w konspiracji, którym dowodzę, mając zapewnienie zaufania gen. Sikorskiego i gen. Sosnkowskiego, jakim mnie darzą — jestem pewien, że dobrze spełniam swój obowiązek. Z tej drogi sprowadzić się nie dam, niezależnie od tego czy to podoba się lub nie, takiemu czy innemu panu politykowi.

Toteż wobec przedstawionego stanu rzeczy, wobec odpowiedzialności, jaka na mnie ciąży za spełnienie powierzonych mi zadań bojowych, nie mogę pozwolić by narzucone mi metody spaczyły główny cel, do jakiego jestem powołany, by odciągały mnie od właściwego zadania — dlatego też zameldujcie, że:

od chwili gdy złożycie ten meldunek w Londynie przestaję reagować na jakiegokolwiek bądź zarzuty i insynuacje. Zabraniam wysyłać jakichkolwiek bądź wyjaśnień czy usprawiedliwień, czy to pisemnie czy depeuszami, a jeżeli spotkam się z jakimkolwiek bądź jeszcze oszczerstwem spocznie ono bez odpowiedzi w archiwach, a dopiero po zwycięskiej wojnie spotka się z odpowiednią reakcją.

Można sobie wyobrazić jaką atmosferę niezdrowych oparów wywołać mogą tego rodzaju stosunki toteż, obawiając się by zapoznanie się z nimi przez żołnierzy nie odbiło się na ich samopoczuciu, przedsięwziąłem wszelkie środki by żadna wiadomość nie wyciekła poza najściślejszy mój sztab. Niestety konieczność szyfrowania, fotografowania i pewnych pomocniczych czynności i to w warunkach pracy konspiracyjnej rozszerza nieznacznie krąg

osób poznających ten stan rzeczy. Nie potrzebuję zatajać, jaką gorycz wywołuje świadomość, że ich poświęcenie i ofiarność są tak napastliwie atakowane.

Przyznam się, że pomimo iż starałem się uodpornić przeciwko skutkom tej niezdrowej atmosfery i jak dotąd nie odbija się to zbyt na wynikach mej pracy — to jednak nie mogę oprzeć się smutnym refleksjom. Możliwe, że na tle naszego położenia tutaj, przykrości jakie spotkają nas od własnych rodaków, żłobią w nas silniejsze szczyrby aniżeli miałyby to miejsce w normalnych czasach. Pewne jest dla mnie, że fakty te nie wpływają na spełnienie przez nas obowiązku wobec kraju i na wykonanie powierzonego zadania. Wypełnimy je co do joty, do ostatniej kropli krwi i nie zawiedziemy nadziei i zaufania kraju i naszych przełożonych.

Gdy pomyślę jednak, że w przyszłej Polsce podobna atmosfera mogłaby zapanować powszechnie, że oszczerstwo, kalumnia i potwarz miałyby być codziennym, bezkarnym narzędziem załatwiania wewnętrznych porachunków i to opartych na jakichś urojonych straszakach — nie mogę się pogodzić z myślą bym mógł w tego rodzaju atmosferze nadal pozostawać w służbie. Zameldujcie więc gen. Sikorskiemu i gen. Sosnkowskiemu, że do końca wojny — choćbym musiał przeżywać jeszcze nawet cięższe i poważniejsze kryzysy — wytrwam. Natomiast gdy będę miał świadomość, że obecne stosunki zapanują w przyszłej Polsce — z dniem zakończenia wojny i zdania dowództwa wycofam się z wojska i przed tym krokiem nie powstrzyma mnie ani umiłowanie zawodu, ani dotychczasowy mój dorobek na polu służby, ani najgłębszy żal z jakim będę musiał powziąć decyzję.

Meldunek ten składam nie z pobudek emocjonalnych, nie na skutek goryczy wywołanej ostatnimi wydarzeniami — lecz po głębokim namyśle, po tak gruntownym przeoraniu duszy i serca wewnętrzną analizą, że jest to pełna świadomość, decyzja oparta na przesłankach i czynnikach istotnych, znanych mi i potwierdzonych.

Jednocześnie z depeszami, o których wspominałem wam poprzednio, otrzymałem rozkaz przedstawienia telegraficznie do Londynu imiennej obsady wyższych stanowisk ZWZ. Zameldowałem, że personalia te zostaną wam zakomunikowane ustnie, a wy zameldujecie je w Londynie.

Ponadto już poprzednio były wydane rozkazy, że obsada wyższych stanowisk ZWZ ma być uzgadniana z czynnikami politycznymi. Chcę byście wyjaśnili w Londynie moje zapatrywanie na te sprawy i okoliczności, które spowodowały takie moje stanowisko. Mianowicie:

jest faktem, że na skutek karygodnej i bezprzykładnej lekkomyślności czynników politycznych zarówno ja, gen. Korczak¹⁰, nasze rodziny, jak również wiele innych osób zostało zdekonspirowanych przed władzami okupacyjnymi, które są w posiadaniu naszych fotografii, rysopisów, pseudonimów, uprzednio używanych adresów, zresztą nieaktualnych itp. Dekonspiracja ta została spowodowana działalnością politycznej emisariuszki Gawrońskiej, o czym mówiliśmy poprzednio, zresztą macie również naświetlenie tej sprawy przez inne osoby spoza ZWZ.

O ile narażenie mnie i gen. Korczaka muszę przeboleć, to nie mogę zgodzić się na to bym sam, przez własne niedbalstwo, miał narażać swych podkomendnych, nie mogę pozwolić by zaniedbanie kardynalnych zasad konspiracji popełnione z mojej winy miało być przyczyną strat, które i bez tego szczerbią nasze szeregi. Nie potrzebuję wyjaśniać jak ciężko przeżywam każdą stratę, jak ważę się i łamię wewnątrz, gdy mam powierzyć komuś placówkę trudną, o której jestem przeświadczony jak jest niebezpieczna, a na takie właśnie muszę dawać ludzi najlepszych. O stratach poniesionych przez nas mówiliśmy poprzednio. Znacnie je i wście jak są one poważne i dotkliwe, czy wobec tego mogę obarczać me sumienie możliwością jeszcze dodatkowej niepotrzebnej straty dlatego by zaspokoić ciekawość osób ze świata politycznego? Będąc jednocześnie przekonany, i mając na to dowody, że nie potrafią one zachować niezbędnych, a jakże podstawowych zasad konspiracji.

Na tę lekkomyślność nie mogę pozwolić, a za nią uważałbym:

- telegraficzne podawanie nazwisk, co łączy się z dekonspiracją schematu organizacyjnego sztabu i całego obszaru;
- komunikowanie nazwisk komukolwiek poza osobami wojskowymi, które z urzędu muszą znać personalia.

Postępowanie Gawrońskiej jest przykładem do czego prowadzi podawanie personalii osobom niepowołanym, a za takie uważam nawet najwyższe postawione postacie na szczeblu politycznym, boć przecie od nich otrzymała Gawrońska te kompromitujące nas dane. Dlatego też nazwiska osób spośród ZWZ, które zostaną wam zakomunikowane, możecie zameldować jedynie tylko gen. Sikorskiemu i gen. Sosnkowskiemu. Pod osobistą odpowiedzialnością zabraniam wam podawania ich komukolwiek bądź poza tymi dwoma naszymi najwyższymi przełożonymi. Jednocześnie w moim imieniu proszę gen. Sikorskiego i gen. Sosnkowskiego, aby ze swej strony nazwisk tych nie podawali do niczyjej wiadomości. Tę moją prośbę podkreślam bardzo stanowczo, gdyż

10. Gen. Tadeusz Bór-Komorowski.

wiem z doświadczenia jak łatwe a tym samym niebezpieczne jest wyciekanie wiadomości przez komórki polityczne. A nie darowałbym sobie tego nigdy, gdybym przez pominięcie tego zastrzeżenia miał narazić swych podkomendnych.

Odnosnie rozkazu polecającego uzgadnianie obsady personalnej wyższych stanowisk ZWZ z czynnikami politycznymi to rzeczywistość i moje stanowisko jest następujące:

Do czasu mianowania Delegata Rządu Wartskiego niejasne było kogo należy uważać za czynnik polityczny, miarodajny w tych sprawach, gdyż płk Kaczmarek miał pełnomocnictwa niekompletne, które później i tak zostały zdezawuowane. Polityczny Komitet Porozumiewawczy, jako ciało zbiorowe, nie ma kwalifikacji by z nim uzgadniać tak delikatne sprawy jak personalia. Mogłem się bowiem spotkać z tym, że w jednym okręgu wniesie sprzeciw wobec mojej propozycji jedno stronnictwo, w innym okręgu inne i tak powstałoby błędne koło, z którego nie byłoby wyjścia. Miałem zresztą już dosyć doświadczeń na tle wyboru przez stronnictwa kandydata na Delegata Rządu, by zdać sobie sprawę, że wprowadzenie podobnych zasad w wojsku i to w warunkach pracy konspiracyjnej — jest pomysłem nierealnym i nie do przyjęcia.

Obecnie, po nominacji Delegata Rządu Wartskiego, sprawa ta może być postawiona na właściwej płaszczyźnie, ale w dalszym ciągu nie mogę zgodzić się na to by stronnictwa polityczne miały zabierać głos w tej dziedzinie; to moje stanowisko nie wymaga chyba uzasadnienia.

Poza powyższymi zagadnieniami przeznaczonymi do wiadomości gen. Sikorskiego i gen. Sosnkowskiego macie jeszcze kilka spraw do omówienia ze sztabem w Londynie, które wam przypomnę:

Sprawa stosunku do mnie komendanta okręgu lwowskiego i jego podporządkowania się, oraz stosunków panujących w organizacji na terenie Lwowa.

Warunki łączności z okupacją sowiecką i trudności pracy na tamtejszym terenie.

Poniesione straty.

Warunki naszej pracy, szczególnie radia i kurierów.

Warunki współpracy z bazami łączności.

Łączność innymi drogami.



Odprawa przeciągnęła się do późnych godzin popołudniowych,

gdyż generał dał mi do przeczytania swe obszerne raporty do gen. Sikorskiego i gen. Sosnkowskiego i list do prof. Kota.

W czasie mojej pierwszej bytności w kraju było to ostatnie spotkanie z gen. Rakoniem, gdyż następnego dnia wyjechałem z Warszawy do Londynu.

ODTWORZENIE ROZMOWY b. TYMCZASOWEGO DELEGATA RZĄDU RP. KACZMARKA Z EMISARIUSZEM ANTONIM

Na wstępie rozmowy, przeprowadzonej 19. I. 1941, uczyniłem zastrzeżenia odnośnie mých pełnomocnictw.

Kaczmarek poruszył w rozmowie następujące zagadnienia:

a) Tłumaczył powołanie zbiorowej Delegatury Rządu sytuacją, jaka się wytworzyła po załamaniu Francji oraz nastrojami w kraju, spowodowanymi tymi wydarzeniami, mianowicie:

— wobec trudności zdania sobie sprawy, jakie konsekwencje wywoła dla naszej sprawy fakt załamania się głównego sprzymierzeńca;

— wobec trudności uświadomienia sobie, jakie wartości wniesie dla nas związanie się z ostatnim już sprzymierzeńcem, na którego teren udał się rząd;

— wobec niepewnych losów dalszego przebiegu wojny;

— wreszcie wobec zdecydowanego stanowiska stronnictw, zmieniającego do wzięcia zbiorowej odpowiedzialności za losy kraju, w tym trudnym położeniu przychylił się do jedyne — jego zdaniem rozwiązania, jakim było w tej sytuacji powołanie Zbiorowej Delegatury.

Mogły bowiem nadejść wypadki wymagające natychmiastowych a zasadniczych decyzji, jak to miało miejsce z chwilą pojawienia się tajemniczego rządu, wydającego zarządzenia w *Monitorze*. Można było liczyć się ze zmianą taktyki okupanta w stosunku do kraju. Wiele jeszcze innych okoliczności przemawiało za tym, by w tak ciężkiej chwili znalazła się w kraju władza, ciesząca się autorytetem i uznaniem oraz oparta o jak najszerze warstwy społeczeństwa.

Kaczmarek nie wie czy załamanie Francji było dla Rządu RP. zaskoczeniem, w każdym razie nic nie zostało przewidziane, by przygotować zarówno kraj jak i jego na ten tak dotkliwy cios, gruntownie zmieniający nasze położenie. Wobec nieobjęcia przewidywaniami rządu tych wydarzeń i nieudzielenia mu wskazówek dostosowanych do różnych ewentualności, jakie mogły nadejść Kaczmarek znalazł się w sytuacji przymusowej i działał

tak, jak nakazywała mu jego własna ocena położenia ogólnego i nastrojów kraju oraz zgodnie z interpretacją depešy z Libourne z dnia 18. VI. 1940¹¹.

Wprawdzie zdawał sobie sprawę, że powołanie Zbiorowej Delegatury nie odpowiadało zamierzeniom rządu, że było to zło konieczne, niemniej jednak jest zdania, że nawet to zło konieczne było lepsze aniżeli oczekiwanie na wybór kandydata¹² i zgodę Rządu RP.

Wydarzenia bowiem biegly zbyt szybko, nastroje w kraju nie byly tak zrównoważone jak za granicą i wreszcie nie można było pozwolić na zaskoczenia, jakie mogły nastąpić.

Tak zresztą jak przewidywał, po rozwiązaniu Zbiorowej Delegatury, zagadnienie szybkiego uzgodnienia i wyboru przez stronnictwa kandydata na Delegata Rządu, było z góry skazane na niepowodzenie. A więc przedłużało stan bezkrólewia w kraju i doprowadziło do tego, że przez 15 miesięcy kraj pozbawiony był jakiegokolwiek władzy, co dawało pole do najrozmaitszych dywersji i nieuzgodnionych poczynań powiększających istniejący w kraju zamęt i to wówczas, gdy należało podjąć energiczną akcję dla podniesienia nastrojów i uspokojenia opinii publicznej.

W tym stanie rzeczy aż do listopada 1940 byliśmy pod względem władzy politycznej i uporządkowania życia kraju w gorszym położeniu aniżeli jesienią 1939.

W pełnej świadomości, że działa sprzecznie z otrzymanymi

11. Depesza-radiowa. „Rakoń”. 1) Jesteście mianowani pełnomocnym zastępcą Komendanta Głównego ZWZ na cały kraj z prawem samodzielnej decyzji w wypadku utraty łączności z rządem. W sprawach zasadniczych należy działać w porozumieniu z P.K.P.

2) Wobec katastrofy Francji, rząd wierny swemu słowu i zobowiązaniom Polski, wierząc w przyszłość będzie kontynuował walkę w ścisłym porozumieniu z rządem angielskim.

3) Macie aż do odwołania zaniechać wszelkich aktów z bronią w rękę z wyjątkiem działań koniecznych dla bezpieczeństwa organizacji. Pracować na długą falę, redukować organizację pod względem ilościowym, nadając jej charakter wybitnie kadrowy, wzmocnić do granic maksymalnych zasady selekcji i konspiracji, umocnić się w terenie mając na oku przetrwanie złych czasów z najmniejszymi stratami. Ograniczać wydatki do najkonieczniejszych potrzeb.

4) Upoważniam was do wydawania bazom obowiązujących dyrektyw w zakresie zaopatrzenia; w wypadku dłuższej przerwy łączności podporządkujecie sobie bazy w zupełności. Komendant Główny J. Godziemba. Wódz Naczelny Sikorski. Libourne, dnia 18. VI. 1940 roku.

[J. Godziemba jest to pseudonim używany w korespondencji z krajem gen. Kazimierza Sosnkowskiego (uwaga autora)].

12. Kandydata na Delegata Rządu na Kraj. Kaczmarek właśnie w tym celu wyjechał w maju 1940 z Paryża do Warszawy by doprowadzić do przedstawienia rządowi przez stronnictwa w kraju uzgodnionego przez nie kandydata.

instrukcjami, jednak jedynie słusznie, w poczuciu odpowiedzialności jaka na nim spoczywała — podjął Kaczmarek tę decyzję, uważając ją w swym obywatelskim sumieniu za najbardziej właściwą w sytuacji, jaka się wytworzyła.

b) Przedstawiając swą działalność Kaczmarek podkreślał napotykaną trudności, jakie musiał przezwyciężyć. I tak:

Na terenie kraju spotkał się z równoległym przedstawicielstwem rządu, mianowicie z Biurem Politycznym, które odnosiło się dosyć negatywnie do jego misji, uważało się za właściwą reprezentację Rządu RP., a ponieważ ono dysponowało funduszami państwowymi, więc jasne jest, że rola Kaczmarka — w pojęciu społeczeństwa — została sprowadzona na boczny tor, czego B.P. nie tylko, że nie prostowało, lecz przeciwnie urabiało taką opinię. Trudno więc w tych warunkach mówić o współpracy, tym więcej, że B.P. nie objawiało w tym kierunku dobrej woli.

Kaczmarek musiał korzystać z funduszy B.P., a ponieważ napotykał przy tym na trudności, po wyczerpaniu kwoty 25.000 złotych, zniechęcony zrezygnował z tego źródła i zaczął czerpać z kasy ZWZ, przy tym ZWZ udzielał mu chętnie swej pomocy zarówno finansowej jak i każdej innej, której zażądał.

Działalność B.P. w dziedzinie wpływu na życie polityczne kraju oraz gospodarka funduszami państwowymi mają już swoją historię. Nie jest rzeczą Kaczmarka podejmować to zagadnienie, niemniej jednak pozwala sobie zwrócić uwagę, dla uniknięcia ewentualnych przykrych konsekwencji, jakie jeszcze mogą wyniknąć.

Współpraca ze stronnictwami politycznymi układała się w ten sposób, że najłatwiej dochodziło do porozumienia pomiędzy Ludowcami, PPS-em i Stronnictwem Pracy, natomiast Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne wysuwało zawsze najrozsądniejsze trudności i obiekcje, toteż na karb tego stronnictwa należy głównie złożyć winę spóźnionych wyników misji Kaczmarka.

Jest przy tym charakterystyczne, że w atmosferze dobrej woli, jaka zaznaczała się u trzech pierwszych stronnictw, przedstawiciel N.D. z czasem ulegał panującemu nastrojowi i począł znajdować wspólny język. Gdy tylko jednak harmonia ta stawała się widoczna i zaczęło dochodzić do wspólnych uchwał lub deklaracji, odwoływano desygnowanego przedstawiciela, władze stronnictwa odbierały mu pełnomocnictwa i wyznaczały innego, z którym musiano zaawansowane już rozmowy wszczynać na nowo, co znacznie opóźniało bieg spraw. Ten manewr zamiany przedstawicieli powtarzało N.D. czterokrotnie. Jest więc zrozumiałe ile trudu i czasu wymagało przeprowadzenie każdej uchwały.

W tego rodzaju powtarzającej się taktyce N.D. Kaczmarek wi-

dzi wyraz dążności stronnictwa, które w zestawieniu z innymi pociągnięciami mogą nasunąć zdecydowane wnioski odnośnie celów, jakie postawiła sobie N.D.

Zupełne zamieszanie powstawało w pracach z chwilą przybycia do kraju emisariuszki Gawrońskiej. Zostało to spowodowane przywiezionymi przez nią instrukcjami sprzecznymi z pełnomocnictwami Kaczmarka, co dało asumpt przedstawicielowi N.D. do przerwania rozmów. Następnie sposób jej przybycia, postępowania, oraz dekonspiracja wzbudziły poważne zastrzeżenia oraz obawy o możliwość wysp, toteż na przeciąg kilku tygodni trzeba było wstrzymać wszelkie prace.

Wobec najrozmaitszych czynników, jakie odgrywały rolę, trudno jest dochodzić gdzie leży przyczyna, że Delegatura nie została obsadzona w formie zatwierdzenia przez rząd kandydata uzgodnionego przez stronnictwa, jak to było zamierzone, lecz w drodze mianowania go. Wiele były czynników od nikogo niezależnych, jak załamanie Francji, utrudniona łączność rządu z krajem itp., przeciąganie się porozumienia pomiędzy stronnictwami nie było też bez wpływu, niemniej jednak fakt nominacji Delegata w przeddzień dojścia do porozumienia w łonie PKP wówczas, kiedy według twierdzenia Kaczmarka przez 15 miesięcy sprawa była przewlekana — uznany został przez Ludowców i PPS za objaw zbyt lekkiego przechodzenia do porządku dziennego nad ich słusznymi postulatami oraz jako wyraz nieliczenia się z wolą kraju.

Deklaracja skierowana przez oba te stronnictwa do Rządu RP. po nominacji Delegata i podziale kraju na trzy Delegatury nie daje jeszcze wiernego odbicia nastrojów, jakie zapanowały po tych wydarzeniach. Bardzo znamionym faktem jest wysłanie wspólnej i uzgodnionej deklaracji, co w naszych warunkach współpracy stronnictw nie jest wypadkiem często spotykanym. Kaczmarek nie chce być złym prorokiem, ale wobec dosyć zdecydowanego stanowiska obu tych stronnictw oraz wobec zarysowującego się coraz to bardziej krytycznego stosunku do niektórych pociągnięć rządu obawia się, że przejdą one do opozycji. Wprawdzie charakter ewentualnej opozycji i możliwe jej przejawy nie kryją w sobie specjalnej groźby, niemniej jednak zarówno na tle naszej sytuacji międzynarodowej jak również z uwagi na wrażliwość i przeczuwanie społeczeństwa nie będzie to objawem pożądanym. Delegat Rządu może w związku z tym mieć poważne trudności, gdyż stronnictwa te odmówiły współpracy wskutek czego atmosfera jest napięta i wymaga troskliwej uwagi.

c) Na podstawie kilkumiesięcznych doświadczeń na sprawowanym urzędzie Kaczmarek poczynił kilka spostrzeżeń, które według jego zdania mogą być cenne w dalszych pracach. I tak zauważył, że pogarszające się coraz to bardziej warunki łączności rządu z krajem nie sprzyjają centralistycznym metodom kierowania życiem kraju, które rząd przyjął jako zasadę. Powodowało to opóźnienia w załatwianiu wielu istotnych spraw, wiele z nich w ogóle nie zostało poruszonych w przeświadczeniu, że i tak załatwienie ich — przy tych metodach i tych warunkach — jest problematyczne, a wobec tego wiele żywotnych dla kraju spraw leżało odłogiem.

Dwutorowość spowodowana istnieniem Biura Politycznego i misji Kaczmarka — obu komórek od siebie niezależnych — również nie sprzyjało szybkiemu rozwiązywaniu powierzonych mu zadań. W szczególności ujemnie odbijał się brak szerszych kompetencji Kaczmarka oraz nieściśle sprecyzowanie zadań i pełnomocnictw Biura Politycznego, na skutek czego mogło ono zabierać głos i mieszać się do wszystkich spraw, uzurpując sobie niewątpliwie wiele uprawnień i utrudniając w ten sposób spełnienie misji Kaczmarka.

Toteż na przyszłość konieczne jest ściśle i dokładne precyzowanie zadań i pełnomocnictw oraz wyraźny ich podział, dla uniknięcia ewentualnych tarć i nieporozumień.

To samo zło leżące poprzednio w dwutorowości widzi obecnie Kaczmarek w podziale kraju na trzy Delegatury. O ile nie zostanie utworzony Delegat centralny z podporządkowaniem mu całego kraju, a rząd z Londynu będzie chciał kierować każdą z Delegatur bezpośrednio, powstanie duże niebezpieczeństwo, mogące doprowadzić do poważnych komplikacji. Bowiem:

- Rząd RP. z chwilą przeniesienia się do Londynu już i tak w znacznym stopniu utracił wycucie spraw krajowych, więc tym trudniej będzie mu zbierać elementy do decyzji z trzech różnych obszarów kraju, co w wypadku pozostawienia trzech Delegatur będzie konieczne.
- Możliwość różnej interpretacji rozporządzeń rządu przez Delegatów spowoduje niewątpliwie najrozmaitsze rozwiązania, co w rezultacie da nam trzy różne administracje i trzy twory, różniące się pomiędzy sobą, niezależnie od stale działającego w tym kierunku wpływu okupantów. Zamiast więc łagodzić trudności i niebezpieczeństwa, jakie powoduje okupacja jeszcze je sami pogłębiaamy.
- Powstaną niezawodnie zagadnienia wymagające natychmiasto-

wych decyzji (jak to miało miejsce z zarządzeniem okupanta o przysiędze urzędników), trudno zaś sobie wyobrazić by rząd mógł w porę, i jednocześnie, udzielić wskazówek trzem Delegatom. Może więc zaistnieć niebezpieczeństwo różnych decyzji przez poszczególnych Delegatów i będzie konieczne później uzgadnianie i prostowanie błędnych postanowień.

- Stosunkowo najłatwiejsza łączność rządu z Warszawą narzuca rozwiązanie utworzenia tam centralnej Delegatury, co zapobiegnie mogącym się wyłonić komplikacjom.
- Kaczmarek uważa, że nie bez znaczenia dla rządu powinna być zgodna opinia całego nieomal kraju sprzeciwiająca się podziałowi Polski na trzy części.

Naświetlając rolę ZWZ Kaczmarek stwierdził, że jest to jeden z najbardziej pozytywnych odcinków życia kraju. Ostatnio zdobył sobie ZWZ powszechne uznanie i zaufanie w całym nieomal społeczeństwie. W szczególności trzy stronnictwa, mianowicie Ludowcy, PPS i Stronnictwo Pracy dają temu wyraz przez ścisłą współpracę i podporządkowanie Komendzie ZWZ organizacji bojowo-niepodległościowych stojących pod ich wpływami.

Negatywny stosunek N.D. do ZWZ, a nawet podkopywanie jego autorytetu, tłumaczy Kaczmarek jako jeden z przejawów jej taktyki, wynikającej z celów, jakie postawiło sobie to stronnictwo. Przejawy te zresztą spotyka się zarówno na odcinku wojskowym jak i politycznym.

Toteż zarzuty wysuwane przez N.D. przeciwko ZWZ nie mają istotnych podstaw, lecz są tylko przykrywką dla jej separatystycznych i odśrodkowych dążeń.

W swej pracy Kaczmarek spotykał się z bardzo wydatną pomocą ZWZ na każdym kroku, toteż odczuwa dla organizacji szczerą wdzięczność.

Na tym rozmowa z Kaczmarkiem została zakończona.

Złożone przez Kaczmarka oświadczenie o zgodności skontrolowanych depez, wysyłanych do Rządu RP. w Londynie w drodze przez ZWZ zostało po sfotografowaniu w oryginale dołączone do moich dokumentów¹³.

Kaczmarek wręczając swe oświadczenie nie mógł powstrzymać sków oburzenia skierowanych przeciwko nieznanyemu zresztą osobom, które wysunęły zarzut fałszowania depez, godząc tym samym w uczciwość i lojalność organizacji.

13. „Armia Krajowa w Dokumentach”, poz. 117.

ODTWORZENIE ROZMOWY REKTORA „DAROWSKIEGO”¹⁴ Z EMISARIUSZEM ANTONIM

Z rektorem Darowskim odbyłem dwie rozmowy, pierwszą w dniu 13. I. drugą w dniu 18. I. 1941.

Podczas pierwszej rozmowy rektor Darowski informował się o sytuacji w Anglii, następnie polecił przedstawić gen. Sikorskiemu i gen. Sosnkowskiemu jego ocenę sytuacji w kraju, obiecując na następne spotkanie dostarczyć elaborat w tej sprawie. W dniu 18. I. rektor Darowski wręczył mi obiecany elaborat, który po sfotografowaniu w oryginale został załączony do dokumentów przeznaczonych do zabrania do Londynu.

W ocenie ustnej rektor Darowski poruszył tematy ujęte w elaboracie pisemnym ponadto polecił mi zameldować ustnie następujące jego spostrzeżenia:

a) Zarządzoną ostatnio nominację Delegata Rządu wita kraj z najwyższym zadowoleniem, dotychczasowy bowiem stan „ex-lex” był nadzwyczaj denerwujący i wywołujący wiele nieporozumień, powodował tarcia pomiędzy stronnictwami, a nawet budził w społeczeństwie zaciekawienie i zdziwienie dlaczego rozwiązanie tak istotnego dla kraju zagadnienia jest przewlekane w nieskończoność. Według oceny rektora Darowskiego brak czynnika koordynującego polityczne życie kraju odbijał się bardzo ujemnie, toteż fakt nominacji Delegata Rządu przyjmuje zarówno kraj jak i on osobiście z największą ulgą.

Nie chcąc wdawać się w ocenę poczynań rządu rektor Darowski pozwala sobie jednak zauważyć, że według jego zdania osoba Delegata jest wybrana nadzwyczaj trafnie. Rektor Darowski jest pełen jak najlepszych nadziei, że nowomianowany Delegat potrafi odpowiednio pokierować leżący dotąd odłogiem polityczny odcinek życia kraju.

Niewątpliwie fakt nominacji Delegata da początek nowej karcie życia kraju, gdyż poprzedni stan dwutorowości z istnieniem Biura Politycznego bez określonych pełnomocnictw i kompetencji, a dysponującego funduszami państwowymi oraz przysłanie Tymczasowego Delegata Rządu z niekompletnymi pełnomocnictwami, które zresztą emisariuszka Gawrońska wreszcie zupełnie zdezawuowała, i bez funduszy — nie tylko, że nie dał rezultatów, ale był powodem najrozmaitszych nieporozumień.

Nie jest rzeczą rektora Darowskiego oceniać czy Biuro Polityczne spełniło swe zadanie, on sam wycofał się z jego składu,

14. Rektor Kazimierz Drewnowski.

gdy uznał, że powierzone prace dobiegają końca, o czym zresztą powiadomił listem gen. Sikorskiego¹⁵.

Wysiłki Tymczasowego Delegata Rządu chociaż skuteczne nie mogły dać pełnego rezultatu wobec niedostatecznych pełnomocnictw. Ze pomimo tych komplikacji jednak zostały dokonane pewne osiągnięcia trzeba to złożyć na karb powszechnej dobrej woli oraz wydatnej pomocy Komendanta ZWZ, nieoszczędzającego trudu również i w tych zagadnieniach.

Na tle dość słabych wyników w organizowaniu życia politycznego kraju nadzwyczaj pozytywnym czynnikiem jest wojskowa praca ZWZ, z którą rektor Darowski miał możność zetknąć się na różnych odcinkach (wchodzi on w skład komisji rewizyjnej kontrolującej realizację budżetu ZWZ).

b) Następnie rektor Darowski zwrócił uwagę na pogłębiającą się z każdym dniem różnicę pomiędzy krajem a emigracją. Uważa on objaw ten za bardzo znamienny i niebezpieczny, mogący poważnie zaważyć zarówno na swobodzie działania rządu w Londynie jak też na odcinku zaufania społeczeństwa do rządu, toteż uważa za swój obowiązek podkreślić tę okoliczność.

Przyczynę tego stanu rzeczy widzi rektor Darowski w tym, że na skutek oddalenia rządu — co utrudniło ścisłą łączność i wymianę informacji — emigracja nie wyczuwa nastrojów kraju. Trzeba zaś wziąć pod uwagę, że społeczeństwo dobrze już zmęczone nieustannym i wyrafinowanym terrorem okupanta, ciągle nie widząc zbliżania się wojny ku końcowi, jakkolwiek nie utraciło wiary w zwycięstwo, niemniej jednak stało się nadzwyczaj wrażliwe i przeczulone na wszelkie przejawy życia, które w taki lub inny sposób mogą zaważyć na jego obecnym lub przyszłym losie. Wydaje się, że niektóre pociągnięcia rządu w stosunku do kraju oraz propaganda emigracyjna — nie liczą się z tym stanem rzeczy co powoduje objawy niezadowolenia.

Niewątpliwie rząd mając całą masę zagadnień równie istotnych jak sprawy kraju nie może całej swej uwagi skupić wyłącznie na naszych bolączkach, niemniej jednak na tle przemian, jakim uległo społeczeństwo oraz jego wrażliwości i przeczulenia, każde niedociągnięcie lub zaniedbanie istotnych spraw kraju, każda nie-

15. Według twierdzenia Kaczmarka i gen. Rakonia — wycofanie się ze składu B.P. rektora Darowskiego — według jego oświadczenia im złożonego — było spowodowane faktem, że nie mógł się on pogodzić z polityką prowadzoną przez Biuro, a nie mogąc wpłynąć na właściwą jej zmianę, nie chciał brać odpowiedzialności za poczynania nieodpowiadające jego przekonaniom. Ponadto nie rozumiał on potrzeby istnienia B.P. po przybyciu Kaczmarka i montowania przez niego właściwej władzy w czym zresztą B.P. bynajmniej Kaczmarkowi nie pomagało.

zbyt szczęśliwie podana wiadomość radiowa odbija się przykrym echem, powodując gorzkie uwagi, co wytwarza nastrój, że kraj jest kopcuszką w zainteresowaniach emigracji. Toteż już dzisiaj zarysowuje się coraz więcej różnic w zapatrywaniach i sposobach odczuwania, a jeżeli nie zostaną przedsięwzięte środki zaradcze, to obecny rozdział — który można porównać do wyraźnego rowu, dającego jeszcze możliwość przerzucenia przezeń kładki porozumienia — może się zamienić w przepaść trudną później do przebycia.

Na moją prośbę o podanie szczegółów zauważonych różnic rektor Darowski nie dawał wyraźnej odpowiedzi, a wyjaśnienia jego obracały się wokół poruszonych już poprzednio zagadnień oraz ponownego stwierdzenia stanu rzeczy.

Nabrałem przekonania, że jasna odpowiedź musiałaby uwytknąć pewne poczynania rządu czego chciał uniknąć. Natomiast nie ulegało wątpliwości, że ocena rektora Darowskiego miała swe podłoże w tych nastrojach społeczeństwa, jakie bez ogródek nasświetlili przedstawiciele stronnictw.

c) W dalszej kolejności rektor Darowski stwierdził, że dość znaczna część społeczeństwa stoi poza zorganizowanym życiem politycznym, nie należąc do żadnego ze stronnictw. Wśród niej znajduje się wiele wartościowych jednostek, które nie są wykorzystywane do konstruktywnej pracy dla kraju. Daje się zauważyć dużo dobrej woli u tej właśnie części społeczeństwa, niesklaniającej się do wstąpienia do obecnych stronnictw politycznych z uwagi na niezgodność jej poglądów z programami partii. Natomiast jest możliwość objęcia jej w karby organizacyjne i zaprzęgnięcie do pracy, do której się garną w wypadku stworzenia odpowiedniego podłoża na tle haseł najbardziej obecnie aktualnych. W tej dziedzinie rektor Darowski widziałby pole do działania dla inicjatywy Rządu RP.

Wyraziłem wątpliwość czy w tak niezwykle trudnych warunkach łączności rządu z krajem inicjatywa rządu byłaby możliwa i czy raczej nie powinno to wypłynąć z inicjatywy tych kół społeczeństwa, które wyrażają gotowość i potrzebę zjednoczenia się i pracy dla kraju w imię haseł najbardziej im odpowiadających. Następnie prosiłem o bliższe sprecyzowanie projektu zapytując, czy wobec lepszej znajomości przez niego sytuacji w kraju aniżeli ma to miejsce w Londynie, oraz z uwagi na warunki okupacji, widzi on zarysy i szkielet organizacyjny oraz program zbliżony do podobnych już wzorów, opartych o hasła bojowo-niepodległościowe, jak np. P.O.W., czy też raczej ma na myśli organizację ściśle na platformie politycznej i programu spo-

łecznego jak to mieliśmy zresztą przykład inicjatywy rządowej w niedawnej przeszłości z BBWR i Ozonem?

Rektor Darowski odpowiedział, że projektu nie ma rozpracowanego, lecz widząc stan rzeczy rzuca jedynie rządowi myśl do rozpatrzenia.

Wreszcie rektor Darowski poruszył sprawę terroru okupanta w stosunku do ludności, przy tym propozycje jego i wnioski zgodne były z wezwaniem do rządu skierowanym przez Delegata Rządu Wartskiego.

Na tym pierwsza rozmowa została zakończona.

Podczas drugiego spotkania w dniu 18. I. rektor Darowski wręczył mi swój elaborat i polecił usprawiedliwić, że z braku czasu jest on mało wyczerpujący i niekompletny. Polecił złożyć gen. Sikorskiemu i gen. Sosnkowskiemu i ich rodzinom wyrazy uszanowania.

Poza tym żadne inne tematy ogólne nie były poruszane.

ODTWORZENIE ROZMOWY PRZEDSTAWICIELI PPS p. „A” i „B”¹⁶ Z EMISARIUSZEM ANTONIM

Rozmowa miała miejsce dnia 14. I. po ustaleniu przez pomocnika Delegata Rządu Wartskiego terminu, miejsca spotkania, sposobu skontaktowania oraz haseł.

Na wstępie uczyniłem zastrzeżenie odnośnie moich pełnomocnictw, z zaznaczeniem, że rozmowa odbywa się po uzgodnieniu jej pomiędzy Delegatem Rządu Wartskim a gen. Rakoniem i na życzenie rozmówców.

Po krótkim naświetleniu sytuacji w Anglii postawiłem pytanie odnośnie stosunku PPS do ZWZ. Rozmówcy jednak, pomimo wyraźnie sformułowanego pytania, przenieśli swe wyjaśnienia na szerszą platformę o charakterze politycznym

Stwierdzili, że na odbytej ostatnio konferencji krajowej, w której wzięli udział przedstawiciele ich stronnictwa z 200 komórek organizacyjnych — zdołali uzgodnić postawę i poglądy całego stronnictwa. Wybadali nurtujące je prądy, nakreślili program pracy i działalności, a wobec tego mogą wydawać opinię z pełną świadomością, że jest ona nie tylko ich własną, ale głosem całego świata pracy przez nich reprezentowanego, przy tym dotychczasowa działalność władz stronnictwa spotkała się z ogólną aprobatą „konferencji”. Odbiciem tego będzie list do jednego z przed-

16. „A” = Kazimierz Pużak, „B” = Zygmunt Zaremba.

stawiciele stronnictwa na emigracji, o zabranie którego to listu do Londynu — proszą mnie.

Rozwijając wyniki odbytej konferencji oraz w związku z sytuacją w kraju dwa zasadnicze zagadnienia były przedmiotem naświetlania rozmówców:

sprawy wewnętrzne i współpraca pomiędzy stronnictwami w kraju, dopiero na tym tle precyzowali swe stanowisko do ZWZ.

Omawiając sprawy wewnętrzne wyrazili duże zaniepokojenie ze sposobu rozwiązywania przez rząd w Londynie wynikających stąd zagadnień. Oświadczyli, że przez długi czas nie można było zorientować się do czego zmierzają pociągnięcia rządu, względnie przedstawicielstw rządowych utworzonych w kraju, gdyż zachodziło dużo sprzeczności pomiędzy oficjalnymi oświadczeniami a ich realizacją i posunięciami taktycznymi.

I tak wszystkie oficjalne wysiłki dla wyłonienia uzgodnionego przedstawicielstwa rządu w kraju były paraliżowane innymi pociągnięciami, co opóźniało i rozbijało wysiłki kraju. PPS nie pretendowała do wysuwania swych kandydatów na czołowych przedstawicieli, chodziło jej tylko tak jak i całemu krajowi o jak najrychlejsze uporządkowanie spraw kraju i w tym kierunku PPS wykazała, że ona nie ponosi żadnej winy za komplikacje, jakie powstały wokół tego zagadnienia.

Wobec tego że inicjatywa rządowa przez nadmiernie długi okres nie dawała pozytywnych rezultatów; wówczas zaś gdy dochodziło już do porozumienia pomiędzy stronnictwami, Delegaci Rządu zostali narzuceni krajowi przez rząd i to mianowano osoby o pewnym zdecydowanym obliczu politycznym; kraj został podzielony na trzy delegatury kierowane z Londynu, z czym PPS pod żadnym warunkiem nie może się zgodzić — partia zmuszona była dać wyraz swemu negatywnemu stanowisku w stosunku do tych decyzji rządu w znanej deklaracji, uchwalonej wspólnie ze Stronnictwem Ludowym.

Niezależnie od stanowiska PPS — odnośnie powyższych, zasadniczych i istotnych decyzji rządu — partia ma wiele zastrzeżeń do posunięć taktycznych, dokonywanych zarówno w drodze przez oficjalne komórki rządowe w kraju jak i drogą innych powiązań.

I tak akcja B.P., działającego w imieniu rządu, nie tylko nie zapisała się pozytywnie na odcinku współpracy z PPS, ale utrudniała konsolidację wewnętrzną partii, toteż swe negatywne stanowisko zadokumentowała PPS przez odmawianie przyjęcia kwot ofiarowywanych jej przez B.P. z funduszków państwowych.

Powiązania z CKON (Centralny Komitet Organizacji Niepodległościowych) nieuznanym i niedopuszczonym do wspólnego

stołu obrad, dążność do wygrywania tego sztucznego tworu o niezdecydowanym obliczu i finansowanie go, przy jednoczesnym istnieniu innych rzeczywistych organów i komórek rządowych oraz przedstawicielstwa stronnictw — nie wnoszą nic pozytywnego do wewnętrznej konsolidacji, a jednocześnie budzą zaniepokojenie i zaciekawienie odnośnie celu tej akcji.

Decyzje rządu wiążące się zarówno z nominacją Delegatów Rządu i okolicznościami poprzedzającymi ten fakt, jak również stosunek rządu do PKP oficjalnie uznanego, a pomimo to omijanego w drodze przez inne nieoficjalne powiązania (np. CKON) i chęć wygrywania ich przeciwko PKP — zmuszają PPS do poddania rewizji swego dotychczasowego stanowiska odnośnie poczynań rządu w jego polityce wewnętrznej.

Wyrazem stanowiska PPS, mającego swe źródło w powyższych faktach, jest postanowienie zawarte w deklaracji do rządu wstrzymania się od współpracy z organami rządu na terenie kraju za wyjątkiem spraw wojskowych.

Naświetlając stosunek pomiędzy poszczególnymi stronnictwami, rozmówcy podkreślili pozytywne wyniki we współpracy z Ludowcami oraz zgodne stanowisko obu tych stronnictw odnośnie wielu problemów istotnych dla życia kraju. Uwypuklili następnie łatwość porozumienia się ze Stronnictwem Pracy, natomiast wysunęli poważne zastrzeżenia przeciwko N.D. oraz organizacjom politycznym i bojowo-niepodległościowym pokrewnym odnośnie ich stanowiska, taktyki jaką stosują, oraz celów, do jakich zmierzają.

Po nakreśleniu ewolucji, jakiej uległa N.D. w ostatnich czasach od września 1939 oraz prądów nurtujących ją, rozmówcy stwierdzili, że obecnie wzięły tam górę odłamy o zabarwieniu ortodoksyjno-radykalnym, niedwuznacznie faszystujące. Na potwierdzenie tej opinii przytoczyli następujące fakty:

- Podczas jednej z obrad PKP przedstawiono projekt deklaracji wzmiankującej: „wypowiadamy się za walką z hitleryzmem, faszyzmem i komunizmem” — przedstawiciel N.D. uzależnił swoją aprobatę deklaracji o ile zostanie wykreślone z niej słowo „faszyzmem”, gdyż z różnych powodów nie widzi on potrzeby demonstrowania wrogiego nastawienia do tego ustroju.
- W drugim wypadku w projekcie odezwy wzmiankującej, że: „przyszła Polska winna być demokratyczna” przedstawiciel N.D. nie zgodził się na to sformułowanie, a projekt jego ograniczał się do zaznaczenia, że „Polska winna być narodowa”. Zestawienie tego rodzaju znamienych nad wyraz tendencji z wyłamywaniem się N.D. od współpracy w ramach PKP, odmo-

wa współpracy na odcinku wojskowym z ZWZ, a jednocześnie formowanie własnych bojówek partyjnych — budzi zdecydowane wnioski, że stronnictwo to postawiło sobie za cel uchwycenia władzy w swej ręce w odpowiedniej chwili z jednoczesnym narzuceniem Polsce ustroju odpowiadającego obecnemu jego nastawieniu.

Jeżeli rządowi znane były tego rodzaju tendencje N.D. — a należy sądzić, że tak było — jeżeli pomimo to Delegaci Rządu w Warszawie i Poznaniu wybrani zostali, lub bezpośrednio z członków tego stronnictwa (Poznań), lub o przekonaniach wyraźnie jemu przychylnych (Warszawa), to PPS musi głęboko zastanowić się nad źródłami ostatnich decyzji rządu, a jednocześnie stanowisko PPS odnośnie ostatnich decyzji rządu nie może budzić zdziwienia.

PPS będzie troskliwie śledzić dalszy bieg wydarzeń i nie pozwoli zaskoczyć się wypadkom, ze swych celów nie zrezygnuje. Jak dotąd partia dawała przykład jak najlepszej woli we współpracy, nie rezygnuje z niej i na przyszłość, o ile będą stworzone możliwe do przyjęcia warunki. Partia pragnie przy tym dać wyraz swemu niepokojowi i obudzić czujność rządu, by komplikująca się obecnie sytuacja nie doznała zaognienia, bowiem tak skrajne tendencje, reprezentowane dzisiaj przez znikomy odłam społeczeństwa nie mają widoków na ich realizację, niezależnie od skompromitowania ich działalnością państw totalnych, niemniej jednak w krytycznej chwili starcia z okupantem mogą one poważnie nas osłabić.

Wyrazem troski PPS o wydajność naszego wysiłku wojskowego jest: końcowy punkt deklaracji do rządu, oraz pozytywny stosunek do ZWZ, wyrażający się wcieleniem w jego szeregi organizacji bojowo-niepodległościowych, stojących pod wpływami partii.

Żadnych istotnych ani zasadniczych zastrzeżeń przeciwko ZWZ rozmówcy nie wysuwają. W poszczególnych wypadkach miały miejsce zadrażnienia, polegające na tym, że na prowincji nieznający stosunków komendant takiego czy innego okręgu lub obwodu przyjmował do organizacji jakąś skompromitowaną w oczach świata pracy osobę z dawnego reżymu (sanacji: np. b. referenta bezpieczeństwa lub tp.). Rozmówcy przyznają jednak, że zgłoszony sprzeciw był natychmiast respektowany przez Komendę Główną ZWZ w drodze wydania zarządzeń polecających usunięcie z danego terenu członka tam skompromitowanego.

Spotykając dobrą wolę w Komendzie Głównej ZWZ i mając do niej zaufanie PPS deklaruje i na przyszłość — tak jak to zresztą było dotąd swą pozytywną współpracę.

Znając zasięg ZWZ w społeczeństwie oraz pozytywny do niego stosunek zarówno Stronnictwa Ludowego jak i Stronnictwa Pracy rozmówcy nie mogą ukryć swego niepokoju a zarazem zdumienia dlaczego jedno ze stronnictw (N.D.) wyłamuje się od współpracy, jednocześnie jednak jest to dla nich potwierdzeniem obaw, jakie budzi w nich postawa i taktyka tego stronnictwa.

ODTWORZENIE ROZMÓW PRZEDSTAWICIELI STRONNICTWA LUDOWEGO Z EMISARIUSZEM ANTONIM

Z przedstawicielami Stronnictwa Ludowego odbyłem dwie rozmowy, w dniu 14. I. z pp. „C”¹⁷ i „D”¹⁸ oraz w dniu 15. I. z p. „E”¹⁹ po zaaranżowaniu rozmów przez Delegata Rządu Wartskiego.

Przystępując do rozmów uczyniłem zastrzeżenia odnośnie moich pełnomocnictw i postawiłem takie same pytania jak wobec przedstawicieli PPS, jednak i w tym spotkaniu rozmówcy przynieśli swe naświetlenie na platformę polityczną, poruszając bolączki, jakie najbardziej im dolegały.

I tak:

Starali się usprawiedliwić opóźnienie przedstawienia do Londynu kandydatów na Delegatów Rządu; tłumaczyli, że ich stronnictwo nie ponosi w tym żadnej winy, sugerowali natomiast, że na przedłużanie pertraktacji wpłynęło stanowisko N.D. oraz niezrozumiałe dla nich postępowanie Rządu RP.

Jako uzasadnienie swych sugestii wskazywali:

N.D. przewlekła celowo obrady, co zresztą jest notoryczną jej cechą w rozwiązywaniu również i innych zagadnień w ramach PKP. Wycofała się z obrad po zdezawuowaniu Kaczmarka przez emisariuszkę Gawrońską. Dopiero w jakiś czas po tym powtórnie podjęła obrady, nie zmieniając jednak swej taktyki przewlekania obrad.

Rząd R.P., przez postawienie zbyt skomplikowanych wymagań dla kwalifikacji kandydatów i obwarowanie warunkami trudnymi do przewyciężenia, postawił PKP w trudne położenie, co już z góry przesądzało przewlekłość obrad. Odmawianie zatwierdzenia przedstawionych kandydatów zmuszało do ponownych obrad i uzgadniania stanowiska stronnictw, co w warunkach pra-

17. „C” = Józef Necko.

18. „D” = Józef Grudziński.

19. „E” = Stefan Korboński.

cy konspiracyjnej nie jest rzeczą łatwą, a tym samym przyczyniało się do opóźnienia. Zdezawuowanie misji Kaczmarka przyczyniło się do zerwania obrad i konieczności powtórnego ich nawiązywania. Skierowanie Gawrońskiej, nieodpowiednio przygotowanej do misji emisariuszki, na skutek czego zdekonspirowanych zostało szereg osób czynnie zaangażowanych w życiu politycznym kraju, spowodowało przerwy w obradach.

Wówczas zaś, gdy zawiadomiono rząd o dojściu do porozumienia pomiędzy stronnictwami i gdy kandydat odpowiadający wszelkim warunkom postawionym przez rząd został już uzgodniony w osobie prof. P.²⁰ — Delegaci Rządu zostali krajowi narzuceni, przy tym podzielono kraj na trzy Delegatury centralnie kierowane z Londynu.

Stanowisko Stronnictwa Ludowego odnośnie obu tych decyzji rządu sformułowane zostało w deklaracji uzgodnionej z PPS. Stronnictwo zamierza twardo stać przy postulatach zawartych w deklaracji i wobec tego ponawia kandydaturę prof. P. na Głównego Delegata Rządu z jednoczesnym powierzeniem mu kierownictwa spraw całego kraju.

Uzasadniając swe stanowisko przeciwne podziałowi kraju na trzy Delegatury rozmówcy wysuwali motywy oraz mogące powstać trudności i komplikacje podobne do tych, jakie wskazywał Kaczmarek.

Sprzeciw odnośnie osoby Wartskiego motywowali tym, że przekonania jego są przychylnie N.D., a wobec zachowania się N.D., wyłamania się jej od współpracy — zarówno politycznej w ramach PKP jak i wojskowej z ZWZ — nie mogą pozwolić na popieranie jej stanowiska, co niewątpliwie da jej osoba Wartskiego jako Delegata Rządu. Przy tym rozmówcy przytoczyli te same przykłady zachowania się przedstawiciela N.D. podczas obrad PKP odmawiającego aprobaty dla uchwał PKP, wypowiadających się 1) za walką z faszyzmem, 2) za przyszłym demokratycznym ustrojem Polski.

Toteż rozmówcy obawiają się, że Wartski będąc zbliżony przekonaniami i mając podobną mentalność jak N.D. nie potrafi przeciwstawić się separatystycznym dążeniom N.D. i realizowaniu przez nią jej celów, co uważają za bardzo niebezpieczne i dlatego żądają obsadzenia stanowiska Głównego Delegata Rządu przez osobę, która swymi przekonaniami da gwarancję bezstronnego traktowania wszystkich kierunków politycznych i wszystkich stronnictw. Nie zgłaszają natomiast żadnych sprzeciwów dla

20. Jan Piekalkiewicz.

zajęcia przez Wartskiego stanowiska zastępcy Delegata Głównego.

Omawiając zgodność uchwały Stronnictwa Ludowego z PPS w sprawie obsady Delegatur Rządu rozmówcy podkreślali, że nie należy traktować jej jako zawarcie jakiegoś paktu, nie można stąd wyciągać wniosków, że doświadczeni starzy politycy z PPS pociągnęli za sobą stosunkowo młodych Ludowców, że pozwolą ci ostatni narzucić sobie program lub postępowanie nie odpowiadające interesom warstwy, jaką oni reprezentują, lecz stało się to na skutek zgodności poglądów, a dla nadania większej wagi zajętemu w tych sprawach stanowisku zgodzili się na sformułowanie wspólnej deklaracji.

Podobnie jak przedstawiciele PPS wysunęli Ludowcy zastrzeżenia przeciwko B.P. i CKON, zarzucając im dywersję w stosunku do ich stronnictwa, wyrażającą się przez popieranie i finansowanie ich odłamów. Tego rodzaju postępowanie mocno ich oburza, gdyż w dużej mierze utrudniało to konsolidację wewnętrzną stronnictwa.

Również działalność politycznej placówki węgierskiej²¹ poddali krytyce, uskarżając się na wchodzenie przez nią w kontakty z dołami, bez wiedzy władz stronnictwa, toteż bardzo stanowczo zastrzegają się przed tego rodzaju postępowaniem.

Na moją uwagę, że odcinek wewnętrzny życia kraju nie powinien budzić ich zastrzeżeń, gdyż kieruje nim osoba z ich stronnictwa, mianowicie prof. Kot, p. E. oświadczył, że „jakkolwiek cieszą się bardzo, że człowiek pochodzący z ludu zajął w rządzie to stanowisko, niemniej jednak prof. Kot nie otrzymał mandatu stronnictwa i nie bierze ono odpowiedzialności za jego poczynania w rządzie”.

Odnosnie współpracy Stronnictwa Ludowego z ZWZ rozmówcy określili ją jako pozytywną. Zastrzeżenia personalne, jakie kiedykolwiek wysuwało stronnictwo przeciwko członkom ZWZ (podobnie jak PPS) były traktowane przychylnie przez Komendę Główną i osoby, których praca w ZWZ mogła powodować zadrażnienia były usuwane. Wprawdzie zdarzały się wypadki, że trwało to dosyć długo jednak rozmówcy uznają, że w warunkach konspiracyjnych realizacja zarządzeń nie może następować z taką szybkością jak w czasach normalnych.

Ponadto miały miejsce zadrażnienia na odcinku współpracy ZWZ z Siewem i Raclawicami. Było to spowodowane nieorientowaniem się lokalnych komendantów ZWZ oraz dywersyjną

21. Polityczna placówka łączności z krajem podlegająca prof. Kotowi jako ministrowi dla spraw kraju.

działalnością CKON, jednak Komenda Główna ZWZ usunęła te zdrażnienia w porozumieniu z władzami Stronnictwa Ludowego.

Obecnie współpraca ZWZ ze Stronnictwem Ludowym układa się harmonijnie, wyrazem czego jest podporządkowanie wiejskich organizacji bojowo-niepodległościowych pod komendę ZWZ.

Rozmówcy podobnie jak i Delegat Rządu Wartski wyrazili pod adresem rządu prośbę uzyskania w drodze przez instytucje charytatywne wiadomości o losach Macieja Rataja, gdyż rodzina ma podstawy do przypuszczeń, że żyje on w jednym ze szczególnie izolowanych obozów koncentracyjnych.



Wszystkie prowadzone rozmowy z przedstawicielami życia politycznego kraju poprzedzane były informowaniem ich o sytuacji międzynarodowej i naszej wewnętrznej na Zachodzie. Te fragmenty rozmów nie zostały — oczywiście — uwzględnione w sprawozdaniu.

Jakkolwiek sprawozdanie nosi datę „kwiecień 1941 roku” jednak spisywałem je na postojach podczas drogi powrotnej do Londynu, która trwała kilka tygodni. Z chwilą przybycia do Londynu sprawozdanie było nieomal sporządzone w całości.

Kazimierz IRANEK-OSMECKI

DZIENNIK PODRÓŻY EMISARIUSZA ANTONIEGO

I. PRZYGOTOWANIA DO DROGI

12. 10. 1940. — Gen. Sosnkowski zdecydował powierzenie mi misji emisariusza do władz podziemnych w kraju.

14. 10. 40. — Zdałem zastępcy mjr. Stanisławowi Kijakowi pełnioną funkcję kierownika referatu informacyjno-wywiadowczego w Oddziale VI (Spraw Krajowych) Sztabu N.W.

15. 10. 40. — Kolejno utrzymywałem w pamięci instrukcje i zadania dla kraju i Baz Łączności z krajem:

1) Szyfr „H” dla korespondencji Oddz. VI Sztabu N.W. z Komendą Główną ZWZ w kraju.

2) Instrukcję Ogólną Nr 6, wydaną przez gen. Sosnkowskiego dla gen. Rakonia.

3) Tezy polityki zagranicznej opracowane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

4) Instrukcję łączności Londynu z krajem.

5) Instrukcję dla Baz Łączności z krajem w Kairze (Alek),

Stambule (Bey), Bukareszcie (Bolek), Belgradzie (Sława), Budapeszcie (Romek).

6) Instrukcję finansową dla kraju.

7) Instrukcję przyjmowania w kraju skoczków spadochronowych.

Szef Oddz. VI. Sztabu N.W. płk Józef Smoleński i kpt. H. P. Perkins¹ omówili ze mną szczegóły podróży.

5. 11. 40. — Przekazanie mi przez ministra dla spraw kraju prof. Stanisława Kota postulatów dla władz podziemnych w kraju.

6. 11. 40. — Odprawa przez gen. Sikorskiego (godz. 12.45-13.30). Rozmowa z prof. Kotem (godz. 14.00-15.00). Odprawa przez gen. Sosnkowskiego (godz. 16.00-17.30). Odebranie filmów z pocztą do kraju i przeznaczoną tam przesyłki pieniężnej 100.000 (sto tysięcy) dolarów i 13.000 (trzydzieści tysięcy) marek niemieckich, oraz poczty dyplomatycznej dla naszych placówek na Bliskim Wschodzie i na Bałkanach.

II. DROGA LONDYN-BUDAPESZT

6. 11. 40. — Odjazd pociągiem ze st. Waterloo do Bournemouth godz. 19.30.

7. 11. 40. — Przejazd samochodem do portu wodnopłatowców w Pool godz. 6.00-7.00, skąd o godz. 8.00 odlot wodnopłatowcem „Sunderland”. Przyłot do Lisbony godz. 15.00². Odlot godz. 18.00.

8. 11. 40. — Przyłot do Bathurst (Gambia)³ godz. 7.00. Odlot godz.

11.00. Przyłot do Freetown (Sierra Leone) godz. 15.00, gdzie nocleg na statku „Edinburgh Castle”, bazie „Royal Navy”.

9. 11. - 12. 11. 40. — Odlot godz. 7.00. Przyłot do Lagos (Nigeria) godz. 15.00, gdzie 3-dniowy pobyt w oczekiwaniu na połączenie samolotowe. Spisanie relacji z odprawy z gen. Sikorskim i z rozmowy z prof. Kotem.

13. 11. 40. — Zmiana wodnopłatowca na pasażerskiego Junkersa. Odlot godz. 7.00. Półgodzinny postój w Duala (Kamerun). Przyłot do Lebenge (Kongo belgijskie) godz. 16.00, gdzie nocleg.

14. 11. 40. — Odlot godz. 7.00. Półgodzinny postój w Bangui (Centralna Afryka francuska). Przyłot do Stanleyville godz. 12.00, gdzie nocleg.

15. 11. 40. — Zmiana Junkersa na Lockheeda. Odlot godz. 7.00. Półgodzinny postój w Jobe (Sudan). Przyłot do Chartumu godz. 15.00, gdzie nocleg.

16. 11. 40. — Odlot godz. 7.00. Półgodzinny postój w Wadi Halfa (Sudan). Przyłot do Kairu godz. 15.00.

1. Brytyjski oficer łącznikowy dla spraw łączności z krajem z S.O.E. (Special Operations Executive).

2. Czas trwania przelotu spowodowany dalekim zagłębieniem się w Atlantyk dla ominięcia tras patrolowanych przez myśliwców niemieckich.

3. Wszystkie nazwy miejscowości afrykańskich podane według ówczesnej nomenklatury.

17. 11. 40. — Pobyt u kierownika placówki łączności z krajem „Alek” ppłk. Józefa Mateckiego. Zdanie poczty dyplomatycznej w naszym poselstwie. Przekazanie kierownikowi placówki instrukcji łączności z krajem.
18. 11. 40. — Wyjazd do obozu Brygady Karpackiej pod Aleksandrią dla przekazania zleceń gen. Sikorskiego dla dowódcy brygady gen. Stanisława Kopańskiego.
19. 11. 40. — Rozmowy z łącznikowymi oficerami brytyjskimi w lokalu kierownika placówki „Alek”. Zaproszenie na kontynuowanie rozmów do dowództwa wojsk brytyjskich na Bliskim Wschodzie.
20. 11. 40. — Wizyta u gen. Wawella; uzyskanie zezwolenia na pracę naszej radiostacji z krajem i z Londynem oraz zgody na mój przelot samolotem wojskowym do Grecji lub do Turcji.
21. 11. 40. — Próby nawiązania łączności radiowej z krajem.
22. 11. 40. — Uzyskanie łączności radiowej z Warszawą; nadanie depeszy szyfrowej do gen. Rakonia o terminie mego odlotu z Kairu.
23. 11. 40. — Odlot pocztowym samolotem de Havilland godz. 7.00. Półgodzinny postój w Palestynie na lotnisku w Lyddzie. Przylot do Nicossii na Cyprze godz. 13.00, gdzie nocleg.
24. 11. 40. — Odlot godz. 11.00. Przylot do Adany w Turcji godz. 13.00. Odjazd expressem „Taurus” przez Ankarę do Stambułu godz. 17.00.
25. 11. 40. — Przyjazd do Stambułu godz. 23.30, gdzie nocleg.
26. 11. 40. — Przekazanie instrukcji kierownikom Bazy Bey w Stambule i przybyłej właśnie Bazy Bolek z Bukaresztu. Odjazd do Grecji „Orient Expressem” godz. 22.30.
27. 11. 40. — Przyjazd do stacji granicznej Pytion godz. 7.00. Wstrzymanie przez władze greckie kursowania expressu „Orient” Nieszkodliwe bombardowanie stacji kolejowej przez lotnictwo włoskie. Odjazd godz. 17.00 pociągiem wojskowym do Aleksandropolis, gdzie nocleg.
28. 11. 40. — Odjazd godz. 11.45 pociągiem wojskowym do Salonik, gdzie nocleg. Nieszkodliwe bombardowanie miasta przez lotnictwo włoskie.
29. 11. 40. — Odjazd do Belgradu pociągiem osobowym godz. 9.00.
30. 11. 40. — Kilkunatogodzinny postój w Skoplje spowodowany ruchem transportów koncentracyjnych armii jugosłowiańskiej nad granicą albańską.
1. 12. 40. — Przyjazd do Belgradu godz. 12.00. Przekazanie instrukcji kierownikowi Bazy Łączności z krajem „Sława” mjr. Wiktorowi Zahorskiemu. Wizyta u min. Romana Dębickiego. Odjazd godz. 22.00.
2. 12. - 9. 12. 40. — Przyjazd do Budapesztu godz. 7.20. Przekazanie instrukcji kierownikowi Bazy Łączności z krajem „Romek” ppłk. Zygmuntowi Bezegowi. Zaznajamianie się z warunkami przejścia przez Karpaty. Zaopatrzenie się w dokumenty osobiste obowiązujące w kraju na nazwisko Włodzimierza Ronczewskiego. Zde-

ponowanie w bazie mego paszportu dyplomatycznego i 100.000 dolarów, zgodnie ze zleceniem gen. Rakonia, przekazany przez świeżo przybyłego z Warszawy kuriera „Jana”, że jednorazowo nie wolno przewozić przez granicę więcej jak 10.000. Zapakowanie do skrytek poczty do kraju i 13.000 tysięcy marek niemieckich. Omówienie szczegółów podróży z przewodnikiem „Kazikiem”⁴. Zaopatrzenie się w górski ekwipunek i żywność na 3 dni. Wizyta u min. Leona Orłowskiego.

III. DROGA BUDAPESZT-WARSZAWA

10. 12. 40. — Odjazd z przewodnikiem „Kazikiem” pociągiem o godz. 22.00.

11. 12. 40. — Przyjazd do st. Zahony godz. 7.00. Odpoczynek w melinie u „Józefa”. Odjazd samochodem godz. 14.00 do meliny w Stakcinie u gajowego „Wojciecha”. Po zmianie samochodu odjazd godz. 20.00 do Stariny. Przygotowane wcześniej zamelinowanie u leśniczego „Pawła” nie możliwe z powodu przyjazdu kupców po drzewo. Zastępca melina i nocleg w opuszczonym zajezdzie Żyda Łaskiego. Zawiodło dostarczenie nart doszczętnie wyrekwirowanych dla armii niemieckiej.

12. 12. 40. — Wymarsz godz. 5.45. Odpoczynek w górskiej kolibie godz. 8.00-11.00. Przekroczenie granicy na zachód od węgierskiej góry Kicarki godz. 17.15. Marsz po polskiej stronie grzbietami Rosocha-Hyrlaty. Głęboki, kopny śnieg, ostry mróz.

13. 12. 40. — Przybycie na melinę w folwarku Żubracze godz. 1.00. Odłożenie wymarszu do następnego dnia z powodu konieczności wysuszenia okrycia i trzewików. Pierwsze niegroźne spotkanie z niemiecką brygadą górską odbywającą polowe ćwiczenia w tym rejonie.

14. 12. 40. — Wyruszenie godz. 6.00 Marsz grzbietami Przysłup-Wołosan-Jaworno-Czortoryja-Chryszczate. Przybycie do meliny u gajowego Kicaka opodal Kamionki godz. 21.00, gdzie nocleg.

15. 12. 40. — Przejście na melinę w Kalnicy godz. 20.00, gdzie nocleg. Rozstanie z przewodnikiem Kazikiem.

16. 12. 40. — Wyjazd godz. 5.00 sankami w towarzystwie oficera ZWZ „Drzazgi”, kierownika trasy, zalegalizowanego jako pracownik administracji leśnej. Podobne zalegalizowanie zostało i mnie dostarczone. Przyjazd do Sanoka na melinę godz. 13.00. Odjazd pociągiem godz. 19.00 linią podkarpacką przez Jasło-Tarnów.

17. 12. 40. — Przyjazd do Krakowa godz. 7.30. Zatrzymanie się we wskazanej melinie na Szlaku. Spotkanie z kierownikiem tras kurierskich, oficerem ZWZ, „Adolfem” i zdanie mu sprawy z przebiegu podróży. Przyjęcie wskazówek „Adolfa” co do drogi do Warszawy. Odjazd pociągiem godz. 23.30.

18. 12. 40. — Przyjazd do Warszawy godz. 7.30. W drodze kontrola dokumentów osobistych przez policję niemiecką.

4. Kazimierz Sołtysik, pracownik Bazy Łączności z krajem „Romek”.

IV. W WARSZAWIE

18. 12. 40. — Spotkanie z łączniczką w ustalonym miejscu w Al. Jerozolimskich obok dworca głównego. Zamieszkanie w domu Nr 5 przy Al. 3-go Maja. Zdanie przywiezionej z Londynu poczty kierownicze łączności zagranicznej „Marcysi”⁵. Przekazanie instrukcji płk. Smoleńskiego kierownicze łączności konspiracyjnej „Jance”⁶.

19. 12. 40. — Przekazywanie kierownicze Biura Szyfrów i jej pomocnicy „Balbisi”⁷ szyfru „H”. Spisywanie na mojej kwaterze przekazanych z Londynu ustnych instrukcji dla gen. Rakonia.

20. 12. 40. — Zajęcia jak poprzedniego dnia.

21. 12. 40. — Przedpołudniem zajęcia jak w dniach poprzednich. Po południu, po zaznajomieniu się przez gen. Rakonia z rozszyfrowaną pocztą, przywiezioną przeze mnie z Londynu — złożenie mu raportu w jego lokalu konspiracyjnym przy ul. Piusa. O godz. 18.00 nadejście szefa sztabu Komendy Głównej ZWZ „Wojciecha”⁸ i szefa Biura Informacji i Propagandy (BIP) „Rejenta”⁹. Kontynuowanie raportu i wzajemne informowanie.

22. 12. 40. - 6. 1. 41. — Wzajemne informowanie się na kolejnych, całodziennych spotkaniach z szefami Oddziałów Komendy Głównej ZWZ:

— Oddziału I (Organizacyjnego) „Kortumem”¹⁰.

— Oddziału II (Informacyjnego) „Brodowiczem”¹¹ i jego zastępcą „Dzięciołem”¹².

— Oddziału IV (Kwatermistrzowskiego) „Dąbrową”¹³.

— Oddziału Va (Łączności konspiracyjnej) „Janką” i „Marcysią”.

— Oddziału VI (BIP) „Rejentem”.

7. 1. 41. — Omówienie przez gen. Rakonia wraz z szefem sztabu Wojciechem planu Powstania Powszechnego dla skontrolowania czy odpowiada on poglądom gen. Sikorskiego i gen. Sosnkowskiego.

8. 1. 41. — Dalszy ciąg referatu planu Powstania Powszechnego. Propozycja gen. Rakonia, uzgodniona z Delegatem Rządu „Wartskim”, bym się podjął natychmiastowej misji powrotnej do Londynu. Po wyrażeniu mej zgody ustalenie spotkania z Delegatem Rządu na dzień 11. 1., a terminu mego wyjazdu z Warszawy na 21. 1. 1941 roku.

9. 1. 41. — Zleczone przez gen. Rakonia omówienie z „Brodowiczem” spraw bezpieczeństwa ZWZ zagrożonego przez nieudol-

5. Emilia Malessa.

6. Janina Karasiówna.

7. Halina Bohuszewicz.

8. Płk Janusz Albrecht.

9. Płk Jan Rzepecki.

10. Płk Antoni Sanojca.

11. Płk Wacław Berka.

12. Ppłk Marian Drobik.

nych, politycznych emisariuszy z Zachodu (m.in. Gawrońską i Mikińskiego).

10. 1. 41. — Dokończenie rozmów z szefami Oddziałów Komendy Głównej ZWZ.

11. 1. 41. — Spotkanie z Delegatem Rządu „Wartskim” w obecności gen. Rakonia. Ustalenie terminów moich rozmów z przedstawicielami życia politycznego.

12. 1. 41. — Omówienie z „Janką” i „Marcysią” szczegółów podróży do Londynu drogą przez Słowację.

13. 1. 41. — Przedpołudniem spotkanie z „Darowskim”¹⁴, b. członkiem Biura Politycznego (BP), członkiem Komisji Rewizyjnej ZWZ. Popołudniu spotkanie z „Karwatem”¹⁵, przedstawicielem Stronnictwa Pracy.

14. 1. 41. — Przedpołudniem spotkanie z przedstawicielami PPS „A”¹⁶ i „B”¹⁷.

Popołudniu spotkanie z przedstawicielami Stronnictwa Ludowego „C”¹⁸ i „D”¹⁹.

15. 1. 41. — Spotkanie z przedstawicielem Stronnictwa Ludowego „E”²⁰.

16. 1. 41. — Załatwianie spraw osobistych przed wyjazdem.

17. 1. 41. — Spotkanie z przedstawicielem N.D. „F”²¹.

18. 1. 41. — Przedpołudniem spotkanie z Delegatem Rządu „Wartskim”; zdanie mu sprawy z przeprowadzonych rozmów z przedstawicielami życia politycznego. Dokończenie w mojej obecności rozmowy Wartskiego z przybyłym z Londynu emisariuszem prof. Kota „Martyniukiem”²². Przekazanie przez „Wartskiego” swego sprawozdania Rządowi RP.

Popołudniu powtórna rozmowa z „Darowskim” i przyjęcie jego sprawozdania dla gen. Sikorskiego.

19. 1. 41. — Spotkanie z b. Tymczasowym Delegatem Rządu „Kaczmakiem” i przyjęcie jego sprawozdania dla Rządu RP.

20. 1. 41. — Całodzienna odprawa z gen. Rakoniem i przyjęcie jego ustnego raportu dla gen. Sikorskiego i gen. Sosnkowskiego.

21. 1. 41. — Ostateczne załatwienie z „Marcysią” i „Adamem” spraw związanych z podróżą. Przyjęcie poczty do kraju.

13. Płk Adam Świtalski. (Pseudonimy osób, których nazwiska nie były znane autorowi nie zostały rozszyfrowane).

14. Rektor Kazimierz Drewnowski.

15. Franciszek Kwieciński.

16. Kazimierz Pużak.

17. Zygmunt Zaremba.

18. Józef Niećko.

19. Józef Grudziński.

20. Stefan Korboński.

21. Mieczysław Trajdos.

22. Franciszek Moskal.

V. DROGA WARSZAWA-LONDYN

21. 1. 41. — Wyjazd pociągiem godz. 23.20, w towarzystwie Adama, jadącego w innym przedziale.
22. 1. 41. — Przyjazd do Nowego Targu godz. 21.00. Surowa kontrola dokumentów osobistych przez Gestapo. Nocleg na melinie.
23. 1. 41. — Omówienie z przewodnikiem „Jankiem” szczegółów dalszej podróży i przekroczenia granicy polsko-słowackiej. Odjazd pociągiem o godz. 16.00 do st. kol. Sieniawa. Oderwanie się od śledzącego agenta. Przejazd sankami na szlak ku granicy. Podejście do gajówki-meliny przygranicznej godz. 18.00-19.30. Pobraniu nart. Marsz ku granicy; jej przekroczenie godz. 20.15.
24. 1. 41. — Przybycie do meliny w Jabłońce godz. 1.00, gdzie nocleg. Spotkanie z kurierką „Diunią”²³. Wiadomość o niewy tłumaczonym opóźnieniu się przewodnika „Erwina”.
25. 1. 41. — Przybycie przewodnika Erwina godz. 20.30. Omówienie szczegółów podróży.
26. 1. 41. — Odjazd wraz z Erwinem sankami o godz. 6.00 do st. kol. Trzcianna; skąd pociągiem do st. kol. Tomaszowce. Przejście godz. 21.00-23.30 do meliny przygranicznej, gdzie spotkanie z przewodnikiem „Józefem”, przybyłym z Budapesztu.
27. 1. 41. — Wymarsz wraz z „Józefem”, z meliny ku granicy słowacko-węgierskiej godz. 3.00. Przekroczenie granicy godz. 4.30. Przybycie na melinę w Losonczu (Węgry) godz. 6.30 Odjazd pociągiem do Budapesztu godz. 11.30.
28. 1. 41. — Załatwienie spraw w Bazie „Romek” Wiadomość o odebraniu uznania przez rząd węgierski naszemu poselstwu. Odjazd wraz z posłem Leonem Orłowskim pociągiem do Belgradu, godz. 23.40.
29. 1. 41. — Przybycie do Belgradu godz. 9.00. Dla przyspieszenia podróży wybór drogi przez Bułgarię; uzyskanie wizy bułgarskiej.
30. 1. - 31. 1. 41. — Przejazd pociągiem (godz. 23.50) przez Sofię do Stambułu.
1. 2. 41. — Przybycie do Stambułu godz. 13.20.
2. 2. 41. — Załatwianie spraw w Bazie „Bey”. Odjazd pociągiem godz. 19.00 do Ankary dla uzyskania drogi samolotowej do Egiptu.
3. 2. 41. — Odmówienie przez Anglików udzielenia drogi samolotem.
4. 2. 41. — Oczekiwanie na termin odjazdu expressu „Taurus”. Wizyta u ambasadora Michała Sokolnickiego.
5. 2. 41. — Odjazd godz. 21.00 expressem „Taurus” do Mersyny.
6. 2. - 11. 2. 41. — Oczekiwanie w Mersynie na odejście do Hajfy statku „Talodi”.
12. 2. 41. — Podniesienie kotwicy godz. 5.00.
13. 2. 41. — Przybycie do Hajfy godz. 9.30. Przejazd samochodem do Jerozolimy.

23. Maria Krzeczunowicz.

14. 2. 41. — Pobyt w Latrun w ośrodku zapasowym Brygady Karpackiej.

15. 2. 41. — Odjazd pociągiem z Lyddy do Kairu godz. 11.00. Przybycie godz. 23.50.

16. 2. - 17. 2. 41. — Pobyt w Kairze u kierownika placówki łączności z krajem ppłk. Mateckiego w oczekiwaniu na odlot samolotu.

18. 2. 41. — Wyjazd do Aleksandrii do gen. Stanisława Kopańskiego, dowódcy Brygady Karpackiej.

19. 2. - 27. 2. 41. — Pobyt w Kairze i starania o drogę samolotową; uzyskanie miejsca; odlot w dniu 28. 2. ale tylko do Freetown. Przyrzeczenie Anglików telegraficznej interwencji by stamtąd również wyprawiono samolotem.

28. 2. 41. — Odlot z Kairu godz. 11.30. Przybycie do Wadi Halfa godz. 15.00, gdzie nocleg.

1. 3. 41. — Odlot godz. 7.00, godzinny postój w Chartumie. Przybycie do El Fashir (Sudan) godz. 14.45, gdzie nocleg.

2. 3. 41. — Odlot godz. 6.30. Dwugodzinny postój w Geneinie (Sudan); godzinny postój w Mahaduari (Sudan). Przybycie do Cano (Nigeria) godz. 18.00, gdzie nocleg.

3. 3. 41. — Odlot godz. 9.00. Przybycie do Lagos godz. 11.30.

4. 3. - 7. 3. 41. — Oczekiwanie na połączenie samolotowe. Niewytłumaczona próba kierownika stacji lotniczej skreślenia mnie z listy pasażerów samolotu przybywającego w dniu 8. 3. Miał nim odlecieć — odbywający podróż wraz ze mną od Kairu — Józef Winiewicz. Po stanowczej, wspólnej interwencji i ustąpieniu mi miejsca przez Winiewicza, wróciłem na listę pasażerów.

8. 3. 41 — Odlot godz. 7.00. Przybycie do Freetown godz. 14.30.

9. 3. 41. — Powtórna tym razem już stanowcza odmowa Anglików kontynuowania mej podróży tym samolotem, bez widoków na miejsce w następnych lotach. Przypadkowe stwierdzenie wymiany depesz szyfrowych o mej osobie między Londynem a stacją lotniczą. Udzielenie rady przez kierownika stacji lotniczej odbycia dalszej drogi statkiem. Decyduję się na drogę morską konwojem, mającym odpuścić lada dzień²⁴.

10. 3. - 11. 3. 41. — Zaokrętowanie na półflagowy statek „Edward Blyden”.

12. 3. - 16. 3. 41. — Podniesienie kotwic godz. 14.00 i wyruszenie konwoju z portu w składzie 55 statków handlowych i 4 jednostek okrętów wojennych.

24. Powstrzymywanie tempa mej podróży między Ankarą a Halifaxem nie było przypadkowe. Chodziło o wcześniejsze przybycie do Londynu Martyniuka, emisariusza prof. Kota. Ten dział życia polskiego miał w pewnych sferach „gospodarzy” *priority*. (Patrz czynności w dniu 18. I.). Dopiero skargi i stanowcze żądania sztabu gen. Sosnkowskiego, informowanego o poszczególnych etapach mej podróży, przez bazy przez które przejeżdżałem, spowodowały nie tylko zelżenie „hamulców”, ale upozorowały nawet roztoczenie przez „gospodarzy” opieki nade mną na trasie Halifax - Londyn.

17. 3. - 20. 3. 41. — Każdej nocy ataki niemieckich łodzi podwodnych. Zatopienie kilkunastu statków naszego konwoju. Wiadomość radiowa o przedarciu się na Atlantyk pancerników niemieckich Sharnhorst i Gneisenau wraz z flotylą innych mniejszych jednostek.

21. 3. 41. — Z zachodem słońca rozwiązanie konwoju. Odbywanie dalszej drogi przez każdy statek samodzielnie. Prawdopodobieństwo zmiany trasy i zatrzymanie się w portach na Bermudach, w Stanach Zjednoczonych lub w Kanadzie.

3. 4. 41. — Zawinięcie do portu Halifax w Kanadzie, godz. 13.30. Na wezwanie komendanta portu o godz. 15.00 udanie się motorkówką do jego biura. Zakomunikowanie mi, że na rozkaz z Londynu mam udać się jak najszybciej do Anglii. Wobec braku miejsc w samolotach, proponuje miejsce na statku, który tego wieczoru odpływa do Wielkiej Brytanii. O godz. 18.00 przybycie na statek „Jamaica”; o godz. 22.00 podniesienie kotwicy.

14. 4. 41. — Zarzucenie kotwicy w porcie Cardiff, godz. 17.30.

15. 4. 41. — Załatwianie formalności paszportowych i celnych godzina 10.00. Wezwanie mnie do Komendanta dworca przez oczekującego podoficera armii brytyjskiej. Zapewnienie przez Komendanta dworca²⁴ pomocy w przejeździe pociągiem do Londynu. Odjazd pociągiem godz. 12.00. Przyjazd do Londynu godz. 16.00.

WSPOMNIENIA

BYŁY ŻOŁNIERZ A.K.

5-TA BRYGADA WILEŃSKA A.K. MJR. ŁUPASZKI

Jestem byłym żołnierzem A.K. Część swojej służby w Armii Krajowej spędziłem w szeregach 5-tej Brygady Wileńskiej A.K. majora Łupaszk. Piszę z pamięci o wypadkach sprzed wielu lat. Niektóre miejscowości, pseudonimy, dokładny czas, poszły w niepamięć. Niektóre zostały, utkwily; pamiętam je dokładnie. W wypadkach gdzie by zachodziła obawa zaszkodzenia ludziom jeszcze żyjącym, nie będę używał ich pseudonimów. To samo dotyczy pewnych miejscowości, nazw wsi i osiedli. Politycznie nigdy nie byłem zaangażowany. I nie jestem. Obchodziła mnie kwestia wolności. Wolności osobistej i kraju w którym się urodziłem i żyłem. Tak jak i ojca mego i dziadka mego. Za wroga uważałem najeźdźcę, bez względu czy był z Zachodu czy ze Wschodu rodem. Może trochę prymitywnie jak na smak polityków, ale tak było, tak jest. O instytucjach zaś takich jak Gestapo, NKWD i tego ostatniego ramię — U.B., ich celach, działaniach, metodach, i o ludziach tym instytucjom służącym — każdy dziś już dobrze wie.

Na łamach *Kultury* ukazało się parę wzmianek o Pawle Jasienicy. Z. Siemaszko w swym artykule „Najwyższy czas mówić głośno” wspominał o nim jako o adiutancie mjr. Łupaszk, oraz parę słów o 5-tej Brygadzie. Wspomina też o 5-tej Brygadzie Józef Mackiewicz w swojej ostatniej książce. Trochę inaczej Jerzy Kozłiński w wydanej w Kraju (1959 roku) książce „Podziemie na Pomorzu 1945-57 roku”. A w roku 1969 wydano w Kraju książkę pt. „Front bez okopów”. Autorzy: Jan Babczenko i Rajmund Bolduan. Tak J. Kozłiński jak i J. Baczenko operali

swe prace na materiałach udostępnionych im przez archiwum U.B., wspomnieniach byłych członków U.B.; J. Koźliński wykorzystał też relacje przypadkowo spotkanych zarówno „pozytywnych jak i negatywnych bohaterów swojej opowieści”. Na stronie 9-tej wzmianka o ujawnionych wypaczeniach aparatu bezpieczeństwa publicznego. Zrozumiałe są trudności pisarza w kraju, starającego się o względną chociażby obiektywność. Nawet w 1959 roku. Jan Babczenko zaś w 1969 roku już tych trudności nie ma. Jan Babczenko jest byłym, długoletnim oficerem U.B., uczestnikiem wielu akcji i zdarzeń swojej „pracy”. Obaj autorzy czerpali dane z tego samego źródła. Jak różne są jednak opisy, powołam się np. na aresztowanie „Zagończyka”, lub śmierć ppor. „Żelaznego” („Podziemie na Pomorzu” str. 32, „Front bez okopów” str. 220). Jako uczestnikowi większości opisanych przez autorów akcji nie trudno byłoby mi wykazać, że nie tak było. Do Bobolic, o których autorzy piszą raczej mało, ppor. „Żelazny” wjechał z dwoma drużynami w biały dzień z zamiarem odbicia aresztowanych przez U.B., którzy (o czym nie wiedział) w tym samym dniu zostali przewiezieni do więzienia w Bydgoszczy. W Bobolicach i okolicy znajdowała się dywizja wojska sowieckiego. Błądząc po ulicach wjechaliśmy do koszar sowieckich śpiewając „Katuszę”. To właśnie sowiet wskazali nam drogę do posterunku U.B. i Milicji. Oba posterunki, pomimo że przywitały nas z bronią gotową do strzału, zostały rozbrojone bez strzału. Patrzac wstecz, po 25-ciu latach, był to samobójczy wypad. 25 lat temu! 25 lat, to dużo w życiu człowieka. Gdyby nie historia sanitariuszki „Inki” oraz niezupełnie znane mi, jeśli chodzi o szczegóły, zarzuty stawiane Pawłowi Jasienicy chyba bym tego listu nie pisał. Według autorów, na podstawie danych z archiwów U.B., sanitariuszka „Inka” — według J. Koźlińskiego na rozkaz ppor. „Żelaznego” — a według Jana Babczenki — *samowolnie* dobijała rannych po egzekucji w Starej Kiszewie na Pomorzu. (Samowoli w 5-tej Brygadzie nie było. Za to groziła kara śmierci. Za nią w Białostockim, w 1945 roku został skazany na śmierć przez rozstrzelanie dowódca kompanii por. Piast. O wysokim poziomie dyscypliny w 5-tej Brygadzie mogą poświadczyć tysiące naocznych świadków od Wilna aż po Bory Tucholskie). Ani siostra Inka ani żadna z sióstr 5-tej Brygady nigdy nawet nie były świadkami egzekucji. W Starej Kiszewie na rozkaz ppor. Żelaznego zostali rozstrzelani: 2 enkawudzistów (Rosjanin podający się za majora kontrwywiadu NKWD oraz enkawudzista pochodzenia litewskiego), 3 ubowców oraz członek PPR, który był konfidentem U.B. według danych zdobytych przez ppor. Żelaznego na posterunku U.B. Wyrok został wykonany przez sekcję

drużyny „Marka”, poza miasteczkiem. Ani ppor. Żelazny ani sanitariuszka Inka nie byli obecni przy egzekucji. Oboje (jak i piszący te słowa) znajdowali się wraz z drugą drużyną przy naszej ciężarówce na środku rynku. Sanitariuszka Inka, jak i reszta nas, słyszała tylko strzały. Poza tym, dopiero po Starej Kiszewie sanitariuszka Inka została poinformowana przez ppor. Żelaznego, że będzie pełniła obowiązki sanitariuszki-łączniczki. Przydzielono jej pierwszą broń (z której bodajże nigdy nie oddała strzału), była to „szóstka” zdobyta przy rozbijaniu tegoż właśnie enkawudzisty kontrwywiadu. Miał ją ukrytą w cholewie buta, oprócz pistoletu który miał za pasem. *Dziennik Bałtycki* którego odbitkę zamieszcza w swojej książce Jan Kozłiński, nie mówi o enkawudzście kontrwywiadu. Pisze o nim Jan Babczenko jako o poruczniku. Stanowiska w U.B. były obsadzone przez NKWD, ale o tym się oficjalnie nie mówiło. Według danych zdobytych przy rozbiciu posterunków U.B. na Pomorzu mieliśmy sporą listę konfidentów U.B. w terenie. W większości wypadków składali się na nich byli konfidenti Gestapo oraz byli żołnierze Armii Polskiej na Zachodzie, których szantażem zmuszono do współpracy z U.B. Na stronie 204 i 205 „Frontu bez okopów” J. Babczenko opisuje naszą potyczkę z Milicją Obywatelską w Tulicach koło Sztumu. Było inaczej, ale to nieważne. Wspominam dlatego że w konsekwencji tej potyczki sanitariuszka Inka straciła życie. Na rozkaz ppor. Żelaznego, który sam był ranny w szyję, została wszystkie posiadane opatrunki dla rannych milicjantów. Milicjanci poinformowali nas, że wśród nich jest dwóch ubowców (którzy pierwsi otworzyli do nas ogień) oraz uprzedzili o okrążających nas jednostkach UB i KBW. Zdziwieni byli, że jesteśmy oddziałem AK nie zaś — jak byli poinformowani przez UB — „bandą ukraińską”. (Przy sposobności chciałbym zaznaczyć, że przy spotkaniach z oddziałami polskimi obowiązywał rozkaz wydany przez mjr. Łupaszkę w końcu 1944 roku — o unikaniu walki. Strzelaliśmy tylko w wypadkach gdy strona przeciwna oddała pierwszy strzał). Po pewnym czasie, już w Borach Tucholskich, ppor. „Leszek”, który objął dowództwo po Żelaznym, wysłał sanitariuszkę Inkę do Gdańska po opatrunki i lekarstwa. Została tam aresztowana przez U.B. Na stronie 53 J. Kozłiński w „Podziemiu na Pomorzu” pisze: „Ujęcie jej nie przyczyniło się do dalszego rozwoju akcji, bowiem nie zeznała ona nic w śledztwie. Została skazana wyrokiem Sądu Wojskowego na karę śmierci. Wyrok wykonano”. Później, ktoś kto ją widział przed śmiercią powiedział „śmierć była dla niej zbawieniem”. Tyle o sanitariuszce Ince ze szwadronu ppor. Żelaznego z 5-tej Brygady A.K. „Łupaszki”.

Jak już zazaczyłem konkretnego zarzutu stawianego Pawłowi Jasienicy nie znam. Jerzy Andrzejewski w przemówieniu na pogrzebie powiedział, że był oskarżony o czyny, których nie popełnił, że był publicznie spotwarzony, znieważony i ponizony. Ze odjęto mu prawo druku, prawo obrony, prawo powiedzenia prawdy. Ktoś zaś ostatnio przybyły z Kraju twierdził, że zarzucano mu udział w paleniu jakiejś wsi w białostockim.

Spotkał mnie zaszczyt służenia w tych samych szeregach 5-tej Brygady Wileńskiej A.K. z Pawłem Jasienicą. Był też on moim bezpośrednim dowódcą przez krótki co prawda, lecz ciężki, chyba najcięższy, okres służby w A.K. Z tych czasów przy życiu pozostało niewiele. Jest bardzo możliwe, że kronika 5-tej Brygady oraz księga rozkazów pokrywająca okres od października 1944 roku znajduje się w archiwach A.K. w Londynie. Nie wiem. Zaś kronika Brygady pokrywająca działania na Wileńszczyźnie oraz przemarsz Brygady na Zachód Kraju zginęła wraz z wachmistrem Oranem w lasach — jeśli mnie pamięć nie myli — Różańskich, położonych 30-40 km na wschód od Puszczy Białowieskiej. Mjr Łupaszka przeszedł w woj. białostockie nie ze swoją 5-tą Brygadą a z bardzo małą garstką żołnierzy. Od Niemna 5-ta Brygada przebijiała się na Zachód grupkami. Mjr Łupaszka wraz z drużyną „Niecuzji” z ppor. Makssem oraz wachmistrem Oranem przeszedł w Puszcę Białowieską od północo-wschodu. Dwie pierwsze próby przejścia już obstawionej granicy Curzona nie udały się. Był to lipiec-sierpień 1944 roku. Z powodu epidemii dyzenterii, wycieńczenia, bliskości frontu i licznych wojsk sowieckich zdecydował się „przesiedzieć” w napotkanych przypadkowo bunkrach w Puszczy. Były opuszczone i nie dowiedzieliśmy się do kogo kiedyś należały. W tym krótkim okresie czasu był zmuszony do przyjęcia pod swoje dowództwo kilkunastu żołnierzy A.K. z oddziałów lidzkich i nowogródzkich. Byli to ci, którym udało się uniknąć rozbrojenia i aresztowania przez NKWD. Niektórzy jak „Żwirko” i „Koliber” (pseudonimu trzeciego nie pamiętam) zdezerterowali z Armii Sowieckiej, do której byli siłą włączeni jako żołnierze A.K. Dołączyli w pełnym uzbrojeniu i umundurowaniu sowieckim. Mjr Łupaszka został okrążony przez wojsko sowieckie w tych właśnie bunkrach, gdzie przy przebijaniu się zginęło z naszej strony około 10-ciu żołnierzy. Powtórnie zostaliśmy okrążeni po paru zaledwie dniach na wschód od Puszczy, gdzie zginął wspomniany już wachm. Oran a z nim kronika Brygady, księga rozkazów i sztabówki. Zginął przy stogu siana, który został w czasie akcji zapalony. Z powodu bardzo silnego ognia nieprzyjaciela jedyna rzecz która była możliwa, to upewnienie się że stóg zostanie dobrze objęty ogniem.

Granicę Curzona mjr Łupaszka przeszedł z grupką 30-40 żołnierza gdzieś w końcu października lub początku listopada 1944 roku na rzece Swiśtocz (jeśli mnie pamięć nie myli — piszę bez pomocy mapy) na północ od szosy Białystok-Wołkowysk. Pomimo ostrożności (dobry przewodnik, ostatnie parę kilometrów szliśmy bosą) nie obeszło się bez strzelaniny z posterunkami granicznymi. Z powodu wycieńczenia, braku map i słabych kontaktów z okoliczną siatką A.K., zakwaterowano się w paru domach szeroko rozrzuconej wsi, tuż za granicą. Tutaj dołączyli do Łupaszki por. „Nowina”, „Żelazny” oraz (nie jestem pewien trzeciego) chyba „Lufa”. Dwaj ostatni żołnierze plutonu „Kitka” 5-tej Brygady, poprzedniej zaś jednostki A.K. — por. Nowiny pomimo że wiedziałem, nie pamiętam. Byli w pełnym umundurowaniu i uzbrojeniu tzw. Armii Kościuszkowskiej — Berlinga. Po „wyzwoleniu” przez armię sowiecką, jako żołnierze A.K., zostali przydzieleni do służby przy komendzie miasta w Białymstoku. Po krótkim czasie NKWD zaczęło aresztować b. żołnierzy A.K. Nie orientując się w sytuacji na Wschodzie Kraju, starali się powrócić w swoje strony na Wileńszczyznę. W tym czasie dołączył też do oddziału niejaki „Pająk” podający się za żołnierza A.K. z okolicznego, białostockiego oddziału. Jako człowiek miejscowy, znający okolicę, utrzymywał kontakt pomiędzy rozkwaterowanym oddziałem. Pająk okazał się wtyczką NKWD. Gdzieś w połowie listopada NKWD okrążyło nad ranem wszystkie znane przez Pajaka punkty i okoliczną siatkę A.K. Z tej wyspy wyszło oprócz mjr. Łupaszki, ppor. Maksa, 2-ch sanitariuszek (Lala i Aldona) siedemnastu żołnierzy z por. Nowiną włącznie. Mjr Łupaszka powierzył dowództwo nad resztą oddziału por. Nowinie zaś sam wraz z chorym ppor. Maksą oraz dwoma siostrami, z krótką tylko bronią, po cywilnemu, udał się bardziej na Zachód w okolice Bielska Podlaskiego, z zamiarem nawiązania kontaktów z tamtejszą siatką A.K. Por. Nowina dostał rozkaz przesiedzenia gdzieś w Puszczy Białowieskiej do 20 grudnia. Kontakt został umówiony na ten dzień w pewnym punkcie koło Hajnówki. Było ciężko. Z powodu mrozów, śniegów, braku narzędzi zdołaliśmy sklecić b. prowizoryczny szałas. Brak żywności — mieliśmy tylko worek żytniej mąki — b. słabe umundurowanie i obuwie, wszy, szkorbut, świerzb. Minimalne ogniska, jak najmniej dymu. Żeby nie zostawić „białego tropu” por. Nowina ograniczył ubezpieczenie do posterunków alarmowych. Był dobrym dowódcą. Utrzymywał dyscyplinę. Pobudka, modlitwa, apel, meldowanie się. Był zarazem przyjacielem. „Swoją Małec” jak to się mówiło. O niespotykanym poczuciu humoru. Władzał dobrze rosyjskim, sypał jak z rękawa kawałami w tym języku. Grzebiąc

w zamrożonej ziemi na palenisko naszej „kuchni” natrafiliśmy na jakieś stare gliniane garnki, stare resztki — zdawałoby się — postoju. Pamiętam jak przypatrywał się tym szczątkom z tym swoim specyficznym uśmiechem. 20 grudnia na umówiony punkt przyszło dwóch żołnierzy w mundurach armii kościuszkowskiej. Mieli podobno służyć przy Komendzie Miasta w Bielsku Podlaskim. Byli to byli żołnierze A.K. oddziału Jastrzębca, okręgu Białystok. Nazywali się plut. „Ziutek” oraz kapr. „Pędzelek”. (Bodajże obaj nie żyją. Wiem że „Pędzelek” zginął w 1946 roku w Gdańsku. Będąc ranny w nogę bronił się do ostatniego naboju. Ostatnim odebrał sobie życie. Tu, chciałbym też sprostować wzmiankę Jana Babczenki o „Moskicie” (Bory Tucholskie) i jego śmierci. J. Babczenko pisze że „Moskito” wpadł w depresję i popełnił samobójstwo. Nieprawda. „Moskito” zawsze mówił, że żywcem nie da się wziąć i że gdy będzie ciężko ranny, niezdolny do marszu, to „płaśnie sobie w łeb”. Dotrzymał słowa. Będąc ranny w nogę — strzaskane kolano — strzelił sobie w skroń. Nie wiedział biedak, że będzie jeszcze żył całą noc. W zagrożonym terenie, trzęsącym się i skrzypiącym wozem chcieliśmy go dowieźć do najbliższego szpitala. Nie odzyskawszy przytomności skonał wczesnym rankiem). Ziutek i Pędzelek mieli rozkaz przeprowadzenia nas na punkty w okolicach Bielsk Podlaski-Brańsk. Dwie noce marszu. Przemarsz zajął trochę więcej czasu. Na punkty dobrnęliśmy nad ranem w Boże Narodzenie 1944 roku. To była tak zwana „Mała Polska”. Dobrze zorganizowana i ciągle zakonspirowana siatka A.K. Życzliwości i opieki jakiej znaleźliśmy od tych ludzi po prostu nie potrafię opisać. W okolicach znajdowały się grupki żołnierzy A.K. niemal wszystkich Brygad Wileńskich, którym udało się uniknąć rozbrojenia i aresztowania przez NKWD i którym udało się dostać aż tutaj. W styczniu zaczęły się i tu aresztowania. Tak jak i na Wschodzie Kraju, NKWD systematycznie wykańczało Armię Krajową. Mjr Łupaszka był zmuszony wyruszyć w pole już w końcu lutego czy w początkach marca 1945 roku. Por. Nowina został mianowany adiutantem mjr. Łupaszki. Powstały załączki 5-tej Brygady (por. „Mściśław”), 3 Brygady „Szczerbca” (ppor. „Bury”), kompania szturmowa 6-tej Brygady „Tonki” (ppor. Zygmunt) oraz kompania „Piasta” złożona przeważnie z żołnierzy Armii Kościuszkowskiej, którzy przeszli na naszą stronę. W terenie znajdował się oddział podlaski „Młota”, który chociaż pozostał samodzielnym jednak współdziałał z nami, przeważnie z kompanią szturmową ppor. Zygmunta. Poza tym w okolicach były oddziały NSZ, oraz bardziej na zachód małe oddziały B. Ch. (bodajże Zenona — ale dobrze nie pamiętam). W początkach lata 1945 roku kpt.

Nowina (awansował do stopnia kapitana) na własną prośbę został zwolniony z funkcji adiutanta i został nim nb. b. niepopularny por. Stefan z A.K. Białystok. Kpt. Nowina był od tej pory bez funkcji i „chodził” jak to się mówiło przy oddziałach. Przeważnie z kompanią szturmową 6-tej Brygady oraz z 4-tym szwadronem 5-tej Brygady. Podlegał pod rozkazy dowódcy danego oddziału. Latem 1945 roku kompania szturmowa wraz z oddziałem Młota posunęła się na zachód aż pod Warszawę. Zajęli nawet Jabłonnę. Kpt. Nowina był wtedy przy tych oddziałach. W drodze powrotnej, gdzieś w okolicach Siedlec, weszli w zasadzkę. Kpt. Nowina został ranny w nogę, w udo, i zostawiony na punkcie sanitarnym w tej okolicy. Po przyjeździe Mikołajczyka do Kraju mjr Łupaszka dostał rozkaz rozwiązywania oddziałów. Na ostatniej koncentracji rozkaz został wydany żołnierzom. Reżym w tym czasie ogłosił amnestię czyli tzw. ujawnianie. W rozkazie dla żołnierzy mjr Łupaszka zostawił wolną rękę każdemu co do własnej decyzji, czy się ma ujawnić, czy nie. Zaznaczył, że sam ujawnić się nie będzie. Został wypłacony skromny żołd na zakup cywilnego ubrania i bilety kolejowe. Kto chciał, mógł dostać lewe dokumenty. Jak się okazało już w bardzo krótkim czasie, reżym nie dotrzymał słowa danego ujawnionym. Posłużyło im to tylko do szybszego i łatwiejszego zlikwidowania A.K. W terenie na krótki okres pozostał pluton likwidacyjny Kompanii Szturmowej 6-tej Brygady pod dowództwem ppor. „Wiktora” oraz drużyna likwidacyjna 4-go szwadronu 5-tej Brygady, drużyna Żelaznego. Mjr Łupaszka wraz z por. Stefanem, siostrą Lalą oraz „Mieciem” udał się do Gdańska. Por. Zygmunt wraz z żoną, była sanitariuszką „Krystyną”, w przebraniu oficera NKWD dostał się do Berlina a potem na Zachód. Por. Bury bodajże ujawnił się. Część jego kompanii pod dowództwem „Rekina” przeszła pod rozkazy NSZ, które się nie ujawniło. Młot z częścią swego oddziału zdecydował się „począkać i zobaczyć czy dotrzymują słowa” i dołączył później do plutonu likwidacyjnego ppor. Wiktora. Żelazny dostał zadanie przekazania rozkazu o rozwiązaniu oddziałów A.K. kpt. Nowinie oraz przewiezienia go na nowy punkt położony nad Narwią. Mieliśmy rozkaz podawania się za U.B. żeby zachować maksimum ostrożności i nie związać się w żadną potyczkę. Biorąc nas za U.B. i podejrzejawając wyspę, kpt. Nowina przywitał nas z odciążniętym MP i z palcem na spuście. Po rozpoznaniu nas położył mu się łyzy. „Śmiał się” tym swoim specyficznym uśmiechem a po policzkach, zawsze zarumienionych, ciekły mu łyzy. Wyzywał zarazem nas od ostatnich niemytych harłapanów. Rana chociaż już się goiła, wyglądała paskudnie. Wylot duży, jak od dum-dum. (Przy

rozbrojonych ubowcach zdarzały się wypadki, że posiadali przy sobie naciętą amunicję). Twierdził, że dostał z CKM. Przewóz furmanką zajął parę nocy. Dnie spędzaliśmy na rozmowach. Smutne były one, kpt. Nowina twierdził, że z chwilą gdy będzie się mógł „ruszać” — ujawni się. Martwił się o rodzinę. Mówił, że tęskni do pracy, która da mu przyjemność. Pamiętam, że zapytałem się jakoś głupio i powiedziałem, że nigdy go nie podejrzewałem i wyobrazić sobie nie mogę jako belfra. Zostawiliśmy go nad Narwią na bardzo dobrym punkcie. I tak skończyła się służba czynna kpt. Nowiny czyli Pawła Jasienicy w 5-tej Brygadzie Wileńskiej A.K. mjr. Łupaszki.

Czy po ujawnieniu się był jak wielu innych ujawnionych żołnierzy A.K. aresztowany — nie wiem. Jesienią 1947 roku spotkałem Pawła Jasienicę ostatni już raz w życiu, na ulicy we Wrocławiu. Ja byłem ciągle „spalony” po Pomorzu, pod rozkazami płk. Olechnowicza. Rozmawialiśmy krótko. Wyglądał dobrze, mówił że się ujawnił, że odnalazł rodzinę, że powodzi mu się nieźle i że noga, chociaż nawala czasami to jednak „chodzi na sto dwa”. Pytał czy byłem na Pomorzu, czy wiem co jest ze Zdzisławem (Żelaznym). Posmutniał, gdy mu powiedziałem że zginął. Zapytał czy zdaję sobie sprawę z beznadziejności mojej sytuacji. Można by dużo napisać z tego krótkiego rocznego okresu czasu mojej styczności z Pawłem Jasienicą. Był dobrym, odważnym żołnierzem i dowódcą, był zarazem przyjacielem droгим, lubianym przez wszystkich. W okresie październik/listopad 1944 - październik/listopad 1945 żadna wieś w białostockim przez żaden z naszych oddziałów nie była spalona. Spłonęło parę domów i stodoł we wsi Miodusy nad Bugiem, w czasie akcji. Teren Młota jeszcze za czasów okupacji niemieckiej. Teren skąd właśnie V 1 zaczęło swą drogę do Anglii. Sowietci weszli dosłownie w wieś i walka trwała prawie cały dzień. Straty z naszej strony: 12 zabitych i ponad 20-tu rannych. Po stronie sowieckiej zginęło ponad 70-ciu żołnierzy. Kpt Nowina udziału w tej akcji nie brał. W czasie wielkiej wyspy w czerwcu 1948 roku zostało aresztowanych tysiące byłych żołnierzy A.K. Wilno. Na Podlasiu „chodził” jeszcze Młot. Byli to ci, których nie można było ulegalizować, którzy po prostu nie mieli już wyjścia. Staraliśmy się przerzucić ich kutrem rybackim do Szwecji. Wyspa 1948 roku to uniemożliwiła. Co się z nimi stało — nie wiem. Najprawdopodobniej wyginęli.

Na zakończenie tych moich smutnych wspomnień chciałbym jeszcze napisać parę słów o powstaniu 5-tej Brygady.

Zaznaczam, że dane poniższe są mi znane wyłącznie z opowiadania samego mjr. Łupaszki oraz kilku byłych żołnierzy polskiego

oddziału partyzanckiego na Wileńszczyźnie „Kmicica”, z którymi później służyłem w A.K. Rotmistrz Łupaszka miał dołączyć wraz z paru ludźmi do oddziału „Kmicica”, który nie tylko że współpracował z partyzantką sowiecką ale nawet stacjonował w tej samej bazie — bunkrach. W drodze natknęli się na kilku partyzantów z oddziału „Kmicica”. Od nich dowiedzieli się, że „Kmicic” wraz ze swoim sztabem został podstępnie zastrzelony przez sowietów a żołnierze wcieleni do oddziałów sowieckich. Mówili też o próbach ze strony sowieckiej założenia czerwonego oddziału polskiego, podległego Moskwie. Tych kilku byłych żołnierzy „Kmicica” było załóżkiem 5-tej Brygady. Mjr Łupaszka był aresztowany przez Gestapo zaraz po bitwie z jednostką SS (pod Wordzianami) w której zginęło około 90-ciu SS-manów. Drugi raz był aresztowany wraz z por. Stefanem w Sopotach przez U.B., zimą 1945-1946 roku. Kiedyś powiedział „udało mi się dwa razy, a mówią że do trzech razy sztuka”. Po raz trzeci został aresztowany w 1948/49 roku. Wraz z płk. Olechnowiczem oraz ppor. Wiktorem, zostali skazani na karę śmierci.

20 listopada 1971

BYŁY ŻOŁNIERZ A.K.

Franciszek KALINOWSKI

SPRAWA PODCHORAŻYCH W EASTCHURCH

Jedną ze spraw niemiłych które się zwykle przemilcza lub wspomina tylko marginesowo i niejasno, jest tak zwana sprawa podchorążych w Eastchurch w latach 1939-1940, zwana czasami również — niesłusznie zresztą — „buntem podchorążych lotnictwa numer dwa”. Jak powszechnie wiadomo, pierwszy „bunt” był w Grudziądzu, w 1926 roku. Piszę w cudzysłowie „bunt” gdyż w obu wypadkach nazwę taką dały wydarzeniu władze, nie umiejące sobie poradzić z wytworzoną sytuacją, którą same wywołały.

Większość publikacji związanych z historią lotnictwa na emigracji nie wspomina wcale sprawy podchorążych w Eastchurch; nie ma o niej zatem wzmianki w oficjalnej książce „Destiny can wait”, nie ma ani słowa o niej we wspomnieniach Arcta, Skalskiego, Rolskiego, Głębockiego, Pomiana-Piątkowskiego, Meissnera, Króla. W moim „Lotnictwie Polskim w Wielkiej Bryta-

nii, 1940-1945” pisałem o sprawie krótko, obecnie Witold Urbanowicz w swoim „Świcie zwycięstwa” rozpisał się nieco na ten temat, ale także bardzo niejasno i niezgodnie z rzeczywistością.

Szukając ostatnio pewnych szczegółów w innej sprawie, natknąłem na tajną korespondencję, która całkowicie wyjaśnia sprawę podchorążych i pozwala na ustalenie stanu faktycznego oraz na ocenę wydarzenia i ludzi w nie wmieszanych, a jednocześnie na sformułowanie orzeczenia odpowiadającego sprawiedliwości. Powie ktoś, że trochę to za późno, trzydzieści lat, na sprawiedliwość, ale sądzę, że lepiej teraz niż nigdy. Zawsze uczuciowo byłem po stronie podchorążych i nie mogłem się pogodzić z surowym wyrokiem mówiącym o ich rzekomym braku poczucia żołnierskiego obowiązku i honoru, o rzekomym ich egoizmie w chwili tak ważnej jaką był początek 1940 roku.



W związku z porozumieniem październikowym 1939 między Polską, Francją i Wielką Brytanią, zaczęto we Francji dzielić lotników na tych, którzy mieli wyjechać do Anglii celem zaciągnięcia się do rezerwy Królewskich Sił Powietrznych (RAFVR) i tych którzy mieli pozostać w PSP dla współdziałania z lotnictwem francuskim. Z wielu względów kandydatów do RAF było dość dużo, warunki służby w RAFVR były podane raczej ogólnikowo — i — co najważniejsze — nie były sprecyzowane w odniesieniu do podoficerów naszych, którzy wszyscy mieli zaczynać służbę jako AC2 (czyli szeregowcy najniższej klasy) i do podchorążych lotnictwa — zarówno personelu latającego jak i technicznego.

Jak powszechnie wiadomo, w polskiej pragmatyce podchorąży był najwyższym stopniem podoficerskim i najniższym stopniem oficerskim; podchorążowie mieli zapewnione prawa towarzyskie oficerskie, a w linii stanowili osobny jakby korpus, a więc mieli zachowane tytuły, mieli mieszkać razem, ewentualnie z podoficerami równych stopni i mieli nosić widome odznaki swego stanu faktycznego, czyli podchorążych. Zgodnie z polskimi ustawami mieli być mianowani oficerami w swoich specjalnościach po ukończeniu szkolenia, a wielu z nich było już pilotami z ukończonym jednym typem samolotu, zaś obserwatorom brakowało do ukończenia kilku miesięcy kursu.

Otóż, gdy grupy podchorążych zaczęły w końcu grudnia 1939 roku zjeżdżać do obozu w Eastchurch, oficerowie brytyjscy dość brutalnie powiedzieli tam im, że nie ma żadnych podchorążych,

że oni są szeregowcami drugiej klasy i zaczęli ich przydzielać i naganiać do wszelkiego rodzaju prac obozowych. Zaczęły się skargi, opory, raporty. Młodszy oficerowie w kilku wypadkach wiedzieli, że rzeczywiście nikt nie powiedział podchorążym o warunkach służby, a płk Stachon i płk Davidson (komendant obozu) od razu zaczęli załamywać ręce z powodu „buntu”, bo podchorążowie odmówili składania przysięgi i prosili przy raportach o wysłanie ich z powrotem do Francji, gdyż będąc *oszukiwanymi* nie chcą służyć w Anglii i w ogóle przeniosą się do innych rodzajów broni. Zaczęły się dochodzenia, perswazje, groźby, odwoływanie się do patriotyzmu i honoru, bo — jak tłumaczył angielski przełożony a za nim płk Stachon i nasz attaché ppłk Kwieciński — w Anglii nie ma w linii podchorążych, są tacy tylko w szkołach. Wszyscy w to uwierzyli, nawet ja, niżej podpisany. Wezwano generała Zajacę z Paryża, by jako dowódca PSP sprawę rozstrzygnął. Byłem w czasie odprawy; gdy generałowi wyjaśniono, że rzeczywiście nie powiedziano podchorążym o warunkach służby w RAF, generał uznał to jako okoliczność łagodzącą, ale dalej prosił i tłumaczył, aby dla dobra służby podchorążowie pozostali i złożyli przysięgę. Ostatecznie tylko pięciu zdecydowało się zostać, resztę odesłano 27 lutego 1940 do Paryża: było ich 27, i mieli zostać „ukarani” za bunt.

I ukarani zostali, nie wiem kto i jak, ale większość czekała zapewne długo na nominacje oficerskie lub ich wcale nie otrzymała. Ton pism, wymienionych między generałem Zajacem i płk. Stachonem nie pozostawia pod tym względem żadnych wątpliwości.

Wśród podchorążych było kilku bardziej rozsądnych i zimnokrwistych, będąc już nieco zaawansowani w wieku (pod trzydziestkę) starali się wpłynąć ugodowo na resztę, ale bezskutecznie. Głównym wyjątkiem był sierżant-podchorąży inżynier Karol Radziwiłł, człowiek dojrzały, umiejący współżyć z wszystkimi, powszechnie lubiany wśród oficerów i szeregowych. Toteż opinii o nim nie zmieniono, gdy komendant stacji płk Davidson zajął się Radziwiłłem osobiście w typowo historyczny, pełen snobizmu sposób. Po prostu wspólnie z Radziwiłłem śmialiśmy się. Oto następnego dnia po przyjeździe partii podchorążych Davidson wpadł do pokoju Stachonia i w wielkim podnieceniu zwrócił się do pułkownika i do mnie z wyrzutem: „Dlaczego nie meldowaliście mi natychmiast, że przybył książę Radziwiłł, kuzyn Jego Królewskiej Mości? Stachon! Trzeba zaraz pisać wnioski na nominację *Pilot-Officer'a* dla Radziwiłła i oczywiście polski stopień też. Cóż ludzie powiedzą o mnie, gdy się dowiedzą że książę krwi królewskiej jest tu traktowany jak szeregowiec?”

Nie wytrzymałem i powiedziałem, że Radziwiłł jest takim samym podchorążym jak wszyscy inni i nie widzę powodu do traktowania go odrębnie od reszty, na co Davidson rzucił mi brzydkie spojrzenie i kazał wyjść z pokoju. Tego samego dnia Radziwiłł został zaproszony na kolację do państwa Davidsonów, na przyjęcie prawdziwie książęce, a w kilka dni później został podporucznikiem RAFVR a później polskim również, co się mu zresztą od dawna należało. Przy formowaniu dwóch pierwszych dywizjonów bombowych, już w kwietniu, Radziwiłł został adiutantem 301-go dywizjonu u ppłk. Rutkowskiego, a ja w 300-ym dywizjonie ppłk. Makowskiego.

Ktoś widocznie jednak poruszał stale sprawę podchorążych, gdyż w marcu, względnie kwietniu, 1940 roku ministerstwo lotnictwa zgodziło się — na wniosek G/Cpt. Davidsona — uznać prawa naszych podchorążych, którym nadano polskie stopnie zgodnie z ukończoną szkołą w Polsce, zakwaterowano osobno, kazano nałożyć białe opaski na czapkach — słowem zrobiono z nich oficjalnie brytyjskich podchorążych. Widzimy więc, że cała awantura o prawa podchorążych była wynikiem nieodpowiedniego ustosunkowania się do sprawy Dowództwa PSP w Paryżu i przedstawicieli naszych w Anglii — płk. Kwiecieńskiego i Stachonia.

Nie było więc w Eastchurch „buntu” podchorążych. Było upominanie się o swoje prawa w myśl polskiej pragmatyki, raporty i tłumaczenia; trudno się zatem dziwić, że po bardzo przykrym traktowaniu i wielu słowach których obie strony zapewne później żałowały, większość uparła się, aby nie składać drugiej przysięgi — na króla angielskiego, który nie szanował — jak się wydawało — polskich obyczajów i praw.

Nie należy stawiać sprawy podchorążych na równi z oporami stawianymi władzom w Eastchurch przez podoficerów, zwłaszcza starszych, zarówno z personelu latającego, jak i ziemnego. Można było i z nimi postępować rozsądniej, co się w styczniu stało, a nie zostawiać sprawy w rękach podporuczników rezerwy RAFVR, nie znających służby wojskowej i polskich zwyczajów, nie rozdrażniać niepotrzebnie ambicji ludzi, którzy mieli zasługi pokojowe i z kampanii polskiej i francuskiej. Za to bez wątpienia należy winę przypisać w równej mierze Dowództwu PSP jak i polskim czynnikom w Anglii. Ale był to nieunikniony skutek poglądu nie ukrywanego przez naszą „góre” — łącznie z *attaché militaire* — mianowicie, że zaciąg do RAFVR polskich lotników był łaską: że Anglicy *robili nam łaskę przyjmując do RAF dwa tysiące ludzi.*

Zdaję sobie sprawę, że znowu narażam się na gniew wielu ludzi, ale sądzę, że o ile można wybaczyć tym, którzy zawierali umowę i zapomnieli o tych ważnych momentach psychologicznych, o tyle wykonawcy umowy powinni byli inaczej do rzeczy się zabrać. Niestety, pogląd o robieniu nam łaski trwał cały czas i zemścił się na nas po wojnie. Zamiast emerytur dostaliśmy żebracze odprawy i odezwy brytyjskiego rządu do wracania do Polski.

Należy się uczyć na przeszłości. Kto wie, może jeszcze przyjdzie czas na nowe umowy i nowe ofiary. Nigdyśmy ich nie żałowali, ale pozostawiły u większości brzydki posmak. Zupełnie niepotrzebnie.

Franciszek KALINOWSKI

Grudzień, 1971 r.

Paulina (Ola) WATOWA

PASZPORTYZACJA

Mąż mój, Aleksander Wat, w „Pamiętnikach” swoich nie zdążył opisać dramatycznej akcji, zmuszania Polaków do przyjmowania obywatelstwa sowieckiego, tzw. paszportyzacji.

Akcję paszportyzacji przeprowadzało NKWD w marcu 1943 roku w Kazachstanie i wszędzie tam, gdzie zgrupowani byli Polacy, zwolnieni z więzień, obozów karnych i miejsc zesłań na dalekiej północy.

Do akcji tej, która była jeszcze jednym gwałtem popełnianym na zesłańcach polskich, mąż mój przykładał wielką wagę. Bo w warunkach naszej niewoli dawała mu ona odskocznnię do walki, którą podejmował, już nie jako więzień, którym był do niedawna, ale jako „wyzwoleniec”. Wat był już wtedy po przeszło dwuletnich więzieniach sowieckich, po całej męce, którą tam przeżył. Walka ta była nie tylko walką przeciwko paszportyzacji, ale także protestem przeciwko wszystkiemu, czemu należy powiedzieć NIE.

Tych kilka miesięcy walki, podczas których odegrał on w Ili¹ rolę instygatora buntu ludności polskiej, uważał Aleksander Wat za wydarzenie dużej miary w swojej wojennej odyseji.

1. Ili — 80 km od Ałma-Aty.

Przetrzymany trzy miesiące po amnestii, w więzieniu saratowskim, do którego przewieziono go po ewakuacji Łubianki, mąż mój wyszedł z niego w końcu listopada 1941 roku w stanie zupełnego wyczerpania fizycznego. Zdołał jednak dowlec się do Ałma-Aty, stolicy Kazachstanu, gdzie Delegatura Londyńskiego Rządu umieściła go w szpitalu. Cały czas tam spędzony wypełnia pisaniami i wysyłaniem kartek pocztowych do wszystkich Delegatur, rozsypanych na terenie Kazachstanu, z zapytaniem o mnie i o syna. I w końcu odnajduje nas na tych bezmiernych przestrzeniach, w kołchozie, w czimkentskiej obłasti, gdzie, umierający z głodu, pracowaliśmy na polach bawełnianych.

Po wyjściu ze szpitala, rozpoczął pracę w Delegaturze ałmaatyńskiej. Dostaje funkcje inspektora szkolnego. Zakłada szkółki. Pracuje tam do końca, to znaczy do roku 1942, kiedy to po zerwaniu układu, zlikwidowaniu Delegatur i uwięzieniu wielu Delegatów, deportowano nas w styczniu 1943 roku do Ili.

Małe osiedle Ili leży nad rzeką Ili, którą dawniej odbywał się spław towarów do Chin. Nawiasem mówiąc, dawne miejsce zesłania Trockiego. Ziemia tam jest jałowa, gliniasta; jesienią zamieniała się w lepkie błoto, w którym grzęzło się po kostki, latem gliniasty grunt wysychał i przy najmniejszym powiewie wiatru, unosił się pył drażniący oczy i gardło. Każda pora roku miała tam swoje plagi. Latem muchy, komary, kleszcze i skorpiony, a także chmary zjadłych, małych muszek. Surowe zimy dawały się we znaki szczególnie Polakom — głodnym i z trudem zdobywającym opał. Mieszkaliśmy w lepiance z gliny i łajna, w małej izdebce z klepiskiem zamiast podłogi i niziutkim, zakratowanym okienkiem z widokiem na szaro-żółtawy pustynny pejzaż. Brak zupełny roślinności, lepianki kazachskie i opłotki, z gdzieś tam uwiązany iszak², zawodzący żałośnie z podniesionym do góry łbem. Na skraju posiołka czerniło się kilka cierniowych krzaczków i jedno usychające drzewo. Dopiero w odległości jakichś dwudziestu kilometrów, rozciągały się pola kukurydzy, na których pracowali dojeżdżający tam kolejką „nasi” Kazacy. My zaś, pracowaliśmy jako robotnicy, „wolna” siła najemna, za co dostawaliśmy kartki chlebowe na 400 gr. czarnego, ciężkiego chleba. Zarobki pieniężne były raczej symboliczne, miesięczna bowiem pensja nie starczała na kupno jednego kilograma tegoż chleba na targu. Traciliśmy odporność, dziesiątkował nas tyfus.

W rzeczywistości było więc Ili ponownym zesłaniem, a Polacy — po zniknięciu Delegatur — od nowa bezbronni.

2. Osiół po uzbecku.

Na początku marca 1943 roku poczęły nadchodzić od rozproszonych po Kazachstanie Polaków niepokojące wiadomości o zmuszaniu ich do przyjmowania paszportów sowieckich. Wieści te stawały się coraz bardziej alarmujące, nacisk NKWD coraz brutalniejszy, zdarzały się wypadki samobójstw. Przyjęcie bowiem obywatelstwa sowieckiego, uciñało prawdopodobnie ostatnią nadzieję powrotu do Polski.

W tym okresie narzucona przez NKWD paszportyzacja zbiegła się z równoczesnym i oficjalnym zarządzeniem Związku Patriotów i — jak przypuszczał mój mąż — w „zharmonizowanej zmwowie z jego przywódcami”.

„... Paszportyzacja przymusowa nastąpiła w marcu 1943 roku i jednocześnie z paszportyzacją w tymże marcu 43-go roku został zalegalizowany Związek Patriotów. Jego wysłannicy od razu przejęli opustoszałe biura Delegatury i olbrzymie magazyny darów amerykańskich. Paszportyzacja i zalegalizowanie Związku Patriotów było jednoczesne i należało do jednego planu: obrócić milion czy półtora miliona Polaków w poddanych sowieckich i jednocześnie dać im nadzieję powrotu do Polski. Związek Patriotów Polskich został założony na bazie obrócenia w poddaństwo sowieckie tego półtora miliona Polaków. Wszyscy Polacy ze „Związku Patriotów”, razem z całą armią i z całym sztabem tych wielkich patriotów weszli przeciw do Polski jako obywatele sowieccy³”.

Do „Związku Patriotów” mieliśmy — nie bez powodów i od samego początku — stosunek jak najbardziej nieufny.

Upewniwszy się, że wieści o paszportyzacji są jak najbardziej realne, mąż mój zaczął organizować Polaków naszego osiedla do oporu. Najpierw w pojedynczych rozmowach, potem na zebraniach, przedstawiał im sytuację, a przede wszystkim budził w nich sponiewieraną godność i świadomość co oznaczałaby uległość w tym wypadku.

W swojej ostatniej autobiografii, mąż mój wspomina o tym z żalem: „... słuchali mnie, gdy zbuntowałem ich, ku ich wielkiej szkodzie, a mojemu ponownemu uwięzieniu, przeciw brutalnie narzuconej przez NKWD paszportyzacji...”.

Na naszym osiedlu, poza kilkoma tzw. inteligentami, przeważali ludzie prości, z zawodu szewcy, krawcy, drobni kupcy, przeważnie Żydzi z Galicji. A między nimi wielu komunistów żydowskich „... którzy często nawet w więzieniach sowieckich nie siedzieli. Uciekali przed Niemcami i, aresztowani na granicy, byli

3. Z „Pamiętników” Aleksandra Wata. 1963-1964.

zsyłani na posiołki do Północnego Kazachstanu, skąd wracali w stosunkowo dobrym stanie⁴”.

Pierwsze, „walne” zebranie zorganizowane przez mojego męża, odbyło się u jednego z nich, u szewca Kamera. Była to rodzina komunistów żydowskich z Radomia. Szewstwo dawało im tutaj wcale niezłe warunki życia. Kamer był świetnym człowiekiem, silnym, doskonale się trzymającym. W Polsce czytał Marksa, Różę Luxemburg, był komunistą i w tym duchu wychowywał swoich dwóch synów, którzy zdążyli się już przesiedzieć w więzieniach polskich. I właśnie u niego odbywały się nasze zebrania i on to był jednym z najbardziej zapalonych do walki.

Pierwsze zebranie było bardzo burzliwe. „Patriotów” było wprawdzie w Ili bardzo mało, ale niektórzy uważali, że wojowanie z potężnym NKWD jest szaleństwem i przyspieszy tylko naszą zgnębę. Większość dobrze rozumiała moralne wartości tej walki.

Wat zdawał sobie, oczywiście, sprawę, że władza sowiecka nie liczy się z papierkami a tylko z rachunkiem sił. „... I można było być prawie pewnym, że puszczą nas albo nie puszczą, niezależnie od tego, czy będziemy mieli obywatelstwo sowieckie czy też nie. Tak mówił rozsądek. Ale coś silniejszego w nas kazało zachować się tak a nie inaczej⁵”.

I oto któregoś dnia zjechała do Ili komisja NKWD, która miała nas zmuszać do przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. Było ich kilku, w mundurach i przy orderach. Przewodniczył im płk Omarhadżew, wspaniała o wybitnej urodzie Kazach, który zajął się szczególnie moim mężem, wiedząc, że odegrał on na terenie Ili rolę „buntownika”.

Ulokowali się w jednym z kilku drewnianych domków z ganczkiem, bardzo na ilijskie warunki luksusowym, który dla takich właśnie gości był zarezerwowany. Milicjanci, których w tym celu do Ili sprowadzono, zaczęli zjawiać się u wyznaczonych przez NKWD Polaków i odprowadzać na miejsce przesłuchiwań.

Wat zarządził, aby wszyscy wzywani szli od razu z workiem najpotrzebniejszych w łagrze rzeczy. Pouczył ich także, czerpiąc ze swoich doświadczeń więziennych, żeby nie wdawali się w żadne rozmowy, które zawsze obracają się przeciwko obwinionemu i na zapytanie czy wezmą paszport odpowiadali krótkim NIE, a na zapytanie zaś dlaczego? — Bo jesteśmy polskimi obywatelami — to wszystko.

4. Z „Pamiętników” A. W.

5. Z papierów Aleksandra Wata.

Zaczęły się wezwania.

Naprzód zdumieni a potem wściekli wobec tego niespodziewanego, masowego oporu, NKWD-yści stawali się coraz brutalniejsi. Doszło do tego, że pobito kobietę z dzieckiem na rękę, a kiedy obecny przy tym jej mąż powołał się na konstytucję, dostał pałką po głowie z towarzyszącymi temu słowami: *wot tiebie konstytucja!*

Przyszła kolej na mojego męża.

Milicjant-Kazach, uzbrojony w rewolwer i jakieś szablisko u boku, zjawił się u nas późnym wieczorem. Aleksander był przygotowany. Trzeba było się pożegnać i kto wie, czy nie na zawsze.

Boczną ścieżką, ponaglany rewolwerem do szybszego marszu dotarł do drewnianego domku.

Przyjęto go tam uprzejmie. Płk Omarchadzew ze słodkawym uśmiechem dał mu do zrozumienia, że wie kim jest. — „*Wy pisatiel?*” A także, że wie coś niecoś o jego przeszłości, o tym, że był redaktorem „*Miesięcznika Literackiego*”. I nagle: — „O ile się nie mylę byliście komunistą?” — zapytał. — „Komunistą? — ze zdziwieniem odpowiedział Aleksander — może. Ale było to już tak dawno, że zupełnie tego nie pamiętam”. Ustawiło to od razu sytuację i padło oczekiwane od początku pytanie: — „Czy bierzecie paszport?”

Po zwięzłej odpowiedzi — wszyscy naraz zaczęli się miotać, krzycząc, walić pięściami w stół. Wydawało się, że będą go bić. Ale nie. Trwało to dość długo aż, zapewne sami już zmęczeni, kazali go wyprowadzić temuż samemu milicjantowi, dając mu na boku jakieś instrukcje. Milicjant wprowadził go, poszturchując, do małego pokoiku, którego całym umeblowaniem był niewielki stół i mały, kulawy, bez jednej nogi, stołek, na którym kazał mu przysiąść, nie opierać się o stół i milczeć.

Czas płynął wolno, była już późna noc. Opadało napięcie, ogarniało znużenie i senność. Ale za każdym najmniejszym ruchem na chybotającym się stołku, Kazach przyskakiwał i wraskiem przypominał zalecenia.

Tak upływały godziny nocy — w walce o utrzymanie równowagi i zwalczanie coraz większej potrzeby snu.

Ale o jakiejś tam godzinie, na przełomie nocy i dnia, zmęczony czuwaniem a może i monotonią swej funkcji milicjant odezwał się nagle z naganą w głosie: — „Jakiż głupiec z ciebie! Cóż ci za różnica, jaki masz paszport? Czy to nie wszystko jedno? Ot sobie, papierek. Widzisz, my mamy tutaj, takich bardów kazachskich, którym żyje się dobrze. A dlaczego? Bo zrozumieli

rzecz ważną: *Stalin dajot położenje — nado podczinitsia*⁶. Oni to zrozumieli. Piszą pieśni o Stalinie i opływają we wszystko. A ty? Poślą cię do łagru, a tam takie zdechlaki jak ty giną od razu”.

I tak oto milicjant spod gór Tiań-Szań okazał się filozofem. Przemówienie to odprężyło go najwyraźniej. Przestał być tak czujnym i nawet pozwolił więźniowi oprzeć się o stół i zdrzemnąć na chwilę.

Wczesnym rankiem NKWD od nowa przypuściło atak. W końcu kazali odprowadzić go do aresztu. Zdarzył się przy tym zabawny incydent, który rozśmieszył całe towarzystwo. Mąż mój, odruchowo, podawał swój worek do noszenia milicjantowi. NKWD-yści ogromnie tym rozbawieni wykrzykiwali: — „Ot, prawdziwie burżujska dusza!”

W areszcie byli już Kamer i jego dwaj synowie a z nimi kilkunastu jeszcze Polaków. Wzywano ich jeszcze kilkakrotnie, a po dziesięciu dniach wywieziono wszystkich do Ałma-Aty. Straciliśmy ich odtąd z oczu.

Nie pamiętam już teraz dokładnie ilu Polaków było w Ili. Chyba koło czterystu. Wezwania ciągle trwały, ale zaprzestano aresztowań. Po odmowie, odsyłano do domu. Wiedzieliśmy jednak dobrze, że na tym sprawa paszportyzacji się nie skończy.

I rzeczywiście, któregoś dnia, wszystkich którzy odmówili, zaaresztowano. Pamiętam dobrze chwilę, kiedy przyszli po mnie i trzeba się było pożegnać z synem, wówczas jedenastoletnim chłopcem.

Zebrano nas na opustoszożonym na tę okazję targowisku ilijskim — sto kilkadziesiąt osób, mężczyzn i kobiet, w większości Żydów⁷ wśród nich grupa starych, pobożnych, lękliwych, na których w drodze skrupiała się szczególnie złość strażników.

Nieopodal, w zbitej grupie, stali ci którzy paszporty przyjęli. Ci zostawali. Ale nieszczęśliwi byliśmy jednakowo — i oni i my. Patrzyłam na syna, który chciał się do mnie zbliżyć, ale jeden ze strażników odpędzał go uderzając na płask szablą.

Wreszcie ruszyliśmy w drogę na stację — jechaliśmy w stronę Ałma-Aty, gdzie los nasz miał się rozstrzygać.

W Ałma-Ata przeliczani, popędzani, ruszyliśmy w drogę.

6. Stalin stwarza sytuację — trzeba się jej podporządkować.

7. „Na ileż prześladowań narazili się Żydzi polscy, odmawiając przyjmowania paszportów sowieckich!” (prof. St. Kot, „Listy z Rosji do gen. Sikorskiego”, str. 557).

Coraz to przyspieszano tempa, bijąc tych, co nie nadążali, a szczególnie tych starych Żydów. Bito czym popadło, po głowach i plecach.

W ten sposób przebiegliśmy z osiem kilometrów, aby znaleźć się w centrum miasta. Przypuszczam, że rozmyślnie gnano nas okrężną drogą aby nas umęczyć.

Wprowadzono nas do dość dużego budynku — w którym mieściło się NKWD — i tam, nie pozwalając przysiąść, odmawiając wody, kazano nam czekać.

W jakiejś chwili zjawiła się na sali dziwna i dość przerażająca postać. Był to mężczyzna nieduży, suchy, o wąskiej ciemnej twarzy i wyjątkowo długich rękach. W jednej z nich trzymał coś w rodzaju nahajki. Miał na sobie ciemno-brunatny fartuch, na którym widniały plamy krwi. Obszedł nas szybkim, zdecydowanym krokiem i nagle zatrzymał się przed jednym, potem drugim mężczyzną i kazał im iść za sobą.

Inscenizacja zrobiła na nas wrażenie. Panowała cisza.

Z natury nie byłam odważna. Dopiero na zesłaniu, w stepach kazachstańskich, zdana tylko na siebie, z poczuciem odpowiedzialności za syna, nabrałam hartu, przestałam się bać. Zdarzało mi się nie raz, w towarzystwie tylko jednej z naszych kobiet, przejść w ciągu dnia stepem trzydzieści trzy kilometry, które dzieliły nas od najbliższej stacji kolejowej Żarmy, aby tam zamienić coś niecoś z naszego ubrania na chleb, mąkę czy tłuszcz. Przemierzyłam ten step w ciągu rocznego zesłania w Iwanowce⁸ kilka razy i o każdej porze roku. Latem gryzły nas olbrzymie komary i trzeba było biec, nie zatrzymując się ani na chwilę, atakowały bowiem tak zajadle, jakby nas chciały zagryźć na miejscu. Wiosną, na powrotnej drodze z Żarmy, obarczona ciężkim plecakiem, wypełnionym żywnością szłam przez step, który nagle „ruszył”, zapadając się po pas w szczelinach lodowo-śnieżnych. Znalazł się w Żarmie tylko jeden człowiek, który zechciał mi towarzyszyć. Ulitował się nade mną. Był to namiętny myśliwy i to on, a nie ja — zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw tej wyprawy. Chociażby przejście na ślepo rzeki, ukrytej pod ruszającymi lodami, która jakże łatwo mogła nas pochłonać.

Zimą zaś, na tymże stepie, potykałam się i padałam na śliskiej powierzchni pagórów lodu i śniegu twardego jak kamień i smagana lodowatym wiatrem, z zamarzającymi, owiniętymi w szmaty nogami i zgrabiętymi, wyciągniętymi przed siebie, w

8. IWANOWKA — sowchoz w Płn. Kazachstanie (Semipałatyńskaja obłast') pierwsze miejsce mego zesłania po wywózce ze Lwowa z 13-go na 14-go kwietnia 1940.

obronnym ruchu rękoma — zdążyłam uporczywie do Żarmy, po kawałek chleba. Nie odczuwałam zmęczenia ani strachu. Niosła mnie myśl o dziecku.

Ale zapędziłam się daleko od ałma-atyńskiego NKWD.

Staliśmy więc w ciszy pod ścianami, kiedy usłyszeliśmy krzyk bitych mężczyzn. I w tej samej prawie chwili, mężczyzna w krwawym kitlu, pojawił się znowu między nami, a rozejrzawszy się wokoło i jakby śpiesząc się bardzo do czegoś, zbliżył się do mnie i kazał iść.

Wprowadził mnie do dość obszernego pokoju, pośrodku którego stało krzesło. W kącie — prosty stół i kilka krzeseł. Kazał mi usiąść pośrodku i wyszedł. Zostałam sama, w napięciu czekając na najgorsze. Nie trwało to długo, bo po kilku minutach drzwi się otworzyły i ukazał się w nich młody mężczyzna o sympatycznej twarzy, w przydługawym palcie i czapce z daszkiem na głowie. Wziąwszy krzesło spod okna, przysiadł się do mnie i przyjrzawszy mi się z wyraźną życzliwością, odezwał się spokojnym głosem:

— No, jak tam grażdanko, chyba paszport weźmiecie?

W głosie brzmiała wyraźna troska. Odpowiedziałam, już zupełnie panując nad sobą, że NIE, że paszportu nie wezmę.

— To szkoda — powiedział. — Żał mi was. Jesteście jeszcze młodą kobietą, macie dziecko, a w łagrze, po roku, będziecie staruszką. Syna wam zabiorą do Dietdomu i nie wiadomo czy go jeszcze kiedyś zobaczycie. Radzę wam szczerze, weźcie paszport.

— To jest niemożliwe — odpowiedziałam z uśmiechem, mając przez chwilę uczucie, że prowadzę towarzyską, przyjacielską rozmowę.

Mój miły NKWD-dzista miał minę wyraźnie zasmuconą, kiedy z rozmachem otworzyły się drzwi i kilku NKWD-zistów z płk. Omarchadzewym na czele, weszło do pokoju. Porwali krzesła spod ściany i obsiedli mnie wokoło, zapytując jednocześnie, jaka jest sytuacja.

„Sytuacja” podzielała na nich błyskawicznie. Potoczyły się wyzwiska, krzyki, miotanie się wkoło mnie, ale płk. Omarchadzew, nakazawszy im spokój, odezwał się zaczepnie:

— No, to powiedzcie, dlaczego nie chcecie przyjąć paszportu sowieckiego? Czy to jakaś hańba?

— Z prostego powodu — odpowiedziałam. Jestem Polką, obywatelką polską. I jestem pewna, że w identycznej sytuacji, postąpilibyście tak samo. Nikt z was, przecież, nie przyjąłby oby-

watelstwa polskiego — równałoby się to bowiem zdradzie ojczyzny.

Widocznie nie bardzo się takiej odpowiedzi spodziewali, bo przez ułamek chwili panowała cisza. Aż jeden z nich wykrzyknął:

— *Wot kakaja umnica!* — to, zapewne, mąż ją tego nauczył. Ten buntownik. Ale tak czy owak paszport weźmiesz, albo zgnijesz w łagrze.

— Zabierać ją! — krzyknął na strażnika Omarchadzew, nie patrząc już na mnie.

Podniosłam się z ulgą i wyszłam.

Na dole, w bocznym korytarzu, w towarzystwie strażnika stała młoda dziewczyna z naszego osiedla, Reginka. Miała nie więcej niż siedemnaście lat. Rozmowa NKWD z nią miała przebieg raczej spokojny. Nie zadano sobie zbyt wiele trudu, żeby ją przekonywać. Powtórzono raz jeszcze tylko, że za odmowę, grożą jej dwa lata łagru.

Byliśmy teraz obie pod strażą młodego chłopca w mundurze wojskowym, o miłej, trochę jeszcze dziecinnej twarzy. Starał się mieć poważną minę, ale ledwie znaleźliśmy się na ulicy, w niewielkiej odległości od budynku NKWD, przyspieszył kroku i powiedział ściszym głosem: — Przeprowadzę was przez rynek, tam kupicie sobie coś do zjedzenia. I, dodał, odwracając od nas spojrzenie: — Oj, źle wam tam będzie, źle w tym więzieniu, do którego was prowadzę

Odezwanie się chłopca bardzo mnie wzruszyło. Odpowiedziałam, że są tam przecież i inne kobiety i jeżeli one to wytrzymują, to i my wytrzymamy. Ale chłopak pokręcił głową i pograżył się w milczeniu.

Na bazarze, oglądając się uważnie na wszystkie strony, kazał prędko porobić zakupy. Były bardzo skromne i niewielkie. Dwa twarde jajka i kawałek czarnego chleba. Po czym okazało się, że czeka nas jeszcze odwieszalnia i łaźnia, przed dostarczeniem nas do więzienia.

W budynku w którym mieściły się te „instytucje”, wprowadził nas strażnik do ciemnego, brązową olejną farbą wymalowanego pokoju, w którym ponury człowiek, w szarym brudnym fartuchu, czekał na nas, uzbrojony w wielkie nożyce. Nie powiedziawszy ani słowa, sprawnymi palcami zaczął przebieierać jednej a potem drugiej we włosach, szukając wszy. Byliśmy skazane na ogolenie, gdyby bodaj jedna się znalazła. A o wszy nie było tam trudno. Szczęśliwie obeszło się bez nozyc i wyszliśmy z uczuciem, żeśmy coś cennego uratowały. Potem w łaźni, o śliskiej kamiennej, szarymi mydlinami spływającej podłodze, w któ-

rej unosił się zapach potu i złego mydła, trzeba było poddać się dyscyplinie i zanurzyć w mętnej wodzie basenu. Po czym, już bez przeszkód, doszliśmy do bramy więziennej.

Nazywało się to Trietje Otdielenje. Trzeci Oddział o ciemnych lochach, rodzaj *pieresylnoj tiurmy*, gdzie wsadzano, przed wysłaniem do łagrów, bandytów, złodziei, prostytutki. Mieściło się ono w typowo rosyjskim obejściu kupieckim z XIX wieku. Na bardzo rozległym podwórzu z kloaką do której prowadzono więźniów — drewniane, jednopiętrowe budynki, stawiane jeszcze za carskich czasów, otoczone wysokim, z grubych desek zbitym parkanem, obwiedzionym u góry potrójnym drutem kolczastym.

Z dużego, brukowcem wyłożonego podwórza wprowadzono nas do długiego korytarza, na który wychodziło kilkoro drzwi. Jedne z nich otworzyły się i zobaczyłam na progu, mego sympatycznego NKWDzistę, który w tak opiekuńczy sposób namawiał mnie do przyjęcia paszportu. Podszedł do mnie i z wyraźną prośbą w głosie, powtórzył: — Weźcie paszport.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem i czułam, że to nie troska o moją przyszłość niepokoi go. Jestem pewna, że wstyd mu było tego wszystkiego, co miałam tu przeżyć i zobaczyć.

Po formalnościach i rewizji osobistej, to on, poza dozorcą więziennym, odprowadził nas do drzwi celi i jeszcze raz powtórzył prośbę...

Drzwi celi otworzyły się, klucznik pchnął nas z lekka i od razu usłyszałam zgrzyt klucza. Byłam w celi więziennej. Tyle o tym czytałam, tyle opowiadał mi mój mąż, ale ten pierwszy zgrzyt klucza zacisnął mi gardło.

Cela w półmroku wydała mi się duża. Na wprost — małe zakratowane okienko na równi z brukiem podwórza. Pod ścianami barłogi, a na nich kobiety, widma kobiet, zastygłych teraz w ruchu. Z ogolonymi głowami, wynędzniałe, w łachmanach, trupio blade, czochrające piszczelami uschniętych rąk pokrytą świeżbem skórę — wpatrywały się w nas chciwie.

Strach mieszał się z litością, kiedy tak wsparta o drzwi celi, patrzyłam na nie. Ale trwało to chyba krótką chwilę. Spod zakratowanego okienka podniosło się kilka kobiet, które wyraźnie różniły się od reszty. Wydały mi się duże, głowy miały nie ogolone, sprawiały wrażenie bardzo silnych. I, o ile tamte spod ścian znieruchomiały, nie odważając się podejść bliżej, to te, poderwawszy się sprężyste, dawały nam jednocześnie znaki, że byśmy się zbliżyły i usiadły pośrodku celi. Po czym, jedna z nich, prawdopodobnie starosta celi, wyrwała nam nasze zawiniątka z żywnością kupioną na bazarze. Podział był błyskawiczny, jady

z pośpieszną chciwością, oglądając nas spod oka i robiąc dość cyniczne na nasz temat uwagi. Ożywione i podniecone dodatkowym posiłkiem, wszystkie naraz, jak na dany znak, zaczęły zszarpywać, zrywać z nas ubranie, a widząc że nie stawiamy oporu, kazały rozebrać się do naga. Z kątów powyciągały jakieś cuchnące, brudne szmaty i przegniłe obuwie i, chichocząc, rozbawione, jakby igrające piłką, zaczęły rzucać w nas tymi łachmanami, popędzając do szybkiego ubrania się. Wszystko to odbyło się w błyskawicznym tempie.

Wiedziałam już od mojego męża o obyczajach panujących w celach więźniów kryminalnych. O tym, że w każdej celi jest zawsze kilku najsilniejszych, najwybitniejszych rangą dokonanych czynów, którzy panują nad całą.

Kiedy już tak przebrane, siedziałyśmy czekając co dalej będzie, jedna z kobiet podeszła do Reginki.

— Wiem o co chodzi — powiedziała twardo. Mów, czy bierzesz paszport.

Przerażona i nie bardzo zdająca sobie sprawę z tego co się dzieje, Reginka, szukając jakby potwierdzenia w moich oczach, odpowiedziała, że paszportu nie weźmie.

Rzuciły się na nią wszystkie jednocześnie. Zaczęło się bicie, kopanie obutymi nogami po głowie, plecach, piersiach. Reginka toczyła się między nimi, odbijana jak piłka. A one, zadyszane, podniecone, zwinne, zdawały się nią bawić, podsycając się nawzajem okrzykami.

Siedziałam tuż koło niej i wiedziałam, że zaraz będzie moja kolej. W modlitwie, w której szukałam schronienia, ośwładnęło mną dziwne uczucie. Wszystko stało się naraz nierealne, zniknęło uczucie strachu. Jakaś fala egzaltacji unosiła mnie z tego mrocznego, nieznanego mi świata. Poczułam się pod Opieką i poddałam całą uczuciu ufności i spokoju. Nie zauważyłam, kiedy przestały bić Reginkę i, nieświadomie, uśmiechnęłam się do pochylonej nade mną kobiety, zadającej wiadome pytanie. Usłyszałam, że sprzecają się, czy wziąć mnie w koc⁹, ale któraś zdecydowała, że i tak sobie ze mną poradzą.

Pierwszych uderzeń, naprawdę, nie czułam. Dopiero ciężkie kopnięcie w zebro pod lewą piersią, wyrwało mi krzyk bólu. Zebro było pęknięte i przez długi czas potem bolało przy każdym oddechu i poruszeniu.

Gdy przerwały, promieniowały zadowoleniem, jak po dobrze wykonanej robocie.

W kącie tuż koło drzwi stała „parasza”. Była to bardzo duża

9. Bity w kocu dusi się i nie może wykonać ani jednego obronnego gestu.

beczka, służąca do załatwiania potrzeb fizjologicznych więźniów, między porannym a wieczornym wyprowadzaniem ich na „oprawkę” do zbitych i pozbawionych drzwi klozetów, na podwórku więziennym. Pod tę beczkę oprawczynie nasze naznosiły masę przegniętego, cuchnącego obuwia i porobiwszy z niego stosiki, kazały nam na tym usiąść i oprzeć się o jej zanieczyszczone ściany. Potem, jak w uroczystej procesji podchodziły, wdrapywały się na beczkę i z popiskami prawie zmysłowego zadowolenia, załatwiały się nad naszymi głowami.

Wreszcie oznajmiły, że jeżeli nie przyjmiemy paszportu sowieckiego, będziemy znowu bite i że to bicie będzie coraz dotkliwsze. Po czym odeszły na swoje legowiska, kopiąc i poszturczując po drodze, nie wiadomo dlaczego ani za co, swoje współtowarzyszki więzienne, które przypadkiem trafiały się pod ręką.

A więc to był sposób w jaki postanowiono zmusić nas do przyjęcia paszportów sowieckich.

W celi panowała cisza. Tylko z jakiegoś wyrka dochodził cichy, bezbronny płacz.

I nagle w ciszę tę wdarły się krzyki bitych mężczyzn. Krzyki i wołania o pomoc. Walono pięściami w drzwi celi i ktoś wołał rozdzierającym głosem, że mordują mu syna. Poznałam głos staroego szewca Kamera i z przerażeniem pomyślałam, że w jednej z tych cel jest mój mąż.

Krzyki i walenie w drzwi potęgowały się i przewalały po więziennych korytarzach.

Nie wiem jak długo to trwało i potęgowało się, kiedy nagle drzwi do naszej celi otworzyły się i nim usłyszałam zgrzyt zamykającego celę klucza, zobaczyłam dwie przerażone twarze Polek z naszego osiedla. Stały nieruchome pod drzwiami, sparaliżowane tym co się działo wokoło. Za chwilę i one będą bite. Z poczuciem klęski, wyciągnęłam do nich ręce, ale żadne słowo nie przeszło mi przez gardło.

Kobiety spod okienka zbliżyły się, a jedna z nich zauważywszy mój gest, podbiegła i uderzyła mnie w twarz. Po czym, ciągnąwszy za sobą oszołomione, w półprzytomne kobiety, usadowiły je pośrodku celi i powtórzyły obrządek w tej samej kolejności i tempie. Ograbione z rzeczy, przebrane w łachmany, pobite, siedziały teraz pod „paraszą”, po przeciwnej niż my stronie. Kobiety zaś przysiadły na swoich miejscach i oglądając nowe ubrania, nasycali się wyraźnie ich posiadaniem.

Zdawało się, że ściany więzienia drżą i wibrują falą ludzkiego cierpienia. Dochodziły nas krzyki bitych kobiet, tupot nóg nowoprzybyłej partii mężczyzn, bieganina dozorców, nawoływania, potem nagła, martwa, napięta cisza.

Nie — to nie mogło trwać. Dosięgałam dna wytrzymałości. Drzwi celi otworzyły się znowu i na ich progu ujrzałam znów dwie nasze kobiety: starą schorowaną matkę z córką, wiecznie o nią zatroskaną, wątłą dziewczyną, patrzyły na nas z przerażonym pytaniem w oczach. I po chwili, raz jeszcze odbył się okrutny rytuał.

Straszna noc. Nikt nie spał tej nocy.

Po trochu jednak w celach zaczęło przycichać. Zapewne oprawcy byli już zmęczeni. Tylko od czasu do czasu wybuchał krótki krzyk. Niedaleko świtania, kroki mężczyzn na korytarzach, gruchot o ścianę obijających się ciał, krzyki. Zmaltretowane, sparaliżowane grozą nie śmiałyśmy mówić nawet szeptem.

Świtało. Pozwijane w kłębek, umęczone kobiety, pogrążone były w gniazdach bezpiecznego snu. Wkrótce jednak, i prawie jednocześnie, budziły się, przeciągały, ziewały, mamrocząc jakieś półsennie słowa.

Wszedł dozorca i kazał się nam poustawiać w szeregi. Policzył, posprawdzał i wyprowadził. Korytarze były puste i milczące. Kobiety przysiadły w otwartych klozetach na więziennym podwórzu, na którym miałyśmy okazję zbliżyć się do siebie. Jeszcze tak niedawno dumne z powziętych postanowień i gotowości do ofiar, patrzyłyśmy na siebie, przywalone upokorzeniem i świadomością własnej bezsilności.

A więc przyjmujemy paszporty? Poddajemy się?

„Oprawka” była skończona. Zapędzono nas do celi, ale tu dozorca od razu wydzielił nas, Polki, mówiąc, że mamy iść do lekarza.

Po porannym posiłku — kromce chleba i kubku gorzkawej, zbożowej kawy, wprowadzono nas z celi.

Pojedynczo wchodziłyśmy do jasnego, wapnem bielonego pokoju. Po ciemnej, widmowej celi, wstrząsnęło mną i olśniło piękno białych ścian, okna z muslinową firanką, pełnego światła, słońca i nieba i roślin w doniczkach na parapecie.

Lekarka, starsza, szczupła, posiwiała kobieta, o drobnej, delikatnej, jakby popiołem przyprószonej twarzy, badając mnie bardzo powierzchownie, zapytała nagle szeptem, czy znam język francuski i nie czekając na odpowiedź, z uśmiechem zwróconym ku wspomnieniom, cichym głosem powiedziała kilka słów w tym języku. Nie pamiętam ich treści, ale do tej pory czuję tę chwilę, widzę ją przed sobą, mówiącą w zapomnieniu językiem wolnego świata, który na chwilę przywracał ją przeszłości. Patrzyła na mnie z nieśmiałym uśmiechem, dotykając mego pękniętego że-

bra i stała się skrycie moim sprzymierzeńcem i w okazanej mi ufności — przyjacielem.

W drodze powrotnej do celi, jedna z moich towarzyszek powiedziała dozorczy, że chcemy widzieć naczelnika więzienia. Nie wyraził zdziwienia i wkrótce znalazłyśmy się w jednym z bocznych korytarzy. Przed zamkniętymi drzwiami, zobaczyłam grupę naszych mężczyzn i kobiet. Z opuszczonymi głowami, z okropnymi śladami pobicia, pokrwawieni, w cuchnących szmatach i przegniłych buciorach, stali w milczeniu i po kolei, jeden za drugim, wchodzili do pokoju, w którym urzędował mój... sympatyczny NKWDzista. Gdy przyszła kolej na mnie i gdy weszłam, uniósł się z lekka na mój widok i wypisując mi mój paszport sowiecki na świstku lichego, żółtawego papieru, powiedział ściszone głosem: — Widzicie grażdanko, że miałem rację...

Gdy wyszłam na ulicę stała tam już spora grupa naszych ludzi. Czekaliśmy na resztę. Patrzyliśmy na siebie z żalem, z rozpaczą. Kobiety były tak odmienione, że niektórzy mężczyźni, patrząc na nie, mieli łzy w oczach.

Wreszcie byliśmy w komplecie. Chyba ze stokilkadziesiąt osób. Potykając się na obolałych nogach, w cudzym, cuchnącym, przeważnie o wiele za dużym obuwiu, bez żadnej już nadziei, ruszyliśmy w powrotną drogę. W łachmanach — sami sobie wydawaliśmy się łachmanami — Sowieccy obywatele!

Męża mego nie było między nami.

Dopiero w drodze powrotnej do Ili, dowiedziałam się od ludzi z nim aresztowanych, że zaraz po przybyciu do Ałma-Aty został odseparowany od reszty więźniów i umieszczony oddzielnie, jako instygator buntu Polaków.

W Ili u znajomych Polaków, odnalazłam Andrzeja; o nic nie pytał, od razu wszystko było tu wiadome. Trzeba było wracać do życia, do istnienia, bez Aleksandra.

Mieliśmy w Ili milicjanta, Kazacha, stosunkowo jeszcze młodego człowieka, z widoczną, choć skrętnie ze względów bezpieczeństwa ukrywaną, sympatią dla Polaków. Zwróciłam się do niego i, obiecując nagrodę, prosiłam, żeby wywiadał się u swoich ałma-atyńskich kolegów, gdzie przebywa Aleksander Wat.

Po kilku dniach zjawił się u mnie późnym wieczorem i oznajmił, że mąż mój jest w Drugim Otdielenju w Ałma-Acie, ale że wkrótce przewieziony będzie do Trzeciego. Zawiadomi mnie, kiedy to nastąpi.

Trzeci Oddział! Postanowiłam jechać do Ałma-Aty i zdobyć widzenie z moim mężem. Nie zwlekając pojechałam tam zaraz następnego dnia i zgłosiłam się do NKWD, prosząc o widzenie

z Omarchadzewym, który się tą sprawą zajmował. Poprosiłam o audiencję i ku mojemu zdziwieniu otrzymałam ją bardzo prędko, bo po trzech dniach byłam już w jego gabinecie, obszernym, jasnym pokoju, ozdobionym wielkim portretem Stalina. Ruchem ręki wskazał mi krzesło i, milcząc, wolnymi krokami przechadzał się po pokoju. Duży, skośnooki, o ciemnej cerze, miał wybitną, drapieżną urodę kazachską. Podczas paszportyzacji w Ili igrał z Polakami, jak kot z myszą i z brutalnych ataków spowodowanych odmowami przyjęcia paszportu, zdarzało mu się nagle pograżać w jakąś zadumę, odchodzić gdzieś myślą i — nieobecne wówczas spojrzenie stawało się miękkie. W takiej chwili mogło się wydawać, że oto nagle zwolni swoją ofiarę.

Nagle zatrzymał się przede mną i powiedział: — Człowiek tak wykształcony, inteligentny, poeta, pisarz, mógłby być u nas profesorem, wykładać na uniwersytecie w Moskwie, mógłby żyć jak kulturalny człowiek, a nie w nędzy w Ili. Dlaczego się upiera? Dlaczego zbuntował innych? Trzeba przemówić mu do rozsądku, niech weźmie paszport i zaraz wszystko się odmieni, pojedziecie do Moskwy. On jeszcze nie wie, że Ambasada Polska została wypędzona z Kujbyszewa, że zatem nie może liczyć na żadną znikąd pomoc. Ci, co paszportu nie przyjęli zostali skazani na dwa lata łagru, między innymi dwie urzędniczki z Delegatury ałma-atyńskiej. Niech przestanie się upierać i przyjmie paszport, takie jest bowiem zarządzenie władz sowieckich i Związku Patriotów Polskich.

A więc po to mi dał widzenie, abym przekazała to mężowi, abym go przekonała.

Audiencja była skończona. Cekał na odpowiedź. Oczywiście zgodziłam się na wszystko, aby widzenie uzyskać. Jeszcze na odchodnym dodał miękkim głosem: — Szkoda go. Łagier to pewna dla niego zguba. Kazał mi przyjść za tydzień i zgłosić się do okienka na dole, gdzie wydadzą mi przepustkę i powiedzą, gdzie się mój mąż znajduje.

Milicjant ilijski nie zapomniał o danej mi obietnicy. Był w kontakcie z ałma-atyńskimi kolegami i na trzeci dzień po wizycie mojej u Omarchadzewa, oznajmił, że za dwa dni Aleksander będzie przeprowadzony z Drugiego do Trzeciego Oddziału. Postanowiłam być tego dnia od rana pod Drugim Otdieleniem i w ten sposób, chociaż z daleka go zobaczyć. I tak też zrobiłam.

Brama więzienna, pod którą stałam, była z grubych, ostro zakończonych desek i potrójnym drutem kolczastym na szczycie. Między deskami zdarzały się dość duże szpary, zrobione praw-

dopodobnie przez tych, którzy tak jak i ja w tej chwili, czyhali na ujrzanie bliskiej istoty.

Stałam dość długo, kiedy nagle uprzętałem nadchodzących więźniów. Gdy przystanęli kazano im przysiąc na bruku podwórza. Zaczęło się przeliczanie z listy. W stosunkowo niewielkiej odległości ode mnie, zobaczyłam Aleksandra.

Tak jak i reszta więźniów, miał ogoloną głowę. Zrobiło to na mnie niezwykle wrażenie. Był bardzo blady, wychudzony, oczy wydawały się większe. Siedział, patrząc w zamyśleniu przed siebie.

Już na wolności, o wiele później, opowiadał mi, że w tym Drugim Oddziale, zabobonni dozorczy więzienni, Kazacy, bali się go wyrażnie. A jeden z nich wprost zapytał, czy nie jest czarownikiem i prosił, żeby na nich, dozorców, czarów nie rzucał, bo oni nie są winni.

Wkrótce więźniów ustawiono w szeregi i otworzono bramę. Otoczeni strażą zaczęli wychodzić na ulicę.

Aleksander zobaczył mnie od razu i uśmiechnął się. Uśmiech miał mi dodać odwagi i otuchy. Wiedział już od współwięźniów co się działo w Trzecim Oddziale, o biciu Polaków.

Staralam zbliżyć się do niego, podać paczuszkę z żywnością, ale strażnicy odganiaли mnie z pogrozkami, a potem kiedy ponawiałam próby — groźbą uwięzienia. Biegłam więc w pewnej odległości, usiłując już tylko nie stracić go z oczu, aż do samej bramy więziennej Trzeciego Oddziału.

W dwa dni później stałam przy okienku w gmachu NKWD. Wydano mi przepustkę na obiecane przez Omarchadzewa widzenie, ale miało ono nastąpić dopiero za pięć dni. A więc jeszcze pięć dni. Skoro go nie ma, to znaczy, że paszportu nie przyjął...

W przeddzień widzenia jechałam nocą do Ałma-Aty w zatłoczonym, dusznym wagonie. Przyjechałam na miejsce wczesnym rankiem. Kilka godzin dzieliło mnie od upragnionej chwili; żeby skrócić sobie czas, poszłam wolnym krokiem ulicami tego pięknego miasta.

Zbliżyłam się do parterowego domku całego w bluszczach, z przymkniętymi od słońca okienicami, z małymi, wyciętymi w nich serduszkami i obszernym starym gankiem, po którym tak trudno było przechodzić zimą dla jego śliskiej, pochyłej powierzchni. Mieszkaliśmy tu przez kilka miesięcy, kiedy mąż mój pracował w Delegaturze Polskiej, u przemiłej pani K., od lat czekającej na powrót swego męża z łagru. Nie mogłam tam zająć; w obecnej mojej sytuacji mogłabym narazić ją na przykrości.

Zbliżała się pora widzenia. Zawróciłam więc w drogę powrotną, przed bramę więzienną.

Wpuszczono mnie i po przejrzeniu paczki żywnościowej, którą przyniosłam ze sobą, wprowadzono na wąską galeryjkę, na której stał mały, żółto malowany stolik i dwa drewniane krzeselka. Galeryjka prowadziła na korytarz więzienny, a po lewej jej stronie drzwi były otwarte do pokoju strażników. Jeden z nich stał na progu i kazał mi usiąść. Po jakimś kwadransie wprowadzono Aleksandra.

Pozwolono nam zbliżyć się do siebie. Objął mnie ramionami i powiedział cicho: — Nie martw się, nic mi tu złego nie robią. Zachowaj tajemnicę. Strażnik zbliżył się i kazał nam usiąść. Patrzyliśmy na siebie, zdając sobie sprawę, jak krótka będzie ta chwila szczęścia przed niewiadomym jutrem.

Był jeszcze bardziej wychudzony, skóra twarzy poszarzała, ale żadnych śladów bicia, maltretowania, znęcania się, zaszczucia. Promieniował z niego spokój, dobroć, czułość.

Nie mógł mi w tej sprawie nic więcej powiedzieć, strażnik zbliżył się i wyraźnie nadsłuchiwał. Powiedział mi, że Omarchadzew odwiedza go często, nie posuwa się jednak do żadnych brutalności, tylko przyglądając mu się uważnie, zapytuje nieodmiennie czy się już na przyjęcie paszportu zdecydował, przy czym za każdym razem powiększa dawkę groźnych konsekwencji, które mu grożą, jeżeli odmówi.

Opowiedziałam mu o swojej wizycie u Omarchadzewa i o jego kuszeniach, to wszystko. Nie zadałam pytania, nie prosiłam o żadną odpowiedź. Później, już na wolności powiedział mi, że dałam mu wtedy na tym więziennym ganku, wśród aresztanckich baraków — największy dowód miłości, nie namawiając do niczego, zostawiając mu wolność wyboru.

Opowiedziałam mu także treść listu, który dostałam od Stefana Gackiego w przeddzień jego wyjazdu z rozgromionej Ambasady Kujbyszewa. Pisał: „Trzymaj się, zrobiliśmy wszystko co można, żeby cię wyciągnąć. Pisaliśmy do Jangi-Jul, ale Jangi-Jul, tak jak i w innych wypadkach, zlekceważyło nasze prośby”. Było to pokrzepiające, chociaż na razie zupełnie nieskuteczne. Aleksander jednak wysłuchał tego z wyraźną ulgą.



Po powrocie Polaków do Ili życie potoczyło się dalej bez zmian, pełne nędzy, chorób i głodu.

O mężu moim niczego więcej dowiedzieć się nie mogłam. Tyle tylko, że siedział ciągle w Trzecim Otdieleniu. Kilkakrotnie

ponawiałam próby uzyskania z nim widzenia, ale Omarchadzew nie chciał mnie więcej przyjąć, ani ze mną rozmawiać. Od uwięzienia miały trzy miesiące.

I oto, któregoś dnia po południu, zjawił się Aleksander na progu naszej lepianki. Miał dużą brodę, włosy mu odrosły, tyle że bardziej posiwiate, cerę miał ziemistego koloru, tak właściwą więźniom. Promieniował z niego spokój i szczęście powrotu do nas. Nie wziął paszportu sowieckiego i już od progu pokazywał nam, oddany mu przed wyjściem z Trzeciego Oddzielenia, dawny jego dowód osobisty, dowód z pieczętką Rządu Londyńskiego.

CELA W TRZECIM OTDIELENJU

Opowiadał mi Aleksander, że kiedy już siedział na Zamarstynowie¹⁰ we Lwowie, przyśniło mu się któreś nocy, że jest śledzony, że już są na jego tropie, za chwilę go dopadną, schwycą, zaarrestują i posadzą. Koszmarne sen. Więc, kiedy się obudził w celi więziennej, cały zjezony w sobie od strachu, odetchnął prawie z ulgą.

Takiego uczucia doznał przestąpiwszy próg celi Trzeciego Oddziału. Dokonało się. Wiedział, co go tutaj czeka, wiedział, jak okrutnie bito tu Polaków za opór przyjęcia paszportu sowieckiego. Stojąc więc pod zatrzaśniętymi drzwiami celi i rozglądając się wokoło, bez trudu rozpoznał przyszłych swych oprawców, którzy na jego widok podnosili się leniwie spod zakratowanego okienka. Cella była w podziemiu, cała w półmroku. Patrzył na trzech, zbliżających się, półnagich olbrzymów.

Jak już wspomniałam, w tym czasie wygląd mojego męża był dość niezwykły, ale nie była to tylko sprawa jego powierzchowności, ascetycznego wyglądu, gorejących buntem oczu i ogolonej głowy. Trudno wyrazić aurę jaka otacza człowieka, który osiągnął poczucie wolności bycia już tylko sobą, stanowienia o sobie i o swym działaniu. Aleksander to osiągnął. Był „strzałą i celem”¹¹ jednocześnie i zapewne, przekroczywszy próg celi, westchnął do Boga, aby pobłogosławił i strzale i celowi.

Walentin, takie było imię starosty celi, stał przed nim w niewielkiej odległości. Był rostry, silny i piękny. Przypatrywał się Aleksandrowi w wyczekującej postawie drapieżnika, który ma czas, wie bowiem, że ofiara i tak mu się nie wymknie. I w ciszy

10. Zamarstynów — więzienie we Lwowie w którym Wat siedział z grupą polskich pisarzy w styczniu 1940 roku.

11. Wiersz Aleksandra Wata pt. „Japońskie Łucznictwo”.

tego wyczekiwania odezwał się głos Aleksandra, który jemu samemu wydał się tu obcy. Więc kiedy padło pierwsze zdanie, kiedy zapytał surowym głosem, czy wierzą w Boga, sam się zadziwił temu, tak tutaj nieoczekiwanemu, pytaniu. Oni także byli zaskoczeni, a Walentin krzyknął gwałtownie, dlaczego o to pyta. I wszystko co było postanowione i nieodwołalne, powiedział Aleksander głosem mocnym i stanowczym:

— Wiem, że macie mnie bić, bić tak długo, póki nie wezmę paszportu sowieckiego. Więc, jeżeli wierzycie w Boga, proszę, bijcie mnie tak sprawnie i skutecznie, abym się za długo nie męczył, aby *to* za długo nie trwało. Bo *ja* paszportu sowieckiego *nie wezmę*.

Jakże wytłumaczyć sobie to wszystko co po tym nastąpiło?

W celi dotąd cichej, nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, obrócenie w stronę Walentina, jakby czekający co on postanowi. A Walentin milczał i patrząc na Aleksandra zdawał się z trudem odrywać od jakiejś swojej rzeczywistości, czy zapomnianego już dawno snu. I nagle, krzycząc, kopiąc i odtrącając brutalnie, nadarżających mu się po drodze więźniów, kierował się ku swojemu miejscu pod oknem, a stamtąd, jak z kazalnicy, zahuczał nakazującym posłuch głosem:

— Jeżeli jeden włos spadnie z głowy temu człowiekowi, ze mną będziecie mieli do czynienia. Zrozumiano?

Jaka fala wspomnień przyplłynęła do Walentina ze słowami Aleksandra? Jakie treści podłożył pod ten usłyszany, tak niespodziewany tutaj tekst? Przeciwno czemu się buntował i w buncie tym przyłączał do Aleksandra?

Aleksander siadł na wyznaczonym mu przez Walentina miejscu, tuż koło niego i jego towarzyszy. Reszta więźniów — ze dwudziestu wyrostków, wśród których, jak się później okazało, był syn wiceprzewodniczącego gorkomu¹² i jedynek rejonowego sekretarza Partii — rozeszła się na swoje miejsca pod ścianami. Byli to w przeważającej ilości tzw. *mietkiję wory*, złodziejzaski, o pospolitych, często syfilisemznaczonych twarzach. Przeważnie wychowankowie „Dietdomów”.

Walentin był wzburzony i zaledwie Aleksander „zagospodarował” się na swoim miejscu, zaczął mówić wibrującym od hamowanej wściekłości, głosem.

— Sowiecki paszport! — wykrzykiwał — sowiecki paszport to my, to ta nora w Trzecim Otdieleniu, to więzienia, łagry, strach. STRACH i TERROR! — to jest sowiecki paszport. To

12. Gorkom — miejska rada narodowa.

z nienawiści do nich, do tych miażdżących, żelaznych łań, które nas duszą — rodzi się w nas zbrodnia.

Mówiąc to poderwał się i zaczął krążyć po celi a zbliżywszy się do drzwi, walnął w nie kufakiem, krzycząc z wściekłością: — Ucieknę im! Ucieknę chociaż wolniejsi jesteśmy w tej celi niż na wolności. Wszystko nam tu wolno. Możemy krzyczeć, nasobaczyć na władzę, na ojca narodów, bo nic już nie mamy do stracenia a tyle, jednak, do zyskania.

Żył tylko myślą o ucieczce i snuł jej plany. Mówił o tym nieustannie w ciągu pobytu Aleksandra w tej celi, powracał uparcie myślą do tej, nie dającej mu spokoju myśli. Opowiadał, jak to uciekając z łańców północy, godzinami ukrywał się w lodowatej wodzie przerębli, pod grubym wiekiem lodu. Jak tygodniami ginął z głodu, ukrywając się w lasach, górach, stepach. I nieodmiennie kończył swe wspomnienia postanowieniem dalszej ucieczki.

Towarzysze Walentina zaczęli włączać się do kipiącego nienawiścią monologu. Każdy z nich chciał opowiedzieć dzieje swego życia, w kolejach losu, tak jedno do drugiego podobne.

Aleksander słuchał ich w napięciu, a oni czując w nim świadka swoich losów, jeszcze bardziej podniecali się do zwierzeń, aż urwali zmęczeni, zadyszani. I wtedy zaczęli prosić mego męża, aby opowiadał im o sobie, o wolnym świecie do którego należał.

Aleksander opowiadał świetnie. I teraz, w tej mrocznej celi, otoczony zbuntowanymi, pełnymi nienawiści, a jemu tak sprzyjającymi więzniarami, wyprowadzał ich za mury więzienne na szeroki świat. I w ciągu całego tam pobytu, nieraz do późnej nocy streszczał im książki, filmy, cytował z pamięci wiersze.

Jak mi potem opowiadał, błagali go żeby codziennie streszczał im jakąś powieść. „Czerwone i Czarne” — na przykład — wywołało zachwyty. A już szczególnie podobały się im opowiadania Henry’ego, których mąż mój przetłumaczył chyba z pięćdziesiąt i które — jak twierdził — świetnie nadają się do więzienia. Poczęte przeciw w więzieniu.

Walentin, którego specjalnością były napady na pociągi towarowe i który — jak twierdził — brzydził się „mokrej roboty” oraz towarzysze jego, przeważnie z tej samej co i on specjalności — sporo czytali; znali Gorkiego, Tołstoja, Dostojewskiego. Mówili z pamięci wiersze Puszkina, a wieczorami pod rzewną melodię, śpiewali piękny „List do matki”, Jesienina, którego nauczył mnie Aleksander po powrocie.

Jednak od pierwszej chwili mąż mój zdał sobie sprawę z nie-

bezpieczeństwa sytuacji. Trzeba było zainscenizować bicie, żeby nie sprowokować przeniesienia do innej celi. Walentin zrozumiał to i chociaż z dużymi oporami, współ z towarzyszami, dnia następnego, narobił strasznego rumoru i krzyknął aż rozniosło się po korytarzach więziennych: — *Poliak, bieri paraszu!* — którą mąż mój współ z jeszcze jednym więźniem, wynosił zgięty we dwoje, z opuszczoną głową, dając wszystkie pozory uciążenia i udręki. Tegoż dnia pod wieczór zjawił się Omarchadzew i przypatrując mu się uważnie i, najwidoczniej szukając śladów bicia, zadał mu to samo wciąż pytanie.

Omarchadzew przychodził co najmniej trzy razy w tygodniu i, zdawało się Aleksandrowi, że za każdym razem zachowanie jego różniło się od poprzedniego. Zawsze jednak był groźny i napięty, nacierający z wściekłą furią nienawiści na upierającego się przy swoim więźnia. A — jednocześnie — najwidoczniej zaciekawiony tym szaleńcem, dążącym do pewnej zguby, zamiast do zaferowanych mu zaszczytów i blasków egzystencji.

Zastanawialiśmy się potem oboje, co kryło się w tym zwlekaniu, nie wysyłaniu do łagru, którym ciągle grozili, temu ociąganiu się w pobraniu decyzji w stosunku do niego. Czyżby jakiś Berman, czy też któryś z przebywających wówczas w Moskwie i współpracujących ze Związkiem Patriotów Polskich — pisarzy polskich wpłynął na to bez wiedzy mego męża, bo on nie miał z nimi żadnego kontaktu. Chociażby Ważyk¹³.

Może legenda *Miesięcznika Literackiego* zaważyła w tym wypadku?

Mijały trzy miesiące uwięzienia, kiedy Omarchadzew po nieodmiennej odmowie — oznajmił, że teraz już nieodwołalnie wyślą go do łagru i, że najprawdopodobniej, nastąpi to dnia następnego.

Po powrocie do celi Aleksander zdał sprawę Walentynowi

13. Mniej więcej w tym samym czasie Ważyk współ z Putramentem i Wandą Wasilewską prowadzili w Saratowie jakieś radiowe pogadanki. Jemu, prawdopodobnie, w dużym stopniu zawdzięczamy nasz powrót, upomniał się on bowiem o Aleksandra Wata w otwartym liście drukowanym w *Kuźnicy* (Nr 3 z 14 stycznia 1946 r.), który kończy się słowami: „... Związek (Literatów Polskich) wszczął starania w Ministerstwie Kultury i Sztuki o sprostowanie zabłąkanego kolegi z kraju..., który kilka tysięcy kilometrów od kraju umiera na ciężką chorobę serca i zdycha z nostalgii... Marszałek Rokossowski nie pytał jaką ideologię wyznaje Jan Parandowski. Nam także nie idzie w tym wypadku (A. Wata) o ideologię, ale o literata, człowieka wyjątkowej inteligencji, który jak mi się wydaje w poglądach swoich jest bardzo daleki od nas i wróci do kraju jako wyznawca ideologii katolickiej jeśli wrócić zdoła...

Sprawa jest nagłąca”.

z ostatniej wizyty Omarchadzewa i powziętej w stosunku do niego decyzji. Należało się spodziewać, że spędza ostatnią noc z nimi. Walentin, na wszelki wypadek, wziął nasz adres ilijski, bowiem postanowienie ucieczki było w nim niezłomne a także i pewność, że mu się ona uda. W tym wypadku przyszedłby do mnie, aby mi opowiedzieć o losach mego męża.

Następnego dnia, wezwano męża mego z „wieszczami”. Z prawdziwym wzruszeniem i wdzięcznością pożegnał swego zbawcę i przyjaciela Walentina, a także jego towarzyszy. W pokoju naczelnika więzienia, zapytał czy pozwoli mu napisać kilka słów do żony, a ten, popatrzawszy na niego z ledwo ukrywanym uśmiechem i podając mu papierek do podpisu, odpowiedział: — Po co pisać, zobaczycie ją niedługo. Po czym wręczył mu dawny jego dowód, arkusz zadrukowanego białego papieru z nagłówkiem: RZECZPOSPOLITA POLSKA. I z okrągłą u dołu pieczętką, która głosiła: DELEGATURA AMBASADY RP. AŁMA-ATA. Tak zwany „paszport londyński”.

Paulina (Ola) WATOWA

Leon MITKIEWICZ

LIKWIDACJA POLSKIEJ MISJI WOJSKOWEJ W STANACH ZJEDNOCZONYCH W 1945 ROKU

Poprzednio miałem zamiar całość dokumentów dotyczących likwidacji tej misji przekazać, po mojej śmierci, do jednej z polskich placówek kulturalnych na emigracji.

Zmieniam obecnie moją decyzję i podaję sprawę likwidacji misji do wiadomości publicznej. Czynię tak dla odparcia kierowanych pod moim adresem zarzutów ze strony niektórych osób i dla ostatecznego wyjaśnienia sprawy, jak naprawdę przedstawiała się w sierpniu 1945 likwidacja misji. Częściowe naświetlenie wydarzeń związanych z likwidacją misji podałem już poprzednio w artykule moim „Placówka Star” (*Zeszyty Historyczne* Nr 17) i w mojej ostatniej książce pt. „W Najwyższym Sztabie Zachodnich Aliantów” (Veritas, 1971).



Oficerem sztabowym do zleceń przy mnie w Misji Wojskowej w Waszyngtonie był mjr dypl. Stefan Jędrzejewski. Z mjr. Jędrzejewskim prowadziłem — można tak to określić — rozmowy prywatne na stopie koleżeńskej czy nawet przyjacielskiej oraz długie debaty — z mojej strony zupełnie szczere — bez obawy, że mogą być mylnie, a nawet fałszywie interpretowane i wykorzystane. Były to rozmowy dwu dobrze się znających i współpracujących ze sobą oficerów — tak to wyglądało z mojej strony. Nie przychodziło mi na myśl, że ich treść będzie podawana zgoła fałszywie do Sztabu N.W. w Londynie. Zresztą w rozmowach moich z mjr. Jędrzejewskim nie było nic wrogiego do sprawy polskiej, nie było również nic o moim rzekomym zamiarze „zdradzenia Polski” przez przejście do reżymu lubelskiego, czy warszawskiego. W rozmowach z nim twierdziłem stale, że wolne wybory w Polsce mogą zadecydować o możliwości naszego powrotu do Kraju. Mjr dypl. Jędrzejewski był typem pracowitego oficera Sztabu Generalnego, inteligentnego, wyrobionego sztabowca. Uważałem go za człowieka honoru, do którego miałem prawo odnosić się z całkowitym zaufaniem.

Ale według wiarygodnych meldunków oficerów mojego sztabu, mjr Jędrzejewski, poza moimi plecami, a z nieulegającą wątpliwości wiedzą Sztabu N.W. w Londynie, spełniał tu, i na terenie wszystkich polskich urzędów wojskowych w Stanach Zjedn., funkcję oficera kontr-wywiadu.

Z powodu wysłania por. Kazimierskiego do Londynu — w lutym 1945 — miałem dotychczas niespotykany w Wojsku Polskim raport służbowy mjr. Jędrzejewskiego. Meldował się on z oficjalnym zapytaniem dlaczego i w jakim celu wysłany został por. Kazimierski do Sztabu N.W. w Londynie, skoro on nic o tym nie wie. Ostro odpowiedziałem mjr. Jędrzejewskiemu, że przełożony ma pełne prawo postępowania bez wtajemniczania swych podkomendnych — nawet — ...oficera sztabowego do zleceń. („Placówka Star”, Nr 17 *Zeszytów Historycznych*).

Reakcja mjr. Jędrzejewskiego — po bezpośrednim skomunikowaniu się ze Sztabem N.W. w Londynie bez mojej wiedzy — nastąpiła wkrótce. W maju 1945 mjr Jędrzejewski został wezwany depeszą gen. Kopańskiego do Londynu. Wiedząc od dawna o raportach kontr-wywiadowczych Jędrzejewskiego na mnie i mając pewność, że w tej sprawie jest wzywany do Londynu, wezwałem go i zapytałem oficjalnie w jakiej sprawie wzywa go Sztab N.W. Mjr Jędrzejewski oświadczył mi, że nie ma on najmniejszego pojęcia po co jest on wzywany. Lecz po kilku dniach złożył mi pisemny meldunek, stwierdzający iż nie zgadza się z moimi poglądami politycznymi, jako nie odpowiadającymi li-

nii politycznej Sztabu N.W... Na moje pytanie na czym polega różnica w oficjalnych poglądach politycznych moich i jego własnych — Jędrzejewski odpowiedział, że wyjaśnień w tej kwestii może udzielić jedynie generałowi Kopańskiemu, szefowi Sztabu N.W. Stało się dla mnie zupełnie jasne, że treść raportów Jędrzejewskiego wysyłanych do sztabu N.W., opierała się na moich zupełnie otwartych i szczerych rozmowach politycznych na temat położenia w Polsce.

Mjr Jędrzejewski — jak się dowiedziałem później — przedstawił w sztabie N.W. Szefowi Sztabu gen. Kopańskiemu i szefowi oddziału II ppłk. Gano, sprawę w ten sposób, że płk Mitkiewicz z całą pewnością przechodzi do reżymu warszawskiego.

Na podstawie ustnych i pisemnych raportów mjr. Jędrzejewskiego na mnie, uradzono wówczas w sztabie N.W. — gen. Kopański, płk Gano w obecności mjr. Jędrzejewskiego — że płk Mitkiewicz będzie odwołany z Waszyngtonu i przesunięty do 2 Korpusu polskiego we Włoszech. Jednak dla zachowania wobec mnie pozorów postanowiono wezwać mnie do Londynu. Enigmatyczna depesza gen. Kopańskiego brzmiała: „Dla ostatecznego wyjaśnienia sprawy ma się stawić Pan Pułkownik niezwłocznie w Londynie w sztabie N.W.”.

Pobyt mój w sztabie N.W. w Londynie w lipcu 1945 szczegółowo opisałem w książce pt. „W Najwyższym Sztabie Zachodnich Aliantów”.

Gen. Kopański oficjalnie zakomunikował obecnym na odprawie generałom i pułkownikom, w obecności Naczelnego Wodza gen. T. Komorowskiego, o moim powrocie do Waszyngtonu. Omówił ze mną, w obecności płk. Gano, sposoby interwencji w CCS i u władz wojskowych Stanów Zjednoczonych o utrzymanie na Zachodzie niezmienionego statusu Polskich Sił Zbrojnych aż do czasu odtworzenia w Polsce legalnego rządu i naczelnych władz Państwa — co może nastąpić dopiero po wolnych wyborach w Polsce. Gen. Kopański zakomunikował mi następnie, w obecności wszystkich zebranych na odprawie, że w sprawie meldunków mjr. Jędrzejewskiego obowiązuje nadal obecne *status quo* — tj. że sytuacja pozostaje bez żadnych zmian, że mjr Jędrzejewski pozostaje na dawnym stanowisku. Rozkazy gen. Kopańskiego były wydane ustnie. Wówczas nie wyobrażałem sobie, że ma to być gruba intryga, lub że *ustny* rozkaz szefa sztabu N.W. może spowodować ciężkie w następstwie konsekwencje. Sam siebie obwiniam, że nie żądałem rozkazu *na piśmie*...

Ale rozkaz ustny czy pisemny Szefa Sztabu N.W. musiał być bezwzględnie wykonany przez cały skład mojej misji i attachatów w Waszyngtonie. Z tym przeświadczeniem wyjeżdżałem z

Londynu do Waszyngtonu. Na drugi dzień po przyjeździe wezwałem mjr. Jędrzejewskiego i nie wspominając mu o jego „donosie” na mnie w Londynie, oświadczyłem, że rozkaz gen. Kopańskiego nakazuje *status quo* — że wszystko pozostaje bez zmiany z osobą mjr. Jędrzejewskiego w misji.

W mjr. Jędrzejewskiego — po moich słowach — jakby piorun trzasł! Ledwie mógł wyjąkać: „Jakżeż ja będę wyglądać w tym położeniu?”

Udzieliłem urlopu mjr. Jędrzejewskiemu.

2 sierpnia 1945 niespodziewanie doręczono mi depeszę od gen. Kopańskiego, tej treści:

„From: War Office. To: B.A.C. 31 July 45. No. 64766. Mil. Secret. Following for Colonel Mitkiewicz. Polish Military Mission. Begins: 1. At the request of War Office our mission to CCS to be withdrawn. 2. Half of personel should return to London as soon as possible. Remaining half should stay till August 21th for liquidation purposes. 3. C.-in-C. ordered: Colonel Mitkiewicz returns with first part. Major Jędrzejewski remaining till August 31. Signed: Kopański. Ends.”

Nie zdziwiło mnie zbyt i nie zaskoczyło żądanie War Office — a zwyczajnie Churchilla — o natychmiastowej likwidacji polskiej misji wojskowej przy CCS w Waszyngtonie. Było to zjawisko normalne, wobec uznania przez Zachód rządu warszawskiego za prawowity. Zaskoczyła mnie i zdziwiła jedynie treść rozkazu gen. Kopańskiego, że ja, jako pierwszy mam wyjeżdżać do Londynu, a mjr. Jędrzejewski, którego postępowanie względem mnie było dobrze znane po bytności mojej niedawnej w Londynie, ma — zamiast mnie — likwidować misję.

Postanowiłem rozmówić się z gen. Kopańskim telefonicznie.

Rozmowa podana jest dokładnie w mojej książce „W Najwyższym Sztabie Zachodnich Aliantów”. Powtórzę tylko końcowe słowa z tej rozmowy:

„It is the order of C.-in-C. and it must be executed. You will come and Jędrzejewski will liquidate the mission. — In that case I ask for my release from active service. — Very good. I shall repeat your request to the C.-in-C.”

Podejrzenia czy raczej moje przypuszczenia sprawdziły się. Fałszywe donosy Jędrzejewskiego zostały przez gen. Kopańskiego całkowicie przyjęte.

Już następnego dnia wyjaśniła się cała intryga dokładnie.

Mjr Jędrzejewski złożył mi „pismo” w odpowiedzi na wydane przeze mnie zarządzenia, oparte na instrukcjach gen. Kopańskiego z dn. 10 lipca 1945.

„Major dypl. S. Jędrzejewski
L. dz. 32/pers.

WPan Pułkownik dypl. L. Mitkiewicz.
Na L. dz. 522/22 z dnia 28. VII. 1945.

Dnia 19 czerwca 1945 r. Pan Szef Sztabu N.W. Generał-Dywizji S. Kopański w obecności płk. dypl. S. Gano powziął decyzję, z której wyciąg poniżej:

... Mjr dypl. S. Jędrzejewski wraca natychmiast do Waszyngtonu. Płk dypl. L. Mitkiewicz zostaje wezwany do Londynu, a następnie przeniesiony do 2 Korpusu do Włoch... Depesza wzywająca płk. dypl. Mitkiewicza do Londynu zostanie wysłana z takim wyliczeniem, by płk. dypl. Mitkiewicz opuścił USA bezpośrednio po powrocie mjr. Jędrzejewskiego do Waszyngtonu... Wobec powrotu Pana Pułkownika w dniu 14. VII. 1945 bez pisemnych rozkazów, zmieniających powyższą decyzję, uważam za jedynie obowiązujący stan faktyczny podany mi przez Pana Szefa Sztabu N.W. w dniu 19 czerwca 1945, o czym zameldowałem do Londynu dnia 17. VII. 1945... Wszelkie zarządzenia Pana Pułkownika wydane po dniu 14 lipca 1945 i nie oparte na pisemnych rozkazach Pana Szefa Sztabu N.W. uważam za nieobowiązujące.

(—) Stefan Jędrzejewski, mjr dypl.”.

Konsekwencje tej intrygi były poważne. Nastąpił bowiem wyraźny bunt i jawne odmówienie posłuszeństwa w stosunku do mnie, dotychczasowego przełożonego, przez mojego oficera sztabowego do zleceń, mjr. dypl. S. Jędrzejewskiego, i innych.

Wobec sytuacji jaka zaistniała zdecydowałem się, zanim będę przeniesiony w stan nieczynny, że sam zlikwiduję ważniejsze sprawy przedstawicielstwa polskiego do CCS i sprawy mego biura z-cy szefa sztabu N.W. — A pismo mjr. Jędrzejewskiego z dn. 1. VIII. 1945 przesłałem do gen. Kopańskiego... bez słowa.

Moją największą troską była sprawa Placówki Star i spełnienie poleconych mi przez gen. Tatara czynności: kupno domu. („Placówka Star”, *Zeszyty Historyczne* Nr 17).

Wśród niektórych oficerów w Waszyngtonie nastąpiło rozprężenie, bunt, na skutek agitacji Jędrzejewskiego, który pokazując depesze do niego od gen. Kopańskiego, przekonał ich, że mają służyć nie moich rozkazów, a tylko jego.

Następstwem tego był niesłyszany fakt wyniesienia sumy 18.000 dolarów am. z biura misji, z kasy ogniotrwałej, przez oficera kasowego por. Arnolda Ronke.

Suma 18.000 dol. znalazła się ostatecznie w posiadaniu mjr. lotn. Tomasza Jarońskiego, pomocnika Attaché Lotniczego.

Mjr T. Jaroński wydał mi następujące zaświadczenie:

„Niniejszym oświadczam, że depozyt, o którym mowa w protokole zabezpieczenia z dnia 5 sierpnia 1945 r., sporządzonym w mojej obecności przez por. Arnolda Ronke i por. Tadeusza Jarońskiego, przejąłem w dniu

dzisiejszym do dalszego zabezpieczenia. Depozyt ten zobowiązuję się wydać osobie lub osobom, które okażą mi pisemny rozkaz opatrzony autentycznym podpisem Pana Generała Naczelnego Wodza lub Pana Szefa Sztabu Naczelnego Wodza Polskich Sił zbrojnych na obczyźnie.

Waszyngton, dnia 17 sierpnia 1945.

(—) Tomasz Jaroński, mjr.”.

O dalszych losach sumy 18.000 dol. nic mi nie wiadomo.

Gen. Kopański — o ile nie dał wiary moim oświadczeniom w Londynie dnia 10 lipca 1945 w sprawie fałszywych donosów na mnie mjr. Jędrzejewskiego, powinien był powiedzieć mi to od razu, przy raporcie, że zostaje odwołany ze stanowiska w Waszyngtonie i otrzymuję przydział do 2 Korpusu. Rzecz inna, jaka by była moja na to reakcja.

Jeżeli zaś gen. Kopański przyjął całkowicie moje zaprzeczenia w sprawie donosów mjr. Jędrzejewskiego, to wypadłoby — w świetle logiki i przestrzegania form wojskowych — wydać rozkaz, że likwiduje misję płk Mitkiewicz jako szef, a następnie polecić mu przybycie do Londynu.

Dalszym dowodem gorszącego stanu rzeczy służy korespondencja gen. Kopańskiego z mjr. Jędrzejewskim — i odwrotnie.

„Message. From: War Office. To: B.A.C. No. 67869. OTP. Important. 48604. Cipher. 18 Aug. 45. Secret. Following for Major Jędrzejewski Polish Military Mission from COS. Polish GHQ. London. Begins: Para 1: C.-in-C. granted Colonel Mitkiewicz leave without pay from 15 August 1945. Para 2: You will report to me after taking over Col. Mitkiewicz. Para 3: Sending cable to Col. Mitkiewicz with information about his leave and your appointment. Kopański. Ends.”.

I następnie:

„The following message dated August 23rd 45 has been received for major Jędrzejewski from the Polish General Staff in London: Your 14 August I repeat order: Major Jędrzejewski and Lt. Ronke remain Washington for liquidation. All other officers have been released on August 15 and the choice to return as soon as possible to U.K. or stay in USA on leave without pay beginning from 1st September. Kopański”.

Mjr Jędrzejewski poza tymi depeszami otrzymywał od gen. Kopańskiego liczne rozkazy w okresie przynajmniej od 14 lipca 1945.

Otrzymywałem i ja depesze gen. Kopańskiego — m.in. z propozycją nowego przydziału. Nie odpowiedziałem.

20 sierpnia 1945 przekazałem ostateczną likwidację misji wyznaczonemu przez gen. Kopańskiego mjr. Jędrzejewskiemu.



21 sierpnia napisałem list do generała Tadeusza Komorowskiego, jeszcze Naczelnego Wodza PSZ na obczyźnie — lecz nie do gen. S. Kopańskiego. W liście prosiłem o udzielenie mi wyjaśnień z powodu „nieporozumienia”, jak nazwał te wydarzenia w liście prywatnym do mnie płk S. Gano. Żądałem ukarania mjr. Jędrzejewskiego przez oddanie go pod sąd wojskowy za przekroczenia przewidziane WKK. Zakończyłem mój list następująco:

„Mam prawo prosić, Panie Generale, o wyjaśnienie okoliczności, które w sposób niedopuszczalny i krzywdzący zakończyły moją służbę wojskową bezpodstawnym potraktowaniem mnie, po 28 latach nieskazitelnej służby, jako oficera niegodnego zaufania i szacunku. Przyznanie w sprawie racji intryganckim insynuacjom podwładnego mi oficera nie godzi się z zasadami pragmatyki oficerskiej. Tak jak dziś sprawa wygląda — jeden z nas — ja albo major Jędrzejewski — powinien być oddany pod sąd — tego wymaga zarówno WKK, jak i ustawa o OSH... Uważam za swój obowiązek podkreślić w tym meldunku, że w momencie dla PSZ na obczyźnie tak trudnym, nie można pozwolić na bezkarne naruszanie w sposób tak karygodny podstawowych przepisów służbowych i dyscyplinarnych przez oficera sztabowego majora dypl. Stefana Jędrzejewskiego, którego ani wiek, ani nieznamość regulaminów usprawiedliwiać nie mogą”.

Po upływie prawie miesiąca, 14 września 45, otrzymałem odpowiedź, nie od gen. Komorowskiego, lecz od gen. Kopańskiego, list jego przytaczam:

„Londyn, 14. IX. 1945.

Pułkownik dypl. Leon Mitkiewicz — Waszyngton.

W Związku z listem Pana Pułkownika do Naczelnego Wodza oraz w odpowiedzi na list — bez daty — który otrzymałem w pierwszych dniach września br., w którym *zali się* (podkreślenia moje — L.M.) Pan Pułkownik, że spotkała Go niezasłużona krzywda oraz składa meldunek w sprawie niewłaściwego zachowania się mjr. dypl. Jędrzejewskiego:

1. Po odjeździe Pana Pułkownika z Londynu otrzymałem żądanie Foreign Office drogą przez War Office o likwidacji naszej Misji Wojskowej w Waszyngtonie.

Moją myślą przewodnią było utrzymanie jeszcze pewien czas naszej zmniejszonej reprezentacji w Stanach jednoczonych w celach zakończenia spraw wiążących nas z tamtejszym terenem, szczególnie odnośnie przyszłości wielu żołnierzy Sił Zbrojnych na wypadek ich decyzji pozostania poza Krajem.

Sądziłem, że odwołanie do W. Brytanii głównej osoby Misji, więc Pana Pułkownika, z częścią oficerskiego składu ułatwi mi wykonanie tego zamiaru.

Pan Pułkownik powodowany, sędzę *afektem* (L.M.) nie uznał za słuszne wykonania mojego rozkazu, by likwidację Misji prze-

prowadził mjr Jędrzejewski i sam ją zlikwidował do dnia 15 sierpnia 1945. Nie wziął Pan Pułkownik przy tym pod uwagę, że sytuacja po Pańskim wyjeździe się zmieniła. Krótkimi depezbami kontrolowanymi, trudno mi było podawać powody zmiany mojej poprzedniej instrukcji. Wydaje mi się, że najlepiej byłoby wykonać to czego żądałem i tutaj na miejscu prosić o wyjaśnienia.

2. Wyciąganie konsekwencji z meldunku Pana Pułkownika odnośnie mjr. Jędrzejewskiego obecnie nie jest możliwe, ponieważ według regulaminu obu Panów musiałbym mieć przy raporcie oraz musiałoby być przeprowadzone dochodzenie przez komisję złożoną z ludzi niezainteresowanych w całej tej sprawie.

Sądzę, że odłożenie tego na dalszą przyszłość, gdy nasza sytuacja pozwoli nam na spokojne rozpatrzenie tej sprawy, jak również *obaj Panowie dalszym postępowaniem swoim będą mogli dowieść słuszności czy niesłuszności sądów o sobie będzie będzie najrozsądniejszym wyjściem* (L. M.).

W każdym razie od *oficerów sztabowych* (L. M.) musiałem się spodziewać opanowania i odpowiednich form wojskowych — jeśli nastąpiło uchybienie — to mogę je uważać za wynik ogólnego zdenerwowania w związku z naszą trudną sytuacją.

3. Odnośnie oceny Pana Pułkownika, że Jego długoletnia służba wojskowa zakończyła się w sposób krzywdzący, ponieważ uznano Go za oficera niegodnego szacunku i zaufania, chcę wyjaśnić, że jest to Jego subiektywny sąd. Ani w moich depezbach, ani w innych dokumentach nigdy takiej opinii nie wyraziłem. Przeciwnie w depezie o powierzeniu likwidacji Misji mjr. Jędrzejewskiemu wyraźnie podałem, że po powrocie Pana Pułkownika do W. Brytanii otrzyma Pan stanowisko. Proszę mi wierzyć, że oficerowi, do którego nie miałbym zaufania, nie proponowałbym żadnego stanowiska w obecnych warunkach.

W końcu nadmieniam, że opinia Pana Pułkownika u Naczelnego Wodza jest zgodna z moją i treść tego listu została przez Niego akceptowana.

(—) Kopański”.

Pismo gen. Kopańskiego było dla mnie niemiłą niespodzianką. Dotychczas uważałem gen. Kopańskiego za człowieka prostolinijnego. Odpowiedź jego uznałem za wykrętną i absolutnie niewystarczającą. Specjalnie uderzyło mnie jedno zdanie — podkreślone przeze mnie w powyższym piśmie — że gen. Kopański osądzi mnie dopiero: „na podstawie mego dalszego zachowania się”. Oznacza to najwyraźniej, że gen. Kopański — i z pewnością cały sztab N.W. z płk. Gano na czele — bardziej uwierzył oskarżeniom mjr. Jędrzejewskiego, aniżeli moim stanowczym zaprzeczeniom, które złożyłem w Londynie gen. Kopańskiemu w dniu 10. VII. 1945.

„Wolta na Warszawę!” — przykleiła się do mnie i w Londynie skutek intryg i plotek mjr. Jędrzejewskiego.

Pismo gen. Kopańskiego było nad wyraz nieszczerze, unikające prawdy, prawdziwie... dwulicowe.

Przeto napisałem list do gen. Kopańskiego, przytaczam go:

„Pułkownik Leon Mitkiewicz

Waszyngton, 7. X. 1945.

Pan Generał Dywizji Stanisław Kopański. Londyn.

Potwierdzam odbiór listu Pana Generała z dnia 14 września 1945. Melduję, że list Pana nie wyjaśnia mi zasadniczych kwestii o co zresztą prosiłem Naczelnego Wodza i tym samym nie daje mi żadnej satysfakcji, nawet charakteru moralnego. Ze swej strony miałem prawo spodziewać się, iż pomimo warunków, które dobrze rozumiem, otrzymam bezstronne i pełne naświetlenie rzeczy dotychczas dla mnie niezrozumiałych, oraz że mjr Jędrzejewski za swoje zachowanie w stosunku do mnie, jako jego bezpośredniego przełożonego, będzie przynajmniej przez Pana Generała surowo skarcony, zanim całość tej sprawy mogła być rozpatrzona. Treść listu Pana Generała wyraźnie dowodzi, iż postępowanie mjr. Jędrzejewskiego jest przez Pana Generała aprobowane, skoro w jednakim stopniu zarzuca Pan Generał brak opanowania i zachowania form wojskowych „oficerom sztabowym” tj. mjr. Jędrzejewskiemu i mnie. Ponadto, stwierdza Pan Generał, że potrzebna jest specjalna komisja, aby udowodnić, że mjr Jędrzejewski na podstawie Pańskiego rozkazu, którego Pan Generał nie uznał za potrzebne mi powtórzyć, sprostować lub odwołać gdy byłem w Londynie w celu, jak Pan określił, najobiektywniejszego załatwienia sprawy — odmówił wykonywania moich rozkazów po moim powrocie 14. VII. 1945 z Londynu do Waszyngtonu. Ze taka sytuacja zaistniała, udowodniłem Panu Generałowi, przesyłając pisemny dokument w postaci meldunku mjr. Jędrzejewskiego do mnie z dnia 1. VIII. 1945. Jestem zdania, że pomimo dużej różnicy stopni, jaka nas zaledwie od paru lat dzieli, wolno mi powiedzieć Panu Generałowi, że w czasach, jakie przeżywamy, powinien był Pan powiedzieć mi w Londynie otwarcie prawdę w oczy, a mianowicie, że pomimo iż wiedział Pan, że znam Pana nie tylko jako szefa sztabu N.W., nie ma Pan zaufania, że wierzy Pan w to, co doniesiono w ten lub inny sposób z Waszyngtonu i że wobec tego zwalnia mnie Pan Generał z zajmowanego stanowiska i zatrzymuje w Londynie. Byłoby to postawienie sprawy, odpowiadające Szefowi Sztabu Głównego Wojsk Polskich.

Nie wątpię ani na jedną chwilę, że właśnie przy takim postawieniu sprawy byłaby ona najzupełniej i szybko wyjaśniona. Pan Generał nie powiedział mi prawdy ani w Londynie, ani potem w depezach i rozmowach telefonicznych, ani wreszcie w ostatnim swoim liście. Poprzestał Pan na pobieżnym omówieniu sprawy i, jak obecnie sądzę, dania pozorów, że sprawa ta jest już wyczerpana.

W dodatku stawia mi Pan Generał w swoim ostatnim liście dwa poważne zarzuty: 1) że nie wykonałem rozkazu przyjazdu do Londynu oraz 2) że samowolnie zlikwidowałem w dniu 15 sierpnia 1945 Misję. Obydwa zarzuty są niesłuszne, co poniżej wyjaśniam.

W sprawie pierwszej nie przypuszczam, aby mógł Pan Generał zapomnieć że w rozmowie telefonicznej z dnia 2. VIII. 1945 sam Pan udzielił mi zwolnienia z czynnej służby, tym samym uwalniając mnie z obowiązku stawienia się w Londynie. Przy tym, w czasie tej niezwyklej i dziwnej rozmowy, prowadzonej z Pana synem, który przekazywał mi polecenia Pana Generała, nie chciał Pan Generał znaleźć sposobu dania mi do zrozumienia, że zaszły szczególne wydarzenia, zmieniające to, co wydawało się na dłuższy czas omówione i co w radykalny sposób przewracało znane, sądzę, Panu Generałowi plany jego zastępcy generała Tatara-Tabora. Miałem zatem, myślę, podstawy do żądania wyjaśnień. Od Pana Generała ich nie otrzymałem dotychczas.

Muszę również podnieść, iż pomimo trudności w przesyłaniu wiadomości i kontrolowania depezb znalazły się jednak w omawianym czasie sposoby porozumiewania się Pana Generała — poza mną — z mjr. Jędrzejewskim — jako to miało miejsce i poprzednio przed moim przyjazdem do Londynu.

W sprawie drugiego zarzutu melduję, że w depeszy Pana Generała z dnia 31 lipca 1945 roku nakazał Pan przeprowadzenie likwidacji Misji do dnia 31 sierpnia 1945. Na moje uporczywe domagania się wyjaśnienia kierowane różnymi drogami i do różnych osób, nie dał mi Pan, ani nikt inny, żadnej odpowiedzi. Przypominam Panu Generałowi, że w mojej depeszy z dnia 3 sierpnia 1945 roku podałem alternatywnie termin likwidacji na 15 sierpnia 1945. Ponadto dobrze jest Panu Generałowi wiadomo, że mjr Jędrzejewski w odniesieniu do pewnych zagadnień jeszcze i obecnie spraw Misji nie zakończył, aczkolwiek oficjalnie Misja została zamknięta 30 września 1945. Termin nakazany przez Pana Generała oraz znany Combined Chiefs of Staff i War Departement został więc o cały miesiąc przedłużony i jeśli mjr Jędrzejewski miał zajmować się w Stanach Zjednoczonych sprawami związanymi z przyszłością żołnierzy PSZ na wypadek pozostawania ich poza Krajem, to i obecnie nic nie stoi na przeszkodzie, aby zadanie to nadal wykonywał.

Protokół zdawczo-odbiorczy, przedstawiony Panu Generałowi przeze mnie w dniu 23. VIII. 1945, wskazuje, że zdałem sprawy Misji mjr. Jędrzejewskiemu 21 sierpnia 1945, nie mogłem więc przed tym zlikwidować Misji, jak mi zarzuca Pan Generał. Prawdą natomiast jest, że zgodnie z poprzednimi Pana rozkazami przeprowadziłem redukcję personelu i częściową likwidację pomieszczeń i sprzętu biurowego. Prawdopodobnie znowu został Pan fałszywie poinformowany przez mjr. Jędrzejewskiego.

Z całego przebiegu tej sprawy wnioskuję, że mjr Jędrzejewski

działał od dłuższego czasu donosami na mnie, a z pewnością od czasu swego powrotu z Londynu, na mocy rozkazów tam otrzymanych, a przede wszystkim na podstawie rozkazów Pana Generała, bezpośrednio mu stale przekazywanych, jak to zresztą sam pisemnie wobec mnie stwierdził.

Konkluzje moje są następujące: albo wprowadzono Pana Generała w błąd, którego Pan czy nie chciał czy nie mógł naprawić, albo też — co wydaje mi się bardziej prawdziwe — że w całej tej sprawie po prostu chodziło o usunięcie mnie z terenu Stanów Zjednoczonych, jako osoby oficjalnej. Myślę, że można to było osiągnąć w inny sposób. W położeniu, w jakim mnie Pan Generał postawił, przez danie posłuchu oszczerstwom i intryganckim delatorstwom majora Stefana Jędrzejewskiego — jedynym dla mnie wyjściem byłoby całkowite zwolnienie od wszelkich obowiązków względem służby wojskowej. Niestety, obowiązująca nas pragmatyka na to nie zezwala.

Będę więc czekał, przynajmniej do czasu, aż odtworzone zostanie Prawo, które mi da publiczną satysfakcję, jakiej Pan Generał, działając w imieniu Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych, mi odmówił.

(—) Mitkiewicz, płk w st. niecz.”.

Na powyższy mój list do gen. Kopańskiego nigdy nie otrzymałem ani jednego słowa odpowiedzi...

Minęło już z górą 25 lat od czasu kiedy miała miejsce ta gorsząca sprawa. Uważam, że mam obecnie pełne prawo ogłosić publicznie wszystkie szczegóły tej sprawy.

Na jedno zdanie w liście gen. Kopańskiego do mnie z dnia 14 września 1945 pragnąłbym zwrócić specjalną uwagę Czytelników. Pisał wtedy gen. Kopański, że: „od dalszego zachowania się obydwóch Panów” zależy dalsze postępowanie i osąd w tej sprawie.

Oznacza to, że gen. Kopański przewidywał, że — niezależnie od mych słów wypowiedzianych do niego w dniu 10 lipca 1945 wyjadę do... Warszawy, do lubelskiego reżymu.

Tu pomylił się gen. Kopański wraz z mjr. Jędrzejewskim i całym zespołem sztabu N.W. — zwłaszcza z... Oddziałem II!

Mojego słowa — a gen. Kopański dobrze wiedział o tym — że mógłbym powrócić do Polski tylko o po sprawiedliwych wyborach — dotrzymałem.

28 lat znajduję się już w Stanach Zjednoczonych i nawet nie jeździłem do Polski „na wycieczki”...

W końcu doszedłem do przeświadczenia, że jako zwolennik polityki śp. generała Sikorskiego — tj. porozumienia się z Rosją Sowiecką — stałem się w oczach Jego przeciwników politycznych w roku 1945 (a obecnie również...) osobą szkodliwą i zu-

pełnie niepożądaną na gruncie Stanów Zjednoczonych — stąd wynikła ta cała gorsząca afera. Mjr Jędrzejewski ustawiony był w roli podrzędnego pionka, a całą intrygę przeprowadzał gen. Kopański — choć wątpię czy samodzielnie — z pewnością z wielką pomocą sztabu londyńskiego.



Uważam za swój obowiązek wyrazić — choć tak późno — moją prawdziwą wdzięczność i uznanie za lojalny, pełen poczucia szacunku dla hierarchii wojskowej stosunek do mnie następującym osobom, będącym wówczas w sierpniu-wrześniu 1945 roku w Waszyngtonie: komandorowi Morgensternowi, pułkownikowi Witoldowi Urbanowiczowi, rotmistrzowi Włodzimierzowi Czaykowskiemu, kapitanowi Polnemu, porucznikowi Zygmuntowi Cedro oraz w pierwszym rzędzie moim najbliższym współpracownikom pp. oficerom i pp. urzędnikom cywilnym z Misji Wojskowej: kapitanowi Jerzemu Piotrowskiemu, porucznikowi Januszowi Kazimierskiemu, panu Lesławowi Bodeńskiemu, paniom: Zofii Talmontowej, Esme Kazimierskiej, Lucynie Skalskiej, Zuzannie Wieniawa-Długoszowskiej i Buli Chamcównie.

Leon MITKIEWICZ

Józef LEWANDOWSKI

HISTORYCY CZESCY I SŁOWACCY

(Memoriał Amorta-Krala)

1. Po objęciu rządów przez ekipę Husaka, zadanie pacyfikacji nauki historycznej zostało złożone na trzech ludzi, na Czezmira Amorta, Vaclava Krala i Oldřicha Rzihę. Dwaj pierwsi, Amort i Kral opracowali i złożyli w 1971 roku swym mocodawcom obszerny memoriał. Memoriał ten dostał się na Zachód. Opublikowany w czasopiśmie emigracyjnym *Listy*, wywołał duże poruszenie, jako rzadki wypadek tak daleko posuniętej szczerości i cynizmu w przedstawieniu celów rządów sowieckich w polityce naukowej. Wydaje się, że ma sens przedstawić ten memoriał również i polskiemu czytelnikowi, poprzedzając go pewnymi danymi, wprowadzającymi w tok spraw.

2. Po roku 1948 rządząca w Czechosłowacji partia komunistyczna włożyła dużo wysiłku w zapewnienie sobie jak najwygodniejszej wersji przeszłości narodowej. Jak i w innych krajach o tym ustroju, odpowiednio spreparowana wersja historii była podstawowym instrumentem indoktrynacji. Dokonano więc w Czechosłowacji rewolucji kulturalnej chyba niewiele ustępującej późniejszym chińskim wzorom. Katedry i nowopowstałe instytuty badawcze skompletowano młodymi, prężnymi, pełnymi porywu i bezwzględności aktywistami partyjnymi. Dwudziestolatkom nadano tytuły akademików, profesorów, docentów, dyrektorów. Ich prace magisterskie stały się odtąd ostatnim słowem nauki. Niesposób było zostać pracownikiem naukowym bez legitymacji partyjnej i rekomendacji jakiejś partyjnej instancji. Żelazną miotłą usunięto starych pracowników nauki.

Kto należy — był opluty i oczerniony, kto należy — wysławiony. Zdawałoby się, że cele partii zostały na tym przynajmniej odcinku wypełnione. Kierowanie nauką zdawało się o wiele łatwiejsze niż produkcja dóbr materialnych.

Czechosłowacka nauka historyczna tego okresu nie zdobyła sobie autorytetu międzynarodowego. W Polsce, gdzie rewolucja kulturalna tak daleko nie zaszła, o pracach czechosłowackich wyrażano się dość pogardliwie. Z tego okresu zakorzeniło się przeświadczenie, że w czechosłowackiej nauce nie wartościowego nie może powstać.

Nie miała nauka historyczna autorytetu i w samej Czechosłowacji. Społeczeństwo pozbawione możliwości czynnego oporu, na brutalne zabiegi indoktrynacyjne odpowiadało biernym zobojętnieniem.

3. Nie tylko indoktrynacja społeczeństwa ale i stalinizacja nauki historycznej okazała się syzyfową pracą. Okazała się w stopniu większym niż w Polsce, nie mówiąc już o Związku Sowieckim, Węgrzech lub Rumunii.

Mniej więcej od 1964 roku zaczęły pojawiać się publikacje, początkowo artykuły, później książki, świadczące że zastój był tylko pozorny. Ożywiło się pismo popularno-naukowe „Dejiny a současnost”, wyprzedzając czasopisma akademickie. W 1965 roku pojawił się rewelacyjny konspekt dziejów okupacji i ruchu oporu, dzieło zespołowe, w którego opracowaniu główną rolę odegrali prorektor Wyższej Szkoły Partyjnej Jan Krzen i młody, utalentowany Karel Bartoszek. W 1966 roku ukazał się obszerny tom o stosunkach polsko-czeskich od poł. XVIII wieku, znacznie wyprzedzający polskie badania. U progu 1969 roku zdołał się jeszcze ukazać monumentalny tom o środkowej i południowo-wschodniej Europie w II wojnie światowej. W 1968 roku kierowany przez F. Grausa zespół wydał zbiór esejów, wytyczających nowe drogi w traktowaniu dziejów ojczystych¹.

„Strzedni a jihovychni Evropa ve valce a v revoluci 1939-1945”. Praha 1969. Kierownik zespołu naukowego Jaroslav Opat.

„Nasze živa i mrtva minulost”. 8 esejů o českých dejinách. Red. František Graus. Praha 1948.

W pięćdziesiąt rocznicę rewolucji rosyjskiej wydano w Pradze doskonałą, biorąc pod uwagę warunki, pracę syntetyczną Michała Reimana oraz esej teoretyczny Jana Morawca².

Zaznaczyłem tylko te pozycje, które uważam za najistotniejsze i najtrwalsze osiągnięcia. Wykaz dobrych prac musiałby być o wiele obszerniejszy.

Wymienione prace — to dorobek historiografii czeskiej. Dorobek słowackiej jest nie mniej imponujący, ale o niej pisałem już referując pracę L. Liptaka³.

Wymienieni wyżej uczeni nie byli odstępami od marksizmu. Można dowiedzieć nawet, że oni właśnie wprowadzali marksizm do nauki, walcząc przeciwko jego falsyfikacji. Nie był to tylko ten marksizm „o który chodziło” — jeśli bowiem używano cytatów to raczej z Gramsci’ego (bardzo wówczas w Pradze popularnego) i z Rinascity.

Nie więc dziwnego, że nowe publikacje napotkały z miejsca na ataki ze strony sowieckich czynników oficjalnych. Moskiewskim cenzorom wtórowali poniekąd polscy karierowicze naukowcy.

Miarą wagi, jaką w Moskwie przywiązywano do tych spraw może być to, że w 1965 roku umieszczono w ambasadzie sowieckiej w Pradze dwóch specjalistów-historyków, I. I. Udalcowa i S. I. Prasołowa w randze radców ambasady.

4. Specyfiką czechosłowacką był wyjątkowo duży udział historyków w ruchu odnowy, nieproporcjonalny do udziału ich w ruchach społecznych w innych państwach sowieckich. Było to chyba skutkiem niewygasłej mło-

1. „Odboj a revoluce”. Praha 1965 (rec.: J. Lewandowski. *Wojskowy Przegląd Historyczny*, 1968 1).

2. „Czesi a Polaci v minulosti”. T. 2, Praha 1966 (rec.: *idem*, *Zeszyty Historyczne* 1971, Nr 20).

3. M. Reiman: „Ruska revoluce”. Praha 1967 (rec.: *idem*, *Z pola walki* 1968, 2).

J. Moravec: *Spor o revoluci*. Praha 1967. (rec.: *idem*, *Studia z dziejów ZSRR i Europy Środkowej*, t. 4).

3. *Kultura* Nr 3, 1971.

dzieńczej wiary w socjalizm jak i nikłego odsetka karierowiczów i kolaborantów. Duży wpływ wywarł na nich udział w komisji do badania zbrodni okresu stalinowskiego (tzw. *barnabitska komise*). Miała też chyba znaczenie obecność wybitnych indywidualności takich jak Milan Hübl, późniejszy szef ekipy naukowców przy Dubczeku i współtwórca federacyjnej konstytucji Czecho-Słowacji, jak Jan Krzen, syn wybitnego komunisty i przywódcą młodzieży w okresie okupacji. Jakąś pozytywną rolę odegrał i sam Husak, który kręcąc się w środowisku historyków w niemałym stopniu w latach 1963-68 przyczynił się do zrewoltowania go i w którym ambasada sowiecka przez pewien czas widziała „wroga Nr 1”.

Historycy nie uchylili się od pytania „...na ile naiwnością swą, niezrozumieniem, brakiem wykształcenia, lekkomyślnością i strachem lub z innych względów przyczynili się do tego co się stało”⁴. Uczyli się zarówno „sztuki mówienia prawdy” jak i „sztuki nie mówienia nieprawdy”.

Niesposób ocenić, na ile słuszne, na ile przesadzone są oskarżenia zawarte w memoriale o udział w sztabach politycznych. Być może, że istnieją nawet pewne niedomówienia. Np. Vilem Preczan, oczekujący na rozprawę sądową współautor „Czarnej księgi”, był do 1968 roku włącznie przyjacielem i doradcą Gustava Husaka...

5. Kilka słów o autorach memoriału. Pierwszy z nich, Amort — nieciekawa postać. Ponoć był w ruchu oporu, ale nawet Kral o tej kartce życiorysu wyrażał się do mnie z przekąsem. Monografii nie wydał, za to ponoć... — jego powiązania z organami policyjnymi od lat były przedmiotem publicznych rozmów.

Więcej da się powiedzieć o Kralu. Absolwent socjologii, zdolny i pracowity historyk, w okresie stalinowskim zbił kapitał polityczny, demaskując „antynarodową i zdraziecką politykę Masaryka i Benesza”.

W 1964 roku młody historyk Mandler dowiódł, że Kral w swych pracach dopuszczał się systematycznego fałszowania źródeł. Stąd widocznie tyle miejsca w memoriale poświęcono... krytyce naukowej w latach sześćdziesiątych („Postępowano w sposób bezwzględny, w krytyce brzmiały wręcz wulgarne intonacje... Stopniowo przystąpiono do szerokich zorganizowanych akcji przeciwko niektórym upatrzonym, roztańczając wokół nich atmosferę skandalu”).

W 1966 roku, z poduszczenia radcy ambasady sowieckiej Udalcowa, Kral wszczął akcję przeciwko Husakowi, w którym — jak już zaznaczyłem — ambasada widziała wówczas głównego wroga. Ta akcja jednak nie miała powodzenia, pogłębiła wpływy Husaka i być może ułatwiła mu sięgnięcie po władzę trzy lata później. Kral, dodatkowo skompromitowany, zmienił front o 180°. Wystąpił z referatami, dowodzącymi, że Związek Sowiecki już w 1933 i 1934 roku dążył do sojuszu z Hitlerem na warunkach, które osiągnął w znanym układzie Ribentropp-Mołotow z sierpnia 1939 roku. Zamiar miał szczerzy i chyba by tę monografię napisał, kilka rozdziałów było już nawet gotowych. Ale czasy się zmieniły.

W nowej sytuacji Kralowi powierzono pacyfikowanie nauki historycznej. Już z tego samego wynika, że i chętnych do spełniania tej roli niewiele i „godnych” też nie więcej.

6. Niemal wszyscy wymienieni w memoriale historycy pozbawieni są pracy, wielu spośród nich — również źródeł egzystencji. Sytuacja ich była m.in. przedmiotem apelu polskich intelektualistów na emigracji⁵.

Problematiczne jednak, czy ustrój osiągnął w ten sposób swoje cele.

4. M. Hübl: „Spoleczenska odpovednost, vedecka metoda a etika”. *Czechosl. czasopis hist.*, 1964, 2, 199.

5. „Pogrom”, *Kultura* Nr. 10, 1971, str. 32-33.

Celem jest wyrugowanie ducha „praskiej wiosny” i odpowiednia indoktrynacja społeczeństwa. Pozbawienie warsztatu naukowego kilkuset ludzi, skazanie ich na skrajną biedę niczego nie rozwiązuje. Liczą więc adiutanci Husaka, że ludzie się załamają, że wybitni uczeni będą składać wiernopoddane hołdy. To by już czymś było. Ale tymczasem dwa lata represji pozostały jak tymczasem bez rezultatu. Przeciwnie. Są dowodem, iż ludzie wolni nie chcą włożyć ponownie swych głów w jarzmo, że wolność stawiają wyżej tzw. pomysłowości życiowej. W czeskim i słowackim charakterze narodowym pojawiły się cechy, których istnienia nie podejrzewano nie tylko w krajach ościennych, ale i w Pradze i w Bratisławie.

Józef LEWANDOWSKI

MEMORIAŁ

Analizując rolę czechosłowackiej historiografii w załamaniu się frontu ideologicznego nie można ograniczyć się do rozpatrywania tylko kilku ostatnich lat. Tendencje, które wystąpiły w wyraźny sposób w latach 1968-1969 mają swoje korzenie w odleglejszej przeszłości. Właściwe przyczyny załamania się czechosłowackiej historiografii leżą w płaszczyźnie metodologii i ideologii, w obcych wpływach, w stanie kadr i w sposobie kierowania nauką historyczną.

Przygotowanie teoretyczne i *metodologiczne* czechosłowackich historyków do marksistowskiej interpretacji procesu historycznego nie było zadawalające. Na początku lat pięćdziesiątych zmieniło się głównie tematyczne ukierunkowanie czechosłowackiej historiografii, więcej uwagi poświęcono ekonomice, klasom i walkom klasowym, natomiast mało uwagi udzielano podstawowym problemom teoretycznym. Dla całego powojennego rozwoju czechosłowackiej historiografii charakterystyczny jest brak badań lub dyskusji nad podstawowymi problemami teoretycznymi lub koncepcyjnymi. Należy podkreślić, że zaniedbanie teorii przejawiało się nie tylko w pracy badawczej ale i w przygotowaniu młodych pokoleń historyków. Niedostateczne przygotowanie teoretyczne i metodologiczne rodziło w latach pięćdziesiątych tendencje dogmatyczne, w latach sześćdziesiątych — powodowało stopniowe przechodzenie na pozycje rewizjonistyczne. Coraz wyraźniej ginęło z prac historycznych stanowisko klasowe w ocenie zjawisk i korelacji.

Źródła braków tkwią również w sferze *ideologii*. Niedoceniano, że historia jest ważną częścią ideologii i świadomości społecznej.

Po 1945 roku w łonie partii więź między klasą robotniczą a inteligencją urzeczywistniała się na platformie nie ideologii marksistowskiej lecz ogólniedemokratycznej. Po lutym 1948 problemy ideologiczne nie zostały doprowadzone do końca. Większość inteligencji zachowała ideologię przedrewolucyjną i wystąpiła z nią otwarcie w roku 1968. Podstawowa koncepcja dziejów ojczystych (opracowana) po roku 1948 jeszcze nie była oparta o podstawy

teorii marksistowskiej, a ideologiczne tendencje przedmarksistowskie występują w znacznym stopniu.

Niektóre prace powstałe w latach pięćdziesiątych były, właściwie mówiąc, prymitywnym zestawieniem materiału, często niedość krytycznie sprawdzonego i mimo marksistowskiej terminologii w metodzie zbliżone były do pozytywizmu. Poważnym niebezpieczeństwem na przyszłość okazała się również metoda „farbowania” poglądów burżuazyjnej historiografii względnie ich przeinaczania. Historycy nie posiadając wystarczającego przygotowania gnoseologicznego stopniowo spełzali na grunt starych koncepcji. „Odkrywanie” też historiografii burżuazyjnej było również reakcją na niezdolność twórczego przewyciężenia niepowodzeń we własnych próbach marksistowskiego ujmowania dziejów poszczególnych okresów. Koncepcje burżuazyjne wydawały się głębsze i bardziej konsekwentne niż sprymitywizowane ujęcia marksistowskie. Teoretycznie słaba historiografia nie potrafiła przewyciężyć coraz silniejszych wpływów przedmarksistowskich.

W latach sześćdziesiątych znowu pojawiają się wielkie prace historyków niemarksistowskich (Urbanek, Dobiasz, Bartosz, Kallista, Kutnar, Paulova, Macurek) lecz nikt z historyków nie uważa za potrzebne wystąpić z krytyką tych prac, jako owoców ideologii niemarksistowskiej. Wytwarza się jakaś symbioza tzw. marksistowskiej i dosłownie burżuazyjnej historiografii i wszyscy się godzą z tym stanem rzeczy, uważając to połączenie ideologii i postaw teoretycznych za wyraz jedności. Jest to bezsporny wyraz słabości tzw. marksistowskiej historiografii.

Teoretyczna wątpliwość oraz brak zasad objawiały się również w przejmowaniu *cudzych wzorów*, w przenikaniu najrozmaitszych ideologicznych wpływów Zachodu. Przysłużyło się temu poza wszystkim otwarcie granicy w latach sześćdziesiątych, co umożliwiło niekontrolowane kontakty z zachodnimi instytucjami naukowymi zwłaszcza NRF-owskimi.

Dla przykładu: przed rokiem 1968 odbyło się 14 spotkań czechosłowackich i NRF-owskich historyków. Teoretycznych lub ideologicznych sporów nie było. W publikacjach czechosłowackiej historiografii coraz wyraźniej występowały wpływy zachodniej literatury, której poglądy, zasady teoretyczne jak i ideologiczne punkty wyjściowe przyjmowano bezkrytycznie, bez jakichkolwiek zastrzeżeń i przeszkód. Wystarczało, by zachodnie publikacje historyczne stały na gruncie ogólnej demokratycznej ideologii.

Niemalą rolę w niekorzystnym rozwoju czechosłowackiej historiografii odegrała również *obsada personalna* najważniejszych stanowisk naukowych.

Obecnie mamy kilka tysięcy historyków. Ale historyków wytyczających linię badań (w oryginale „profilujących” — uwaga tłumacza) było najwyżej dwudziestu. Do prowadzących zakładów

należały tylko trzy instytuty i trzy uczelnie. W załamaniu się czechosłowackiej historiografii węzłowe znaczenie miało tych dwudziestu wytyczających. W ogóle można powiedzieć, że teoretyczne przygotowanie miały tylko dwie osobistości. Metodologicznymi, teoretycznymi i ideologicznymi problemami zajmował się tylko F. Graus i to nader sporadycznie.

Polityczne zaangażowanie się większości omawianych historyków charakteryzowało się skłonnością do prawicowego oportunizmu. Macek należał do grupy F. Krieglga, ponadto był pod silnym wpływem F. Grausa. P. Reiman należał do grupy E. Goldstückerera, Kladiva uzależniony był od Krzena i Szejdarka oraz inklinował w stronę J. Szpaczka.

Przygniatająca większość czechosłowackich historyków występowała jako bezideowi fachowcy o opanowanym warsztacie, poświęcający się przyczynkarskim pracom (tzw. haftowaniu), tylko ilustrującym podstawowe tezy i koncepcje opracowane przez historyków nadających ton. Jest rzeczą charakterystyczną, że z programów wielkich instytucji naukowych zniknęły w latach sześćdziesiątych wielkie prace syntezujące, typowe dla lat pięćdziesiątych, gdy ustalano zasadniczy konspekt dziejów ojczyzny. W masie swej pracownicy instytucji naukowych vegetowali bezkonfliktowo, wypełniając swe skromne zadania indywidualne i zawsze chętnie popierali wszelkie wnioski, wymierzone przeciwko zasadzie kierowania i planowania nauki, przeciwko politycznej i ideologicznej ocenie pracy naukowej, przeciwko pracy w zespole itd.

Spółeczna efektywność pracy naukowej była więc w tych warunkach bardzo niska. Podstawowy plan pracy naukowej stopniowo stawał się prostą sumą zadań indywidualnych, podejmowanych zgodnie z interesami własnymi. Coraz bardziej zmniejszała się ilość wytyczających kierunek prac o wielkim wpływie społecznym [...].

Ostatnie lata charakteryzowały się rozkładem *kierownictwa nauk historyczną*, środek ciężkości przesunął się w stronę działalności indywidualnej a kierowanie sprowadzało się po prostu do rejestrowania tej działalności. Prezydium Czechosłowackiej Akademii Nauk, kolegia instytutów i ich dyrektorzy, kierownicy katedr nie wypełniali swych obowiązków. Doszło do tego, że w instytutach każdy robił to, co uważał za pożyteczne, w szkołach wyższych każdy wykładał to, co uważał za pożądane dla siebie i ciekawe. Produkcja instytutów badawczych od szeregu lat nie była oceniana z punktu widzenia zgodności z teorią i z punktu widzenia wartości ideowych.

Ten rozkład kierowania doprowadził w 1968 roku do żądań, by wszelkie kierowanie, planowanie i kontrola pracy naukowej zostały zniesione.

Jednocześnie z tym rozkładem kierownictwa tworzyły się spontanicznie inne instancje kierownicze. Były to rozmaite komisje, początkowo o zadaniach koordynujących (np. komisja dzie-

jów republiki przedmonachijskiej, komitet dziejów walki narodo-wo-wyzwoleńczej, komisja dziejów po 1945 roku itd.). Stopniowo na czoło tych komisji wysunęli się historycy o programie dosłownie rewizjonistycznym, oportunistycznym. Ludzie tego pokroju co Krzen, Hübl, Opat, Reiman, Kaplan, Bartoszek, (Pavel i Vera) Oliva, Kladiwa, Sznejdarek itp., narzucali stopniowo interpretację dziejów o charakterze instrumentalnym, dla której zasadniczym celem był nowy system polityczny, w którym udział we władzy brałyby siły usunięte z życia politycznego po 1948 roku.

Poza komisjami, bazą organizacyjną dla kierunków prawicowych była np. Socjalistyczna Akademia i jej czasopisma, zwłaszcza „Dějiny a současnost”.

Kierownictwo partii, zwłaszcza od połowy lat sześćdziesiątych, rzekło się kierowania nauką i kulturą oraz kierowania pracą ideologiczną. Zamiast kierowania miano wprowadzić jakiś system autonomii, kierowania poprzez związki twórcze. Wzorem dla historyków stał się Związek Pisarzy. Znalazło to wyraz w zwiększonym zainteresowaniu prawicowych oportunistów w opianowaniu Stowarzyszenia Historyków, które aż do roku 1966 było ciałem zgoła martwym. We wrześniu 1966 na zjeździe w Brnie udało się grupie Hübl, Krzen, Kladiwa, Kavka itd. opanować Stowarzyszenie. W 1968 roku Krzen stał się przewodniczącym czeskiej części stowarzyszenia. W ten sposób grupa historyków o najagresywniejszej orientacji prawicowej zdobyła pozycję, dającą możliwość przyswojenia sobie prawa mówienia w imieniu wszystkich, nadużycia forum stowarzyszenia dla popierania polityki prawicowo-oportunistycznej i rewizjonistycznej, dla popierania kliki Szika, Smrkovskiego, Kriegla i tzw. „drugiego centrum” w partii.

Grupa Hübl-Krzen miała tę wygodę, że mogła osłaniać swą działalność autorytetem KPCz, gdyż szereg komisji kryło się za szyldem Instytutu Historii Partii. Przedstawiciele tej grupy stopniowo przenikali do redakcji pism fachowych, będących jednym z najistotniejszych narzędzi kierowania nauką. Przy pomocy artykułów a zwłaszcza recenzji można było stopniowo, krok za krokiem powodować niszczenie marksistowskiego obrazu czechosłowackiej historii oraz budować taki obraz, jaki ideologii prawicowo-oportunistycznej był potrzebny.

W szeregu przypadków działalność destrukcyjna miała łatwe pole do popisu, gdyż była skierowana przeciwko pracom z początków lat pięćdziesiątych, metodologicznie niedoskonałym, uwarunkowanym ówczesnym stanem naszej historiografii. Krzen, Hübl et cons. mogli przeciwstawić tym dziełom prace młodszej generacji, prace o szerszej bazie źródłowej, doskonalsze pod względem metodologicznym, ale zupełnie błędne pod względem metodologicznym (sic!), tj. wywodzące się pod względem teoretycznym i ideologicznym z pozycji zupełnie nie-marksistowskich.

Działalność kolegów redakcyjnych (zwłaszcza w czasopismach „Prispěvky k dějinám KSCz”, „Historie a vojenství”, „Dějiny

a súčasnosť"), odznaczała się coraz wyraźniejszym subiektywnym stanowiskiem. Podobnie jak krytyka literacka kreowała sławy z pisarzy przeciętnych, tak samo działalność recenzyjna w sferze historiografii służyła gloryfikacji ludzi bez znaczenia, mizernych artykułów, rozpraw, książek. To nieobiektywne stanowisko miało na celu jedno: narzucenie światu historycznemu nowej skali wartościowania, przy czym prace nie-marksistowskie umieszczano w tej skali najwyżej. Postępowano w sposób bezwzględny, w krytyce brzmiały wręcz wulgarne intonacje. Dawano historykom do zrozumienia, iż każdy kto przeciwstawi się temu prądowi zostanie bezlitośnie rozerwany w strzępy. Stopniowo przystąpiono do szerokich, zorganizowanych akcji przeciwko niektórym upatrzonym, roztaczając wokół nich atmosferę skandalu. Te „karne ekspedycje” grupy zorganizowanej wokół Hübla i Krzena wytworzyły atmosferę strachu w całym środowisku historycznym i były najskuteczniejszym sposobem zepchnięcia większej części historyków na pozycje prawicowego oportunistu ewentualnie zmuszenia do zachowania milczenia.

Te szerokie kampanie skandałów wprowadziły do nauki historycznej metody walki politycznej i nie miały nic wspólnego z normalną naukową dyskusją. Nie ograniczały się też do czasopism fachowych, lecz toczyły się również na łamach prasy codziennej i radio. Poza tygodnikiem *Literarni listy* i innych periodyków do dyspozycji oddały się i dzienniki, przy czym nawet *Rudé pravo* nie było wyjątkiem. Redaktor ostatniego, Rudolf Vrabec, był sojusznikiem tej prawicowo-oportunistycznej grupy i pomagał jej poprzez recenzje, artykuły itd. W radio pomagała grupie zwłaszcza Helena Szlajszova, później Věra Sztoviczkova i inni. W *Lidové demokracie* popierał tę grupę Rudolf Ströbinger, w *Svobodné slovo* — Karol Dobesz. Co najmniej od 1965 roku Milan Hübl był stałym współpracownikiem *Literarních novin*, w których stopniowo zdobył monopol na wykładanie wszystkiego co związane z historią i nauką historyczną.

Przy pomocy kolegów redakcyjnych niektórych czasopism, przy udziale poszczególnych redaktorów większości pism codziennych i tygodniowych, przy wydatnej pomocy radia, grupa prawicowo-oportunistyczna mogła stopniowo wytworzyć atmosferę swej pełnej hegemonii długo przed styczniem 1968 roku.

Na przestrzeni lat sześćdziesiątych udało się jej, krok za krokiem, narzucić rewizję poglądów na dzieje ojczyzny. Robiono to w stosunku do wszystkich okresów chronologicznych ale najszerzej w dziejach nowożytnych i najnowszych.

W dziedzinach bardziej odległych odwracano się od szerokiego mas ludowych, przywiązując natomiast — zgodnie z aktualnymi celami — nadmierną uwagę do inteligencji i wybitnych jednostek. Zmieniała się również terminologia. Słowo „klasa” lub „walka klasowa” stawały się coraz bardziej rzadkością. Dochodzi do stosowania terminów i całych schematów zachodniej socjologii. Znowu idealizuje się okres Karola IV, pomniejsza się

klasową treść ruchu husyckiego. Pojawiają się próby rehabilitacji poglądów Pekarza na okres po Białej Górze. Pomijanie rewolucyjnych tradycji naszego narodu objawia się spadkiem zainteresowania dla Wiosny Ludów.

W badaniach nad II połową XIX wieku przeceniano rolę narodowej burżuazji i gloryfikowano czeski nacjonalizm (prace F. Czervinki). Historię ruchu robotniczego w tym okresie zepchnięto na plan drugi. Nastąpiła ponowna gloryfikacja Masaryka, Benesza i Sztefanika w latach 1916-1918 (K. Pichlik). Polityczne, socjalne i ekonomiczne oblicze burżuazyjnej republiki było idealizowane zwłaszcza w pracach V. Olivovej. Wizerunek Układu Monachijskiego zmieniał się tak, by zanikła odpowiedzialność własnej burżuazji, przerzucona na kapitalistyczne rządy Francji i Anglii (M. Lvova). Obraz lat okupacyjnych został zdeformowany głównie dzięki działalności „Vyboru pro dějiny národně-osvobozenéckého boje”, w którym decydujący głos mieli Krzen, Bartosz (ewidentny błąd, winno być: Bartoszek — uwaga wydawcy), Janáček (winno być Janeczek — uwaga wydawcy) Kaplan, Beer, Navrátil, Kunal (winno być: Kural — uwaga wydawcy), którzy tworzyli zespół doradców Smrkovskiego i Kriegla. Ich tezy sprowadzały się do gloryfikacji roli czeskiej burżuazji oraz rzucenia cienia na rolę KPCz i Związku Sowieckiego oraz pomniejsze ich roli. Celem były przywrócenie politycznego kredytu tym ruchom, które w lutym 1948 roku zniknęły z naszego życia politycznego. Jeśli chodzi o lata 1945-1948 ujawniała się tendencja do idealizowania systemu politycznego Frontu Narodowego przy pełnej negacji roli i znaczenia walk klasowych. Historycy tacy jak Reiman, J. Opat, K. Kaplan wypowiadali poglądy, że ten powojenny, przedlutowy okres był idealnym okresem demokratycznego socjalizmu, okresem idealnego pluralistycznego systemu politycznego, którego istnienie zostało przerwane — jak twierdzili — brutalną ingerencją J. W. Stalina przy czym Gottwald i kierownictwo KPCz charakteryzowano jako bezduszne kukły i narzędzia Moskwy. W zgodzie z tym luty 1948 roku przedstawiano jako dosłowne nieszczęście narodowe, jako początek dwudziestoletniego mroku.

Historia ruchu robotniczego była przedstawiana, zwłaszcza przez pracowników Instytutu Historii KPCz, jako seria błędów i omyłek, a od V zjazdu — jako łańcuch wzajemnie uwarunkowanych deformacji. Zasady proletariackiego internacjonalizmu odrzucano, Międzynarodówce Komunistycznej odmawiano prawa ingerencji w wewnętrzne sprawy KPCz.

Szczególną uwagą pravicowo-oportunistycznych historyków cieszyły się dzieje ZSSR. Pod kierownictwem V. Kládívovej ukształtował się krąg (Reiman, Sládek, Moravec) zajmujący się dziejami ZSSR i Rosji, który wystąpił z postulatem wytworzenia samodzielnego, niezależnego obrazu dziejów ZSSR, gdyż sowiecka historiografia daje ponoć ich zdeformowany, dogmatyczny wizerunek. W rzeczywistości postępowanie to miało na celu

jedno: postawienie historii ZSSR w negatywnym świetle i do-
wiedzenia, że leninowskie zasady budownictwa socjalistycznego
są jedynie specyficzną, rosyjską deformacją marksizmu, że tzw.
sowiecki model socjalizmu jest dla Czechosłowacji nie do przy-
jęcia. Hasło czechosłowackich historyków — opracować własny,
niezależny obraz dziejów ZSSR jako opozycji przeciwko sowiec-
kiej nauce historycznej było tylko konsekwencją rewizjonistycz-
nego podejścia do zasad marksizmu leninizmu. Jeśli pravicowi
oportuniści dążyli do tzw. czechosłowackiego modelu socjalizmu,
będącego zaprzeczeniem tzw. modelu sowieckiego, to trzeba było
wytworzyć ideologiczne podstawy do takiej właśnie polityki.
Historiografia pod kierownictwem grupy Hübl-Krzen i spółka
z pełną świadomością przystąpiła do wytworzenia tej bazy ideo-
logicznej.

Ideologiczna hegemonia tego wojowniczego zespołu prawico-
wo-oportunistycznych historyków już przed styczniem (1968 ro-
ku) była tak pełna, że jeden za drugim musieli przed nią kapitu-
lować ci historycy, którzy nie mieli wystarczających kwalifikacji
dla sprawowania kierowniczych funkcji w instytutach badaw-
czych i w szkołach wyższych. Tak więc, F. Graus utożsamiał się
całkowicie z chuligańską grupą skupioną wokół K. Kaplana i
K. Bartoszka. Grupa czołowych historyków, zajmujących się
głównie wcześniejszymi okresami, odnosiła się początkowo wręcz
negatywnie do tzw. dziejów współczesnych i nie wysoce ceniła
grupę Hübla, Krzena itd. Ale pogromowe akcje tej bojowej gru-
py i rezonans jej działalności w prasie i w radio spowodowały
respekt ze strony historyków skupionych wokół Maceka, Krausa,
Kavki itd. W 1968 roku nastąpiło ostateczne utożsamienie się
grupy Maceka z agresywną bojówką Hübla i Krzena. Świadczy
o tym wydanie przez były Instytut Historii — jeden z ważniej-
szych ideologicznych i organizacyjnych ośrodków prawicowego
oportunistu i rewizjonizmu — tzw. „Czarnej księgi”. Pod kie-
rownictwem b. dyrektora, akademika Maceka, Instytut w walce
o władzę w Partii zaangażował się całkowicie po stronie sił
prawicowych a działalność Instytutu znalazła się w sprzeczności
z interesami naszego socjalistycznego społeczeństwa. Obok J. Ma-
ceka najaktywniej występowali K. Kaplan, K. Bartoszek, V. Pre-
czan, F. Graus, M. Otáhal i inni. Instytut utrzymywał łączność
z prawicą w kierowniczych organach państwowych i partyjnych
oraz w innych instytucjach naukowych, w t.l. w Instytucie His-
torii Socjalizmu i w Wojskowym Instytucie Historycznym, na
wyższych uczelniach (fakultet filozoficzny Uniwersytetu w Pra-
dze), z instytucjami masowego przekazu, związkami twórczymi
itd. Przeciwno partii i socjalizmowi wykorzystywano długotrwa-
łe kontakty z krajami Europy Zachodniej, zwłaszcza z historyka-
mi zachodnio-niemieckimi.

Szczytem antypartyjnej i antysocjalistycznej działalności b.
Instytutu Historii Czechosłowackiej Akademii Nauk stało się
opracowanie i wydanie publikacji „Siedem dni w Pradze” („Czar-

na księga"), która wyjątkowo mocno uderzyła w interesy naszego państwa, partii i socjalistycznego społeczeństwa.

Ostatnio dokonano reorganizacji niektórych instytutów badawczych i szkół wyższych. Z kierowniczych stanowisk odeszli ludzie, którzy głosili prawicowy oportunizm lub się z nim utożsamiali. Jednocześnie dokonano zmian personalnych w strukturze instytutów i katedr. Prawdę powiedziawszy trzeba jednak stwierdzić, że większość pracowników katedr i instytutów nie stanowi w chwili obecnej zespołu, który by potrafił przewyciężyć spuścizny poprzedniej doby. Dotychczasowe środki noszą przeważnie charakter administracyjny. Większość pracowników nie ma świadomości błędności minionego okresu. Często przejawia się koleżeństwo w stosunku do osób usuniętych z pracy. Można co prawda przyjąć, że część rozumie, że zostały one usunięte z pracy z powodu błędów politycznych, brak jednak tymczasem zrozumienia więzi błędów politycznych z błędami w treści pracy naukowej.

Bardzo dużo zależy obecnie od jakości partyjnej działalności ideologicznej. Jeśli ta działalność nie będzie dość skuteczna, nie sposób oczekiwać zasadniczych zmian w sposobie myślenia dzisiejszych pracowników nauki. W każdym bądź razie trzeba będzie wytrwać i systematycznej pracy. Tymczasem można liczyć się tylko z korekturą podstawowych negatywnych elementów w interpretacji dziejów, zostawioną w spadku przez prawicowych oportunistów. W okresie przejściowym trzeba będzie się liczyć z pracą ze starymi kadrami o różnych defektach teoretycznych i ideologicznych. Zastępuje na uwagę okoliczność, że większość pracowników naukowych jest w wieku między 40 a 50 laty i że za 10-15 lat ta generacja odejdzie z aktywnego życia naukowego. Do tego czasu trzeba przygotować nowe kadry, ale trzeba to robić w oparciu o zupełnie inne zasady niż w minionych dwóch dziesięcioleciach. Rezultaty będą zależne przede wszystkim od pracy szkół wyższych i ich polityki kadrowej.

W perspektywie trzeba się liczyć z tym, że interpretacja dziejów ojczystych musi być gruntownie przebudowana, że będzie musiała konsekwentnie wynikać z teorii marksizmu-leninizmu. Już w najbliższej przyszłości trzeba będzie tę pracę rozpocząć. Rozwój i tempo tej pracy trzeba będzie regulować w zależności od sytuacji kadrowej i zmian w świadomości dziś aktywnych historyków. Warunkiem tej perspektywicznej pracy jest analiza minionego stanu, zrozumienie minionych błędów i stopniowe ich przewyciężenie.

Z analizy przyczyn dlaczego czechosłowacka nauka historyczna zawiodła i jaki jest obecny stan warsztatów historycznych trzeba również wyciągnąć konkretne wnioski.

Trzeba przede wszystkim wyciągnąć wniosek z faktu, że w połowie lat sześćdziesiątych partia faktycznie zrzekła się kierowania sferą ideologii, że zaprzestała jakiegokolwiek walki ideologicznej. Tzw. zasada autonomicznego kierowania, w praktyce

wiodła do wzmocnienia elementów awanturniczych, które z historiografii uczyniły prostytutkę polityki prawicowo-opportunisticznej. Kierownicza rola partii w sferze nauki musi być restytuowana, jeśli miniony stan rzeczy ma być przewyżczoney.

W sferze kierowania historią raz jeszcze potwierdza się zasada, że kadry decydują o wszystkim. Jeśli nauka historyczna uległa prawicowemu oportunizmowi, to stało się to dlatego, że ludzie na kierowniczych stanowiskach a więc Macek, Kladiva, Graus, P. Reiman, M. Hübl byli na służbie prawicowej polityki i nadużyli swych stanowisk i autorytetu dla nacisku na podległych im pracowników naukowych. W przyszłości trzeba dokładnie przemyśleć prowadzenie polityki kadrowej we wszystkich przodujących instytutach i uczelniach, nie jest bowiem obojętne kto zajmuje stanowiska dyrektorów, przewodniczących rad redakcyjnych, kierowników katedr, przewodniczących komisji problemowych itd.

Należy stopniowo przeprowadzić dokładną analizę minionych błędów, analizę dotychczasowej produkcji naukowej, analizę poszczególnych czasopism, komisji, działalności organów kierowniczych itd. Stopniowo trzeba osiągnąć to, by we wszystkich instytutach i katedrach nastąpiło zrozumienie starych błędów, by dzisiejsi pracownicy nauki opanowali krytyczny stosunek do minionej pracy.

Trzeba wyciągnąć wnioski z minionych błędów, które wypływały z rozkładu kierownictwa, planowania i kontroli. Trzeba ustrzec się od formalizmu w pracy kierowniczej i zamiast ilościowego bilansowania rozpocząć analizy jakościowych rezultatów [...].

Od krytyki minionych błędów trzeba przejść do opracowania nowej koncepcji dziejów czechosłowackich, wypływającej konsekwentnie z zasad marksizmu-leninizmu i stanowiącej integralną część współczesnego społeczeństwa socjalistycznego [...].

(Przełożył z czeskiego Józef Lewandowski)

RECENZJE

Tadeusz KATELBACH

„SZOSA SIĘ SKOŃCZYŁA”...

Po klęsce Francji znalazłem się w czerwcu 1940 roku wraz z setkami Polaków i obywateli polskich w Portugalii, w najbardziej wysuniętym na Zachód krańcu Europy. W pierwszych tygodniach pobytu w nadmorskiej miejscowości Figueiras da Foz do której najpierw władze portugalskie kierowały uchodźców różnych narodowości, uciekających z Francji przez Hiszpanię, nie bardzo wiedziałem co z sobą robić. Dostanie się do Anglii wydawało się nieprawdopodobne. W rządzie gen. Sikorskiego minister Stanisław Kot odgrywał pierwszoplanową rolę. W Paryżu chciał się mnie pozbyć z Ministerstwa Informacji i Dokumentacji. Zgłosiłem się do wojska, ale zanim załatwiono formalności, Francja się załamała i, aby nie dostać się w ręce Niemców, trzeba było znowu przed nimi uciekać.

Przekonany, że ani Kot ani inni ministrowie rządu nie będą chcieli wpuszczać na wyspę piłsudczyków, zacząłem ulegać kuszeniom naszego posła w Kownie F. Charwata, by z nim jechać do Brazylii. Wykupiłem nawet bilety okrętowe, lecz w ostatniej chwili zrezygnowałem z wyprawy. Postanowiłem pozostać w Portugalii i, mimo wszystko, starać się o wizę do Anglii. Liczyłem na życzliwość Strońskiego, który cenił moją znajomość spraw niemieckich i chciał mnie mieć w Londynie. Znałem dobrze Prezydenta Raczkiewicza, ale ani w Paryżu ani teraz, nie chciałem mu zaprzętać głowy swoimi sprawami.

* Uwagi o książce Stanisława Schimitzka: „Na krawędzi Europy. Wspomnienia portugalskie 1939-1946”. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1970.

Ostatecznie, po roku przymusowego pobytu w neutralnej Portugalii, dzięki Strońskiemu, otrzymałem wizę brytyjską i 28 czerwca z żoną i córką wsiadłem na statek brytyjski „Avocetę”, na którym dopłynęliśmy do Gibraltaru. We wrześniu „Avoceta” poszła na dno. W Gibraltarze zapakowano nas na okręt, którym wśród częstych alarmów, okrężnymi drogami dotarliśmy w lipcu szczęśliwie do Glasgowa. „Scytia” — bo tak się okręt nazywał — podzielił, także los „Avocety”. Z Glasgowa odstawiono nas kolejną do Londynu, gdzie, jak tego chciałem, spędziłem dalsze lata wojny.



Z Francji uciekaliśmy razem z Schimitzkiem, jego żoną i córką Ewą, rówieśniczką naszej Janki. Razem, 23 czerwca, opuściliśmy Biarritz, razem tłuśliśmy się przez Hiszpanię i razem spędziliśmy pierwszą noc na ziemi portugalskiej w prymitywnej chacie, w pogranicznej miejscowości Villar Formoso. Wspólnie zamieszkaliśmy w Figueiras da Foz. Wspólnie z autorem „Wspomnień Portugalskich” zastanawialiśmy się tam nad losem ponad tysiąca obywateli polskich w Portugalii, przez którą prowadził główny szlak łączący kontynent europejski z zachodnimi krajami antyhitlerowskiej koalicji. Znaleźliśmy się w kraju tranzytowym. Wydawało się, że Portugalia, licząca się z każdym skिनieniem Hitlera, będzie się chciała jak najprędzej pozbyć „uciążliwych” Polaków. Uchodźcy naglili, by powołać do życia komitet, który by ich reprezentował wobec Poselstwa R.P. w Lizbonie i miejscowych władz, i, jak zdążyliśmy się dowiedzieć, wobec wszechpotężnej w tym kraju policji, nie wiadomo dlaczego zwanej policją międzynarodową.

W Figueiras da Foz znalazł się również Marian Seyda, członek rządu Sikorskiego, wybitny działacz Stronnictwa Narodowego, przed wojną naczelny redaktor *Kuriera Poznańskiego*, żonaty z siostrą żony Schimitzka. On to, w porozumieniu z nami, ustalił prowizoryczny skład komitetu. Schimitzek został jego przewodniczącym, członkami: S. Jurkiewicz, S. Karbowski, W. Korsak, płk J. Kowalewski, Wolski i ja. Zabraliśmy się od razu do rejestracji uchodźców.

Seyda, którego ewakuujący się z Francji rząd Sikorskiego zgubił gdzieś po drodze, nie zdradzał najmniejszej chęci jazdy do Londynu. Podobnie przebywający w Lizbonie gen. J. Haller. Seyda rozżalony do rządu po wiele razy powtarzał brzydkie wyrazy o większości swych kolegów z rady ministrów i o jej szefie. Dowodził, że jego miejsce jest tylko w Stanach Zjednoczonych, wśród tamtejszej Polonii, z którą kiedyś się zetknął. Nieraz mówiliśmy o jego projekcie w szczupłym gronie. W debatach, prócz

Schimitzka i mnie, brał udział zastępca Seydy w *Kurierze Poznańskim* S. Karbowski, jeden z najinteligentniejszych działaczy endeckich, jakiego znałem. Tłumaczyłem Seydzie, że powinien jechać do Londynu. Słyszając jego krytyki paryskiej działalności rządu Sikorskiego, miałem nadzieję, że może zdobędzie się w Londynie na samodzielną postawę wobec duumwiratu Sikorski-Kot, że będzie szukał sprzymierzeńców w prezesie Stronnictwa — T. Bieleckim skoro z Francji dotrze do Londynu, w Prezydencie Raczkiewiczu, a także w gen. K. Sosnkowskim, o którym wyrażał się w superlatywach. Ostatecznie Seyda i Haller, naciskani przez Londyn, popłynęli ku brzegom Anglii.

Byłem pewien, że Seyda pomoże szwagrowi w urządzeniu się w Portugalii. Schimitzek miał również w Londynie dobrego znajomego, ex-kolegę z M.S.Z.-tu, „szalonego ludowca”, spławionego przez Becka — A. Ładosia. W paryskim okresie minister Ładoś zrobił Schimitzka swym delegatem w komisji gen. Hallera dla rejestracji faktów i zbierania dokumentów, dotyczących przyczyn klęski wrześniowej. Schimitzek z obrzydzeniem wspominał ten okres swej działalności, nazywając wszystkie te komisje „biurami donosów” i oceniając właściwie rolę w nich takich mężów zaufania gen. Sikorskiego, jak płk Izydor Modelski i inni. Właściwie oceniał również działalność ministra Kota, wietrzącego wszędzie „rzekomych beckowców” i spiskujących piłsudczyków. Gdy Schimitzek w lutym 1940 roku opuszczał Paryż udając się do Modany w charakterze przedstawiciela M.S.Z. przy tamtejszej granicznej placówce wojskowej, nie posiadał się z radości. „Nad wszystkim — wspomina — góruje radość z powodu opuszczenia Paryża, wyrwania się z zaczarowanego kręgu potwarzy i intryg. Po raz pierwszy od wielu tygodni zasypiamy bez obawy, że nazajutrz 'przyjaciele' będą próbowali zatruć nam życie nową dawką piołunu”.

Do tych świeżych, nieprzyjemnych wspomnień paryskich i raczej pogodnych z uroczej graniczącej z Włochami Modany, Schimitzek wracał często. Natomiast zupełnie sobie nie przypominam, by mówił ze mną o czasach swej służby w przedwojennym M.S.Z-ecie. A przecież wiedziałem, że jako „naprawiacz” nie należał do entuzjastów wszystkiego co się działo w Polsce pomajowej. Jeśli zaś czasem mówił, to na pewno bez złości. Nie miał po temu żadnych istotnych powodów.



Autora „Wspomnień portugalskich” poznałem przed wojną, w Berlinie, w latach 1931-32. Był tam radcą naszego poselstwa,

mężem zaufania ówczesnego posła Alfreda Wysockiego. Cieszył się opinią wzorowego, pracowitego urzędnika służby zagranicznej, lojalnego wykonawcy zleceń przełożonych. Robił tzw. karierę dyplomatyczną. W październiku 1932 roku przeniesiono go do centrali M.S.Z.-tu, gdzie objął stanowisko Dyrektora Departamentu Administracyjnego. Tak czy owak był to awans. Z dyrektora w centrali wylądowałby jako szef jednej z placówek dyplomatycznych.

Z niemałym też zdziwieniem czytałem w pierwszej części „Wspomnień” wcale nieportugalskich, całe strony złościwości pod adresem Becka i jego wojskowych zaufanych, odkomenderowanych do M.S.Z.-tu. A przecież, gdy o Becka chodzi, przyznaje, że miał „umysł bystry” i stosunek jego do dyrektora Departamentu Administracyjnego był „zawsze bardzo poprawny”. Wydaje się, że był więcej niż bardzo poprawny, skoro Schimitzek od 1934 roku był prezesem Klubu Urzędników Polskiej Służby Zagranicznej. Gdyby nie cieszył się zaufaniem ministra, wątpię czy mógłby zajmować taką funkcję społeczną w jego resorcie. Znałem niezgorzej stosunki w warszawskim M.S.Z.-cie za rządów Becka. Byłem w Senacie referentem budżetu tego ministerstwa i sekretarzem komisji spraw zagranicznych, której przewodził senator A. Wysocki. Wbrew temu co Schimitzek pisze Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie było w tym czasie „kłębowiskiem intryg”, gdyż Beck rządząc po dyktatorsku, zdołał je ograniczyć do minimum. Inna sprawa, czy przeprowadzane przez niego czystki były zawsze celowe i słuszne.

Ze szczególną złościwością odnosi się Schimitzek w swych nieportugalskich wspomnieniach do dyrektora Departamentu Konsularnego, T. Drymmera. Oskarża go m.in., że chciał pozbyć się odpowiedzialności „za nieprzemyślaną i nieprzygotowaną ewakuację M.S.Z. i jej skutki”. Znałem Drymmera jako człowieka pełnego energii i szybkich decyzji. Nie wyobrażam sobie, kto z wysokich urzędników ówczesnego M.S.Z.-tu mógł lepiej nadawać się na kierownika ewakuacji. A że w tragicznych tygodniach wrześnieowych nie był na pewno w stanie wszystkiego przewidzieć i wszystkiemu zaradzić, nikt mu z tego zarzutu czynić nie może. Oskarżenia Schimitzka brzmią tym bardziej nieprzekonywująco, że z polecenia tegoż Drymmera objął kierownictwo drugiego „rządu” ewakuacyjnego, co świadczyło, że Drymmer miał zaufanie do jego opanowania i zdolności organizacyjnych.

Czytając pierwsze rozdziały książki mimowoli przychodzi na myśl, że autor szpikując je złościwościami chciał złożyć ukłon Państwowemu Wydawnictwu w Warszawie, które podjęło się druku jego 750-stronicowego tomu. Ukłon w stronę reżymu,

który w Dwudziestoleciu Niepodległości dopatruje się samych cieni, zaś blasków nie dostrzega. A że o tym obowiązku składania ukłonu Schimitzek wie dobrze, świadczy choćby pominięcie daty 17 września 1939 roku, choć na pewno dzień ten przeżywał tak samo jak wszyscy. Nie ma w ogóle w całej książce najłagodniejszego akcentu krytyki „Związku Radzieckiego” (bo nie sowieckiego) i panującego w Polsce reżymu.

Z tych samych powodów uważa za wskazane krytykować rząd Tomasza Arciszewskiego za to, że, choć nieuznawany przez sojuszników zachodnich, postanowił kontynuować na uchodźstwie walkę o niepodległość. Zarzuca mu, że stwarzał „atmosferę negacji” i nie zwracał — jak pisze — żadnej uwagi na deklarację Wielkiej Trójki, że... Polska ma być państwem suwerennym! Rozpisuje się też o swej decyzji powrotu do kraju. Informuje czytelnika, że na wiadomość o niej „zagotowało się” w polskim Londynie. „Spodziewam się — notuje — że lada chwila okaże się, że byłem zawsze obcym agentem albo wyrafinowanym przestępcą. Gwiazdowski, którego przypadkowo w tym czasie spotykam, kreśli ponury obraz tego co mnie w Polsce czeka, ale zaraz potem stwierdza, że wyjazd do kraju jest pójściem po linii najmniejszego oporu. Wynikałoby z tego, że prawdziwy patriota powinien beczynnie siedzieć w Anglii i żyć z zasiłków”.

Otóż nic się wtedy w polskim Londynie nie zagotowało i żadnych tego rodzaju zarzutów pod adresem Schimitzka nie słyshałem. Schimitzek pisze bzdury, w które sam nie wierzy. Ale chwali się swą wiekopomną decyzją, by rzucić kamieniem na tych, którzy pozostali „na zasiłkach”, by leżąc do góry brzuchem, pogodnie dogorywać na uchodźstwie. Kto wie czy minister Gwiazdowski, znając oportunistyczne skłonności swego kolegi z M.S.Z.-tu, nie trafił w sedno rzeczy mówiąc mu, że z dwóch alternatyw wybrał dla siebie najwygodniejszą.

Przed wyjazdem do kraju Schimitzek zaszedł do nas w Londynie z córką, by się pożegnać. Sprawilem mu zawód. Pisze w swej książce, że w czasie ścisłej współpracy w Lizbonie uważał mnie za „przewidyującego doradcę”. Tymczasem okazało się, że i ja nie wykluczałem możliwości nowej wojny. Wcale się nie wstydzę tych nieprzewidyujących przewidywań. W 1946 roku nie tylko w głowach polskich uchodźców, którzy pozostali na emigracji, lecz także w głowach wielu Brytyjczyków i Amerykanów, nie mieściło się, że można poważnie myśleć o długotrwałej koegzystencji Zachodu z komunistyczną Rosją. I dziś, po tylu latach, ta koegzystencja przypomina pole nasycone minami, po którym należy stąpać nieślychanie ostrożnie, by nie spowodować wybuchu.

W kraju Schimitzek, pracując w Zachodniej Agencji Prasowej, na pewno od początku stąpał po ziemi rodzinnej ostrożnie, trzymając się z dala od ognisk wybuchów, które co pewien czas wstrząsają krajem rządzonym przez komunistów. Trudno mu z tego robić zarzut. Był zaprzeczeniem człowieka walki. Wolał, jak mógł najwygodniej, urządzić się w nowej rzeczywistości i być nienagannie lojalnym wobec tych, którzy są u władzy. Ale czy musiał obciążać swą książkę aż tyloma ukłonami? Gdyby tego nie uczynił, pozostawiłby dokument o niezaprzeczonej wartości, obrazujący zupełnie nieznaną fragment historii polskiej emigracji w czasach ostatniej wojny.



Wstępne prace komitetu zaczęły się więc w Figueiras da Foz, lecz rozwinęły dopiero w Lizbonie, gdzie znalazł się Schimitzek i inni członkowie komitetu. Nawiązali tam zaraz kontakt z naszym posłem Karolem Dubicz-Pentherem, z licznymi agendami rządu i z samym rządem. W lutym 1940 przewodniczący komitetu Schimitzek został delegatem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej.

Okres lizboński wypełnia też główną część „Wspomnień portugalskich”, opracowanych na podstawie codziennych, szczegółowych zapisek autora. Bez nich nie byłby w stanie odtworzyć z taką dokładnością swej działalności i działalności wielu zmieniających się współpracowników, zajętych w pierwszej fazie przede wszystkim opieką nad uchodźcami i skomplikowanym problemem rozładowania ich do różnych krajów. „Początkowo, do maja 1941 roku — pisze Schimitzek w początku 1942 roku — zajmowaliśmy się głównie opieką nad uchodźcami w Portugalii. W następnym okresie likwidowaliśmy problem uchodźstwa jako zagadnienia o szerszym zasięgu, rozpoczęliśmy systematyczną ewakuację niektórych grup obywateli polskich z Francji i akcję pomocy dla kraju. Obecnie wchodzimy w stadium intensywnej rozbudowy obu tych akcji. Nasze plany mają obecnie inne poparcie w Londynie, niż miały dotychczas. Dlatego wierzę, że zdołamy je urzeczywistnić”.

Akcja pomocy dla kraju polegała na wysyłaniu paczek żywnościowych. Dla zmylenia czujności okupanta, jako nadawcy figurowali Portugalczycy. Obejmowała ona wszystkich — więc zarówno Polaków jak Żydów, a nieraz osoby nie posiadające obywatelstwa polskiego. Zaczęły napływać z Londynu fundusze na pomoc dla rodzin wojskowych w kraju.

Wzruszająco brzmiały potwierdzenia odbioru paczek Ludwika Solskiego, Wacława Sieroszewskiego, Leopolda Staffa, Ewy Ban-

drowskiej-Turskiej, pisane po polsku, czasem po niemiecku lub po francusku, a zwłaszcza listy dzieci, wdzięcznych za „dobre rybki i słodkie figi”, zsyłane z „nieba”. Tragiczną wymowę miały zawiadomienia o konfiskacie paczek adresowanych indywidualnie do Żydów lub osób pochodzenia żydowskiego, powołujące się z czasem tylko na „zarządzenia kompetentnych władz”. 60 % wysyłanych paczek z całą pewnością dochodziło do rąk adresatów. Reszta nie dochodziła, bądź też adresaci z różnych przyczyn odbioru paczek nie potwierdzali.

Sprawie opieki nad więźniami polskimi w hiszpańskim obozie Miranda i jego rozładowania Schimitzek poświęca wiele miejsca. Jeszcze w końcu maja 1943 roku w więzieniach hiszpańskich przebywało 400-500 obywateli polskich. W większości, po odsiedzeniu kary za nielegalne przekroczenie granicy, byli odstawieni do Mirandy. Liczba żołnierzy, którzy przeszli przez ten obóz, a następnie przez Portugalię, sięgała około 1.800 ludzi.

Z czasem rozrasta się obsługa rodzin wojskowych. Schimitzek dostaje polecenie zorganizowania regularnej wysyłki paczek żywnościowych do 40.000 rodzin żołnierzy 2 Korpusu, który wszedł do akcji we Włoszech. W kilka tygodni później Londyn zapowiada dodatkowe, stałe dotacje miesięczne w wysokości 20.000 funtów, przeznaczone w połowie na paczki żywnościowe dla rodzin wojskowych, a w połowie na paczki dla sierocińców i na wagonowe transporty żywności do Polski pod opieką Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Na stronie 642-jej pisze: „Pierwsze półrocze 1944 roku zamykamy wysyłką 188.888 paczek półkilowych (w tym m.in. 82.522 paczek z konserwami rybnymi, 26.584 z suchymi owocami, 58.861 z przetworami owocowymi) i 5.152 paczek 3- i 5-kilogramowych (głównie z konserwami rybnymi i napojami). Łączna waga tych przesyłek wyniosła prawie 110 ton. W pierwszych czterech miesiącach 1944 roku wysyłaliśmy przeciętnie po 13,5 ton paczek miesięcznie, w maju i czerwcu 1944 po 26 ton”.

W grudniu 1944 roku, w oparciu o zebrane materiały, komisje powołane przez Schimitzka sporządzają obszerne protokoły, które zawierają dane dotyczące akcji pomocy dla kraju. Bilans akcji żywnościowej zamyka się w tym czasie liczbą około 600 tysięcy paczek wysłanych kosztem 12-13 milionów eskudów portugalskich czyli 120-130 tysięcy funtów angielskich. Skrupulatna, końcowa analiza całej zgromadzonej dokumentacji nie wykazała w ciągu akcji pomocy dla kraju żadnych godnych wzmianki uchybień.

Była w tym niemała zasługa Schimitzka. Jego staranne notatki oddają wiernie rozmiary pomocy niesionej krajowi. Jego spr-

wozdanie, bo rozdziały lizbońskie są takim rzeczowym sprawozdaniem, stanowi dokument do którego sięgać będą polscy historycy czasów ostatniej wojny.



Sprawozdanie ożywiają charakterystyki głównych aktorów — jak się Schimitzek wyraża — mikroskopijnej scenki portugalskiej, na której tłoczyli się uchodźcy, wystraszeni perspektywą zajęcia „przez telefon” przez Niemców małego, neutralnego kraju, oraz — opisy jego pięknych zakątków.

Mieszkając kilka lat w Lizbonie i robiąc ze stolicy krótsze i dłuższe wypadki na prowincję, autor zakochał się — czemu się nie dziwię — w urokach tej części półwyspu iberyjskiego. Nieporównanie mniej od Schimitzka ich widziałem, a urzekły mnie również i nieraz wracam do nich wspomnieniami. Opisy różnych zakątków Portugalii należą literacko do najbardziej udanych. Przytoczę jeden, może nie najlepszy, lecz bliski mi, bo parę razy zaglądałem do „paszczy piekła”.

„Ze zwykle samotnych spacerów — zwierza się Schimitzek — najatrakcyjniejszy dla mnie jest spacer do Cascais, malowniczego miasteczka w głębi obszernej zatoki Boca do Inferno — paszczy piekła. Jest to obszerna grota wśród skalnych rozpadlin tuż nad brzegiem oceanu. Gdy w czasie przyływu wiatr dmie z południowego wschodu, olbrzymie fale z potężnym hukiem wpadają do groty, rozbijają się o jej kamienne wnętrza. Wysoką fontanną wystrzeliwują przez otwór wydrążony w ciągu wieków w sklepieniu i rozpryskują się w miliony kropel. Gdy woda ta opada, czeluść niemal do połowy swej głębokości zapełnia się gęstą, wzburzoną pianą. Chwilami morze jakby uspakajało się, by ze zdwojoną siłą rzucić się gniewnie na klif”...

Autor nie poskąpił czasu na zapoznanie się z historią ojczyzny Vasco de Gamy, nie wyłączając jej związków z Polską. Mógłby się stanowczo pokusić o napisanie pięknej książeczki, którą Portugalczycy, zabiegający bardzo po ostatniej wojnie o turystów, mogliby wydać w różnych językach.

W czasie swych spacerów i wędrówek odrywał się od codziennych kłopotów i intryg, uprawianych bądź przez ludzi narzuconych przez Londyn, bądź dobrowolnie zgłaszających się do pomocy, legitymujących się stanowiskami społecznymi w kraju. Czołowym przedstawicielem pierwszej kategorii był pepesowiec, przedwojenny działacz związku kolejarzy, urodzony intrygant, który w charakterze męża zaufania socjalisty J. Stańczyka, ministra Pracy i Opieki Społecznej, został zastępcą Schimitzka.

Czołowym przedstawicielem drugiej był dyrektor „Caritasu” w Poznaniu, ks. E. Wołkowski, najobrzydliwszy typ kapłana, jakiego w życiu poznałem. Obaj nie znosili się. Na prośbę Schimitzka podjąłem się mediacji. Adwersarze podali sobie wprawdzie ręce, lecz dalej skakali do oczu i rozwijali wszechstronną działalność intrygancką. Z czasem komitet pozbył się kapłana, lecz Maxamin do końca uprzykrzał życie Schimitzkowi.

Podczas rocznego pobytu w Portugalii, poza Schimitzkiem, najbliższymi współpracownikami z Krystynem Ostrowskim, Samuelem Katzem i z płk. J. Kowalewskim. Nie mogłem współpracować z Bogusławem Miedzińskim, ostatnim Marszałkiem Senatu, gdyż się niczym nie zajmował. Miedziński czekał w Lizbonie na „przydział” jaki mu Sikorski wyznaczy w jednym z najodleglejszych od Anglii krajów. Ponieważ mieszkaliśmy w jednym pensjonacie, było wiele okazji do ciekawych pogawędek. Ignacy Matuszewski z którym się nieraz w Lizbonie spotykałem, otrzymawszy od Sikorskiego list, że nie zamierza korzystać z jego usług, szybko wyjechał do Stanów Zjednoczonych.

Kowalewski prowadził z ramienia Kota tzw. akcję kontynentalną. Polegała ona na utrzymywaniu kontaktów z antyhitlerowskimi elementami w krajach zajętych przez Niemców. Często prosił mnie o pomoc, więc o informacjach uzyskiwanych przez Kowalewskiego dużo wiedziałem. Jak mi się zdaje był doskonale poinformowany o tym co się dzieje w Jugosławii, a zwłaszcza na Węgrzech i w Rumunii. Portugalia, obok Szwajcarii, była chyba najciekawszym punktem obserwacyjnym nie tylko krajów okupowanych przez Niemcy, lecz ich samych.

Książka „Na krawędzi Europy” zawiera spostrzeżenia autora o działalności kontrwywiadów obu stron walczących, o spotkaniach „międzysojusznicznych” poświęconych zagadnieniom uchodźstwa w Portugalii, o wybitniejszych Polakach i cudzoziemcach, z którymi się stykał, o licznych aparacie różnych resortów rządu polskiego.

Do najbardziej kolorowych postaci mikroskopijnej scenki należał bez wątpienia poseł R.P. K. Dubicz-Penther. Lekarz z wykształcenia, z zawodu pułkownik o przeszłości legionowej, odznaczał się niezwykłą fantazją. Stylem bycia przypominał Wieniawę. Często siadywał na schodach bocznego wejścia do poselstwa i przyjacielsko gwarzył z petentami — przeważnie Żydami — ubiegającymi się o wizy do różnych krajów. Początkowo nie łatwo było Żydom do wielu z nich się dostać. Nie wierzyłem uszom, gdy się dowiadywałem o stawianych im trudnościach. Nie wpuszczała ich Brazylia. Kanadyjski oficer imigracyjny oświadczył mi wręcz, że jego kraj nie chce ich widzieć u siebie. I do Stanów

Zjednoczonych, zanim organizacje żydowskie nie zajęły się energicznie sprawą Żydów przyjmowano niechętnie.

Choć Dubicz w codziennej współpracy do najłatwiejszych nie należał, wychodził ze skóry, by pomóc uchodźcom. Interweniował nieustannie w poselstwach krajów do których pragnęli się udać. Wśród obiegających posła i komitet petentów znikomy odsetek stanowili amatorzy jazdy do bombardowanej przez Niemców Anglii. Chcieli tam się dostać jak najprędzej żołnierze i oficerowie, którzy z Francji docierali szczęśliwie przez Hiszpanię do Portugalii. Ukrywano ich w Lizbonie w różnych lokalach, po czym szmuglowano okrętami do Anglii. Gdyśmy płynęli „Avocetą”, w parę godzin po odbiciu od portu lizbońskiego, już o zmierzchu, podpłynęła łódź z której weszła na pokład grupa naszych żołnierzy w szmatławych cywilnych ubraniach. Dwóch zapamiętałem dobrze: młodego urzędnika M.S.Z. — Siemieńskiego i ppor. Zbyszka Ciska.

Nieraz Dubicz musiał tracić wiele czasu na indywidualne interwencje. Kiedyś byłem świadkiem takiej sceny. Wszedłem do gabinetu posła. Za biurkiem stał Dubicz, przed biurkiem klęczał Julian Tuwim, wnosząc w jego stronę błagalnie obie dłonie. Prosił posła, by znowu interweniował u Brazylijczyków. Poeta miał oczy pełne łez. Zirytował mnie. Wiedziałem, że dzięki Dubiczowi i wstawiennictwu jakiegoś znanego poety portugalskiego czy raczej brazylijskiego, Tuwim lada dzień wizę otrzyma. Znałem go z czasów uniwersyteckich. Wrzasnąłem, by się opamiętał i nie robił z siebie widowiska. Wkrótce wizę otrzymał i popłynął do Brazylii. I on nie myślał jechać do Londynu.

Nad biurkiem Dubicza wisi duży portret Marszałka Piłsudskiego. Naciskano z Londynu, by portret usunął, ale Dubicz kategorycznie odmówił i portret wisi dalej. Nie wiem jakie były jego koleje po odwołaniu Dubicza do Londynu. Spotkałem go tam przelotnie na ulicy. Walczył w Londynie — jak pisze Schimitzek — „z szatańskimi donosami lizbońskimi”, które ścięły go do zgonu. Schimitzek nie tylko lubił Dubicza, lecz i cenił. Wyraża się o nim jako o prawym człowieku.

Dowiedziawszy się o jego śmierci w Lumiarze pod Lizboną chciałem dać jakiś wyraz sympatii dla tej kolorowej postaci. Porządkowałem właśnie swoje notatki z rocznego pobytu w Portugalii i zastanawiałem się, jaki tytuł dać książce jaką na ich podstawie napiszę. Przypomniało mi się wówczas przemówienie które Dubicz wygłaszał pewnego dnia lipcowego 1940 roku. Siedział na schodkach wśród otaczających go, załęknionych sytuacją uciekinierów. Kończył przemówienie, rozkładając ręce gestem, który miał oznaczać, że w tej chwili nie może swym słuchaczom wiele

pomóc. „Cóż mam robić!— mówił. Okrętów do dyspozycji nie mam. Więc chyba zakupię balie lub łódki i prujcie na nich przez wzburzony ocean do Kanady czy gdzie chcecie. Bo wam się , panowie, wciąż zdaje, że, jak dotychczas, możecie dalej jechać po ziemi. Otóż nie! Zrozumcie wreszcie jedno: Szosa się skończyła”...

Taki tytuł miała mieć książka moich wspomnień portugalskich. Nie ukazała się nigdy, gdyż pożar jaki wybuchł w moim pokoju londyńskim zniszczył wszystko: i zapiski i maszynopis przygotowany do druku.

Tadeusz KATELBACH

Jerzy IRANEK-OSMECKI

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Pojawiło się nareszcie na emigracji opracowanie traktujące wyczerpująco o politycznym i dyplomatycznym podłożu powstania warszawskiego. Jest nim „Powstanie Warszawskie” Jana M. Ciechanowskiego, wydane przez londyńską firmę „Odnowa”. Książka ta jest rozszerzoną tezą doktorską, złożoną w roku 1968 na uniwersytecie londyńskim, w „London School of Economics and Political Science”.

Geneza książki, jej charakter angielskiej pracy naukowej, odbijają się na stylu i ujęciu.

Autor jest niewątpliwie uczuciowo związany z opisywaną tematyką i dlatego robi wielki wysiłek metodologiczny, by opracowaniu swemu nadać cechy obiektywizmu. Wystrzega się więc potępienia, lub terminów subiektywnych w stosunku do strony sowieckiej, ale jeśli chodzi o stronę polską — nie trzyma się tej reguły z tą samą konsekwencją.

Ciechanowski dzieli polską scenę polityczną, w najszerszym tego słowa znaczeniu, na „obóz londyński” i „obóz komunistyczny”. Przez całą jego pracę przewijają się te terminy. Rząd Polski występuje jako „Rząd Polski” tylko gdy pojawia się w charakterze ściśle określonej instytucji politycznej. W książce nie ma ani razu sformułowania „obóz rządowy”, lub „siły rządowe” w Polsce, czy też „rządowy obóz polityczny w kraju”. Autor operuje wyłącznie terminologią „obóz londyński” i „obóz komunistyczny”.

Czy mówiąc o latach 1941-44 jest to rzeczywiście najwłaściwsze ujęcie — jest co najmniej kwestią otwartą. Być może, że obiektywizm naukowy nie pozwala na używanie terminu „obóz rządowy” na określenie sił związanych z rządem w Londynie od lata 1945, kiedy większość państw uznała Rząd Polski Ludowej, ale w poprzedzającym okresie, wojennym, który autor opisuje, jest to termin najlepszy i uciekanie się do innego jedynie zaciemnia lub wypacza obraz, a u niektórych czytelników, niekoniecznie emigracyjnych, może wywołać podejrzenie co do bezstronności autora.

Autor kilkakrotnie mówi o „walce o władzę” między „obozem londyńskim” a „obozem komunistycznym”. Wywołuje to wrażenie, że stawia między nimi znak równości pod wieloma względami — jakby pomijał stronę konstytucyjną i legalną toczącego się konfliktu. Ma się rozumieć można tę stronę całkowicie zignorować i sprowadzić wszystko do nagiej walki o władzę. Ale to nie odpowiada stanowi faktycznemu i autor tego zresztą nie robi. W swej pracy dokładnie i obiektywnie przedstawia powstanie polskiego podziemia od zarania w roku 1939 i rolę rządu w kierowaniu jego działalnością. Kwestie konstytucyjne, jak np. zakres kompetencji Naczelnego Wodza według konstytucji z 1935 roku, i zmodyfikowanie ich dekretem prezydenta Raczkiewicza, są w książce uwzględnione tam gdzie zachodzi tego potrzeba.

Wydaje się, że z czysto naukowego punktu widzenia ta właśnie terminologia nie jest konieczna, że jest wręcz błędna, anachroniczna, że kłóci się poniekąd z przedstawionym przez autora stanem faktycznym i że wprowadza zamieszanie w umysłach czytelników. Dlatego można twierdzić, że pomniejsza a nie zwiększa wartość książki.

Praca Jana M. Ciechanowskiego ma jednak dużą wartość, mimo tego, że autor naświetlił definitywnie tylko pewne aspekty tematu, że niektóre wciąż czekają na uchylenie rąbka historii, i że czasami autor wyciąga wnioski niekoniecznie wypływające z przytoczonego materiału dowodowego. Najważniejszym walorem książki jest jej zakres i ujęcie tematu. Pomoże bowiem ona jego następcom — a na pewno ich nie zabraknie w miarę jak zostaną udostępnione brakujące materiały — wypełniać luki w zakreślonym przez Ciechanowskiego ramowym ujęciu.

Jeśli czytelnik chce dowiedzieć się o co właściwie chodziło podczas drugiej wojny światowej w polityce polskiej, o co Polska walczyła, dlaczego powstało podziemne państwo polskie; jeśli mu chodzi o poznanie źródeł (*nota-bene*, Ciechanowski przez szereg lat nie mógł swej pracy doktorskiej doprowadzić do koń-

ca, bo wciąż ukazywały się nowe materiały które musiał uwzględnić, w związku z czym zmuszony był do przepisywania swej pracy) i jeśli ktoś chce otrzymać pewien wgląd w te źródła, to najlepszym wprowadzeniem w temat jest „Powstanie Warszawskie” Ciechanowskiego. Przeczytanie tej książki da mu gruntowne pojęcie o nastawieniu i pociągnięciach Ameryki i Roosevelta, Wielkiej Brytanii, a w tym Churchilla i Edena — niezawsze identycznych — i Foreign Office’u ze strony aliantów; Sikorskiego, Mikołajczyka i Sosnkowskiego jeśli chodzi o władze Rzplitej na emigracji, kolejnych Delegatów na kraj, Piekalkiewiczza i Jan-kowskiego; dowódców wojskowego podziemia, późniejszej Armii Krajowej, Tokarzewskiego, Grota-Roweckiego, Bora-Komoro-wskiego i Okulickiego, jeśli chodzi o podziemie podległe rządowi, jak również polskiej strony komunistycznej — a więc PPR’u i Związku Patriotów Polskich w Moskwie. Jeśli chodzi jednak o stronę sowiecką — a przede wszystkim o Stalina — książka nie pozwala na wyrobienie sobie tak gruntownego poglądu. Trudno powiedzieć że stanowi to jej brak, bo naświetlenie polityki Stalina wobec Polski wymagałoby równie pracochłonnego dzieła, dla którego trzeba by być specjalistą stalinologiem, ale zanotować tu należy, że autor przyjmuje nieomal wszystkie wypowiedzi Stalina dotyczące Polski za dobrą monetę. Budowanie obrazu intencji sowieckich wobec Polski, opartego jedynie na cytowaniu wypowiedzi Stalina, wydaje się bezkrytyczne i niebezpieczne. Odbija się to oczywiście na konkluzjach autora.

Na początku pracy Ciechanowski podaje w skrócie historię polskiego ruchu oporu podkreślając, że już w chwili gdy jego podwaliny kładł generał Tokarzewski na jesieni 1939 roku, stawał sobie on za cel powstanie zbrojne w końcowym okresie wojny. Już na tym etapie wyłania się charakterystyczna cecha podziemia polskiego: kolejne kroki podejmują naprzód wojskowi, a dołączają do nich politycy czy też podziemie cywilne. Tokarzewski był też inicjatorem porozumienia politycznego Socjalistów, Ludowców i Stronnictwa Narodowego, które miało na płaszczyźnie politycznej wspierać podziemie wojskowe. To co powołał do życia gen. Tokarzewski, z wieloma zmianami uwarunkowanymi przez rozrost organizacyjny, przetrwało do końca wojny. Ciechanowski uwypukla też jak dziedzictwo tradycji powstańczych i spuścizna po Piłsudskim zaważyły na duchu, sposobie myślenia i działania, i celach wojskowego podziemia.

Przechodząc do działalności PPR autor opisuje próby Gomułki w roku 1943 dostania się do „oficjalnego” obozu w kraju, załamania się tych prób, i wyraża opinię że odrzucenie współpracy z komunistami było błędem ze strony podziemia „londyń-

skiego”, jako że doprowadziło do ostrzejszej rywalizacji między Delegaturą a PPR i przyczyniło się w dużym stopniu do Powstania Warszawskiego. Poprzez komunistów można było — według autora — ułatwić nawiązanie współdziałania wojskowego z Czerwoną Armią w lecie 1944, którego brak tak fatalnie odbił się na losach powstania.

Już wtedy zarysowała się zasadnicza różnica pomiędzy stanowiskiem PPR — uznającym granicę etnograficzną na wschodzie, a więc w przybliżeniu linię Curzona — a „londyńskim” podziemiem, trwającym na stanowisku granic ryskich i nienaruszalności terytorium Rzeczypospolitej.

Następnie autor podaje jak zarysowywała się kwestia wojennych granic Polski na płaszczyźnie rozmów Wielkiej Trójki z rządem polskim. Jest to zagadnienie ogólnie znane, ale ujęcie Ciechanowskiego pozwala na wyrobienie sobie o nim opinii, bez uciekania się do innych opracowań — choć niekoniecznie do podzielenia jego własnego zdania.

Z perspektywy lat może się wydawać, że rząd polski powinien się być zgodzić gdy Churchill mówił o przyjęciu linii Curzona w zamian za gwarancje dotyczące niezależności politycznej i ustroju demokratycznego Polski. Czy natomiast Roosevelt gotów był to samo zagwarantować pozostaje kwestią nierozstrzygniętą. Z jednej z jego wypowiedzi wynikałoby że zawsze przewidywał dla Polski status satelicki, jako że chciał jej między innymi zapewnić „swobody religijne”.

Na tle rozmów z Wielką Trójką sylwetka Mikołajczyka zarysowuje się — o dziwo — dla osób uprzedzonych do niego, zupełnie korzystnie. Bronił interesów Polski silnie i nieustępliwie. Tego, że nie udało mu się przekonać mężów stanu Zachodu, że Polska jest rzeczywiście proberzem intencji sowieckich wobec świata, nie można mu zaliczać na minus, było to, być może, w owym czasie nieosiągalne w drodze perswazji.

Od wymiany dyplomatycznej autor przechodzi do operacji „Burza”, której poświęca sto stron i trzy rozdziały. Burza miała być szeregami wystąpień zbrojnych na tyłach sił niemieckich wycofujących się na zachód poprzez ziemie polskie, za którymi oczywiście będą postępowały wojska sowieckie. Tak więc wyłaniało się zagadnienie stosunku do tego wojska oddziałów AK. Polski punkt widzenia ulegał zmianom. Od początku zarysowywało się przed podziemiem zadanie wystąpienia w roli gospodarza na ziemiach polskich i zmanifestowania praw do nich. W marcu 1942 Sikorski oświadczył, że w wypadku druzgoczącego zwycięstwa Rosji nad Niemcami „nie mamy żadnych szans przeciwstawienia się wojskom rosyjskim wkraczającym do Polski, w pościgu za

Niemcami. Odbudowa państwa i tworzenie Polskich Sił Zbrojnych w kraju, będzie mogło nastąpić jedynie przy wykonaniu z dobrej woli przez Rosję przyjętych zobowiązań oraz nacisku ze strony aliantów”.

Niemniej Sikorski, póki żył nie zamierzał uznać linii Curzona za wschodnią granicę Polski, a w grudniu 1941 nie chciał nawet wdać się w żadną dyskusję na ten temat ze Stalinem, który żądał „niewielkich korekt granicznych”. Ciechanowski jest zdania że tym samym Sikorski pogrzebał ostatnią szansę korzystnego dla Polski rozwiązania sporu terytorialnego z Moskwą.

Jeśliby przyjąć dobrą wolę ze strony Stalina i chęć dotrzymania zawartych zobowiązań — byłoby to niewątpliwie rozwiązanie najkorzystniejsze. Ale czy było ono do strawienia dla polskiej opinii publicznej, to inna sprawa. Z drugiej strony trudno było uwierzyć w dobrą wolę Stalina.

Ciechanowski jest zdania że „brak definitywnego rozwiązania sporu granicznego z Rosją w roku 1941 rzucał złowrogi cień na całokształt polsko-sowieckich stosunków w czasie wojny i pośrednio przyczynił się do wybuchu powstania warszawskiego”. Jednakże ustępstwa graniczne były nie do przyjęcia, bo — jak słusznie stwierdza Ciechanowski — większość Polaków nie była na to przygotowana psychicznie. I nikt ich zresztą do tego nie przygotowywał.

Autor dotyka tu innego zagadnienia, które przewija się przez całą jego książkę: realizmu w polityce, realizmu wobec polityki siły. O dziwo, autor prawie nie używa terminu realizm, choć często posługuje się terminem i koncepcją „doktryny dwóch wrogów”. Otóż Sikorski nie był jej wyznawcą, podczas gdy zarówno Sosnkowski jak i Rowecki jej hołdowali. Tyle tylko, że Sikorski nie potrafił zastosować się konsekwentnie do doktryny jednego wroga a drugiego silnego, dobrego sąsiada, podczas gdy Sosnkowski i Rowecki z żelazną konsekwencją stosowali doktrynę dwóch wrogów.

Szukanie oparcia o Rosję nie jest nowością w polityce polskiej. Przejawiało się już w XVIII wieku za Targowicy, na początku XIX, za Czartoryskiego i Aleksandra I, i w polityce endecji pod zaborem rosyjskim, a w roku 1920 odbiło echem zarówno podczas rozmów w Mińsku jak i w czasie zawierania układu ryskiego. Za każdym razem uwydatniała się wśród Polaków różnica poglądów na temat roli Polski i stanowiska wobec Rosji. Jeśli idzie o wcześniejszy okres naszych dziejów, historiografia polska jednomyślnie potępiała Targowicę, natomiast co do koncepcji endecji — zarówno w Dumie jak i podczas wojny sowieckopolskiej — to przeciwstawna jej koncepcja Piłsudskiego, choć

w okrojonej wersji, dała Polsce okres okrzepnięcia, z którego czerpała ducha do walki i przetrwania następnej zawieruchy dziejowej. Jest raczej wątpliwe aby Polska według wzoru endencji potrafiła to zadanie w równej mierze spełnić.

Nasuwa się pytanie kiedy należało Polaków zacząć przygotowywać do odrzucenia doktryny dwóch wrogów i zrozumienia konieczności oparcia się o Rosję. Próby te zawodziły w przeszłości, a Polacy wyciągali z nich swe wnioski. Polityka Czartoryskiego legła w gruzach w chwili gdy w Poczdamie Aleksander I rzucił się w objęcia króla Prus, Fryderyka Wilhelma III. Wiek później, aczkolwiek Piłsudski koncepcję swą zrealizował mniej niż połowicznie (i nie wchodząc w to, kto w owym momencie historii miał bardziej rację) to należy stwierdzić, że koncepcja endencji po roku 1920 rozpadła się całkowicie.

Należy się zastanowić czy w Moskwie w roku 1939, gdy w czasie rozmów między francuską i brytyjską misją wojskową z jednej a Związkiem Sowieckim z drugiej strony, padły żądania prawa przemarszu przez Polskę wojsk sowieckich, nie przegapiłszy okazji przygotowania narodu do tak poważnej zmiany nawyków myślowych trwających od pokoleń. Mogliśmy to wtedy zrobić we względnie sprzyjających warunkach i w atmosferze wolności, i dysponowaliśmy kilkoma tygodniami czasu. Nie jest to dużo, ale zawsze coś. Natomiast z chwilą gdy układ Mołotow-Ribbentrop podany został do wiadomości publicznej — czasu już nie było. Zresztą było już wtedy za późno — wypadki przekreśliły możliwość oparcia się o Rosję.

Jeśli więc Jan M. Ciechanowski występuje w roli zwolennika realizmu, a skutkiem tego odrzuca „doktrynę dwóch wrogów”, należy zauważyć, że obiektywne warunki historyczne bytowania Polaków na pewnym określonym obszarze środkowej Europy bardziej sprzyjały skryształizowaniu się tej doktryny, niż „realistycznemu” podejściu i to również — a może nawet bardziej — w przeszłości. Dopiero po Teheranie i Jałcie i wynikłych z nich następstwach powstały, być może, warunki w których Polacy ostatecznie mogą oswoić się z koncepcją oparcia się o Rosję. Ale do tego trzeba było panowania Rosji i jej wpływów nie po Pomorze Wschodnie i Wielkopolskę, ani nawet po Odrę, ale po Łabę i poza nią.

Tymczasem — powracając do „Burzy” — toczył się dialog między Londynem a Warszawą na temat stosunku podziemia i A.K. do Rosji. Zakończyło go właściwie dopiero powstanie warszawskie. Dyskutowano takie zagadnienia jak ujawnianie się czy nieujawnianie wobec Rosjan i ewentualna samoobrona. Przyjmowano, że postawa Rosji na wschód od linii Curzona może róż-

nić się od postawy po jej zachodniej stronie, i że dopiero na obszarach nie kwestionowanych przejawia się prawdziwy stosunek Rosji do Polski.

Instrukcja rządu z października 1943 przewidywała — w wypadku nienawiązania stosunków dyplomatycznych z Rosją — ponowny powrót do konspiracji pod Sowietami, po przeprowadzeniu wystąpienia zbrojnego na tyłach niemieckich, czyli „Burzy”. Wtedy to padł ze strony Ministra Obrony Narodowej, gen. Kukiela, projekt aby: „przy odwróceniu niemieckim opanować stolicę i utworzyć legalne władze zanim, przy pomocy armii sowieckiej, powstanie jakiś rząd komunistyczny”. Miałoby to zastąpić „Burzę” w całym kraju. Rząd i Naczelny Wódz gen. Sosnkowski, plan ten jednak odrzucili, choć, jak się okazało w niecały rok później, „Burza” swych zadań politycznych nie spełniła, nie spełniły ich także walki o Wilno i Lwów, i trzeba było walczyć w Warszawie.

Ostatecznie dowódca A.K. — wbrew instrukcji N.W. gen. Sosnkowskiego — podjął decyzję ujawniania A.K. wobec Rosjan, zachowując jednak ewentualność samoobrony na wypadek wrogich aktów sowieckich. W Londynie premier Mikołajczyk przyjął decyzję ujawniania się z zadowoleniem, jako wyraz politycznego realizmu i rozsądku. Sądził, że uda mu się wygrać to na polu międzynarodowym: A.K. gotowa była współpracować z Rosją bez względu na stan polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych. Na przełomie lat 1943/44, Mikołajczyk chciał wykazać chęć do szerszego porozumienia z Rosją licząc, że koniunktura dla Polski poprawi się w końcu wojny, gdy wzrośnie waga głosu aliantów zachodnich. W tym celu należało w pełni wygrać atut walki z Niemcami w chwili ich załamania.

Reakcja Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego, była mniej entuzjastyczna. Nie chciał współpracy wojskowej z Rosją i ujawniania się, bez uprzedniego zawarcia porozumienia politycznego i nie wierzył w celowość „Burzy”. Przewidywał wiele komplikacji. Równocześnie, jak się wydaje, nie przewidywał szybkiego zwycięstwa Rosji na Wschodzie i wkroczenia do Polski.

Ponieważ stanowisko Londynu nie było jednolite, kraj uniezależniał się coraz bardziej i wreszcie inicjatywa przeszła w ręce Warszawy. Jeśli chodziło o kraj, Naczelny Wódz w Londynie gen. Sosnkowski, odgrywał w sprawach wojskowych rolę jedynie doradcą.

Część książki poświęconą „Burzy” Ciechanowski kończy opisem jej przebiegu na ziemiach wschodnich, walk 27-ej wołyńskiej dywizji piechoty AK, walk o Wilno i Lwów, i mniej czy więcej tragicznego losu zaangażowanych tam oddziałów AK.

Dopiero w drugiej połowie swego opracowania autor przechodzi do decyzji podjęcia walki w Warszawie. Zebrał tu wszelkie dostępne materiały opublikowane w książkach, prasie i periodykach czy też pod postacią wywiadów radiowych; przeprowadził osobiście wywiady z dostępnymi mu żyjącymi *dramatis personae* — w tym z nieżyjącym już gen. Bór-Komorowskim — a od innych uzyskał relacje piśmienne. Z tych uzupełniających się a czasami sprzecznych fragmentów, Ciechanowski dociekliwie odtwarza przebieg obrad w Warszawie, w wyniku których zapadła, najpierw decyzja podjęcia walki w stolicy (co nazywa decyzją wstępną), a potem wydanie rozkazu ustalającego termin wybuchu walki (co nazywa decyzją ostateczną).

Walka ta przeszła do historii pod nazwą Powstania Warszawskiego i trochę tym komplikuje prace historyków i publicystów, a przede wszystkim utrudnia rozeznanie przeciętnego czytelnika. Walka nie miała być powstaniem. Termin powstanie był przeznaczony dla powstania powszechnego, które miało wybuchnąć równocześnie w całym kraju z chwilą załamania się Niemiec. Bój o Warszawę przeprowadzony został jako część akcji „Burza”, choć plany operacyjne AK dotyczące walk w Warszawie opierały się na planach przygotowywanych do ewentualnej walki o stolicę w ramach powstania powszechnego. Natomiast pierwotnie, „Burza” nie przewidywała walk o większe miasta, a więc ani o Wilno, ani o Lwów, a jeśli chodzi o Warszawę, to gen. Bór-Komorowski wyłączył ją z planu „Burza” w marcu 1944, by uniknąć zniszczenia i zaoszczędzić cierpień ludności cywilnej. Stołeczne jednostki AK miały opuścić Warszawę i toczyć walki z Niemcami poza miastem.

Pomimo pewnych sprzeczności w przytoczonych relacjach nie ulega wątpliwości, że katalizatorem obrad nad rolą oddziałów AK w stolicy stało się przybycie do Polski gen. Leopolda Okulickiego na początku czerwca 1944. On był bezsprzecznie głównym zwolennikiem wystąpienia zbrojnego. On przedłożył swym przełożonym, a więc gen. Bór-Komorowskiemu i gen. Pełczyńskiemu, projekt walki o Warszawę i w dyskusjach z innymi oficerami Komendy Głównej AK i na odprawach, parł do walki.

Jeśli chodzi o stronę polityczną decyzji wstępnej, nie ulega wątpliwości że podjęta została w chwili kiedy w Warszawie nie wiedziano, ani o wyjeździe premiera Mikołajczyka do Moskwy, ani o utworzeniu pod egidą sowiecką Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, trzeba zatem uznać, że te czynniki nie odegrały żadnej roli.

Ciechanowski opisuje rozwój sytuacji na froncie wschodnim — tak jak widziała ją Komenda Główna AK — i operacyjne prze-

słanki, które skłoniły dowódcę, gen. Bora-Komorowskiego, do podjęcia decyzji ostatecznej i wydania rozkazu walki. Należało do nich przekonanie, że Niemcy doznali porażki graniczącej z klęską na froncie w środkowej Polsce i że nie będą zdolni odzyskać inicjatywy. Zamach na Hitlera 20 lipca wywarł wielkie wrażenie i w Komendzie Gł. AK liczone się z możliwością kompletnego załamania się Niemiec od wewnątrz; w związku z tym 25 lipca dowódca AK zarządził stan czujności do powstania powszechnego dla całego kraju, w ramach którego musiało dojść do walki o Warszawę. Stan ten odwołano dopiero 7 sierpnia, gdy w stolicy walki trwały już od tygodnia.

Poza względami wojskowymi grały również wielką wagę względy polityczne, które autor omawia szczegółowo w osobnym rozdziale zatytułowanym „Motywy decyzji”. Niemniej, zarówno pod względem wojskowym jak i politycznym dowództwo AK, Delegat Rządu i Rada Jedności Narodowej zgodni byli, że walkę o Warszawę trzeba podjąć i że AK powinna opanować stolicę na co najmniej 12 godzin przed wkroczeniem oddziałów sowieckich.

Jeśli przy decyzji wstępnej kluczową rolę odegrał gen. Okulicki, to przy decyzji ostatecznej podobną rolę odegrał dowódca okręgu warszawskiego, płk Antoni Chruściel (Monter). 27 lipca, po rozporządzeniu niemieckiego gubernatora dystryktu warszawskiego, Fischera, nakazującym stawienie się 100.000 ludzi na dzień 28 lipca do robót fortyfikacyjnych, płk Chruściel zarządził dla swego okręgu alarm, który zgodnie z ustalonymi w 1942 roku planami nie mógł być odwołany i miał skończyć się automatycznym wybuchem walki. Dowiedziawszy się o tym gen. Bór-Komorowski następnego dnia rozkazał pogotowie alarmowe odwołać. 28 lipca zapadła też decyzja, na wniosek płk Chruściela, że walka w Warszawie rozpocznie się o godzinie 17.00, a nie jak przedtem planowano w nocy, i że 12 godzin wystarczy na powtórny mobilizację okręgu.

Ponieważ powodzenie walki o Warszawę wiązano z szybkim zwycięstwem Czerwonej Armii na tym odcinku frontu i wkroczeniem jej do stolicy, moment wybuchu musiał odpowiadać spełnieniu pewnych warunków operacyjnych. Nie mógł być przedwczesny, bo AK nie mogła dłużej niż kilka dni stawiać czoła Niemcom w odosobnieniu, nie mógł z drugiej strony być spóźniony ze względów politycznych, jako że chodziło o objęcie władzy nad uwolnioną Warszawą przez dotychczasową polską podziemną administrację cywilną i wystąpienie w roli gospodarza wobec Rosjan. Dlatego podczas kolejnych odpraw Komendy Głównej AK ustalono jakie miały być warunki operacyjne.

31 lipca, w przeddzień powstania, podczas porannej odprawy K.G. AK, po wysłuchaniu referatu szefa II oddziału na temat stanu sił niemieckich w pobliżu Warszawy i stwierdzeniu, że położenie było nadal niejasne, wyciągnięto wniosek, że walka nie zostanie podjęta 1 sierpnia i że mało prawdopodobne jest rozpoczęcie jej 2 sierpnia. Mimo to, popołudniu tego samego dnia gen. Bór-Komorowski wydaje rozkaz podjęcia walki na jutro, 1 sierpnia. Materiały zebrane przez Ciechanowskiego rzucają wiele światła na ten kluczowy moment i dowodzą niezbicie, że gen. Bór-Komorowski rozkaz swój wydał pochopnie, jedynie w obecności gen. Pełczyńskiego, gen. Okulickiego i Delegata Rządu Jankowskiego, na podstawie błędnych informacji podanych przez dowódcę okręgu warszawskiego, płk. Chruściela, nie czekając na opinię szefów oddziałów Komendy Głównej, a zwłaszcza na miarodajną w tej kwestii opinię szefa oddziału II. Rozkaz swój gen. Bór-Komorowski wydał bez sprawdzenia czy warunki operacyjne przez niego samego kilka dni przedtem przyjęte zostały spełnione. Co więcej, w kilka lub kilkanaście minut po wydaniu rozkazu otrzymał meldunki przeczące wiadomościom przyniesionym przez płk. Chruściela, lecz w warunkach łączności konspiracyjnej, rozkazu nie mógł już odwołać.

Dla uzupełnienia obrazu Ciechanowski, postępując się danymi dotyczącymi położenia frontów niemieckiego i sowieckiego w pobliżu Warszawy, zaczerpniętymi z innych źródeł historycznych, wykazuje że z dniem 31 lipca inicjatywa na przedpolu Warszawy przeszła w ręce niemieckie. Co więcej 1 sierpnia o godzinie 04,10 dowódca 2 sowieckiej armii pancernej wydał swym oddziałom rozkaz przejścia do obrony, a 8 sierpnia jego bezpośredni dowódca, marszałek Rokossowski, meldował Stalinowi że dopiero 25 sierpnia będzie mógł ponowić swe natarcie na Warszawę.

W następnym rozdziale Ciechanowski przechodzi do motywów decyzji. Omawia tu czynniki strategiczne i polityczne, które wpłynęły na jej podjęcie. Rozdział ten, nie mniej interesujący niż poprzedni, jest jednak o wiele bardziej kontrowersyjny, a konkluzje o wiele mniej pewne. Autor przeprowadza pewną selekcję i niektóre wypowiedzi czy twierdzenia wyższych oficerów AK odrzuca, kwalifikując je jako nieszczerze, lub solidaryzując się z podobnymi kwalifikacjami wypowiedzianymi przez innych. Trudno zorientować się jakie przyświecają mu w tym kryteria. Na przykład gen. Pełczyński powiedział, że istniała możliwość iż Niemcy zdołają zorganizować obronę przyczółka warszawskiego, i że dowództwo AK brało pod uwagę tę możliwość w ostatnich dniach lipca 1944. Ciechanowski uważa, że tak nie było i że

podobne twierdzenia zostały rozpowszechniane później, w celu usprawiedliwienia strat i zniszczeń stolicy; powołuje się tu na płk. Rzepeckiego piszącego w kraju. *Prima facie* nie ma żadnych powodów, by świadectwo jednego warte było więcej niż drugiego. Należałoby przeprowadzić pełną analizę obu, jako świadków historii, by móc to zrobić przekonywująco.

Ciechanowski twierdzi również, że przywódcy krajowi nie liczyli się zupełnie z możliwością, iż Sowiety mogą zatrzymać swe uderzenie przed Warszawą, i że tylko jeden wyższy oficer AK — płk dypl. Janusz Bokszczanin — przypuszczał, iż Rosjanie rozmyślnie powstrzymają swą ofensywę na Warszawę, o ile zorientują się że powstanie prowadzone jest przez zwolenników rządu londyńskiego. Według innych, niemniej wiarogodnych źródeł jak te na które powołuje się Ciechanowski, opracowanie operacyjnych warunków dla podjęcia decyzji powstania miało między innymi na celu wywołanie walki w takim stadium zaangażowania wojsk sowieckich o stolicę, by nie mogły się już wycofać i pozostawić AK swemu losowi.

W rozdziale tym autor ponownie nawiązuje do doktryny dwóch wrogów i prezentuje czytelnikowi „jednego z najwybitniejszych generałów AK”, Stanisława Tantara (Tabora), który będąc realistą przewidywał zapanowanie Rosji nad Europą Środkową i szukał porozumienia z nią za cenę zrzeczenia się ziem wschodnich. Był on gotów zrobić to nawet poza rządem.

W charakterystyce gen. Tantara i jego celów Ciechanowski posługuje się relacją płk. Bokszczanina, z którego opiniami na wiele spraw — jak np. wartości legionistów jako oficerów — wydaje się solidaryzować. Jeśli jednak istnieją opinie przeciwstawne to autor albo je pominął, albo ich nie odnalazł, w każdym razie nie możemy się o nich dowiedzieć z jego opracowania. Nie jest to uwaga błaha, bo operowanie źródłami jest podstawową rzeczą w tego rodzaju pracy. Jeszcze pod innym względem Ciechanowski stosuje swoistą metodę wykorzystywania materiałów relacyjnych. Informacje uzyskane z jednego źródła udostępnia osobie która udzieliła nieco odmiennych informacji na ten sam temat, i otrzymuje w ten sposób krytyczne komentarze które przytacza w książce. Podważa to autorytet jednych źródeł a podbudowuje inne. Jedyne bardzo uważny albo do pewnego stopnia wtajemniczony czytelnik, zdoła to zauważyć. Tak więc nie jest to metoda naukowa bez zarzutu.

Posługiwanie się wypowiedziami innych — podawanymi jako źródła, gdy chodzi o własne opinie autora — przypomina operowanie marionetkami. Co innego, ma się rozumieć, gdy teza podbudowana jest szerokim wachlarzem świadectw.

Mówiąc o posługiwaniu się źródłami w formie relacji czy wywiadów należy zrobić jeszcze jedną uwagę. Ciechanowski w odnośnikach podaje kiedy posługuje się relacją ustną, kiedy relacją ustną uzyskaną w obecności drugiego badacza tego okresu, kiedy uzgodnionymi notatkami z rozmowy z daną osobą, a kiedy listem od niej.

Relacje ustne — nawet kiedy są nagrywane na taśmę — jeśli są w formie pytań i odpowiedzi, lub bardziej ogólnej konwersacji, niekiedy składające się z niedokończonych zdań, nie zawsze pozwalają na dokładne odtworzenie przez badacza intencji rozmówcy. Obecność osoby trzeciej nie odgrywa tu większej roli. Przecież nie chodzi o złapanie kogoś za język i powoływanie się potem na świadka. Chodzi o jak najwierniejsze odtworzenie tego, co rozmówca miał do powiedzenia i co mógł naświetlić. Gdy natomiast relacja jest spisywana dopiero po rozmowie, a tekst nie jest uzgodniony z jej autorem ryzyko wypaczenia jego wypowiedzi jest jeszcze większe. W wypowiedziach o powstaniu warszawskim, gdzie o towarzyszach broni, wieloletnich kolegach, przełożonych czy podwładnych mówią osoby, które same w tych wypadkach odegrały ważniejszą rolę — na badaczu spoczywa wielka odpowiedzialność, by ich nie przeinaczyć. Dlatego, z punktu widzenia naukowej wartości książki lepiej by było, gdyby wszystkie relacje zebrane przez Ciechanowskiego nosiły imprimatur „uzgodnionej notatki”.

Autor kreśli sylwetki niektórych wyższych oficerów Komendy Głównej AK, uwzględniając ich kwalifikacje wojskowe, a niekiedy też zabarwienie polityczne. Komenda AK odgrywała pewną rolę polityczną i na tematy polityczne prowadziła dialog z Londynem. Całą korespondencję z Londynem firmował podpisem dowódca AK, ale nie znaczy to, że był on autorem wszystkich meldunków. Tak na przykład większość meldunków dotyczących sytuacji politycznej w kraju czy rywalizacji z PPR, wychodziła spod pióra szefa B.I.P.u, płk. Rzepeckiego, i siłą rzeczy odzwierciedlała jego poglądy. Czy są one wiernym odbiciem ówczesnej sytuacji, czy też raczej należy je interpretować jako przejawskrawienia, w celu wywołania takich czy innych pociągnięć ze strony gen. Bora-Komorowskiego lub Londynu, niesposób w tym omówieniu rozstrzygnąć. Należy jednak zaznaczyć, że ten aspekt uszedł uwagi Ciechanowskiego i że powinien stać się kiedyś przedmiotem dalszych badań. Wydaje się że nieświadomy tego, Ciechanowski na podstawie dokumentów zbyt wielką rolę przypisuje rywalizacji z PPR.

Tak samo sylwetka gen. Tatara nakreślona jest zbyt jednostronnie. Rola jaką odegrał i w Polsce i na Zachodzie czeka jesz-

cze na opracowanie i dopiero wtedy będzie można wydać o niej sąd. Na podstawie tak fragmentarycznych danych czytelnik musi wyrobić sobie zupełnie fałszywy pogląd na jego działalność.

Jeszcze jedna zasadnicza kwestia nie została poruszona, choć autor jak gdyby ją postawił, dzieląc podjęcie decyzji na wstępne i ostateczne. Nie ulega wątpliwości że ostateczna decyzja — termin wybuchu walki — była tragiczną pomyłką. Ale czy należy z tego wyciągać wniosek że błędem była też decyzja podstawowa — podjęcie walki w stolicy? Wydaje się że jest to zagadnienie odrębne i jako takie powinno zostać potraktowane.

Nie nadszedł jeszcze czas, by historia mogła wydać w tej sprawie sąd ostateczny, gdyż ciągle brak jest niezbędnej perspektywy. Gdy jednak ta chwila nadejdzie, wiele innych elementów zostanie niewątpliwie wziętych pod uwagę, a między innymi i ten jakie szanse osiągnięcia zamierzonych celów politycznych miałiby autorzy powstania, gdyby rozpoczęto je we właściwym momencie. Walkę o Warszawę rozpoczęto w niesprzyjających warunkach, a jednak znaczną część celów wojskowych osiągnięto. Trzy piąte miasta przez szereg dni było w rękach polskich.

Autor jest widać zdania, że czas już dojrzał do wydania sądów i — o ile się można zorientować — potępia nie tylko powstanie i „Burzę”, ale także i celowość istnienia Armii Krajowej i podziemia, o takim obliczu jakie miały, przez dwa lub trzy lata wojny.

W wieku dojrzałym autor stał się realistą i wyznawcą tez gen. Tataru. Ale należy sądzić, podejście jego jest niemniej uczuciowe niż wtedy gdy sam walczył na barykadach Warszawy, latem 1944 roku. Rozprawia się teraz ze swoją przeszłością i z samym sobą w równym stopniu jak z tymi, których obarcza odpowiedzialnością za zniszczenie Warszawy. Można tu zauważyć, że historia nie przyjmuje powodzenia jako uniwersalnie obowiązującego kryterium pochwały. Bywa, że przychylnie ocenia niepowodzenia i klęski.

Tam gdzie Ciechanowski stara się wyciągnąć wnioski dotyczące stosunków polsko-sowieckich, z jednej strony wyraża się nadzwyczaj ostrożnie, a z drugiej to, co podaje, pełne jest nie-domowień. Współpraca z komunistami była co najmniej „na jakiś czas możliwa”. Mając przed oczyma przykład powojennej Czechosłowacji i układu realisty Benesa możemy sobie o tym wyrobić całkiem realistyczne pojęcie. Omawiając czysto wojskowy aspekt tego zagadnienia Ciechanowski przytacza przekonujące dowody, że w pierwszych dniach sierpnia armie Rokossowskiego nie mogły kontynuować ofensywy, natomiast jego naświetlenie stanowiska Stalina — gdy pod koniec sierpnia Rokossow-

ski był gotów do działań zaczepnych — jest zupełnie niezadawalające. Ciechanowski dopuszcza — ale tylko jako jedną z wielu możliwości, i to nie pierwszą — dążenie Stalina do zgnięcia podziemia polskiego rękami Niemców. To, że badacz tak dokładnie obznajomiony z dokumentami alianckimi, uznał za stosowne przemilczeć poruszenie jakie wywołała na Zachodzie odmowa Stalina na pozwolenie lądowania samolotów amerykańskich lecących z pomocą dla walczącej Warszawy, nasuwa przypuszczenie tendencyjności z jego strony. Pominięcie tak ważnego elementu wypacza całkowicie pozycję sowiecką a równocześnie osłabia argumenty strony polskiej, przemawiające na korzyść wystąpienia Podziemia jako gospodarza w stolicy Polski celem przeforsowania zmiany stanowiska zachodnich aliantów wobec Polski i Rosji. Potwierdza to uwagę na początku tego omówienia, że praca Ciechanowskiego nie pozwala na wyrobienie sobie poglądu na stosunek Rosji do Polski.

Na zakończenie należy jednak przyznać, że opracowanie Ciechanowskiego, zawierające wiele cennych materiałów, ułatwi zadanie wszystkim innym historykom i że mimo swych usterek i zbyt pochopnych sądów stanowi wartościowy wkład do poznania naszych dziejów.

Jerzy IRANEK-OSMECKI

Franciszek KALINOWSKI

KSIĄŻKI O POLSKIM LOTNICTWIE

HISTORIA POLSKICH KONSTRUKCYJ LATAJĄCYCH

Fascynujące dzieło Jerzego Cynka* jest wspaniałym hołdem oddanym polskiej myśli lotniczej, polskim konstruktorom, przemysłowi lotniczemu i ogromnym rzeszom entuzjastów latania, na czele z pilotami i technikami. Historia każdego modelu latającego, płatownca, helikoptera, samolotu szybowca jest ilustrowana ciekawymi fotografiami i często rysunkami technicznymi, a opisy są bardzo dokładne i szczegółowe. Jest to prawdziwa kopalnia wiedzy, do której materiały autor zbierał skrupulatnie i mozolnie w ciągu 25 lat, nawiązując korespondencję z setkami

* Jerzy B. Cynk, *Polish Aircraft 1893-1939*. Putman Comp. Ltd., London 1971, str. 760. Cena £.7.50.

konstruktorów, pilotów i techników polskich rozsianych po całym świecie, oraz sięgając do materiałów znajdujących się w bibliotekach, archiwach i muzeach w wielu krajach.

Trudno jest powstrzymać się od westchnienia, dlaczego to dzieło nie ukazało się w języku polskim? Ale odpowiedź jest prosta: nie znalazłby się wydawca który podjąłby się ryzyka, a jak wiadomo, polska książka jest z reguły przedsięwzięciem deficytowym, gdyż nawet mały nakład nie rozchodzi się wobec obojętności naszej emigracji w szczególności w stosunku do poważnych opracowań. Tak więc polski czytelnik, który chce poznać piękną historię dorobku Polski w dziedzinie konstrukcyj latających, musi sięgnąć po książkę pisaną w języku angielskim.

Tytuł książki, „Polish Aircraft 1893-1939”, jest niezupełnie ścisły, aczkolwiek w języku angielskim tego rodzaju generalizacja jest na ogół przyjęta, treścią książki bowiem nie są tylko i wyłącznie *samoloty* (aircraft), lecz również modele latające, płatowce, helikoptery, szybowce i przemysł lotniczy. Ponadto, rok 1893 może być oczywiście uważany za początek polskich konstrukcyj latających, ale *samolotów* w ścisłym tego słowa znaczeniu wówczas jeszcze nie było.

Książka podzielona jest na cztery części. Pierwsza część, do strony 106, jest poświęcona okresowi pionierskiemu, od 1893 do 1918 roku. Druga część, do strony 580, jest historią naszego przemysłu lotniczego. W trzeciej części autor przedstawia owoce indywidualnych i amatorskich wysiłków, do strony 665, wreszcie czwarta część obejmuje dziedzinę szybownictwa.

Nawet najstarsi lotnicy i znawcy historii naszego lotnictwa znajdują w każdej części dzieła Cynka rzeczy nieznane lub mało znane, bardzo ciekawe i obrazujące dobitnie osiągnięcia polskie, toteż z tego punktu widzenia jest to dzieło podnoszące na duchu zgorzkniałych i superkrytycznych Polaków.

W pierwszej części autor dość obszernie polemizuje z Czesławem Zbierańskim na tle jego książki pt. „O narodzinach lotnictwa polskiego”, wydanej w Nowym Jorku w 1958 roku. Przekonywująco pisze autor o pracach i zasługach Czesława Tańskiego, który obok profesora Stefana Drzewieckiego był niewątpliwie „ojcem polskiego lotnictwa” w szerokim tego słowa znaczeniu. Wiele nazwisk i konstrukcyj wymienionych w tej części jest zupełnie nieznanymi ogółowi, a fotografie i rysunki dokumentują ten dowód, że wśród pionierów latania liczba Polaków jest imponująca.

Część druga obejmuje na ogół słuszną analizę przemysłu lotniczego w Polsce, od początku do wybuchu drugiej wojny światowej; zawiera opisy wszystkich znanych i nieznanymi konstrukcyj oraz ich historię, włącznie z krótkimi wiadomościami o użyciu wszystkich typów samolotów bojowych w kampanii polsko-niemieckiej.

Aczkolwiek przebieg działań bojowych nie jest przedmiotem książki, autor dał na ogół słuszne opisy i ocenę użycia lotnictwa, nie wykorzystał jednak odpowiednio źródeł podanych w spisie

bibliografii. Tak np. na str. 169 popełnił dwie nieścisłości: po pierwsze, twierdzenie, że nasze lotnictwo myśliwskie było „całkowicie pozbawione jakiegokolwiek systemu dozoru (ostrzeżenia)”, jest niesłuszne, gdyż Brygada Pościgowa na kilka tygodni przed wojną rozpracowała z inicjatywy mjr. dypl. E. Wyrwickiego i przy pomocy Bolesława Solaka (inżynier, specjalista radia, szeregowiec z cenzusem, nie służył jeszcze wówczas w lotnictwie) prymitywną sieć dozoru powietrza, która jednak w ciągu pierwszych kilku dni działała dość dobrze. Ponadto, dywizjony w armiach miały zorganizowane posterunki dozoru, które jednak wskutek niedoskonałego sprzętu dawały małe wyniki, zbyt późno zazwyczaj przekazywane do centrali dywizjonów. Po drugie, mylnie podane są wyniki Brygady Pościgowej, która w sumie ma przyznane 54 samoloty niemieckie zniszczone, a nie 42. Wprawdzie autor wspominał o powodzeniu Poznańskiego Dywizjonu, ale można było podać, że ma on przyznane 31 samolotów zniszczonych. Niesłuszne jest również twierdzenie o „16 dniach walk” naszych myśliwców, gdyż ostatni samolot niemiecki był zestrzelony 17 września, a pojedyncze samoloty działały do początku października.

Wspomniany Bolesław Solak podany jest na str. 653 jako pilot-oblatywacz; zapewne mowa jest o jego bracie, Jerzym, gdyż Bolesław nie był pilotem.

Autor bardzo krytycznie pisze o stosunku władz najwyższych do spraw lotniczych, z czym na ogół trzeba się zgodzić, ale nie zawsze. Tak np. na stronie 232 pisze: „Wobec braku decyzji Polskiego Naczelnego Dowództwa co do użycia bombowców...”. Źródła przytoczone przez autora podają treść rozkazu N.D. w tej sprawie, mianowicie, że Brygada Bombowa ma być użyta wyłącznie do zwalczania nieprzyjaciela na polu bitwy, toteż projekty lotników aby w odwecie bombardować miasta (autor pisze o Królewcu) były sprzeczne z wytycznymi N.D. a ich odrzucenie nie było wynikiem „braku zdecydowania się na coś”.

Trudno zgodzić się z autorem w sprawie „Łosia”, gdy na stronie 233 pisze, że samolot ten był „niedoceniany przez rząd przedwojenny jako broń, a ignorowany przez powojenne władze jako zabytek muzealny”. Nigdzie i nigdy podobne oceny nie ukazały się. Przeciwnie, zawsze, od 1938 do 1945 roku olbrzymia większość głosów fachowych i rządowych oraz społeczeństwa, słusznie głosiła sławę „Łosia” jako najlepszego polskiego samolotu, mającego zaszczytne miejsce wśród samolotów świata. W tej sprawie autor z pewnością nie jest odkrywcą ani samotnym szermierzem „Łosia”.

W przedmowie autor wspomina, że jednym z trudnych problemów było odszukanie imion i stopni wojskowych pilotów i konstruktorów, że niejednokrotnie konieczne były mozolne poszukiwania. Kilka błędów zauważonych zdaje się wskazywać, że w pewnych wypadkach zaszyły pomyłki lub opuszczenia których bardzo łatwo było uniknąć.

Na stronie 182 imię płk. Filipowicza jest podane jako Bohdan, a było mu na imię Czesław, co wraz z jego fotografią figuruje np. w „księdze ku czci poległych lotników”, wymienionej w spisie bibliografii.

Na stronie 256 bohater „Suma” podany jest jako „Cpt Stanisław Riess”. Otóż Riess był wówczas podporucznikiem rezerwy, w cywilu, a zginął w 1942 roku w stopniu porucznika. Jest na to kilka źródeł.

Zrozumiałe jest, że w pewnych wypadkach trzeba po prostu opuścić imiona, bo ich nie można nigdzie znaleźć. Ale trudno wybaczyć i zrozumieć opuszczanie imion przy znanych a nawet sławnym nazwiskach. Na stronie 406 autor wymienia jako wykonawców zadziwiających akrobacyj Mümlera i Łagunę, nie podając ich imion ani tam, ani w indeksie. Wystarczyło zapytać pierwszego napotkanego lotnika z prawdziwego zdarzenia w Centrali SLP w Londynie, przy 14 Collingham Gardens, a autor dowiedziałby się, że ppłk Mümler mieszka w Londynie i ma na imię Mieczysław, a śp. ppłk Łaguna, który zginął w 1941 roku na czele I Polskiego Skrzydła, miał na imię Piotr. Są to dwaj myśliwcy mający piękne karty w historii, toteż pominięcie imion tak barwnych postaci musi razić każdego lotnika. Oczywiście w języku angielskim opuszczenie to jest małoważne, choć obydwaj byli bardzo znani w RAF'ie.

Kontrowersyjna do dziś dnia sprawa „Jastrzębia” (prototypu samolotu myśliwskiego) jest przedstawiona obszernie, ale, jak to autor zaznacza, wyłącznie na materiałach zebranych przez niego, głównie od personelu związanego z wytwórnią PZL i częściowo z dowództwem lotnictwa. Nie są to jednak wszystkie dostępne materiały, aczkolwiek autor słusznie pisze, że dokumentacja zaginęła bezpowrotnie.

Twierdzenia autora w dużym skrócie są następujące:

— początkowo dawał niezadawalające wyniki, zwłaszcza szybkość, ale w maju 1939 roku jakiś młody inżynier (nazwisko nie podane!) zauważył, że rura wdechowa (wlot) do gaźnika była wyraźnie zbyt mała; w lecie 1939 roku prototyp dostał wlot o większej średnicy i odtąd silnik rozwijał pełną moc;

— o ile szybkość najwyższa z *pełnym obciążeniem* wynosiła w pierwszych próbach 442 km/godz. a czas wznoszenia był duży, o tyle po wmontowaniu większego wlotu do gaźnika otrzymano szybkości *ponad* 500 km/godz.

— uzbrojenie rzekomo składało się z 2 działek 20 mm i 4 k.m. znajdujących się w skrzydłach;

— były kłopoty z silnikami i proponowano co raz to inny;

— w lecie 1939 roku gen. Zając, zniechęcony próbami, zdecydował się na wstrzymanie produkcji „Jastrzębi”, będąc zresztą przeciwnikiem silników gwiazdzystych; ponieważ jednak na Okęciu rozpoczęto już budowę serii płatowców (30 sztuk), gen. Zając zgodził się na ich dalszy żywot; w międzyczasie nadeszły silniki Mercury VIII;

— w konkluzji autor uważa, że *gdyby* można było dać „Jastrzębiowi” lepszy silnik, byłby to dobry samolot, faktem jednak jest, że w sierpniu 1939 roku próby samolotu i jego homologacja nie były ukończone, a próby użytkowe w ITL nie były nawet zaczęte.

Muszę przyznać, że cały wywód Jerzego Cynka na pięciu stronach nie przekonał mnie i wydaje mi się, że autor przejął się entuzjazmem dla „Jastrzębia” — zrozumiałym wśród inżynierów PZL (nie wszystkich) i oficerów dowództwa lotnictwa — pisząc w rezultacie apoteozę tego samolotu. Moje osobiste zetknięcia się z całą sprawą są wprawdzie tylko fragmentaryczne, niemniej zaprzeczają właściwie wszystkim twierdzeniom autora i dlatego muszę się nad tym dłużej zatrzymać. Nie byłoby to potrzebne gdyby autor zapoznał się z moim raportem wrześniowym i meldunkami pilotów — oblatywaczy, Riessa, Oleńskiego i innych. Dałoby to naświetlenie sprawy „z przeciwnej strony wzgórze”.

W lutym 1939 roku szef wydziału (ppłk dypl. J. Jasiński) wysłał mnie na konferencję w sprawie „Jastrzębia” do gabinetu dowódcy. Znając dobrze beznadziejność takich konferencji nie chciałem pójść sam. Zastałem w gabinecie dowódcy: gen. Rayskiego, płk. T. Karpińskiego, mjr. inż. Hirszbantta, kpt. Białowiejskiego i trzech cywilnych inżynierów, na czele z p. Jakimiukiem. Konferencja była już w toku podobno pół godziny. Gdy zameldowałem się generałowi, płk Karpiński powitał mnie jak zwykle sarkastyczną uwagą: „Znowu jakiś *duplomowany* przyszedł”. Zabrał głos Hirszbant, specjalista od uzbrojenia lotniczego. Poprosił grzecznie aby się zastanowić czy nie należałoby dać „Jastrzębiowi” większego uzbrojenia, gdyż *dwa* karabiny to słaba siła ognia, Niemcy i Anglicy mają po 6 do 8 źródeł ognia w samolotach myśliwskich. Gen. Rayski powtórzył argument który usłyszałem od niego już w grudniu 1938 roku, po powrocie z Anglii: „Panie, z tym dużym uzbrojeniem jest zawsze dużo kłopotu, te Hurricany i Messerschmitty wciąż mają trudności. W 1920 roku latało się z jednym karabinem i było dobrze! Oczywiście można by spróbować, ale ile waży, ile to zabierze szybkości?”. Z tym pytaniem zwrócił się do trzech cywilnych panów. Poszeptali między sobą, zrobili krótkie obliczenia i orzekli: „No, zależy ile dać, jak cztery to inaczej, jak sześć to więcej, w każdym razie około trzydziestu kilometrów na godzinę”. Na to Rayski obruszył się: „To niemożliwe, grunt to szybkość, jak te wasze karabiny czy działka mają mi ukraść trzydzieści kilometrów, to won”. Jest faktem niezbitym, że za moich czasów „Jastrzęb” latał bez żadnego uzbrojenia.

Następnie poprosił o głos kpt. Białowiejski, radiota. Zameldował posłusznie panu generałowi, że stacja radiowa którą chciałby widzieć, na „Jastrzębiu” nie może się zmieścić, bo nie ma nawet miejsca w samolocie dla starego typu stacji, mało wartej. Znowu pytanie fachowe: a ile to waży, ile zabierze szybkości? Poszeptali panowie inżynierowie i orzekli, że trudno będzie rozszerzać teraz kadłub, a szybkość spadłaby na pewno o 20 do 30 kilometrów na godzinę. Na to Rayski: „A to won. Bo właściwie po co myśliw-

cowi radio? Latało się w 1920 roku bez radia i było byczo!“. Próby naszej dalszej argumentacji generał uciął krótko, zwracając się do cywilnych panów: „No to my sobie to później omówimy jeszcze, przyjadę do panów i zobaczymy co się da zrobić“.

W kwietniu 1939 roku zabrał mnie gen. Kalkus na lotnisko — właśnie Orliński oblatywał „Wichra“, ale wylądował „Jastrząb“. Generał polecił mi zobaczyć kto był pilotem, z tym, że jeśli go znam, mam go przyprowadzić do generała. Pilotem był mój przyjaciel, Stanisław Riess. Podeszliśmy do generała i Riess zameldował co następuje: „Robiłem trzy próby szybkości na bazie, maszyna nie ma uzbrojenia ani radia, a ledwo wycisnąłem 405 kilometrów. Coś oni bujają o tych 500 kilometrach z nadwyżką, poza tym, wchodzi na wysokość bardzo wolno, obrotna jak krowa. W ogóle samolot nieudany“.

Wszystko to potwierdzili Riess i Orliński już w Anglii, gdy pisali swoje raporty na polecenie attaché wojskowego, w październiku.

Czy gen. Zając upierał się, że nie lubi silników gwiazdzystych tego nie wiem, ale rozmawiałem z nim w grudniu 1938 roku w Londynie (będąc na stażu właśnie w czasie jego wizyty) i plan rozbudowy lotnictwa, który mi nakreślił był bardzo rzeczowy i po myśli lotników: Polska potrzebowała *głównie* obrony w powietrzu, stąd lotnictwo myśliwskie musi być rozbudowane, a skoro sprzedaliśmy P-24 a „Jastrzębie“ nie gotowe do produkcji, trzeba szukać innego wyjścia. Gdyby Jerzy Cynk zapoznał się z raportem gen. Zająca do marszałka Rydza-Śmigłego — a jest on w źródłach — to musiałby przyznać, że Zając choć piechur — miał dobre pomysły w sprawie obrony powietrznej Polski. Zaniedbania spraw lotniczych były długoletnie — Zając, Kalkus i Ujejski nie mogli w sześć miesięcy ani stworzyć czegoś z niczego, ani zepsuć tego co było. Nie zapominajmy, że brygada pościgowa i bombowa powstały dopiero po odejściu gen. Rayskiego, który do dziś dnia twierdzi w swoich artykułach i książce, że doktryna lotnictwa polskiego była właściwie słuszna!!! W ogóle doktryny nie było za czasów gen. Rayskiego, tylko wzorowanie się na 1920-ym roku.

Części trzecia i czwarta obrazują doskonale wysiłki indywidualne i amatorskie oraz dziedzinę szybownictwa. Tylko czytając je można w pełni ocenić zasługę autora w utrwaleniu tych dawno zapomnianych ludzi i maszyn oraz osiągnięć, często w ogóle nieznanymi ogółowi wskutek skromności entuzjastów latania i słabej prasy lotniczej.

Pod względem technicznym książka jest wydana pieczołowicie i bogato, a chociaż jest w języku angielskim, powinna znaleźć się we wszystkich bibliotekach polskich na całym świecie jako wieczysty pomnik udziału Polski w światowym lotnictwie w zakresie pomysłów, konstrukcyj i wyczynów.



W liczbie osób którym autor dziękuje za współpracę względnie pomoc w szukaniu i zbieraniu materiałów do swego dzieła, wymienia Andrzeja Glassa i dodaje: „Czołowy polski historyk lotnictwa”. Nie znam podstaw do tego wyróżnienia, a w spisie bibliografii żadna książka A. Glassa nie figuruje. Być może, że jest to autor krajowy z młodego pokolenia, którego twórczość nie dotarła do mego podziemia londyńskiego. W tym wypadku z góry przepraszam panów Cynka i Glassa.



„1000 SŁÓW O SAMOLOCIE I LOTNICTWIE”

Autorem tego słownika znaczeniowego z wszystkich dziedzin związanych z lotnictwem jest Jerzy Domański. Pierwsze 200 stron zawierają alfabetycznie podane wiadomości, zaopatrzone obficie w ilustracje i rysunki jednobarwne oraz kolorowe; druga część książki, 86 stron, nosi tytuł „Znani i zasłużeni ludzie lotnictwa”, z tym, że na 15 stronach podane są nazwiska polskich lotników, a na pozostałych nazwiska z całego świata. Trzecia część, podzielona podobnie jak druga, jest „Kroniką najważniejszych wydarzeń w lotnictwie”.

Nie mam specjalnych zastrzeżeń do części ściśle fachowej książki; trzeba być inżynierem i znawcą aby stwierdzić jakieś błędy czy niedociągnięcia w podanych zwięzłych opisach. Natomiast wykaz lotników polskich i obcych — znanych i zasłużonych — jest opracowany z punktu widzenia „radzieckiego”, a więc tendencyjny i krzywdzący lotników polskich, za to wymieniający przesadnie ilości lotników rosyjskich, albo małoznanych, albo mało zasłużonych. Już sam tytuł budzi zastrzeżenia, bo rzecz jasna są ludzie znani w lotnictwie lecz niezbyt zasłużeni, i na odwrót, są bardzo zasłużeni ale nieznanymi, względnie małoznani, których właśnie należało w tym spisie zamieścić.

Kto zna nasze lotnictwo nawet tylko powierzchownie ten musi być zdziwiony zamieszczeniem w tym wykazie jednych nazwisk przy jednoczesnym pominięciu innych. Dam kilka przykładów, tych najbardziej rażących, aby mnie ktoś nie posądził o złośliwość.

Idźmy alfabetycznie i postawmy autorowi kilka pytań.

Jest więc Abłamowicz Andrzej, powojenny pilot szybowcowy, ale nie ma Abzółtowskiego — pilota z zarania polskiego lotnictwa, dowódcy pułku, znanego autora.

Jest kpt. Arct Bohdan, ale nie ma majora Arciuszkiewicza, dowódcy dywizjonu Obrońców Warszawy.

Pod literą „B” brak tak znanych i zasłużonych lotników jak pułkownicy Bohuszewicz, Beill, Bokalski, za to są piloci szybowcowi powojenni Bitner i Brzuska. Ba, nawet autor zapomniał o szefie sztabu PSP płk. Brzezynie, choć i znany i zasłużony.

W ogóle starszyzny lotniczej to już p. Domański widocznie nie lubi, to jest polskiej: nie ma w jego wykazie ani *generała* Rayskiego, ani Beauraina, ani Ujejskiego, ani Kalkusa, ani Mariana Romeyki, znanego w całej Polsce lotnika i pisarza, ani pierwszych dowódców dywizjonów w Anglii: Makow-

* 1000 słów o samolocie i lotnictwie. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1971. Cena 40 zł.

skiego, Rudkowskiego, Mümlera, Pamuły, Łaguny, Zaręby, Sulińskiego, Cwynara, ani starych komendantów ośrodków i pułków, jak Iwaskiewiczza, Garbińskiego, Praussa, Iżyckiego (generała!).

Jakże zabawne jest zamieszczenie Króla *Wacława*, a pominięcie Króla *Stanisława* — kawalera *Virtuti Militari* klasy IV za loty w czasie powstania i przed do Warszawy. Gdyby ich położyć na wadze, to z pewnością Stanisław okazałby się bardziej i znanym i zasłużonym od Wacława, choć i temu niczego nie ujmujemy.

Czym więc kierował się Jerzy Domański w wyborze „znanych i zasłużonych lotników polskich”?

Nie mam pretensji do zasług, ale zdaje się że jako lotnik i pisarz jestem trochę znany i mam jakieś tam zasługi; owszem, jest w wykazie porucznik Kalinowski, W., pilot myśliwski „który walczył na szlaku bojowym pułku lotniczego 'Warszawa'”. — Aha, teraz rozumiem!!

Przynajmniej o poległych w kampanii polsko-niemieckiej mógł być autor pamiętać, choć może któryś z nich popadł teraz w niełaszkę? Z poległych brak Laskowskiego, Medweckiego, z żyjących Rolskiego (!). Są to pominięcia które trudno zrozumieć, bo przecież jeśli jest w książce Łokuciewski, to dlaczego brak Rolskiego? — jego dowódcy?

Oczywiście nie wyczerpałem całej listy pominiętych nazwisk znanych i zasłużonych lotników, a wskazanie tych bez których książka mogła się była obejść byłoby niedelikatne. Na tym więc kończę omówienie tej pożytecznej książki.



O POZNAŃSKICH MYŚLIWCACH

Trochę niezgrabny i przedługi tytuł, ale fascynująca książka, bodaj najlepsza książka lotnicza z obfitej literatury powojennej. Oczekiwałem książki pułkownika Króla ze zrozumiałym zaciekawieniem, ale i z pewną obawą, znając autora tylko przelotnie (spotkaliśmy się już po wojnie z mjr. Królem w obozie PRC) i mając wielki sentyment do dywizjonu myśliwskiego z Poznania-Ławicy; spędziłem razem z nim sześć lat, nawiązawszy przyjaźnię które przetrwały pokój i wojnę. Toteż rozczarowanie jest bardzo miłe z uwagi na zalety książki i trochę smutne z powodu jej krótkości — 176 stron — w stosunku do materiału.

Autor ograniczył się do nakreślenia tylko kilkunastu sylwetek oficerów i szeregowych Poznańskiego dywizjonu i to od kampanii 1939 roku począwszy. Bez wątplenia wybrał postacie ciekawe i zasługujące na uwiecznienie, przypominając czyny i życie mniej sławnych pilotów i małoznanych, szkoda jednak, że tak wielu pominął i że nie sięgnął do pokojowej historii dywizjonu.

Z czasu wojny wymienieni są chyba wszyscy piloci, ale brak sylwetek pilotów tak znanych jak Witorzeń, Barański, Łapka, Darjasz, Bieńkowski

* Wacław Król, *Lotnicy spod znaku Poznańskiego „Kruka”*, Warszawa, PAX, 1971.

i kilku podoficerów, których nazwisk w pamięci nie mam, a będąc w szpitalu nie mam możliwości zajrzenia do archiwum.

Te sylwetki które są nie nasuwają żadnych uwag, prócz najwyższego uznania dla talentu autora i wierności portretów. Pułkownicy Mümler i Łaguna wyszli jak żywi, doskonale uchwyceni. Trudno czytać bez wzruszenia tak o nich, jak i o innych pilotach, na przykład o Pilchu i Rytce.

Autor dał czytelnikom to co obiecał w tytule — lotników spod znaku poznańskiego „Kruka” i jest bodaj jedynym autorem wojskowym, który nie uległ zarazie pospolitej i tak irytującej — bawienia się w polityka i stratega. Narracja jest piękna i prosta, życie toczy się na kartach książki wartko i ciekawie, opisy walk, przeżyć i nastrojów są bezpośrednio i chwytające za gardło.

Brak jednak w książce własnych przeżyć autora, a przecież były one niezmiernie ciekawe, bo Król jest jednym z niewielu naszych pilotów, który szczęśliwie wziął udział w pięciu kampaniach: polskiej, francuskiej, w Bitwie o Wielką Brytanię, w Bitwie o Niemcy i w Afryce w „cyрку Skalskiego”. Z młodego podporucznika w cztery lata doszedł do stopnia majora i dowódcy dywizjonu, przejściowo skrzydła. Nie wiem czy autor kierował się zwykłą sobie skromnością, czy może ma zamiar napisać inną książkę, bardziej osobistą, co byłoby bardzo wskazane.

Jednym uchybieniem, na które muszę wskazać jest to, że autor nie sięgnął w przeszłość dywizjonu, do lat 1928-1938. W tym to okresie Poznański dywizjon dowodzony przez kapitana/majora Stefana Pawlikowskiego słynął ze swoich popisów i posiadał całą plejadę starszych i młodych pilotów, wśród których były ciekawe i barwne typy. Autor zdaje się nie wiedzieć, że Piotruś Łaguna był właśnie wtedy już myśliwcem, a tylko ostatnie kilka lat przed wojną latał w eskadrze liniowej, przeniesiony „karnie” z myśliwców, do których powrócił we Francji. Piotruś skakał dwa razy ze spadochronem, a jego udział w popisach akrobatycznych w kraju i zagranicą wart jest wspomnienia. Jego rówieśnikami z Dębina byli Stach Brzezina, późniejszy szef sztabu P.S.P. w Anglii, Feluś Gazda, Szczepan Scibior, Kostek Bielecki, a obok nich młode pokolenie, a więc śp. Gucio Langner, Janek Wróbel, Janek Ocieпка, Kazio Zanoziński, Ludek Paszkiewicz. Poznań do dziś pamięta „wyprawy myśliwców” na miasto w okresie karnawałowym. W kraju jest serdeczny przyjaciel Łaguny, major-pilot Borys Grzebalski, który mógłby cały tom o tym napisać, a przecież wart wspomnienia jest i Geniek Wyrwicki, który jako major dyplomowany zginął we Francji, a z młodszych słynny pilot challenge’owy Andrzej Włodarkiewicz (Drulek), partner Mümlera w szachach, który zginął we Francji przed wojną, oblatując nowy samolot myśliwski.

Życzyć sobie tylko można, aby ukazało się więcej takich książek jak Wacława Króla. Każdy dywizjon zasługuje na monografię, choćby tylko na 150 stronach, ale powiększonych spisem *catalogue personnelu* w jego historii, a więc pilotów i mechaników i pomocników. Wszyscy oni przyczynili się do sławy swego dywizjonu i nazwiska ich powinny być w tych książkach przekazane potomności. Jestem pewny, że nakłady tego typu książek rozchodziłyby się szybko i nie wątpię że tak będzie i z książką Wacława Króla.

Franciszek KALINOWSKI

O PAKCIE — ALTERA PARS

Tak zwany pakt Sikorski-Majski, czyli umowa między rządem polskim a rządem sowieckim z dnia 30 lipca 1941 roku był przedmiotem wielu polemik, analiz i ocen w publicystyce polskiej od lat trzydziestu. Nie powinno to nikogo dziwić, gdyż umowa powyższa była punktem zwrotnym w sytuacji międzynarodowej, w jakiej się wówczas Polska znajdowała. A więc dociekania czy można było uzyskać warunki lepsze, czy wskazana była większa odporność na naciski angielskie — są chyba całkowicie zrozumiałe.

W dyskusjach dotychczasowych mało stosunkowo pisano o publicystyce sowieckiej na temat układu z 1941 roku.

Obecnie przybywa „koronny świadek”, bo nasz ówczesny partner, ambasador Iwan Majski, którego pamiętniki wydano niedawno również w języku polskim¹.

Z relacji Majskiego chciałbym wyodrębnić stronę merytoryczną, następnie zaś omówić atmosferę w jakiej odbywały się rokowania i stosunek osobisty Majskiego do swych kontrahentów.

Natychmiast po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej ambasador Majski interweniuje jeszcze przed wygłoszeniem przez Churchilla przemówienia radiowego. Udaje się Majskiemu (dzięki przyjaznemu nastawieniu Edena) wpłynąć na dokonanie w tekście zmian, które odpowiadały ZSSR. Jednocześnie Majski rozpoczyna szeroką akcję za tzw. drugim frontem, akcję prowadzoną energicznie aż do wiosny 1944. Jako tych, którzy mu pomagali wymienia: Crippsa, Beaverbrooka, Brenden-Brackena, później zaś — Hopkinsa. Churchilla uważa za imperialistę, Roosevelta za człowieka wybitnego, chociaż był on „burżuazyjnym mężem stanu”.

12 lipca Cripps podpisał z Mołotowem pierwszy ramowy układ o wzajemnej pomocy i nie zawieraniu odrębnego pokoju.

Majski podaje, że otrzymał z Moskwy „w połowie lipca” instrukcję niezwłocznego zawarcia paktów wojskowych o wzajemnej pomocy z rządami Czechosłowacji i Polski. Jest to nieścisle: pierwsza rozmowa Majskiego z premierem i ministrem spraw zagranicznych Polski odbyła się już w dniu 5 lipca 1941, a więc instrukcje z Moskwy otrzymał Majski zapewne w końcu czerwca.

Z Czechami sprawa poszła gładko. Wprawdzie po roku 1939 wzajemne stosunki były „w letargu” ale Majski utrzymywał nieoficjalny kontakt z Beneszem (m.in. dzięki pomocy Fierlingera,

1. Iwan Majski, *Wspomnienia ambasadora radzieckiego*. „Książka i Wiedza”, Warszawa 1970.

czeskiego dyplomaty-komunisty). 18 lipca Czeši przyjęli projekt sowiecki bez zmian. Gorzej było z Polakami, nie mógł on się skontaktować bezpośrednio, bo nie znał nikogo w naszym rządzie; nadto stosunki polsko-sowieckie przed wojną, „nie były bardzo przyjazne” a czasem wręcz wrogie (nic nie wspomina Majstkij o pakcie z Hitlerem i o napaści na Polskę!). W tych warunkach Moskwa uważała, że potrzebne są sondáže. Otóż Eden „powitał z entuzjazmem” zamiary ZSSR: podjął się pośrednictwa. Widzimy, jak Sowietom zależało na pośpiechu. Już nazajutrz Sir Alexander Cadogan z Foreign Office przekazuje Majstkiemu propozycję gen. Sikorskiego, aby go Majstkij „odwiedził” celem omówienia procedury rokowań. Majstkij „uśmiecha się lekko” i odpowiada, że wolałby terytorium neutralne. Cadogan także się uśmiechnął i zaproponował Foreign Office, jako miejsce spotkania, dodając, że wyjdzie ze swego gabinetu, gdy się strony spotkają. Po pół godzinie Cadogan zatelefonował do Majstkiego, że generał Sikorski propozycję przyjmuje i sugeruje spotkanie na dzień następny. A więc tempo niezwykle szybko.

Nazajutrz (dnia 5 lipca) pierwsze spotkanie Majstkiego z gen. Sikorskim i min. Zaleskim. Majstkij proponuje w imieniu rządu ZSSR pakt wzajemnej pomocy wojskowej przeciw hitlerowskiemu Niemcom. Jednocześnie stwierdza, że ZSSR obowiązuje się współdziałać we wskrzeszeniu państwa polskiego w jego granicach etnicznych. Te słowa przyjmują polscy kontrahenci „bez wielkiego entuzjazmu” i pytają co to znaczy. Majstkij wyjaśnia, że państwo powinno się składać wyłącznie z Polaków i obejmować terytoria, które zamieszkuje Polacy.

Wówczas minister Zaleski na podstawie statystyki przedwojennej uzasadniał skład narodowościowy państwa polskiego. Majstkij opisuje w sposób złośliwy (o czym poniżej), że jakoby przerwał to przemówienie mówiąc, że sam za młodu był statystykiem i że zna sztuczki statystyczne, do których rząd carski często się uciekał. Ale rząd ZSSR ma własne pojęcie o składzie narodowościowym Polski przedwojennej. Majski deklaruje więc ponownie, że rząd ZSSR chce współdziałać w utworzeniu Polski, ale podkreśla, że będzie to w granicach etnicznych. Jest to podstawowa zasada, bez której przyjęcia nie warto w ogóle rokować. Wówczas gen. Sikorski wmieszał się, sugerując odroczenie posiedzenia celem gruntownego przemyślenia wszystkich spraw.

Pod takimi auspicjami rozpoczęły się rokowania, których dalszy ciąg „zajął dużo czasu i szarpał nerwy”. Rokowania szły opornie, kilka razy były na krawędzi zerwania, ale „rząd radziecki zdobył się na wytrwałość i elastyczność, pokonał przeszkody i 30 lipca pakt został uroczystie podpisany”.

Najtrudniejsza była sprawa granic: po długich dyskusjach i zażartej polemice postanowiono, że „pakt nie będzie w ogóle poruszał przyszłych granic państwa polskiego lecz poprzestanie na oświadczeniu rządu ZSSR, że układy sowiecko-niemieckie z 1939 roku co do zmian terytorialnych w Polsce utraciły swoją

moc. Takie sformułowanie umieszczone w punkcie I (Majskij nie wspomina, że układy te utraciły swoją moc *via facti* wobec wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej). Dalsze punkty układu (stosunki dyplomatyczne, pomocy w toku wojny, tworzenie wojska polskiego w Rosji) są nam dobrze znane. Protokół o amnestii dotyczył, wedle Majskiego wszystkich obywateli polskich, więzionych obecnie w ZSSR „czy to jako jeńcy wojenni, czy z innych prawomocnych powodów”.

Eden od początku „przywiązywał dużą wagę do pojednania, śledził przebieg rozmów, śpieszył za kulisami na ratunek”. Po podpisaniu układu chciał sprawie „nadać jak najwięcej rozgłosu”, gdyż chodziło mu o „umocnienie jedności sojuszników” i o rozreklamowanie generała Sikorskiego, z którym rząd brytyjski łączył dalsze plany. Majskij nie oponował tej uroczystej reklamie, bo „w lecie 1941 pakt sowiecko-polski miał wielkie pozytywne znaczenie i było rzeczą bardzo istotną, aby fakt ten podano do wiadomości jaknajszerszych kół zarówno wśród sojuszników jak i wśród sprzymierzeńców”.

Te słowa Majskiego potwierdzają raz jeszcze, że Sowietom zależało na pośpiechu, gdyż ówczesna pozycja Polski była poniekąd kluczem do uznania Sowietów jako pełnego sojusznika koalicji antyniemieckiej.

Pamiętniki Majskiego potwierdzają także w całej pełni, że od pierwszych dni wojny, w długim okresie klęsk armii czerwonej Sowiety nigdy nie zrezygnowały z piędzi swych grabieży z lat 1939-1940. Domagały się uporczywie uznania swych zaborów przez Anglię i Amerykę. Czyniły to z brutalną konsekwencją, była to dla nich sprawa równie ważna, jak sprawa „drugiego frontu”. Już np. 16 grudnia 1941 w czasie rokowań Edena w Moskwie o nowy układ angielsko-sowiecki, Stalin wyciągnął nagle z kieszeni kartkę zawierającą „dodatek” do układu: uznanie granic sowieckich z 1941 roku. Wedle Majskiego Anglicy może by to dali już wówczas, ale stanowisko Stanów Zjednoczonych (którym się Eden zastąpił) uniemożliwiło wtedy takie uznanie.

Stalin ponowił swoje żądanie w czasie rokowań w Londynie, prowadzonych przez Mołotowa. I tym razem Stalin musiał ustąpić po ostrych dyskusjach, zwłaszcza w sprawie Polski. Cripps informował wtedy Majskiego, że Anglicy poszliby na uznanie granic z 1941 roku, ale że Anglia dała zobowiązania Ameryce, od której jest tak zależna: „przykre, ale co począć” miał się tłumaczyć Cripps.

O sprawie polskiej pisze Majskij jeszcze raz: w roku 1945 rozmawia w Moskwie z Hopkinsem, który tuż przed śmiercią miał załatwić „rozbieżności” między sojusznikami w sprawie przyszłych losów Polski. Hopkinsa wspomina Majskij jako „jednego z najbardziej postępowych ludzi wśród czołowych działaczy świata burżuazyjnego okresu II-jej wojny światowej”.

Tyle Majskij o *meritum*. Nie można jednak pominąć jego negatywnego stosunku do Polski i do osób, z którymi prowadził

rokowania. Stara się za pomocą kilku pociągnięć piórem osoby i sprawy obniżyć i ośmieszyć. Tego rodzaju chwytły pisarskie, znane w krytyce literackiej rosyjskiej pod nazwą: *razwienczanje gieroja* (zdjęcie wieńca ze skroni bohatera) nie obce były nawet wielkim pisarzom. Tak np. Tołstoj umniejsza Napoleona gdy opisuje, że w przeddzień bitwy pod Borodino miał katar i jadł kurę... Umniejsza Polaków, opisując, jak skakali do Niemna gdy na nich patrzył Napoleon w 1812 roku...

Otóż i Majstkij (acz z mniejszym od Tołstoja talentem) daje oprawę ironicznej wrogości rokowaniom o układ. A więc pisze, że na czele „rządu emigracyjnego” Polski, który powstał w Paryżu w 1939 roku po klęsce wrześniowej stał gen. Sikorski „dobry specjalista wojskowy, ale słaby polityk, uczciwy patriota na modłę staropolską i gorący zwolennik orientacji francuskiej”. Z tego co Majstkij słyszał i obserwował, poglądy Sikorskiego były czymś pośrednim między „umiarkowanym konserwatyzmem burżuazyjnym a umiarkowanym liberalizmem”. Nieszczęściem Sikorskiego było, że kręciło się koło niego zbyt wiele reakcyjnych figur, których nie potrafił osadzić przez słabość charakteru, a którzy wykorzystywali jego nazwisko. Dlatego „rząd Sikorskiego 1939-1943” pozostawił po sobie „wiele smutnych wspomnień”. „Ten rząd na wygnaniu obrósł stopniowo w różne pomocnicze organizacje”, był uznawany przez Anglię i Francję, zaś koła rządowe brytyjskie odnosiły się do Sikorskiego przychylnie i życzyły sobie, aby on stanął na czele powojennej Polski.

Samo rozpoczęcie rokowań opisuje Majstkij w sposób zgoła humorystyczny: gdy ustalono spotkanie na 5 lipca, telefonuje Cadogan do Majskiego, że gen. Sikorski uprzedził, że stawi się nie o 4-ej popołudniu ale o 3 minuty później. Majstkij „roześmiał się w duchu” uważając że ma to być „symbol różnicy stopni służbowych”. Odpowiedział, że nie oponuje, jeśli generał Sikorski uważa niepunktualność za cnotę. Słyszał rzekomo, jak się Cadogan także roześmiał, gdy przeproszał za przekazanie „tej dziwnej wiadomości”.

Nazajutrz o 4-ej punktualnie zjawia się Majstkij w gabinecie Cadogana, ubrany w szare ubranie, bo dzień był gorący. Dokładnie po 3-ch minutach stanął gen. Sikorski „w galowym mundurze ze wszystkimi orderami i dystynkcjami”. Spoza jego pleców wyglądała postać polskiego ministra Spraw Zagranicznych, Zaleskiego: „jego zwaliste ciało jakby wylewało się z czarnego surduta i sztuczkowych spodni, a wysoki sztywny kołnierzyk podpieriał pulchne policzki”. Gdy Sikorski spojrzął na Majskiego, na jego twarzy odbiło się zgorzsenie „frywolnością letniego stroju”.

Ile w tym złośliwej fantazji! Generał Sikorski nosił wtedy, jak zawsze, taki sam mundur polskiego generała. Zaś minister Zaleski, zawsze w doskonałej formie i ubrany odpowiednio, na pewno nie był w *surducie* i nie w „wysokim sztywnym” kołnierzyku.

I kto to pisze: urzędnik służby zagranicznej sowieckiej, znanej ze sztywnych bizantyjskich reguł protokolarnych!

Ale na tym nie dość: Majskiemu mówili świadkowie, że Polacy przybyli dwoma olbrzymimi samochodami: w pierwszym premier i minister, w drugim dwaj umundurowani adiutanci. Ci wbiegli do gmachu F.O. „pomknęli korytarzami, roztrącając napotkanych i wołając głośno: „generał idzie, generał idzie”. Za nimi postępował majestatycznie Sikorski pod eskortą Zaleskiego”.

Powyższy opis charakteryzuje dosadnie nastawienie „człowieka radzieckiego” do swych kontrahentów.

Albo dalej: na tym pierwszym spotkaniu, gdy Zaleski broni granic Polski, cytuje statystykę „w sposób nudny i monotony”, z czego miało wynikać, że „ani Ukraińców ani Białorusinów” w Polsce nie było i że „jedyną mniejszością (jeżeli to w ogóle można uważać za mniejszość, podnosząc palec dodał Zaleski) stanowiło tylko pół miliona Żydów”. Tak ośmiela się pisać przedstawiciel państwa — więzienia narodów, państwa prześladowanego zarówno Ukraińców i Białorusinów, jak i Żydów.

Pisząc o trudnościach w rokowaniach Majskij znowu charakteryzuje gen. Sikorskiego: „aczkołwiek S. reprezentował, zdawałoby się inny nieco kierunek polskich kół wojskowych, aniżeli osławieni pułkownicy, którzy doprowadzili przedwojenną Polskę do zguby, ale zarówno jego, jak i jego otoczenie ożywiały dość wyraźny duch agresywno-imperialistyczny. Generałowi brakowało realizmu politycznego, a „romantyzm” starych tradycji śląskich trzymał go w swych pętach”...

Świetnie: imperialiści Polacy i miłujący pokój „ludzie radzieccy”. Jest jeszcze jeden ustęp w pamiętnikach Majskiego, który dotyczy gen. Sikorskiego: w lipcu 1943 Majskij w drodze do Moskwy leci z Gibraltaru do Kairu. Ląduje w pustyni libijskiej, a nie jak zwykle w Castel Benito, bo tam lądował samolot gen. Sikorskiego w drodze do Gibraltaru; Anglicy nie chcieli, aby Majskij spotkał się z Sikorskim, gdyż „stosunki dyplomatyczne były zerwane”. Nic nie pisze Majskij kto zerwał i z jakiego powodu. O Katyniu ani słowa...

O katastrofie w Gibraltarze dowiaduje się Majskij na lotnisku w Kairze. I w tym momencie nie może się powstrzymać od złośliwego tonu: lord Killearn, ambasador brytyjski „przybrał bolesciwą minę i tonem głębokiego współczucia” zawiadamia o wypadku zebranych w mesie oficerskiej. Majskij nic nie mówi (to lepiej!) tylko rozmyśla: to na pewno sprawka Niemców via robotnicy hiszpańscy z La Linea.

„Czto i triebowałos dokazat!”

Witold BABIŃSKI

Montreal, listopad 1971

LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 26 stycznia 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z ustępem na str. 104 „Komentarzy do historii dyplomatycznej wojny 1939” śp. min. Józefa Becka, podanych do druku przez płk. dypl. Leona Mitkiewicza (*Zeszyty Historyczne* Nr 20, 1971) proszę Pana Redaktora o zamieszczenie mego oświadczenia:

Nie odpowiada faktowi historycznemu cały ustęp na str. 104 opisujący w następujących słowach moją rzekomą interwencję u min. Becka: „Następnej nocy z 13 na 14 września 1939 roku o godzinie 00.30 przybył dyrektor Tadeusz Kobyłański z pułkownikiem Biegańskim i oświadczyli, że Kwatera Główna i Rząd oraz oddziały pancerne i przeciwlotnicze, towarzyszące Kwaterze Główniej są w pełnym odwrocie i domagali się ode mnie zarządzenia natychmiastowej ewakuacji w kierunku granicy rumuńskiej. Odpowiedziałem tym panom, że nie mam zwyczaju wycofywać się bez rozkazu”.

Mogę natomiast stwierdzić, że pełniąc wówczas funkcję oficera łącznikowego między Kwaterą Główną Naczelnego Wodza a Ministrem Spraw Zagranicznych nie miałem żadnych kompetencji ani urojonych ambicji do wtrącania się do spraw leżących bardzo daleko od moich zadań. W myśl tych zasad nigdy nie poruszyłem z min. Beckiem zagadnienia ewakuacji Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Niezależnie od mego wewnętrznego nastawienia do możliwości interwencji w kwestiach korpusu dyplomatycznego nie mogłem mieć wówczas żadnych wiadomości o ruchach Kwatery Główniej oraz towarzyszących jej oddziałów pancernych i przeciwlotniczych, ponieważ takowe rozpoczęły się z Młynowa i Włodzimierza Wołyńskiego w kierunku Kołomyi — dopiero 14 września przed wieczorem.

Tak oto wyglądają zarzuty autora czy wydawców w świetle faktów historycznych.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania,

Stanisław BIEGAŃSKI



Londyn, 28 października 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pisząc mój artykuł pt. „Próby dozbrojenia Polski” (Nr 20 *Zeszytów Historycznych*) nie wiedziałem o roli jaką odegrał gen. Kazimierz Sosn-

kowski przy uzyskaniu kredytu wojskowego francuskiego w 1936 roku i dlatego mylnie przypisałem inicjatywę w tej sprawie Marszałkowi Rydzowi-Śmigłemu. Uważam że w tym punkcie mój artykuł wymaga uzupełnienia i w tym celu podaję poniżej ustęp z listu od p. Generałowej Jadwigi Sosnkowskiej:

„Generał Sosnkowski, który z wielkim niepokojem śledził rozwój sytuacji politycznej już od czasu objęcia władzy przez Hitlera, i w pełni rozumiał groźne zmiany w niej zachodzące, *całkowicie z własnej inicjatywy* już w 1935 roku rozpoczął rozmowy z ambasadorem Laroche i z generałem D'Arbonneau, szefem francuskiej misji wojskowej w Warszawie. Z gen. D'Arbonneau łączyły go stosunki bardzo bliskie i przyjacielskie.

Będąc w owych latach w Warszawie na pewno Pan musiał słyszeć jak negatywny był stosunek ministra Becka do Francji, zaś marszałek Śmigły absolutnie nie przejawiał *żadnej inicjatywy* co do starań o kredyty. Generał Sosnkowski miał wyjątkowo bliskie i dobre stosunki z rządowymi i wojskowymi sferami francuskimi, i to od początku naszej Niepodległości.

W styczniu 1936 roku generał D'Arbonneau z żoną gościli w naszym domu w Zakopanem i mąż mój miał z nim długą i wyczerpującą konferencję na temat starań o kredyty. Ambasador Laroche ze swej strony przesyłał raporty na Quai D'Orsay popierające inicjatywę Generała i zaznaczające, że minister Beck nie jest związany z tymi staraniami. Dopiero gdy wiosną 1936 roku, zdaje się że w maju, ambasador Laroche i generał D'Arbonneau zawiadomili Generała, że sprawa przyznania kredytów została załatwiona pozytywnie, czyli że zostaną przyznane, Generał udał się do marszałka Śmigłego i poinformował go o swoich staraniach i ich dodatnim wyniku. Wówczas marszałek Śmigły powiedział: „A to doskonale, to Ty pojedziesz do Francji podpisać umowę”. Gdy Generał mi powtórzył te słowa, to znając scenę i aktorów powiedziałam: „Obawiam się, że będzie i tym razem to samo co z pogrzebem Focha”. Generał był z Fochem w serdecznej i bliskiej przyjaźni i kontaktowali się często. Gdy Foch zmarł Generał pragnął jechać na jego pogrzeb, co się jak najlogiczniej tłumaczyło i ze względu na rangę Focha i Generała i ze względu na ich wielką przyjaźń. W ostatniej chwili został jednak wyznaczony generał Romer, który nie miał nic wspólnego z Fochem. Ta sprawa sprawiła wielką przykrość Generałowi. Toteż powiedział ze smutkiem: „Myślę, że nie jesteś daleka od prawdy”... Jakoż i w tym wypadku, niestety, nie pomyliłam się. Również w ostatniej chwili marszałek Śmigły zdecydował się sam pojechać”.

Zaden sąd nie przyjmuje świadectwa żony z wyjątkiem sądu historii. Są w tej sprawie precedensy. Wspomnienia Jadwigi Zamoyskiej są przez wszystkich historyków przyjęte jako poważne źródło do badań nad życiem i działalnością jej męża generała Władysława Zamoyskiego. Podobnie tu, w Anglii, traktowane są pamiętniki wdowy po Conradzie Korzeniowskim. Dlatego nie waham się traktować list p. generałowej Sosnkowskiej jako dokument historyczny i jako taki pragnę go ogłosić, na co uzyskałem Jej zgodę.

Przypomniany przez p. generałową Sosnkowską epizod z pogrzebem Focha ma swoją wymowę. Znana była niechęć Piłsudskiego do Focha — dlatego, to sprawa dla psychologa. Historyk może tylko zanotować fakt, że Piłsudski świadomie zlekceważył pogrzeb Focha, nikogo na ten pogrzeb z

Warszawy nie wydelegował, a tylko w ostatniej chwili wyznaczył generała Romera, przebywającego we Francji z innego powodu. Foch był marszałkiem nie tylko Francji i Anglii, ale także Polski, i brak odpowiedniego jej reprezentanta oraz polskiej kompanii honorowej, był szczególnie rażący. Gen. Romer siedł przy trumnie Focha i trzymał jedną z szarf, a że był niskiego wzrostu, więc do obrazu dołączył się element komizmu. Sam słyszałem potem w teatrzyku paryskim jak po wyliczeniu następców tronu, wodzów naczelnych i kompanii honorowych wysłanych przez inne kraje na pogrzeb Focha, zakończono tę listę pytaniem kogo wysłała Polska, ta od dawna przyjaciółka Francji, wierny towarzysz wielkich bitew i aliant najbliższy. Odpowiedź brzmiała, że „la Pologne a envoyé la chose la plus précieuse, qu'elle pouvait envoyer: elle a envoyé son Soldat Inconnu”. To było w marcu 1929 roku. Choć Francuzi bardzo czuli się dotknięci zlekceważeniem przez Polskę, pogrzebu marszałka Focha, w kilka miesięcy potem minister Zaleski uzyskał w Hadze zasadniczą zgodę Brianda na kredyt francuski na zbrojenia i fortyfikacje w Polsce. Dzięki inicjatywie i staraniom gen. Sosnkowskiego, sprawę tę wznowiono w 1936 roku, niestety zbyt późno i zbyt nieudolnie, by mogła zwiększyć obronność Polski przed wybuchem wojny.

Z poważaniem,

Stanisław KIRKOR



5 listopada 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Dzienniku Polskim* z dnia 14. X. 1971 w Londynie ukazał się artykuł p. Wiesława Wohnouta, usiłujący podważyć autentyczność prac — dwóch — b. ministra spraw zagranicznych R.P. Józefa Becka, umieszczonych w 20-tym *Zeszytcie Historycznym*.

Główną osobą, którą się zajął p. Wohnout jestem ja.

Pomijam wszystkie, ogólnie mówiąc, szpileczki, których nie pożałował mi p. Wohnout, pragnę odpowiedzieć tylko na dwie sprawy.

Pierwsza: od roku 1940-1942 byłem nieprzerwanie w Londynie, pełniąc kolejno obowiązki Szefa Oddziału II Sztabu N.W. i Z-cy Szefa Sztabu N.W. — podlegały mi wówczas oddziały II i VI.

Druga: podane przeze mnie *dwa* artykuły — raczej prace — b. ministra spraw zagranicznych R.P. Józefa Becka są absolutnie autentyczne — jak również list ministra Becka do Ambasadora R.P. w Rzymie — generała Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. W liście tym pisze Beck: załączone prace są nie do opublikowania, a dla zachowania na przyszłość, jako pisane bezpośrednio po znanych wypadkach, jako dokument historyczny, pochodzący z pierwszego źródła.

„Jeden telefon wystarczył?” — pisze p. Wohnout.

Bardzo jestem zdziwiony, dlaczego właśnie pani Beckowa nie zechciała opublikować *wcześniej* tych dwóch prac swego męża, zwłaszcza, że rzekomo opatrzone były odręcznymi wstawkami i uwagami samego pułkownika Józefa Becka.

Dernier Rapport podaje niepełną treść „Preliminarłów”. Zamieszczony tekst w *Zeszytach Historycznych* podaje je w całości.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Leon MITKIEWICZ

Rzym, 27 lipca 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Umieszczone na łamach *Kultury* sprostowanie informacji podanych w 19-tym zeszytzie *Zeszytów Historycznych* w związku z objaśnieniami do listów Zygmunta Jundziła w sprawie Józefa Mackiewicza nie wyczerpują, niestety, serii błędnych danych, jakie się w tej notatce znalazły. Nie sprostowano bowiem podstawowej informacji odnośnie biografii Z. Jundziła, a mianowicie jego roli w życiu polityczno-parlamentarnym Odrodzonej Rzeczypospolitej.

W odnośnej notatce podano, że Jundził był posłem do Sejmu polskiego z ramienia Stronnictwa Ludowego, którego oddział wraz z kilku innymi działaczami założył w Wilnie. A dalej, że „w roku 1925 wystąpił ze Stron. Ludowego i wszedł wraz z Bartlem, Kościalkowskim i innymi do Klubu Pracy w Sejmie”. Odnośnie szczegóły wskazują, iż jest mowa o II Sejmie Rzeczypospolitej (kadencja 1922-27).

Byłem posłem tego Sejmu i zajmowałem w nim dość odpowiedzialne stanowisko, bo przez większość kadencji przewodniczyłem Klubowi Parlamentar-nemu NPR i równocześnie byłem prezesem dość ważnej w układzie prac sejmowych Komisji Regulaminowej i Nietykalności Poselskiej. Klub NPR zasiadał między dwoma skłóconymi stronnictwami ludowymi: na lewicy sąsiedowaliśmy z „Wyzwoleniem”, a na prawicy z „Piastem”. Stąd dobra znajomość personalii obu klubów, nie mówiąc o tym, że posłowie kresowi, a tych było sporo w „Wyzwoleniu”, byli najczęstszymi „klientami”, którymi moja Komisja musiała się zajmować.

Przytoczone w notatce informacyjnej nazwiska Bartla i Kościalkowskiego wskazują, iż według jej autorów Jundził miał być razem z nimi najpierw członkiem „Wyzwolenia” a później Klubu Pracy.

Otóż stwierdzić muszę jak najbardziej kategorycznie, że w II Sejmie nie było posła nazwiskiem Zygmunt Jundził. Wobec wyjątkowej wagi i drażliwości sprawy, w związku z którą podane zostały w poważnym piśmie emigracyjnym tego rodzaju błędne informacje i nie dowierając mej pamięci postanowiłem upewnić się co do ścisłości mego twierdzenia.

Nie budząc żadnych wątpliwości dokumentem jako źródło informacji o składzie członków izb ustawodawczych 20-lecia Odrodzonej Rzeczypospolitej jest wydawnictwo znanej Wielkopolskiej Księgarni Nakładowej braci Rzepeckich w Poznaniu. Nie będąc w stanie zdobyć tego wydawnictwa w Rzymie udałem się o pomoc do jednego z moich przyjaciół w Londynie. Otrzymana od niego odpowiedź brzmi jednoznacznie. Zarówno w wydawnictwie księgarni poznańskiej, jak i w książce Alicji Bełcikowskiej pt. „Stronnictwa i związki polityczne w Polsce”, nazwisko Zygmunta Jundziła nie figuruje w składzie członków Sejmu i Senatu kadencji 1922-27. Zjawia się ono dopiero w kadencji 1930-35, tj. w wyniku wyborów tzw. brzeskich, w których uzyskał on mandat do Senatu, ale nie z listy lewicowego odłamu ruchu ludowego (PSL „Wyzwolenie”), ale BBWR (Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem).

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy szacunku i poważania.

Karol POPIEL

Chicago, 22 czerwca 1971 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Swoje wspomnienia z września 1939 roku w Polsce (*Zeszyty Historyczne* Nr 19) rozpoczyna p. Rudolf Lessel niezbyt pochlebnymi uwagami o dzien-

nikarzach prasy stołecznej. Twierdzi mianowicie, że był wówczas w zespole redakcyjnym *Dziennika Ludowego* oraz *Robotnika* i że w tych pismach niektórzy dziennikarze „od pierwszego dnia wojny siedzieli na walizkach, mniej czy więcej przestraszeni sytuacją”. Naturalnie, p. Lessel „trochę się naśmiewał” z tych panikarzy, natomiast jest pełen uznania dla redaktorów naczelnych obu dzienników, dla Z. Żaremby i M. Niedziałkowskiego, którzy potrafili opanować podniecenie swoich zespołów. Można się domyślać, że p. Lessel dopomógł im swoją postawą.

„Ale w dniu 5 września przysł spokoj” — pisze p. Lessel. Bowiem „w tym dniu, wojenny jej szef (?) płk Ścieżyński zaprosił kilkudziesięciu dziennikarzy na konferencję do Rady Ministrów”... w celu powiadomienia, że tegoż dnia, wieczorem, odejdzie pociąg ewakuacyjny, który zabierze dziennikarzy, wyznaczonych przez redaktorów naczelnych. Autor wspomnień dodaje, że „Żaremba postanowił nie delegować nikogo”.

Te relacje autentycznego dziennikarza z *Robotnika* i *Dziennika Ludowego* budzą jednak wątpliwości. Wiemy bowiem, że byli tacy dziennikarze w Warszawie, którzy pierwszego dnia wojny pakowali walizki lecz nie ze strachu, tylko z powodu obowiązku mobilizacyjnego. Cała reszta, bez paniki, ze zdwojonym wysiłkiem, wypełniała swoje obowiązki, nawet podczas bombardowań miasta. Sądzę, że p. Lessel nie miałby z kogo wyśmiewać się w zespołach *Robotnika* czy *Dziennika Ludowego*. Dziennikarze stołeczni dopominali się i dostali specjalne przepustki upoważniające do poruszania się po mieście podczas nalotów i bombardowań, co jeden z nich, śp. Henryk Gutkowski, przypłacił życiem, ginąc od bomby 2 września.

Zakwestionować trzeba również następną relację o „skrzykniętej” przez płk. Umiastowskiego konferencji prasowej w U.R.M. dnia 5 września. Nikt takiej specjalnej konferencji nie „skrzykiwał”. Natomiast, tuż przed wojną Urząd Rady Ministrów (dyr. Ołpiński) zorganizował Kwaternę Prasową przy URM do której każda redakcja delegowała po 1 lub 2 dziennikarzy i od 1 września zbieraliśmy się dwa razy dziennie w URM dla odbioru informacji i komentarzy. Pierwszego dnia dostaliśmy specjalne Karty Wstępu do URM i nikt, kto nie był akredytowany jako prasa przy URM, nie mógł być zwolowany do URM na jakieś doraźne odprawy prasowe. Przecież to była wojna a kontrola ważnych obiektów zastrzeżona. Załączam Panu Redaktorowi fotokopię mojej legitymacji prasowej, wydanej przez URM na dowód, że moja relacja nie jest gdzieś zasłyszana.

W pociągu ewakuacyjnym (po opuszczeniu stolicy przez rząd) był specjalny wagon dla dziennikarzy, ale wbrew twierdzeniom p. Lessel'a redakcje nie delegowały do ewakuacji. Każdy mógł zająć miejsce w tym wagonie, kto miał legitymację prasową. Odjazd pociągu ewakuacyjnego opóźnił się do 6 września z powodu zbombardowania Dworca Wschodniego. Bardzo mało dziennikarzy ewakuowało się.

Mając tyle wątpliwości, odwołałem się do kilku, żyjących w Polsce b. dziennikarzy z *Robotnika* i *Dziennika Ludowego* aby ustalić, czy p. Lessel rzeczywiście w tych pismach w 1939 roku pracował, jak sam podaje we wspomnieniach. Otrzymałem wyjaśnienia od kilku osób, które zajmowały odpowiedzialne stanowiska w redakcjach *Robotnika* i *Dz. Ludowego*. Nikt sobie nie przypomina, aby p. Rudolf Lessel należał w 1939 roku do którejś z tych redakcji. Co za tym idzie, jego „wspomnienia” mają podkład imaginacyjny a pochlebstwa pod adresem M. Niedziałkowskiego i Z. Żaremby wyglądają na próbę chwytania wiatrów w żaglowaniu ku socjalistom na emigracji.

Upewniły mnie w tym przekonaniu zachowane w Warszawie spisy dziennikarzy z 1939 roku w których obok nazwiska podany jest przydział każdego do odpowiedniej redakcji. Otóż w spisach Syndykatu Dziennikarzy z 1939 roku figuruje p. Rudolf Lessel jako „kandydat na aplikanta dzienni-

karskiego”, zaś w rubryce „w jakiej pracuje redakcji” jest wzmianka: — „Różne wydawnictwa”. Ponadto — jak mi zakomunikowano z kół dziennikarskich w kraju — zachowały się spisy członków zespołów redakcyjnych z 1939 roku zarówno *Robotnika* jak i *Dziennika Ludowego*, w których osoba p. Lessel'a nie jest wymieniona.

Wspomnienia czyjeś — rzecz raczej błaża. Dłuższy czas zastanawiałem się czy warto poświęcać uwagę „historiom” pisanym *pro domo sua*, przez osoby o znikomej roli w życiu politycznym. Ale wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z metodą kamuflażu politycznego, przyjętą przez tych z najnowszej emigracji którzy po wielu latach bezkonfliktowej służby partyjnej w kraju, przedstawiają się z kolei na bezkonfliktową współpracę z emigracją polityczną, przejmując jej język polityczny, upodobania personalne i oceny historyczne. I właśnie tym tłumaczę sobie ukłony w stronę Niedziałkowskiego czy Zaremby przez kogoś komu w Polsce jego przeszłość pepesowska stawała kością w gardle.

Łączę wyrazy szacunku,

Edward PUACZ



Z listu W. T. Drymera do redaktora *Zeszytów Historycznych*:

... Czytałem i mam pamiętniki Schimitzka. Facet pełen urazów. Łaje mnie całkiem bezpodstawnie, bo w MSZ bardzo go szanowałem, choć miałem zastrzeżenia w stosunku do jego nadmiernej pobłażliwości w urzędowaniu i powolności w działaniu. Wbrew moim poleceniom nie wysłała 3 mies. budżetu do placówek w Niemczech i Rosji, mimo że mu to już na wiosnę 1939 zaleciłem. Posłał jedynie do niektórych placówek. Jeśli chodzi o pamiętnik — zapomniał, czy bał się urazić władców PRL, i nic nie napisał o 17 września, o czym przecież wyraźnie pisał, przed nim, Zabięło.

W. T. DRYMMER

NOTA BIOGRAFICZNA

Jerzy IRANEK-OSMECKI, ur. 1928, w latach 50-tych należy do komitetu redakcyjnego strony młodzieżowej londyńskiego *Dziennika Polskiego* „Kontury”, następnie wchodzi do zespołu redakcyjnego miesięcznika studenckiego *Merkuriusz Polski*. Przez pewien czas bierze czynny udział w ruchu młodych federalistów polskich i europejskich.

SPIS TREŚCI

Z. S. Siemaszko: <i>Grupa Szańca i Narodowe Siły Zbrojne ..</i>	3
Lucjan Dobroszycki: <i>Prasa w Polsce w okresie kampanii wrześniowej i niemieckiego zarządu wojskowego (wrzesień-listopad 1939 r.)</i>	27
Nota biograficzna	42
Stanisław Kirkor: <i>Sprawy finansowe Polski w przededniu ostatniej wojny</i>	43

WBREW CENZURZE

Stanisław Stempowski: <i>Ukraina (1919-1920)</i>	64
Adam Krzyżanowski: <i>Dzieje najnowsze Polski w oczach Zachodu (Cz. I)</i>	89

DOKUMENTY

Kazimierz Iranek-Osmecki: <i>Sprawozdanie i dziennik podróży emisariusza Antoniego</i>	95
--	----

WSPOMNIENIA

Były Żołnierz A.K.: <i>5-ta Brygada Wileńska A.K. mjr. Łupaszk</i>	136
Franciszek Kalinowski: <i>Sprawa podchorążych w Eastchurch</i>	144
Paulina (Ola) Watowa: <i>Paszportyzacja</i>	148
Leon Mitkiewicz: <i>Likwidacja Polskiej Misji Wojskowej w Stanach Zjednoczonych w 1945 r.</i>	169

SĄSIEDZI

Józef Lewandowski: <i>Historycy czescy i słowaccy</i>	181
<i>Memoriał Amorta-Krala</i> (przełożył Józef Lewandowski) ..	184

RECENZJE

Tadeusz Katelbach: „ <i>Szosa się skończyła</i> ”... ..	193
Jerzy Iranek-Osmecki: <i>Powstanie Warszawskie</i>	203
Nota biograficzna autora (str. 235)	
Franciszek Kalinowski: <i>Książki o polskim lotnictwie</i>	
<i>Historia polskich konstrukcji latających</i>	216
„ <i>1000 słów o samolocie i lotnictwie</i> ”	222
<i>O poznańskich myśliwcach</i>	223
Witold Babiński: <i>O pakcie — altera pars</i>	225

LISTY DO REDAKCJI

Stanisław Biegański	230
Stanisław Kirkor	230

Leon Mitkiewicz	232
Karol Popiel	233
Edward Puacz	233
Z listu W. T. Drymmera do redaktora „Zeszytów Historycznych”	235
Nota biograficzna Jerzego Iranka-Osmeckiego	235

**A C H E V E D ' I M P R I M E R
L E 2 2 F E V R I E R 1 9 7 2
S U R L E S P R E S S E S D E
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (X V I I I ^e)
D é p ô t l é g a l : 1 ^e t r i m . 1 9 7 2**

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

**KSIĄZKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

- Józef Mackiewicz: **Kontra** (7 F)
Tadeusz Katelbach: **Rok złych wróżb** (8 F)
Stanisław Kot: **Jerzy Niemirycz** (7 F)
Paweł Zaremba: **Historia Polski, Tom I** (20 F)
Józef Czapski: **Na nieludzkiej ziemi** (wydanie drugie)
(wyczerpane)
Bernard Singer: **Od Witosa do Sławka** (18 F)
Milovan Đilas: **Rozmowy ze Stalinem** (wyczerpane)
Jerzy Mond: **6 lat temu...** (Kulisy polskiego Października)
(wyczerpane)
Maria Czapska: **Polacy w ZSSR (1939-1942)** Antologia
(wyczerpane)
Witold Jedlicki: **Klub Krzywego Koła** (10 F)
Stanisław Mackiewicz: **Polityka Becka** (12 F)
Wincenty Witos: **Moje Wspomnienia, Tomy I/II/III**
(87 F)
Wiktor Sukiennicki: **Biała Księga** (wyczerpane)
Gustaw Herling-Grudziński: **Inny świat** (wyczerpane)
Borys Lewickij: **Terror i rewolucja** (15 F)
January Grzedziński: **Maj 1926** (9 F)
Wacław Lednicki: **Rosyjsko-polska entente cordiale
1903-1905** (9 F)
Wiktor Sukiennicki: **Legenda i rzeczywistość** (9 F)
Leon Mitkiewicz: **Z gen. Sikorskim na obczyźnie**
(23 F)
Julian Kulski: **Stefan Starzyński w mojej pamięci**
(12 F)
Eugenio Reale: **Raporty. Polska 1945-1946** (18,50 F)

18,50 F (dol. 4,25 ; £ 1,50)